

„AN EKS”

46
47

WYDAWCA: WYDZIAŁ KULTURY
I WYDZIAŁ PRASY
KRAJOWY ZWIĄZOK
WARSZAWA
1988

kwartalnik polityczny

Sprawy Niemców

**E. DRAUS - J. FEST - J. HABERMAS - C. MEIER
- E. NOLTE - M. STÜRMER - H. WAGNER
RUBEM C. FERNANDES**

Kościół w Brazylii i w Polsce

STANISŁAW BARAŃCZAK

O „Poemacie dla dorosłych” A. Ważyka

JAN T. GROSS WYBORY (II)

KONSTANTY A. JELEŃSKI

O Kulturze raz jeszcze

"ANEKS"

kwartalnik polityczny 46-47/1987

KRAK
 WYDAWNICTWO
KRAK
WARSZAWA
1988

spis treści

SPRAWY NIEMCÓW

A. S.: Uwagi wstępne	3
Michael Stürmer: Historia w kraju bez historii	15
Ernst Nolte: O przeszłości, która nie chce przeminąć	19
Jürgen Habermas: Sposób zacierania winy	24
Joachim Fest: Wspomnienie, które należy zachować	35
Christlan Meler: Potępiać, ale rozumieć. Dylematy niemieckiej pamięci historycznej	43
Franciszek Draus: Niemcy, Polska i Europa	58
Helmnt Wagner: Problem niemiecki. Próba historycznej interpretacji dylematu politycznego .	70

Rubem Cesar Fernandes: Obrazy Męki Pańskiej. Kościół w Brazylii i w Polsce	93
---	----

KULTURA I POLITYKA

Stanisław Barańczak: Dziecięca naiwność. O „Poemacie dla dorosłych” Adama Ważyka	117
---	-----

Aleksander Smolar: Pożegnanie Kota Jeleńskiego	148
Konstanty A. Jeleński: O Kulturze raz jeszcze	156

Z HISTORII NAJNOWSZEJ

Jan T. Gross: Wybory (II)	171
---------------------------------	-----

Mario Vargas Llosa: Ameryka Łacińska: postępy demokracji	211
---	-----

Jakub Andrzejewski: O poprzednim wcieleniu <i>Res Publici</i> , czyli klerk i polityka w socjalizmie	224
---	-----

KSIĄŻKI

Marek Tomaszewski: „W jedno ciało i jedną duszę”	241
Józef Krępy: Czy ład pogrudniowy jest stabilny?	248

Roman Zlmand: List	258
--------------------------	-----

Sprawozdanie Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej za lata 1982-1986	259
--	-----

O autorach	263
------------------	-----

sprawy Niemców

A. S.

UWAGI WSTĘPNE

Dyskusja o odpowiedzialności

Na łamach niemieckiej prasy i fachowych pism historycznych toczy się ważna dyskusja o przeszłości narodu niemieckiego, jego tradycji, tożsamości. W centrum dyskusji znajduje się dwanaście lat które zmieniły wszystko: 1933-1945.

Moralna ocena zachowań w czasie drugiej wojny światowej pojawiła się ostatnio jako temat publicznych debat w wielu krajach: w Stanach Zjednoczonych, Austrii, Polsce, Francji. Problem dotyka oczywiście najbardziej Niemców. Przede wszystkim tych z Republiki Federalnej. Niemcy z NRD umknęli przed koniecznością stawiania sobie pytań o odpowiedzialność; uciekli w antyfaszystowski mit komunistycznych twórców państwa. Stając się prowincją nowego imperium, z łatwością przywdziali kostium uczestników zwycięskiej koalicji. Austriacy znaleźli schronienie w miocie pierwszej ofiary Hitlera, zapominając o entuzjazmie, z jakim witali wkraczające jednostki Trzeciej Rzeszy i rolę, jaką odgrywali w instytucjach państwa nazistowskiego. Tylko Niemcy z Republiki Federalnej od pierwszej chwili musieli stawiać czoła zbrodniom własnego narodu. Jeżeli próbowali zapomnieć, inni im o nich przypominali.

Problem obecny od początku, w ostatnich latach, paradoksalnie, przybiera jakby na znaczeniu. Dlaczego? Pytanie to postawił sobie prezydent Republiki Federalnej, Richard von Weizsäcker, w przemówieniu wygłoszonym do Bundestagu 8 maja 1985 roku, w czterdziątą rocznicę zakończenia wojny. Przypomniawszy, że w Starym Testamencie okres lat czterdziestu zdawał się odgrywać rolę szczególną: czterdzięci lat Izraelczycy pozostawali na pustyni, zanim wejść mogli do ziemi obiecanej; czterdziestu lat trzeba było dla całkowitej wymiany odpowiedzialnego wówczas pokolenia ojców; w Księdze Sędziów powiedziane jest, iż pamięć o doznanej pomocy i ratunku trwa często tylko lat czterdzięci; gdy pamięć się urywa – kończy się spokój. Tak więc, mówi Weizsäcker, czterdzięci lat oznacza zawsze poważną cezurę, utrwalającą się w świadomości ludzkiej bądź jako zakończenie ponurego okresu i nadzieja na nową i lepszą przyszłość, bądź jako niebezpieczeństwo zapomnienia i ostrzeżenie przed jego skutkami.

Można tę samą myśl sformułować inaczej. Oto znikają uczestnicy wydarzeń tragicznego okresu, znika z nimi pamięć wydarzeń; przeżywanie przeszłości jako faktów żywo obecnych w świadomości ustępuje ostatecznie miejsca historii. Może więc obecne spory, emocje, jakie ów okres lat dwunastu wywołuje, związane są właśnie z cezurą biologiczną. Oddalanie się przeszłości powoduje u jednych strach przed zapomnieniem, przed moralną sterylizacją wydarzeń, u drugich zaś nadzieję, pragnienie ostatecznej, historycznej normalizacji tego okresu, by przestał ciążyć nędzą losem Niemców.



Publikujemy poniżej (z pewnymi skrótami) artykuły kilku wybitnych przedstawicieli życia intelektualnego Republiki Federalnej, dotyczące powyższych problemów: historyków Stürmmera, Noltego, Meiera, publicyści i pisarza Festa, oraz filozofa Habermasa.

Właściwą dyskusję, która objęła całą prasę RFN oraz szereg pism fachowych, wylewając się poza granice Republiki Federalnej, wywołał Jürgen Habermas: oskarżył on paru poważnych

historyków, określanych przez niego jako konserwatywni, o próbę rewizji historii Niemiec, szczególnie okresu panowania nazizmu. Widział w tym nie tylko skandal moralny i nadużycie intelektualne, ale również niebezpieczeństwo polityczne stopniowego odrywania się Niemiec od demokratycznych tradycji Zachodu.

Przyczyny ostrości i emocjonalnego napięcia w sporze wynikają z wagi tematu zarówno dla historyków, jak i dla szerokiej publiczności. Tkwią również w oczywistej sprzeczności między trzema, częściowo przynajmniej sprzecznymi, wymogami stawianymi historykom. Można je nazwać etycznym, poznawczym i obywatelskim.

Z moralnego punktu widzenia przeszłość nazistowska wymaga jednoznacznego potępienia. Etyka domaga się prostych odpowiedzi: „tak, tak, nie, nie”. Nie można relatywizować zbrodni. Istnienie innych nie pomniejsza tej konkretnej. Każda zbrodnia jest sama wobec trybunału sumienia.

Poznawcze obowiązki historyka narzucają mu całkiem inną logikę. Musi on badać lata panowania Hitlera w jego wielorakich uwikłaniach, uwzględniać specyfikę i podobieństwa z innymi systemami. Nietrudno dostrzec tu zagrożenie dla moralnej jednoznaczności. Osądzany fakt traci swoją autonomię, uwikłany jest w przyczyny i skutki; dostrzega się w nim aspekty niewątpliwie zbrodnicze, ale też etycznie neutralne, jak chociażby życie codzienne ludzi, mniej więcej takie samo w każdym reżymie, jak pewne ogólne prawidłowości rozwoju. Jednym słowem historyk, jako badacz przeszłych zdarzeń, ma naturalną skłonność do pewnego amoralizmu. Nie zaprzecza kryteriom etycznym, ale bierze je w nawias w procesie badania.

Funkcja obywatelska historiografii, bardzo ważna w tradycji Niemiec i nie tylko, polega najogólniej na stworzeniu wizji przeszłości narodowej, którą wspólnota mogłaby zaakceptować, w której mogłaby się rozpoznać, która służyłaby jej integracji, dając poczucie bezpieczeństwa i dumy. Historycy występują tu więc w roli producentów sensu, twórców narodowych mitów, gwarantów ciągłości, kapłanów pamięci.

Stürmer pisał, iż historycy muszą znaleźć wąską ścieżkę między nadawaniem historii sensu, z którym ludzie mogą się identy-

fikować, i demitologizacją. W istocie odnalezienie takiej ścieżki jest niezwykle trudne, jeżeli w ogóle możliwe. W praktyce, w zależności od poglądów na wydarzenia i na rolę historyka, uprzywilejowuje się tę czy inną perspektywę.

„Rewizjonistyczne” wysiłki zmierzają, najogólniej mówiąc, w kierunku pomniejszenia roli moralistycznego spojrzenia na historię i uprzywilejowania spojrzenia „obywatelskiego”. Przeciwnicy rewizjonistów chociaż nie oskarżają ich o chęć rehabilitowania Hitlera i usprawiedliwianie polityki Trzeciej Rzeszy, zarzucają im próbę kwestionowania wyjątkowego charakteru zbrodni dokonanych przez Niemców w latach 1933-1945 poprzez:

Relatywizowanie niemieckiej odpowiedzialności. Chodzi tu o obciążenie odpowiedzialnością za nazizm i wojnę nie tylko Niemców, ale również aliantów, czy cały system równowagi europejskiej.

Banalizowanie zbrodni. Zbrodnie ludobójstwa zawsze miały i mają miejsce. Niemcy niczym szczególnym się tu nie wyróżniają. Była Rosja Stalina, był Pol Pot.

Uhistorycznianie nazizmu przez badanie aspektów, by tak rzec, uniwersalnych procesu historycznego. System zbrodni staje się w takim ujęciu nieuchronnie małym dodatkiem do zjawisk bardziej fundamentalnych.

Wpisywanie w szersze kategorie ustrojowe. Nazizm zalicza się do kategorii ustrojów totalitarnych lub do zbioru państw faszystowskich. Niezależnie od korzyści poznawczych, często niewątpliwych, pozwała to na traktowanie przypadku Niemiec hitlerowskich jako jednego z wielu.

Wszystkie te wysiłki historyków, abstrahując od użyteczności rewizji z punktu widzenia historiografii, mają na celu „normalizację” historii Niemiec, zdjęcie jej jako problemu z porządku dnia, a więc również normalizację Niemiec *tout court*. Chodzi tu o tożsamość narodu, jego samopoczucie, chodzi też – autorzy tego nie ukrywają – o problemy polityczne wyboru drogi, którą będą podążali Niemcy.

Nie jest to pierwsza próba normalizacji przeszłości. Intelktualnie jest może najciekawsza, ale politycznie były już próby bardziej znamienne. Przede wszystkim wywodzące się z lewicy.

Ruch młodzieży niemieckiej przeciwko wojnie w Wietnamie dążył mniej czy bardziej świadomie do narzucenia wizji „moralnej równoważności” zbrodni niemieckich i zachowania Amerykanów w Wietnamie. Ruch pokojowy lat 80-ych był już wyraźnie ruchem „narodowego wyzwolenia spod ciężaru historycznej pamięci”. Wystąpienia historyków, uważanych za konserwatywnych, można wręcz traktować jako próbę odpowiedzi na lewicowy – przeważnie bardziej *implicite* niż *explicite* sformułowany – historyczny rewizjonizm.

Historię piszą zwycięzcy. Ale wraz z przezwyciężaniem skutków klęski, leczeniem ran, zwyciężeni będą nieuchronnie pisać swą własną historię. Będzie ona z konieczności odbiegała od wizji ofiar i zwycięzców. Oto jeden choćby przykład: nawet dla Niemców-szczerych demokratów dzień klęski Hitlera był z konieczności dwuznaczny. Jak powiedział pierwszy prezydent Republiki Federalnej, Theodor Heuss, było tak, bowiem „zostaliśmy równocześnie uratowani i zniszczeni”. Trzeba uznać nieuchronność i uszanować odmienność niemieckiej pamięci, to znaczy niemiecką wolność. Z nadzieją, że zwycięży postawa takich ludzi jak Richard von Weizsäcker, obecny prezydent, który mówił: „Nie istnieje pojęcie winy albo nieskazitelności w odniesieniu do całego narodu. Wina, podobnie jak nieskazitelność, nie są zbiorowe, lecz indywidualne. (...) Przodkowie pozostawili nam jednak trudny spadek. Wszyscy – winni czy niewinni, starzy czy młodzi – musimy się z naszą przeszłością pogodzić. Wszyscy jesteśmy dotknięci jej skutkami i za nie odpowiadamy”.

Kwestia niemiecka i polska polityka

Dyskusja na temat stosunku Niemców do przeszłości i problemu tożsamości wiąże się ściśle – co podkreślają między innymi Stürmer, Habermas, Meier – z aktualnymi problemami politycznymi. Chodzi tu najogólniej o zagadnienie miejsca RFN w bipolarnym świecie zorganizowanym wokół konfliktu między ZSRR i USA. RFN jest jednym z filarów Paktu Atlantyckiego, ale przy najmniejszej okazji pojawiają się w prasie zachodniej niespokojne rozważania co do przyszłości tego kraju. Na ile jego

zakorzenie w zachodniej kulturze politycznej jest trwałe? Na ile groźne są tendencje pacyfistyczne? Jak silne są pragnienia neutralistyczne odbudowania mitycznej Mitteleuropy poza Zachodem i Wschodem?

Pytania te wynikają z przekonania, że „kwestia niemiecka” jest żywa, to znaczy że status podzielonych Niemiec w podzielonej Europie w żadnym wypadku nie może być uznany ani przez Niemców, ani przez inne narody za rzecz normalną i ostateczną. Istnieją więc obawy, że, szukając odpowiedzi dla swoich problemów, naród niemiecki uciekać się może do rozwiązań, pozostających w sprzeczności z interesami innych narodów kontynentu.

„Kwestii niemieckiej” w wymiarze polityki międzynarodowej poświęcamy w tym numerze dwa artykuły, Helmuta Wagnera oraz Franciszka Drausa.

Wagner nie odwołuje się do dyskusji historyków niemieckich, ale jego stanowisko wyraźnie go w niej sytuuje. Przyczyny nieszczęść Niemiec i Europy widzi nie w wewnętrznej logice rozwoju swojego kraju, nie w procesach politycznych, czy mentalnych w nim zachodzących. Podstawowy problem – w jego interpretacji kwestii niemieckiej – to sprzeczność między dwiema równie prawomocnymi zasadami regulującymi stosunki między państwami naszego kontynentu. Z jednej strony zasada samostanowienia, z drugiej – zasada równowagi sił w Europie. Zasada samostanowienia dawała Niemcom prawo do ukonstytuowania się w państwo narodowe. Zasada równowagi sił powodowała mobilizację przeciwko Niemcom narodów kontynentu zagrożonych powstawającym w jego centrum potężnym, ekspansywnym państwem. Tylko Europa sfederalizowana, w której Niemcy będą mogły odnaleźć swoją jedność, nie zagrażając innym państwom kontynentu, stanowić może – zdaniem Wagnera – trwałe rozwiązanie problemów europejskich.

Franciszek Draus sceptycznie odnosi się do tezy, iż zjednoczenie Niemiec jest kluczem od reunifikacji Europy. Parafrazując znaną formułę Raymonda Arona o wojnie, powiedzieć można, że w ujęciu Drausa zjednoczenie Europy „na prawie zachodnim” jest niemożliwe, na „prawie sowieckim” – nie-

prawdopodobne. Daraus stawia równocześnie problem odnoszący się bardziej bezpośrednio do dnia dzisiejszego i stosunków między polityką niemiecką a interesami polskimi. Wskazuje na sprzeczność między centralnym dla polityki niemieckiej dążeniem do przewycięzania rozdzicia kraju a wolnościowymi aspiracjami Polaków.



Dominujący w polskiej myśli politycznej wzór myślenia o stosunkach polsko-niemieckich uformowany został w ramach tradycji Narodowej Demokracji. Warunki powstałe po wojnie zdawały się nadawać nowy sens starej doktrynie. Kształtowała ona myślenie o polityce międzynarodowej ludzi bardzo odległych od tradycji endeckiej. Podporządkowanie ZSRR nakazywało szukać realistycznego porozumienia, jakiegoś *modus vivendi* z Moskwą; poprzez mieszankę nacisków, gestów dobrej woli, ofert autentycznej współpracy dążyć do poszerzenia pola autonomii Polski. Z drugiej strony przesunięcie Polski na Zachód stwarzało groźbę przyszłego konfliktu z Niemcami, po ich umocnieniu się i powrocie na scenę międzynarodową. Związek Radziecki, nmiptując dużą część Polski, stawał się jednocześnie, paradoksalnie, gwarantem integralności ziem Rzeczypospolitej w nowym kształcie terytorialnym. Widziano w tym paradoksie rezultat przebiegłej polityki Stalina.

Do końca lat 60-ych stanowisko społeczeństwa polskiego wobec Niemców było wrogie i nieufne. Świeże jeszcze były wspomnienia wojny. Odważny i wielkoduszny list Episkopatu Polski do biskupów niemieckich stanowił szok dla bardzo dużej części społeczeństwa, szeroko eksploatowany przez władzę. Nieufności sprzyjała oficjalna polityka Republiki Federalnej nie uznająca powojennych zmian terytorialnych. Głęboki niepokój budziło dążenie do pozostawienia otwartej sprawy przyszłości Niemiec, przeciwdziałanie ze strony Bonn jakimkolwiek próbom porozumienia między Zachodem a Wschodem.

Mur berliński, fizycznie dowodzący trwałości podziału Niemiec i Europy, wielka koalicja CDU i SPD końca lat sześćdziesiątych, wreszcie dojście do władzy socjaldemokratów, wpływają

na zasadniczą zmianę politycznego myślenia w Bonn. Odwróceniu ulegają zasady polityki wobec Wschodu: to nie zjednoczenie Niemiec traktowane jest jako warunek uznania powojennych granic, porozumienia między dwiema częściami kontynentu i między wielkimi mocarstwami, lecz odwrotnie: wszelki postęp w sprawie niemieckiej uzależnia się od poprawy atmosfery w Europie, pozytywnej ewolucji stosunków między dwoma blokami. *Ostpolitik* Willy Brandta, ukoronowanie tej ewolucji, wiązała się ściśle z wizją postępu międzymocarstwowego i wewnątrz-europejskiego odprężenia. Stąd uznanie *de facto* nowych granic w Europie, granic państw i granic bloków. Od tego czasu kolejne rządy Republiki Federalnej gorliwie bronią osiągnięć odprężenia, gdy tylko, z którejkolwiek strony, są one zagrożone. W najtrudniejszych momentach władze w Bonn starają się łagodzić konflikty między Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Radzieckim, a gdy jest to niemożliwe, dbają o osłonę dla „mniejszej *détente*”, europejskiej, a choćby tylko wewnątrzniemieckiej. Jest w tej koncepcji świadomość uzależnienia losu Niemców od sytuacji ogólnej, ale również coraz bardziej klarowne przekonanie, że klucz do sprawy niemieckiej znajduje się w Moskwie. Więcej, wiąże się z tym uznanie fundamentalnej asymetrii w stosunkach ze Związkiem Radzieckim. Decydując o losie kilkunastu milionów Niemców – zakładników z NRD – Kreml może wywierać skuteczny nacisk na politykę Bonn.

Ostpolitik oparta była, jak się wydaje, na dwóch zasadach. Pierwsza – to odrzucenie strategii różnicowania, którą próbowały przedtem stosować władze Republiki Federalnej, a czynią to do dziś z różnym powodzeniem i różną konsekwencją Stany Zjednoczone. Polityka ta polega na zachęcaniu do pozytywnej ewolucji państw bloku sowieckiego poprzez uprzywilejowane traktowanie tych, które w polityce zagranicznej czy wewnętrznej wykazują najdalej idącą niezależność od Moskwy. Na tej zasadzie, od lat 60-ych Zachód nagradzał Rumunię za jej szumnie manifestowaną autonomię w stosunkach międzynarodowych, przychylnie odnoszono się do reformistycznej polityki Kadara, czy liberalnego modernizmu Gierka. Republika Federalna odrzuca tę strategię – poza oczywistym uprzywilejowywaniem Niemiec wschodnich – nie wierząc by Kreml gotów był pozwolić

na stopniowe, podstępne odrywanie kolejnych prowincji imperium. Polityka różnicowania może tylko, w tej optyce, prowadzić do blokowania przez Kreml wszelkich pozytywnych przemian, o ile postrzegane są one jako zagrożenie dla jego władzy. Nadzieję pokłada się raczej w ewolucji całego bloku, której winna sprzyjać rozumna polityka Zachodu.

Stąd druga zasada polityki RFN: popieranie tej ewolucji w porozumieniu z lokalnymi elitami rządzącymi. Adresatem polityki wschodniej Bonn jest więc władza komunistyczna, zaś pożądaną formą zmian – powolna ewolucja. W tej wizji nie ma miejsca na pozytywną, polityczną (w odróżnieniu od prywatnych sympatii) ocenę niezależnych ruchów masowych, buntów społecznych. Widzi się w nich wyłącznie zagrożenie dla polityki Niemiec i dla społeczeństw bezpośrednio zainteresowanych.

Trudno nie widzieć dwuznaczności takiej polityki. Prowadzi ona nieuchronnie do uprzywilejowywania stosunków z rządami krajów naszego regionu kosztem uwzględniania aspiracji społecznych. Oczywiście, politycy RFN twierdzą, iż ich celem jest dopomożenie ewolucji, która byłaby zgodna z aspiracjami społeczeństw środkowo-wschodniej Europy. W różnych momentach i sytuacjach *Ostpolitik* może mieć efekty pozytywne. Zwłaszcza w czasach spokojnych. W okresach pogłębiającej się niestabilności, zagrożeń dla władzy komunistycznej, rzecz przedstawia się inaczej. Istnieje groźba, iż RFN występować będzie wtedy w roli pomocnika żandarma. Josef Joffe, wnikliwy obserwator niemiecki, tak pisał o postawie rządu z Bonn w obliczu zamachu 13 grudnia: „Ponieważ Moskwa jest ostatecznym arbitrem ewolucji Europy Wschodniej, należy uspakajać Związek Radziecki co do naszych intencji, nawet do punktu, w którym *Ostpolitik* stanie się cichym – i przede wszystkim dyskretnym – partnerem w utrzymywaniu stabilności reżymu (polskiego) i panowania sowieckiego w Europie Wschodniej”.

Jak mają się interesy wolnościowe i demokratyczne Polaków i innych narodów regionu do polityki Republiki Federalnej? Odpowiedź nie jest prosta. Odróżnić trzeba niemiecką politykę długookresową od polityki bieżącej. W długim okresie Niemcy dążąć muszą nieuchronnie do zmiany ładu pojałtańskiego. Przewycięzenie podziału świata i Europy jest warunkiem

przewyciężenia podziału Niemiec. W tej, strategicznej, perspektywie Niemcy są najpoważniejszym czynnikiem na scenie międzynarodowej, żywotnie zainteresowanym w podważeniu politycznego *status quo*. Dlatego też zdają się być sojusznikiem sprawy narodów środkowo-wschodniej Europy. Nie wydaje się bowiem, aby Niemcy demokratyczne, wintegrowane w Europę, w dobie broni atomowej, stanowić mogły zagrożenie dla terytorialnej jedności Polski.

Inaczej natomiast trzeba oceniać bieżącą politykę Niemiec. Tutaj kierunkowskazem nie jest zjednoczenie – w obecnej perspektywie cel nierealny – lecz utrwalenie i ewentualne poszerzenie koncesji, które RFN zdołała wynegocjować, wykupić, w swych stosunkach z „drugimi Niemcami” i Moskwą. W tej perspektywie Republika Federalna jest siłą konserwatywną, świadomą swej słabości, uzależnienia od Moskwy, traktującą wszelkie niekontrolowane, nieakceptowane przez władzę w bloku sowieckim działania jako bezpośrednie zagrożenie dla swojej polityki.

Symptomatyczne pod tym względem i godne refleksji były reakcje Niemców na „Solidarność” i 13 grudnia. Były kanclerz Helmut Schmidt wspominał ostatnio, jak odwoził prezydenta Mitteranda od nadmiernego angażowania się po stronie „Solidarności” w czasach legalnego istnienia Związku. 13 grudnia, będąc w Berlinie Wschodnim, pospieszył z oświadczeniem, wspólnie z Ulbrichtem, iż liczy na załatwienie przez Polaków swoich własnych spraw. Jeszcze parę lat później usprawiedliwiał się: „Jaruzelski... nie jest człowiekiem postawionym przez Moskwę. Oni go nie lubią, nie ufają mu; i głęboko w swym sercu on ich wyjątkowo nie lubi”. Bardziej szczerzy Egon Bahr, czołowy strateg socjaldemokracji, który w zasadniczym stopniu wpłynął na kształt polityki wschodniej RFN, mówił: „Utrzymanie pokoju światowego jest ważniejsze od Polski”. Oczywiście, pokój światowy nie był zagrożony, zagrożona była jednak stabilność warunków, od których zależało powodzenie *Ostpolitik*.

Karykaturalną manifestacją – choć czysto symboliczną – tej polityki była wizyta Willy Brandta w Polsce w grudniu 1985 roku. Wbrew praktyce wszystkich zachodnich mężów stanu przyjeżdżających do Polski Brandt odmówił spotkania z przedstawi-

cielami opozycji. Przyjął tylko delegację KIK-u, w skład której weszli również znani opozycjoniści. Tak więc szef międzynarodówki socjalistycznej o długich laickich, antyklerykalnych tradycjach, zgodził się spotkać wyłącznie z przedstawicielami władz, Kościoła i z garstką intelektualistów związanych z Kościołem. Oznaczało to uznanie szczególnego duopolu, polskiego *status quo*, w którym nie ma miejsca dla niezależnej reprezentacji społeczeństwa, w którym nie ma miejsca dla „Solidarności”.

W kręgach polskiej opozycji od dziesięciu lat dokonuje się rewizji tradycyjnych poglądów na sprawy Niemiec. Pisze się o cierpieniach ludności niemieckiej w czasie masowego jej wypędzania z ziem należących dzisiaj do Polski; o losach nielicznej grupy Niemców pozostających w Polsce i o ich dyskryminowaniu przez różne instytucje. Wreszcie w planie międzynarodowym i politycznym uznaje się prawo Niemiec do zjednoczenia. Tym zmianom powinna jednak towarzyszyć głębsza refleksja nad złożonym problemem roli Niemiec w polityce polskiej i w przyszłości Polski. Nawet jeżeli uznamy za anachroniczną tradycyjną, endecką koncepcję stosunków polsko-niemieckich, nie wynika z tego, że należy ją zastępować wizją idylliczną.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego sprawa zdaje się być nad wyraz ważna. Niemcy są jedynym potężnym krajem Zachodu, który jest zainteresowany naszym regionem. Ze względu na podział Niemiec, ze względu na historię, geograficę i geopolitykę. Dla podupadłej Francji i Anglii stanowimy niewątpliwie problem, ale odległy, jeden z wielu. Oba te kraje dawno utraciły pozycję mocarstw światowych, coraz bardziej wątpliwy jest ich status potęg regionalnych. Francja tradycyjnie interesuje się Polską i szerzej środkowo-wschodnią Europą. Zainteresowanie to było jednak zawsze funkcją polityki wobec Rosji i, przede wszystkim, Niemiec. Dzisiaj motywy zainteresowania osłabły, możliwości działania jeszcze bardziej. Stany Zjednoczone widzą Europę środkowo-wschodnią w perspektywie globalnej konfrontacji ze Związkiem Radzieckim. Zdolne są do takich czy innych gestów wobec naszych krajów – czasami nawet bardzo spektakularnych – ale nie do konsekwentnej polityki, niezależnej od bieżących stosunków z Moskwą. Jedynym krajem Zachodu żywotnie, stale nami zainteresowanym są Niemcy. Nietrudno więc sobie wy-

obrazić, iż wraz ze wzrostem ich potęgi Niemcy w coraz większym stopniu współkształtować będą politykę Zachodu wobec krajów środkowo-wschodniej Europy. Również wobec Polski. Jest już tak w dużym stopniu. Czy nam się to podoba, czy nie.

Aleksander Smolar

NAKŁADEM

ANEKSU

Adam Michnik

SZANSE POLSKIEJ DEMOKRACJI

Artykuły i eseje

Wstępem służy: Szkice historyczne – Szanse polskiej demokracji –
Na marginesie bieżących wydarzeń (lata 1980-1981) – Po grudniu
– Listy z Białołęki.

Str. 256

Cena: £4,80; US\$10,50

Adam Michnik

TAKIE CZASY...

RZECZ O KOMPROMISIE

Książka napisana w więzieniu w 1985 r. na temat polityki
władz oraz celów i taktyki KOR-u i – po Sierpniu 80 –
„Solidarności”, przed i po wprowadzeniu stanu wojennego.

Str. 140

Cena: £3,00; \$ 7,50

Michael Stürmer

HISTORIA W KRAJU BEZ HISTORII *

Wszystko jest możliwe w kraju bez wspomnień. Sondaże ostrzegają nas: wśród krajów uprzemysłowionych Niemcy wykazują najwyższy stopień głuchoty w stosunkach między pokoleniami, najłabsze poczucie własnej wartości i najgłębiej sięgające zmiany w systemach wartości. Jak jutro będziemy widzieli swój kraj, Zachód i siebie samych? Można przypuszczać, że ciągłość zwycięży. Ale nie jest to wcale takie pewne.

Mniej więcej w całym kraju stwierdza się renesans zainteresowania historią i uznaje się to za rzecz wysoce chwalebna. Muzea powstają jedno po drugim, pchle targi żyją nostalgią za dawnymi dobrymi czasami, na wystawach historycznych nie brak zwiedzających, a literatura historyczna, istniejąca jeszcze dwadzieścia lat temu na obrzeżach zainteresowań społeczeństwa, zaczęła znów obradzać w piszących i w czytających.

Dwa wytłumaczenia nasuwają się wobec tych poszukiwań „straconego czasu”. Jedni widzą w tym rozbudzenie świadomości historycznej, powrót do tradycji kulturowej, zapowiedź pewnej normalności. Drudzy twierdzą, że jest to postawa świadcząca o niezdolności oparcia się wyłącznie na myśleniu w przyszłość. o poszukiwaniu właściwej orientacji w przeszłości i o upewnianiu

* *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, 25.04.1986 r.

się w ten sposób co do kierunku podróży. Obydwie interpretacje są słuszne wobec dokonywanego obecnie nowego odkrywania starej historii. Utrata orientacji i poszukiwanie tożsamości to uczucia siostrzane. Nie ma co się jednak ludzić, że to wszystko nie ma żadnego wpływu na politykę i na przyszłość: w kraju bez historii przyszłość stanie się lupem tego, kto będzie potrafił wypełnić lukę we wspomnieniach, ujmie rzecz w formuły i podsunie interpretację przeszłości.

Mówi się, że uczucie niepewności zrodziło się dopiero w 1945 roku; twierdzenie to można by podważyć. Wznoszenie się Hitlera ku władzy wiąże się z kryzysami i klęskami zeświecczonej cywilizacji, rzucającej się do coraz to nowego wielkiego startu, w zupełnym zatraceniu poczucia kierunku, połączonym z bezskutecznym poszukiwaniem bezpieczeństwa. „Nie ma już dziś niczego, czego by nie poddawano w wątpliwość” – wykrzykuje Karl Jaspers w swym sławnym wykładzie, wygłoszonym na uniwersytecie w Heidelbergu. Między 1914 i 1945 r. Niemcy takie walki musieli toczyć ze wzburzonymi wodami nowoczesności, aż uległa wreszcie zniszczeniu wszelka tradycja i barbarzyństwo utworzyło coś na kształt państwa. Właśnie dlatego Hitler mógł odnieść triumf, właśnie dlatego mógł stać się władcą, dysponującym i zarządzającym Prusami i patriotyzmem, państwem i cnotami mieszczańskimi, prowadząc to wszystko razem ku zgubie.

Ale już wcześniej przecież, nim nastal czas wojen i wojen domowych, nasza historia była historią wiecznych przewrotów. Ci, co uskarżają się, że brakło w tej historii rewolucji, pojęli pewnie niewiele z rewolucji agrarnej, rewolucji przemysłowej, półrewolucji 1848 r. i rewolucji „odgórnej”, która stała się narzędziem zwycięstwa Bismarcka. Dla każdego z tych następujących po sobie w ciągu 200 lat pokoleń, horyzont nadziei otwierał się wciąż na nowy sposób, i za każdym razem widziano, jak nadzieja wali się w gruzy. Historia niemiecka notuje szybkie zużywanie się konstytucji, wartości, które nadawałyby kierunek, a także wyobrażeń o przeszłości i o przyszłości.

Przez długi czas spojrzenie niemieckie koncentrowało się na okresie Dyktatury, jako na początku i końcu historii – bo jakże mogło być inaczej? Później, w miarę jak Republika Federalna oddalała się od swych narodzin, spojrzenie to zwracało się znów

ku czasom bardziej odległym. Poczynając od 1973 r., kiedy to cena ropy naftowej zaczęła rosnąć i mówiono o „zmianie kierunku”, określając tym mianem nowy stan świadomości, Niemcy odkryli, że Republika Federalna oraz układ światowy, którego jest ona częścią, podlegają ruchowi historii. Historia układu powojennego jest odąd przedmiotem studiów politycznych i historycznych.

Ten nowy stan rzeczy sprawił, że tym wyraźniej uwidoczniła się rola Konrada Adenauera, człowieka, który czynił wszystko, by położyć kres „specyficznej ewolucji” Niemiec i ich separacji politycznej od Zachodu. Lecz zarazem nota Stalina z 1953 r., otoczona dość wątpliwą sławą i zmierzająca właśnie do uniemożliwienia tych planów, przedstawiana jest jako mit straconej okazji dla zjednoczenia Niemiec, a rosyjski tyran odmalowywany jest niczym święty Mikołaj zdolny zaspokoić wszelkie pragnienia Niemców: jedności, wolności, dobrobytu i, przede wszystkim, bezpieczeństwa – podczas gdy w rzeczywistości chodziło jedynie o przygotowanie gruntu do zorganizowania Niemiec sowieckich. I oto, wśród zjaw przeszłości, pojawia się nagle również antyfasyzm, który jest legendą o szlachetnych zamiarach komunistów, o upadku socjaldemokracji niemieckiej i o dobrodziejstwach Frontu Ludowego. Fakt, że myśliciele socjaldemokracji powierzyli niedawno SPD, kierowanej przez Kurta Schumachera – jako główną misję polityczną – zwalczanie społecznych korzeni faszyzmu w Republice Federalnej (przy okazji 40 rocznicy kapitulacji Niemiec!), wskazuje na utajone zamiary kierowania przyszłością.

Jakkolwiek by było: gdy nasi sąsiedzi obserwują, jak my, Niemcy, dociekamy własnej historii, zaczynają się zastanawiać, do czego właściwie to wszystko doprowadzi. Republika Federalna odgrywa istotną rolę zarówno w dziedzinie polityki, jak i gospodarki światowej. Stanowi centralny punkt na arenie europejskiej, główny element Paktu Atlantyckiego. A tymczasem okazuje się obecnie, że każde z pokoleń żyjących teraz w Niemczech nosi w sobie inny obraz przeszłości i przyszłości, i że te różne obrazy są niekiedy wręcz przeciwstawne. Okazuje się również, że technokratyczna pogarda dla historii ze strony prawicy i stopniowe duszenie jej przez lewicę spowodowały duże

spustoszenia w kulturze politycznej kraju. Poszukiwanie utraczonej historii nie jest poszukiwaniem kultury abstrakcyjnej: jest ono uprawomocnione moralnie i niezbędne politycznie. Chodzi bowiem o wewnętrzną ciągłość Republiki niemieckiej i o zaufanie, jakie powinna budzić jej polityka zagraniczna. W kraju bez pamięci wszystko jest możliwe.

Michael Stürmer

Przełożyła J. M.

NAKŁADEM

ANEKSU

Jan Kott

KAMIENNY POTOK

ESEJE poświęcone są literaturze i teatrowi,
wyrażając doświadczenie artystyczne i polityczne autora.

Str. 232

Cena: £ 4,00–\$ 10,00

Barbara N. Łopieńska i Ewa Szymańska

STARE NUMERY

PO PROSTU 1953-1957

Historia tygodnika oczyma członków zespołu redakcyjnego – od mało znaczącego pisma studentów Politechniki Warszawskiej do wpływowej platformy zwolenników radykalnych reform w okresie Października i likwidacji *Po prostu* w 1957 r.

Str. 130 + zdjęcia

Cena: £3,50–\$8,00

Małgorzata Szejnert – Tomasz Zalewski

SZCZECIN

GRUDZIEŃ – SIERPIEŃ – GRUDZIEŃ

Autorzy należą do nielicznych osób z zewnątrz, którym udało się obserwować strajk szczeciński 1980 r. z bliska. Książka nie jest tylko zapisem faktów i zdarzeń
– autorzy starali się przede wszystkim dociec przyczyn i mechanizmów społecznego buntu.

Nagroda Kulturalna „Solidarność”

Str. 382

Cena: £ 7,00–\$ 14,00

Ernst Nolte

O PRZESZŁOŚCI, KTÓRA NIE CHCE PRZEMINAĆ *

Gdy mówi się o „przeszłości, która nie chce przeminać”, nie może chodzić o nic innego, jak o przeszłość narodowo-socjalistyczną Niemców czy też Niemiec. To twierdzenie sugeruje, że zazwyczaj wszelka przeszłość przemija i że „nieprzemijanie” przeszłości niemieckiej jest zjawiskiem całkiem wyjątkowym. Zarazem nie można powiedzieć, by przeminięcie było równoznaczne z zanikaniem. Czasy Napoleona I, na przykład, ustawicznie są przypominane w pracach historyków, podobnie jak epoka klasyczna cesarza Augusta.

Lecz przeszłości te zatraciły najwidoczniej swe cechy zatrwajające, jakie miały dla współczesnych, dlatego właśnie mogły zostać powierzone historykom. Przeszłość narodowo-socjalistyczna natomiast jakby opierała się temu procesowi słabnięcia i wiednięcia. Więcej, zyskuje coraz większą żywotność i potężnieje. Nie może jednak przy tym służyć za przykład. Odwrotnie wręcz – staje się istnym postrachem, jest przeszłością, która próbuje

* Jest to skrócona wersja odczytu, który miał być wygłoszony na kolokwium, zorganizowanym we Frankfurcie i zatytułowanym „Kultura polityczna dzisiaj”. Autor został wykluczony z udziału w kolokwium przez organizatorów bez podania powodów decyzji. Tekst wystąpienia został opublikowany w *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, 6.06.1986 r.

zając miejsce teraźniejszości, bądź wisieć nad nią jak miecz Damoklesa.

Lecz czy rzeczywiście chodzi tylko o to, że *pays réel*, ten kraj bywalców kawiarenek, nie chce bić się w piersi i buntuje się przeciw owemu zakazowi wymazania nazistowskiej przeszłości, pragnąc zamknąć ten rozdział tak, by przeszłość niemiecka nie różniła się od przeszłości innych narodów?

Czy nie ma aby pewnej dozy słuszności w wielu argumentach i pytaniach, wnoszących się niczym mur przeciwko ciągle przypominanej konieczności nieustannej konfrontacji z narodowo-socjalistyczną przeszłością? Zacytuję tu parę tych argumentów i pytań, by nakreślić taką formę „konfrontacji”, która nie miała by nic wspólnego ani z jakimkolwiek „zamykaniem rozdziału”, ani z owym „przezwyjęzaniem”, tak często wzmiankowanym w tej debacie.

Ci, którzy mówią o „winie Niemców”, nazbyt gorliwie unikają dostrzegania podobieństwa z głównym argumentem narodowych socjalistów: z tą o „winie Żydów”. W obwinianiu się Niemców brak szczerości, bo oskarżyciele, albo ugrupowania, jakie reprezentują, samych siebie nie obejmują oskarżeniem; jedynym ich pragnieniem jest zadać ostateczny cios dawnym przeciwnikom.

Koncentrując uwagę na „ostatecznym rozwiązaniu”, nie dostrzega się bardzo ważnych faktów z czasów nazistowskich, takich jak likwidowanie „bytów niegodnych życia” czy postępowanie wobec rosyjskich jeńców wojennych. Lecz głównie nie dostrzega się wówczas zasadniczych problemów związanych z teraźniejszością, jak choćby problemu „prawa do życia” istot ludzkich przed ich narodzeniem czy problemu „Judobójstwa” w świecie współczesnym: wczoraj w Wietnamie, dziś w Afganistanie...

Odwiedzenie przez amerykańskiego prezydenta cmentarza wojskowego w Bitburgu wywołało pełne wzburzenia dyskusje. Lecz lęk, by nie być oskarżonym o próbę porównywania ofiar z jednej i z drugiej strony, i ogólnie, o jakąkolwiek próbę porównań sprawił, że nie padło to proste przecież pytanie: co by się stało, gdyby w 1953 r. ówczesny kanclerz Konrad Adenauer odmówił złożenia wizyty na cmentarzu wojskowym w Arlington,

argumentując to faktem, że znajdują się na nim również groby żołnierzy, którzy uczestniczyli w nalotach na niemiecką ludność cywilną?

To wszystko właśnie, dla historyka, jest godnym pożałowania skutkiem nieprzemijania przeszłości: najprostsze reguły, stosowane wobec wszelkich minionych zdarzeń, zostają w tym wypadku pozbawione mocy, a wśród nich reguła najważniejsza, wedle której mechanizmy każdej minionej epoki powinny stać się zrozumiałe poprzez stopniowe odkrywanie jej złożoności; że należy coraz bardziej uwidaczniać wewnętrzną spójność przeszłości, której dana epoka jest częścią, że manichejskie wizje, białe lub czarne, w jakie obfitują współczesne spory, winny być korygowane i że wreszcie należałoby rewidować wcześniejsze próby interpretowania tej epoki.

A tymczasem reguła ta, w wypadku stosowania jej do III Rzeszy, uchodzi za niebezpieczną: tą drogą chciano by jakoby doprowadzić do wybielenia Hitlera, a w najlepszym wypadku – do zdjęcia brzemienia winy z narodu niemieckiego.

Na to można by odrzec zwięźle i nie dając szansy repliki: żaden Niemiec nie może dłużej szukać usprawiedliwienia dla Hitlera już choćby z tego powodu, że w marcu 1945 r. dał rozkaz zniszczenia narodu niemieckiego.

W literaturze poświęconej narodowemu socjalizmowi uderzające i niepokojące jest niedostrzeżenie – czy też nieprzyjmowanie do wiadomości – faktu, że wszystko, co robili narodowi socjaliści – z wyjątkiem komór gazowych – zostało już wcześniej opisane w obszernej literaturze z lat dwudziestych: masowe deportacje i rozstrzeliwania, tortury, obozy śmierci, zagłada całych zbiorowości w imię kryteriów całkowicie arbitralnych, publiczne domaganie się skazania na śmierć tysięcy niewinnych istot ludzkich, lecz uważanych za „wrogów”.

Tym samym można uznać nie tylko za dopuszczalne, ale wręcz za nieuniknione takie oto pytanie: może naziści, a także Hitler, dokonali aktu „azjatyckiej dzikości” dlatego, że sami uważali się za potencjalne lub rzeczywiste ofiary „azjatyckiej dzikości”? Czy archipeląg Gułag nie ma prawa starszeństwa w stosunku do Oświęcimia? Czy „morderstwo klasowe” dokonane przez bolszewików nie jest czymś wcześniejszym („Prius”) w po-

rządku logicznym i faktycznym niż mord na tle rasowym dokonany przez narodowych socjalistów? Czy Oświećim nie wywodzi się – jeśliby dociekać jego genezy – z przeszłości, która nie chce (właśnie, ta też nie chce) przeminąć?

Długo wahano się, nim odważono się postawić takie pytania. Długo wahałem się również ja sam. Uchodzą one za broń zaczepną w walce z komunizmem, bądź za wytwór zimnej wojny. Tymczasem u ich podłoża znajdują się proste konstatacje, prawdy najprostsze, można tych prawd unikać dla dobra etyki, lecz postępując w ten sposób gwałci się etos nauki.

Skrupuły byłyby uzasadnione, gdyby poprzestać na tych jedynie faktach i pytaniach, nie wpisując ich w szerszy kontekst, czyli kolejne zerwanie ciągłości historii europejskiej, poczynając od rewolucji przemysłowej. Dopiero w takiej perspektywie jasne się okazuje, że pomimo wszelkich analogii eksterminacja biologiczna istnień ludzkich przeprowadzana przez nazistów różni się od eksterminacji na tle społecznym, której dokonali bolszewicy. Lecz na tej samej zasadzie, na jakiej nie można „usprawiedliwiać” jednego mordu – i tym bardziej mordu masowego – innym mordem, niestuszne jest branie pod uwagę *tylko jednego* z mordów, czy też *jednego z dwóch* mordów masowych, odmawiając uznania drugiego, mimo istnienia dużego prawdopodobieństwa związku przyczynowego między nimi.

Jeśli historia ma mieć jakiś sens dla potonionych, mimo całej swej niejasności i wszelkich okrucieństw, a także w swej niepokojącej nowości, o czym trzeba pamiętać przez wzgląd dla jej aktorów, ten sens powinien polegać na wyzwaniu się od myślenia kolektywistycznego. Powinno to oznaczać świadome opowiadanie się za zasadą takiego porządku wolności, który dopuszcza krytykę, a nawet zachęca do niej o tyle, o ile obiektem jej są czyny, sposób myślenia i tradycje (łącznie z rządami i wszelkiego rodzaju organizacjami), lecz zarazem potępia, uznając za niedopuszczalną, krytykę takich cech, których ludzie albo w ogóle nie mogą się wyzbyć, albo jedynie kosztem potwornego wysiłku, czyli taką krytykę, która obiera sobie za cel *Żyda, Rosjanina, Niemca czy drobnomieszczanina*. Tam, gdzie krytyka narodowego socjalizmu przeprowadzona jest na płaszczyźnie tego myślenia kolektywistycznego, pora byłaby już ją zamknąć. Szer-

sza konfrontacja z przeszłością, oparta przede wszystkim na refleksji nad historią ostatnich dwóch stuleci, doprowadziłaby niewątpliwie do przemięcenia przeszłości, o której była tu mowa.

Tego rodzaju konfrontacja pozwoliłaby ujarzmić przeszłość i zawiadnąć nią.

Ernst Nolte

Przełożyła J. M.

UNCENSORED POLAND NEWS BULLETIN

UNCENSORED POLAND News Bulletin provides a regular source of information on developments in Poland. It focuses particularly, but not exclusively, on issues not reflected in official statements and the official press.

UNCENSORED POLAND News Bulletin publishes annually more than 900 pages of documents and first-hand reports on events in Poland, statements, articles and interviews by leaders and influential members of the Independent Trade Union «Solidarity», a wide range of documentation from the democratic opposition, articles from the uncensored press and expert analysis of Polish society. Emphasis is given to the background of political, economic and social developments as well as their significance.

UNCENSORED POLAND News Bulletin is an essential source of information for journalists, academics, specialists and anyone interested in political developments and struggle for human and civil rights in Poland. It is published fortnightly by The Information Centre for Polish Affairs, an independent, non-profit-making news organisation, which brings together journalists, writers and human rights activists resident in Great Britain, who have direct access to official and unofficial sources in Poland and an intimate knowledge of that country's affairs.

SUBSCRIPTIONS: £ 75.00 p.a. in Europe; £ 90.00 p.a. Overseas
(Air Mail)

ENQUIRIES: THE INFORMATION CENTRE FOR
POLISH AFFAIRS, U.K.
115, Redston Road, London N8 7HG,
Great Britain

Jürgen Habermas

**SPOSÓB ZACIERANIA WINY,
czyli tendencje apologetyczne we współczesnej
historiografii niemieckiej ***

Historyk Michael Stürmer jest zwolennikiem funkcjonalnej interpretacji świadomości historycznej: „W kraju bez historii przyszłość stanie się lupem tego, kto będzie potrafił zapłacić lukę we wspomnieniach, ujmie rzecz w formuły i podesunie interpretację przeszłości”. Zgodnie z neokonserwatywnym widzeniem świata Stürmer wyobraża sobie modernizację jako swego rodzaju sposób „wyrównywania szkód”. Jednostka, będąc nieuchronnie wyobcowana w zreifikowanym, zatowarowanym społeczeństwie przemysłowym, potrzebuje sensu nadającego tożsamość jej istnieniu. Stürmer troszczy się oczywiście mniej o tożsamość jednostki niż o jej integrację w życie wspólnoty. Pluralizm wartości i celów, jeśli nie zasadza się na „wspólnym gruncie, wcześniej czy później doprowadzi do społecznej wojny domowej”. Istnieje potrzeba „stworzenia tego sensu nadrzędnego, którego źródłem, po religii, były dotychczas jedynie pojęcia narodu i patriotyzmu”. Nauka historyczna, świadoma swych zadań, nie powinna pozostać głucha na apel budowania i propa-

* *Die Zeit*, 11 07.1986.

gowania takiego obrazu historii, z którego zrodzi się *consensus* narodowy. Historia, jako dyscyplina, nieuchronnie musi podążać torem, jaki wyznaczają jej potrzeby zbiorowe, w dużej mierze nieświadome – i teraz właśnie jej celem, w odpowiedzi na te potrzeby, jest wypracowanie nowych treści oraz sensu historycznego, koniecznych dla właściwego funkcjonowania narodu niemieckiego wewnątrz porządku światowego. Tyle że historyk musi – i w tym Stürmer widzi prawdziwy dylemat – doprowadzić to zadanie do końca z pełną rzetelnością metodologii naukowej. Dlatego właśnie wstępuje on na „stromą, wąską ścieżkę między ustanawianiem sensu a demitologizacją”.

Spójrzmy w pierwszym rzędzie na historyka epoki współczesnej z Kolonii, Andreasa Hillgrubera, jak posuwa się po tej „stromej, wąskiej ścieżce” *. W pierwszej części swojego studium Hillgruber opisuje załamanie się niemieckiego frontu wschodniego w ostatnim roku wojny 1944-1945.

Na początku analizuje „problem identyfikacji”, to znaczy kwestię, z którą ze stron autor powinien się identyfikować w swej relacji historycznej. Ponieważ od razu wyeliminował – jako wywodzącą się „ze zwykłej etyki wartości lub przekonań” – interpretację sytuacji dokonaną przez ludzi 20 lipca **, przeciwstawiając jej postawę znajdujących się na miejscu komandorów i burmistrzów, kierujących się „etyką odpowiedzialności ***”, możliwe pozostają trzy stanowiska. Hillgruber odrzuca hitlerowską perspektywę „walki do końca” jako przejaw „darwinizmu społecznego”. Perspektywa ewentualnego wyzwolenia dotyczy może – zdaniem Hillgrubera – jedynie ofiar obozów koncentracyjnych, a nie narodu niemieckiego jako całości. Pozostaje więc tylko jedna możliwość: historyk powinien utożsamić się z konkretnym losem ludności niemieckiej na terenach wschodnich, z rozpaczliwymi i ofiarnymi wysiłkami Armii Wschodniej i marynarki niemieckiej w rejonie Bałtyku, które usiłowały uchronić

* A. Hillgruber, *Zweierlei Untergang: Die Zerschlagung des Deutschen Reiches und das Ende des Europäischen Judentums*, Siedler, Berlin 1986

** Nieudana próba oficerskiego zamachu na Hitlera. (przyp. red.)

*** Hillgruber posługuje się tu rozróżnieniem wprowadzonym przez Maxa Webera. (przyp. red.)

niemiecką ludność cywilną przed mściwym rozpasaniem Armii Czerwonej, masowymi gwałtami, mordowaniem i deportowaniem ludzi bez jakichkolwiek powodów i starały się utrzymać dla tej ludności otwartą drogę ucieczki na Zachód.

Budzą zaskoczenie i zastanawiają powody, dla których historyk piszący w 1986 r. nie miałby podjąć retrospekcji z dystansu 40 lat, a więc ze swej własnej perspektywy, od której i tak nie potrafi się oderwać. Przedstawia ona ponadto tę zaletę hermeneutyczną, że pozwala na konfrontowanie wybiórczych obserwacji, dokonywanych przez strony bezpośrednio zaangażowane, na porównywanie ich oraz uzupełnianie wiedzą tych, którzy narodził się później. Ale Hillgruber nie chce przedstawić ówczesnych wydarzeń z tego punktu widzenia, który można by niemal nazwać „normalnym”, bo wówczas nieuchronnie stanąłby problem „etyki w czasie wojen zagłady”, a autor woli, by pozostał on w nawiasie. Hillgruber przypomina w tym kontekście powiedzenie Norberta Blüma *, że tak długo, jak „trzymał się” niemiecki front wschodni, eksterminacja w obozach mogła postępować. Uwzględnienie tego faktu musiałoby rzucić cień na „pełen grozy obraz gwałconych kobiet i mordowanych dzieci”, który stanął przed oczami żołnierzy niemieckich po odbiciu Nemmersdorfu **.

Hillgruber stawia sobie za cel opisanie wypadków przez pryzmat doznań „odważnego żołnierza, zrozpaczonej ludności cywilnej”, a nawet doświadczonych funkcjonariuszy partii nazistowskiej; chce przyjąć optykę ówczesnie walczących, która nie została jeszcze wówczas ujęta w ramy poznanych faktów i negatywnie osądzona dzięki uzyskanej obecnie wiedzy. Ten cel leży u podstaw podziału studium na dwie części: „klęskę na Wschodzie” i „zagładę Żydów”, dwa procesy, których „mrocznej współzależności” Hillgruber, wbrew temu co obiecuje tekst na okładce, właściwie nie opisuje.

* Obecnie minister Spraw Socjalnych w rządzie RFN. (przyp. red.)

** Miasteczko w dawnych Prusach Wschodnich, zajęte przez Armię Czerwoną i odbite, na krótki czas, przez armię niemiecką. (przyp. red.)

II

Dokonawszy tej operacji, w związku z którą wypada niewątpliwie przypomnieć dylemat wzmiankowany przez Stürmera, o historii – twórczyni sensu, Hillgruber bez wahania posługuje się mimo wszystko wiedzą historyka, zrodzonego po opisywanych wydarzeniach. Z tej wiedzy czerpie argumenty na rzecz tezy wyłożonej w przedmowie, z której wynika, że usunięcie Niemców z terenów wschodnich nie powinno być rozumiane jako „odpowiedź” na zbrodnie popełniane w obozach koncentracyjnych. Charakteryzując cele wojenne aliantów pokazuje, że „w wypadku klęski niemieckiej w żadnym momencie wojny nie było szansy, by uratować względnie dużą część prowincji prusko-niemieckich na Wschodzie”. Równocześnie tłumaczy brak zainteresowania mocarstw zachodnich losem tych ziem „stereotypowym postrzeganiem Prus”. Nie przychodzi mu nawet do głowy myśl, że struktura władzy w Rzeszy mogła mieć związek ze strukturą społeczną zachowaną w Prusach. Nie czyni żadnego użytku z wiedzy, jakiej dostarczyły nauki społeczne.

Jednym słowem, zdaniem Hillgrubera, mocarstwa zachodnie były zaślepione ich celem wojennym – rozbiciem Prus – który opierał się na iluzji. Zbyt późno pojęły, że wraz z posuwaniem się Rosjan „cała Europa przegrała w katastrofie 1945 r.”. Jego dramatyczny opis kończy się taką oto interpretacją 8 maja 1945 roku wyrażającą jego własne pragnienie: czterdzieści lat później problem „odbudowy zrujnowanego centrum Europy pozostaje tak samo otwarty jak wtedy, gdy współcześni, jedni jako aktorzy, inni jako ofiary, byli świadkami katastrofy niemieckiego Wschodu”. Morał historii jest oczywisty: dziś przynajmniej jesteśmy we właściwym przymierzu.

W drugiej części tekstu Hillgruber rozwija na dwudziestu dwóch stronach inny aspekt wydarzeń, który do tej pory zatajał starannie dbając, by nie zakłócił heroicznego i „tragicznego” opisu. Podtytuł sygnalizuje już zmianę perspektywy. Zamiast „zburzenia” (cesarstwa niemieckiego), opisywanego z werwą retoryczną godną budujących broszurek z czasów wojny (jak gdyby „burzono” jedynie front wschodni), pojawia się mało sugestywne słowo „koniec” („życia europejskiego”). Termin

„zburzenie” zakłada, że był napastliwy przeciwnik, „koniec” – dzieje się poniekąd sam przez się. Z jednej strony, nieprzemysłany i nieodkurzony żargon z czasów młodości, z drugiej – lodowaty język biurokracji. Historyk zmienia nie tylko perspektywę swych rozważań. Chce teraz dowieść, że „mordowanie Żydów było wyłącznie następstwem skrajnej doktryny rasistowskiej”.

Stürmer zastanawiał się nad pytaniem, „w jakiej mierze wojna była wojną Hitlera, a w jakiej sprawą Niemców?” Hillgruber stawia pytanie analogiczne w sprawie zagłady Żydów. Oddaje się hipotetycznym rozmyśleniom nad tym, jak wyglądałoby życie Żydów, gdyby w 1933 r. zamiast nazistów doszli do władzy konserwatywni nacjonałiści i ludzie Stahlhelma. Ustawy norymberskie też zostałyby ogłoszone, podobnie jak inne zarządzenia, które aż do 1938 r. narzucały Żydom „odrębną świadomość”, ponieważ „były one zgodne z odczuciami większości społeczeństwa”.

Jeśli chodzi o „ostateczne rozwiązanie”, wprowadzone w czyn po 1941 r., to rzekomo sam tylko Hitler rozważał je od początku. Chciał unicestwienia biologicznego wszystkich Żydów, „ponieważ tylko poprzez rewolucję rasistowską tego rodzaju mogło utrwalić się miejsce mocarstwa światowego, jakiego poszukiwał dla Rzeszy”.

Skoro już się wskazało na Hitlera jako na jedyne winnego decyzji (o „ostatecznym rozwiązaniu”), trzeba jeszcze tylko wyjaśnić kwestię – dotyczącą faktu przerażającego, i Hillgruber temu nie przeczy – że masy ludności były świadkami tego, co się działo, i przy tym nawet nie drgnęły.

To prawda, że cel tego nowego, podjętego z takim trudem, odczytania wypadków mógłby zostać wystawiony na próbę ognia, gdyby problem zagłady Żydów został poddany osądowi moralnemu. W tym właśnie miejscu historyk, który do tej pory operował metodą narracyjną, i który traktował lekceważąco próby wyjaśnień proponowane przez nauki społeczne, sięga po komunały antropologiczne. Jego zdaniem, „zgoda na potworności, które się dokonywały, i których na początku zaledwie niejasno się domyślano, sytuuje się w wyniarze, który wykracza poza historyczną konkretność wydarzenia”.

Krótko mówiąc: fakt, że społeczeństwo cywilizowane pozwoliło na dokonanie się rzeczy potwornych, jest dla Hillgrubera zjawiskiem, które releguje on z pola kompetencji zawodowych historyka, i z którego analizy sam się zwalnia, przyjmując postawę niezaangażowania pod pretekstem, że chodzi o sprawy mieszczące się na płaszczyźnie ogólnoludzkiej.

III

W artykule opublikowanym w *Historische Zeitschrift* (t. 242, 1986, str. 465) Klaus Hildebrand, historyk z Bonn, poleca studium Ernsta Nolte jako „wskazujące drogę”, zasługą jego jest bowiem odarcie historii III Rzeszy z jej cech „rzekomej wyjątkowości” i wpisanie, metodą historyzującą, „umiejętności unicestwiania charakterystycznych dla wizji świata i reżymu” w ogólne ramy rozwoju totalitaryzmu. Nolte, którego książka *Der Faschismus in seiner Epoche* spotkała się z szerokim uznaniem, reprezentuje istotnie całkiem inny poziom niż publikacje Hillgrubera.

W swym studium „Między mitem i rewizjonizmem” uzasadnia on konieczność rewizji historii faktem, że dzieje III Rzeszy zostały, jak twierdzi, napisane w głównej mierze przez zwycięzców i przekształcone przez nich w „mit negatywny”. Nawet teoria totalitaryzmu z lat pięćdziesiątych nie wprowadziła, jego zdaniem, zmian do tej perspektywy; jedyną jej konsekwencją było włączenie do obrazu negatywnego również Związku Radzieckiego. Tak więc obraz, który funkcjonuje na zasadzie negacji cech demokratycznego państwa konstytucyjnego, nie wystarcza Noltemu; interesuje go dialektyka wzajemnego grożenia sobie zagładą. Twierdzi, że Hitler na długo przed Oświęcimiem mógł mieć powody, by utwierdzić się w przekonaniu, że przeciwnik zamierza go zniszczyć. Na dowód przytacza Nolte „wypowiedzenie wojny”, które padło jakoby z ust Chaima Weizmanna, reprezentującego Światowy Kongres Żydowski, we wrześniu 1939 r., i dawało prawo Hitlerowi do traktowania Żydów niemieckich jako jeńców wojennych*.

* Patrz E. Nolte „Between Myth and Revisionism: The Third Reich in the Perspective of the 1980s”, in H.W. Koch (ed.) *Aspects of the Third Reich*, Macmillan 1985.

Nolte nie jest konserwatywnym i przezornym gawędziarzem, zmagającym się z „problemem tożsamości”. Rozwiązuje dylemat Stürmera między ustanawianiem sensu a nauką przy pomocy energicznej decyzji: obiera jako punkt odniesienia dla swego wywodu terror reżymu Pol-Pota w Kambodży. Po czym rekonstruuje prehistorię, która poprzez Gulag, stalinowskie „rozkułaczanie” i rewolucję bolszewicką sięga aż do Babeufa, pierwszych socjalistów i angielskich zwolenników reformy agrarnej z początku XIX w. i ukazuje się jako linia ciągła buntów przeciwko kulturowej modernizacji społecznej, zrodzonych z pełnej złudzeń nostalgii za odbudową świata monolitycznego (dającego się objąć jednym spojrzeniem) i samowystarczalnego. W tym kontekście terroru, zagłada Żydów okazuje się być raptem godnym pożałowania skutkiem reakcji – ostatecznie zrozumiałej – na to, co Hitler musiał odczuwać jako zagrożenie dla bytu swojego narodu. „Tak zwana zagłada Żydów w czasach III Rzeszy była albo reakcją, albo jakimś zniekształconym naśladownictwem, lecz nie była procesem, który przebiegał po raz pierwszy, bądź miał charakter aktu pierwotnego”.

Następnie Nolte staje się rzecznikiem przyjmowania ze zrozumieniem dążeń antymodernistycznych, które przeciwstawiają się „bezw warunkowej afirmacji transcendencji praktycznej”. Rozumie on przez to „jedność – rzekomo ustanowioną ontologicznie – światowej gospodarki, techniki, wiedzy i uwłasnowolnienia” *. Całe to rozumowanie pasuje wyśmienicie do dominującego obecnie nastawienia umysłowego – i do charakterystycznego dlań obrazu świata.

Bardziej irytujące jest „zniesienie różnic”, które czyni „z Marksa i Murrasa, Engelsa i Hitlera, mimo tego, że kontrasty między nimi są szeroko podkreślane, postaci spowinowacone”. Tylko wówczas, gdy postawi się marksizm i faszyzm na tej samej płaszczyźnie jako próby sformułowania odpowiedzi „na zatrważające realia współczesności”, będzie można odróżnić prawdziwe intencje narodowego socjalizmu od jego ponurej praxis.

* Nolte już w swej znanej książce z 1963 roku przedstawił nazizm (i inne odmiany europejskiego faszyzmu) jako bunt przeciwko nowoczesności i charakterystyczne dla niej dążenie do „transcendencji praktycznej”. (przyp. red.)

„Zbrodnia”, „monstrualny mord”, nie mieściły się w zasadniczym planie idei, lecz wynikły z przypisania winy pewnej grupie ludzi, którzy „byli sami tak porażeni przez – dotyczące również ich samych – procesy emancypacji, rozkręcone przez społeczeństwo liberalne, że za pośrednictwem swych wybitnych przedstawicieli ogłosili, iż znaleźli się w śmiertelnym zagrożeniu”.

Można by zapewne machnąć ręką na ten dziwaczny podtekst filozoficzny myśliciela dużej miary, choć ekscentrycznego, gdyby neokonserwatywni badacze historii najnowszej nie uznali, że ich misją jest rozpowszechnianie tej właśnie wersji rewizjonizmu.

Potrafię sobie to wytłumaczyć jedynie faktem, że Nolte nie tylko zręcznie i wytworniej od innych omija dylemat między „ustanawianiem sensu” a nauką, lecz że przy tym ma w zanadru rozwiązanie innego dylematu. Stürmer przedstawia ten dylemat następująco: „W obecnej rzeczywistości podzielonych Niemiec, Niemcy powinni odnaleźć swą tożsamość, która nie może opierać się na państwie narodowym, ale też nie obejdzie się bez pojęcia narodu”. Planiści ideologiczni chcą stworzyć rodzaj *consensusu* drogą ożywienia świadomości narodowej, ale równocześnie muszą wyeliminować z pola, na którym rozciąga się NATO, wyobrażenia wroga uformowane w perspektywie państwa narodowego. Dla takiej manipulacji teoria Noltego jest nadzwyczaj użyteczna. Nolte ustrzelił dwa wróble za jednym zamachem: zbrodnie nazistowskie przestają być czymś wyjątkowym, skoro można je przynajmniej uczynić zrozumiałymi w tym sensie, że stanowiły replikę na zagrożenie bolszewickie, trwające po dziś dzień. Równocześnie Oświęcim zostaje sprowadzony do poziomu zwykłej innowacji technicznej i tłumaczy się lękiem przed „Azją”, wciąż niebezpiecznym i stojącym u naszych wrót.

IV

Któż chciałby przeciwstawiać się poważnym wysiłkom w celu wzmocnienia świadomości historycznej mieszkańców Republiki Federalnej? Istnieją jednak powody, by z dystansu, z historycznej perspektywy spoglądać na przyszłość, która nie chce przeminąć... Złożone powiązania między zbrodniczością i normalno-

ścią życia codziennego w okresie nazizmu, między mordowaniem i niezwykłą zdolnością spełniania najcięższych obowiązków, między perspektywą niszycielską, gdy spojrzeć na system w całości, i zamazanym, dwuznacznym widzeniem rzeczy z bliska, ten skomplikowany obraz mógłby z powodzeniem znieść zabieg przedstawienia go w duchu zdrowego obiektywizmu. Małostkowe i inspirowane belferskimi intencjami anektowanie prostacko umoralniającej przeszłości ojców i dziadków, mogłoby wówczas ustąpić miejsca próbie zrozumienia podejmowanej z pewnego dystansu. Ostrożne rozróżnienie między rozumieniem a potępieniem szokującej przeszłości mogłoby przyczynić się do wyleczenia z hipnotycznego paraliżu. Jednakże ten rodzaj historycyzmu, w odróżnieniu od rewizjonizmu uprawianego przez Hillgrubera czy Noltego i firmowanego przez Hildebranda i Stürmera, nie kierowałby się w żadnym wypadku pragnieniem zrzucenia z siebie hipoteki przeszłości, szczęśliwie nie poddawanej już ocenie moralnej. Nie chciałbym przypisywać nikomu złych intencji, ale istnieje bardzo proste kryterium pozwalające rozróżnić dwa podejścia: jedni wychodzą z założenia, że próba zrozumienia dystansująca się wobec wydarzeń wyzwala siłę wspomnienia refleksyjnego, poszerzając tym samym obszar, na którym każdy sam może zmierzyć się z dwuznacnością tradycji; inni chcieliby oddać historię rewizjonistyczną na usługi narodowo-historycznego umacniania tożsamości konserwatywnej.

Być może to sformułowanie nie jest jeszcze wystarczająco jednoznaczne. Ten, kto obiera sobie za cel reanimowanie pewnej tożsamości, która kiedyś uformowała się niczym fenomen natury, zakorzeniając się w świadomości narodowej, ten, kto kieruje się pragmatycznym dążeniem mającym na celu wytworzenie consensusu narodowego i integracji społecznej przy pomocy ustanawiania sensu, ten lękać się musi rozjaśniającego przeszłość wysiłku historiografii i odrzucać całą różnorodność możliwych interpretacji historycznych.

Świadomość historyczna jako namiastka religii – czy nie żąda się mimo wszystko za wiele od historiografii, każąc jej ucieleśniać to dawne marzenie historycyzmu? To prawda: historycy niemieccy mogą być dumni ze swej korporacji, jeśli chodzi o jej długą tradycję jako podpory państwa... Jeszcze w końcu lat pięć-

dziesiątych naszego stulecia utrzymywał się sposób myślenia, który ukształtował się po upadku rewolucji 1848-1849, i po porażce poniesionej przez historiografię liberalną. Większość historyków rozumowała odtąd i argumentowała w duchu narodo-wo-imperialnym i w kategoriach polityki siły, dając dowody świadomego poparcia dla państwa. Fakt, że po 1945 roku, wraz z pojawieniem się nowego pokolenia historyków, nie tylko silnie doszedł do głosu inny sposób myślenia, ale także przetań sobie drogę pluralizm interpretacji i metodologii, oznaczał klęskę tradycyjnej historiografii. Dawny sposób myślenia reprezentujący na płaszczyźnie *discypliny naukowej* świadomość historyczną musiał zniknąć wraz z upadkiem nazizmu: czy to z racji bezradności korporacji wobec reżymu nazistowskiego, czy też dlatego, że z nim współdziała. Konieczność refleksji, którą narzuciła historia, nie tylko zburzyła przesłanki ideologiczne historiografii niemieckiej; wyostrzyła się również dzięki niej świadomość uzależnienia historiografii od jej kontekstu.

Świadczy to jednak o wadliwej interpretacji nowego myślenia hermeneutycznego, gdy dzisiejsi rewizjonści, wychodząc z założenia, że rozjaśnią teraźniejszość przy pomocy światła dowolnie rekonstruowanej przez nich prehistorii, myślą, że mogą wybrać taki obraz dziejów, który by najlepiej służył ich celom. Przeciwnie, wyostrzona świadomość metodologiczna oznacza, nie ma już miejsca dla zamkniętych interpretacji historii, jakie narzucili historycy rządowi. Pluralizm poglądów na historię, nieuchronny, nie chaotyczny bynajmniej a właśnie świadomy, jest po prostu odzwierciedleniem struktury społeczeństw otwartych. To dzięki pluralizmowi jasno ukazują się w swej ambiwalencji tradycje kształtujące tożsamość.

To, na co skarżymy się dziś, mówiąc o „utracie historii”, nie wiąże się wyłącznie z tym, co wypychamy ze świadomości, ani też z hipnotycznym zafascynowaniem obciążoną bardzo przeszłością. Jeśli symbole narodowe mają dzisiaj mniejszą siłę oddziaływania na ludzi młodych, jeśli prostoduszne identyfikowanie się z rodzimą tradycją ustępuje miejsca dociekaniu historycznemu „ze znakami zapytania”, jeśli brak historycznej ciągłości jest silniej odczuwany, jeśli zarazem wcale się nie chce „ciągłości” celebrować, jeśli duma narodowa i zbiorowa ocena naszej

własnej wartości są przepuszczane przez filtr wartości uniwersalnych, są to wszystko oznaki tworzenia się post-konwencjonalnego poczucia tożsamości. U Allensbacha * te oznaki witane są jękałmi Kasandry. Jeśli wierzyć tym jękałom, mówią one jedno: że całkiem straciliśmy szansę, która mogła również stanowić dla nas katastrofę moralną.

Pełne otwarcie się Republiki Federalnej na kulturę polityczną Zachodu należy do wielkich osiągnięć intelektualnych czasów powojennych. Jest sukcesem, którym moje pokolenie szczególnie winno się szczycić. Nie utrwali go filozofia NATO, ubarwiona kolorami niemieckiego nacjonalizmu. Otwarcie się, o którym mowa, dokonało się istotnie dzięki zwycięstwu odniesionemu nad ideologią Środka (Mitte) **, odgrzewaną przez naszych rewizjonistów przy akompaniamencie tam-tamów geopolityki, grzmiących o „pradawnym centralnym usytuowaniu Niemców w Europie” (Stürmer) i o „odbudowie zrujnowanego europejskiego środka” (Hillgruber). Jedyne rodzaje patriotyzmu, który nie oddala nas od Zachodu, to patriotyzm Konstytucji. Niestety, zakorzenione w przekonaniach przywiązanie do uniwersalistycznych zasad konstytucyjnych mogło rozwinąć się w narodzie niemieckim dopiero po Oświeceniach i z powodu Oświeceniach. Ci, którzy czczymi formułkami, takimi jak „obsesja winy” (Stürmer i Oppenheimer ***) chcą zmazać płomień wstydu z naszego oblicza, ci, którzy zachęcają Niemców do przyjęcia konwencjonalnej formy tożsamości narodowej, niszczą jedyną mocną podstawę naszego powiązania z Zachodem.

Jürgen Habermas

Przełożyła J. M.

* Jeden z największych Instytutów badania opinii publicznej w RFN. (przyp. red.)

** Niemieckie słowo „Mitte” przypomina koncepcję „Mitteleuropę” jako strefy niemieckiej dominacji. (przyp. red.)

*** Aluzja do artykułu Franza Oppenheimera, opublikowanego we *Frankfurter Allgemeine Zeitung* 14 maja 1986 r. i zatytułowanego „Uroki zbiorowej obsesji winy”. (przyp. red.)

Joachim Fest

WSPOMNIENIE, KTÓRE NALEŻY ZACHOWAĆ *

Od końca lat sześćdziesiątych przyjął się zwyczaj oskarżania o ukryte sympatyzowanie z faszyzmem każdego, kto postrzegał historię w sposób niezgodny z dominującym prądem myśli. Nie stwierdzenia naukowe, nie wyniki ciągle jeszcze prowadzonych badań – cząstkowych i prowizorycznych – decydowały o ocenie; liczyły się jedynie motywacje przypisywane temu, kto proponował inne podejście.

Ten godny pożałowania sposób postępowania odżył niedawno w nowej postaci. Jürgen Habermas w artykule umieszczonym w *Die Zeit* ** i przedstawiającym cały wachlarz rozmaitych nowych publikacji historycznych jako wyraz tendencji neokonserwatywnych, imputuje wielu znanym historykom Republiki Federalnej działanie na rzecz interesów NATO. Najpoważniej w świecie dopatruje się w ich pracach wyrafinowanej strategii, która pod pretekstem odradzania niemieckiej świadomości narodowej dążyłaby do ujawniania nowego wcielenia Wroga – na Wschodzie Europy. Główny dowód rzeczowy oskarżenia to artykuł opublikowany we *Frankfurter Allgemeine Zeitung* przez

* *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, 29.08.1986.

** Drukujemy go w niniejszym numerze. (przyp. red.)

Ernsta Noltego *. Nolte neguje jakoby, zdaniem Habermasa, swoistą wyjątkowość zbrodni nazistowskich... „sprowadzając Oświęcim do innowacji technologicznej”.

Tymczasem Nolte nie neguje wcale specyficznego charakteru eksterminacyjnych akcji nazistów. Stwierdza wyraźnie, że wbrew analogiom, różnią się one jakościowo od „eksterminacji na tle społecznym”, uprawianej przez bolszewizm, ale podkreśla, że nie wolno dostrzegać tylko jednego z masowych mordów, pomijając drugi, w sytuacji, gdy istnieje prawdopodobieństwo związku przyczynowego między dwiema zbrodniami. Aż dziw, jak ta myśl kluczowa, wokół której koncentruje się cała argumentacja Noltego, mogła być do tego stopnia zignorowana przez Habermasa.

Nie chodzi, w tym miejscu, o odpowiedź na próbę, którą podjął Jürgen Habermas, unicestwienia kogoś (Noltego) na płaszczyźnie naukowej, a może nawet osobistej, ale o określenie wymiaru konfrontacji, której jesteśmy świadkami, bo uwidacznia ona całą złożoność problematyki, jaką zostawiła nam w spadku epoka hitlerowska.

Chodzi przede wszystkim o twierdzenie dotyczące wyjątkowości zbrodni nazistowskich. W pierwszym rzędzie bezprecedensowa monstrualność „ostatecznego rozwiązania” (Endlösung) wynikać miałyby z faktu, że wykonawcy zadania nie tyle starali się dowieść winy lub niewinności ofiar, co ich przynależności do tej lub innej rasy: tę przynależność uznawano za wyłączną przesłankę, decydującą o skazaniu na śmierć lub o prawie do życia. Lecz przecież, w końcu 1918 r., jeden z głównych szefów Czecha, Łotysz Martyn Latsis, oświadczył w przemówieniu do komisarzy politycznych, że dla rewolucji bolszewickiej kwestia winy podejrzanych nie stanowi żadnego kryterium. Kara lub wręcz śmierć należą się za samą przynależność klasową: „Likwidujemy obecnie burżuazję jako klasę. Nie musimy dowodzić, że ten czy ów działał na szkodę władzy radzieckiej. Pierwsze pytania, jakie macie kierować do zatrzymanego, to z jakiej klasy społecznej się wywodzi, jakie miał wychowanie, jaki ma zawód. Te pytania powinny zdecydować o losie obwinionego. W tym leży cała istota

* Drukujemy, to w niniejszym numerze. (przyp. red.)

czerwonego terroru". Gdy się czyta Aleksandra Solżenycyna, można stwierdzić, że zalecenia te były dokładnie przestrzegane, to znaczy oczywiście na tyle, na ile trzeba było dostarczyć jakichkolwiek dowodów, tak by nie rozstrzeliwać ludzi po prostu „podług listy”. Wbrew słynnemu powiedzeniu, przynależność klasowa nie była sprawą wyboru. Do danej klasy, przynajmniej w owych czasach, należało się z racji urodzenia, i od tego nie było żadnego odwołania.

Skoro tak, czy nie można wysunąć twierdzenia, że ten sam sposób myślenia leżał u źródeł „wyroków skazujących”, wydanych i następnie wykonanych przez „Reichsicherheitshauptamt” *? Z tą jedną różnicą, że chodziło tu o skazanie na śmierć istoty ludzkiej nie na podstawie kryterium społecznego, lecz biologicznego. Ale w obydwu wypadkach nie mogło być mowy o możliwości wybronięcia się. Dowody niewinności nie istniały, bo nie chodziło o winę czy niewinność, lecz o przynależność: tam, klasową, tu, rasową.

Gdy opisuje się wyjątkowy charakter Oświęcimia i tego, czego ta nazwa jest symbolem, wysuwa się ponadto na pierwszy plan administracyjno-mechaniczny charakter masowego mordu, którego ofiary liczyły się w milionach. Ten rzeczywiście przerażający obraz biurokratycznego wykonawcy, który, obojętny na cierpienia ludzkie i z dala od nich, ślęczy nad kartotekami, pilnie wywiązuje się ze swych złowrogich funkcji unlcestwiania istnień ludzkich, był w znacznym stopniu przyczyną szoku, którego ślady nosimy w sobie do dziś. Pojęcie urzędnika-mordercy wyraziście ilustruje uczucie przerażenia, jakie ogarnia sumienie ludzkie wobec rzeczy niepojmowalnych. Sumienie, które nie potrafi przyjąć, iż rozpaczy, trwodzi i walce ofiar ze śmiertelnością, odpowiadało tak straszliwie zimno i pedanteria z drugiej strony. Ale czy naprawdę może ktoś przypuszczać, że dzieło zniszczenia, za które odpowiedzialny jest Stalin, nie było przeprowadzone w sposób równie administracyjny? Czy można rzeczywiście utrzymywać, że masowe egzekucje, kulą w głowę – tradycyjna metoda lat Czerwonego Terroru – są jakościowo różne od ma-

* Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy, kierowany przez Himmlera. (przyp. red.)

sowego mordu popełnionego na Żydach? Czy podobieństwa nie uderzają bardziej niż różnice?

Trzeci argument wreszcie, na którym opiera się teza o wyjątkowości zbrodni nazistowskich, odwołuje się do faktu nawrotu do barbarzyństwa narodu o starej kulturze, co budzi szczególnie przerażenie. To prawda, powstała przepaść tak wielka, że trudno jest, czy wręcz niemożliwe, przerzucić nad nią most. Ten niepokój, acz niewypowiedziany, towarzyszy nieustannie tym, którzy raz po raz stawiają pytanie: jak to było możliwe? Szok, jakiego tyłu ludzi doznało wobec tego, co się wówczas zdarzyło, jest związany z faktem, że to właśnie Niemcy obmyślili, przygotowali i wykonali masowy mord na narodzie żydowskim, i że odbyło się to w kontekście symbiozy judeogermańskiej, trwającej od paru setek lat i uchodzącej za jedno z wielkich osiągnięć kulturowych naszej historii. Szok spowodowany właśnie uświadomieniem sobie tego może wywołać bardzo osobiste uczucie wstydu za swój własny naród, co w rezultacie podważa dobre mniemanie o nim. Ale czy naprawdę tak powinniśmy przedstawiać się światu, skoro to samo wciąż na nowo się w nim dzieje? Ta argumentacja, rozumiana dosłownie, podtrzymuje dawne, narodowo-socjalistyczne rozróżnienie między narodami wyższymi i innymi, bardziej prymitywnymi, którym ponoć obcy byłby nawet zakaz zabijania. Gdyby przyjrzeć się bliżej temu rozumowaniu, okazałoby się, że jest w nim również pycha, to znaczy dawne przekonanie, że są narody panów, nawet jeśli to przeświadczenie przejawia się obecnie w formie aktu pokory.

Tezę o wyjątkowym charakterze zbrodni nazistowskich można również poddać w wątpliwość stwierdzając, że Hitler nigdy nie zaprzestał zalecania praktyk swego rewolucyjnego przeciwnika z lewicy jako przykładu do naśladowania. Nie ograniczył się jednak do zwykłego ich kopiowania. Zdecydowany zawsze okazał się bardziej bezlitosnym niż jego najgorszy wróg, również w tym wypadku potrafił pójść dużo dalej. Nie trzeba koniecznie sądzić, że Hitler – w swym pragnieniu niszczenia – był przede wszystkim pod wpływem zbrodni rewolucji rosyjskiej; u źródeł jego pragnień leżą raczej dawniejsze lęki i urojenia tego austriackiego Niemca, ogarniętego obsesją zagrożenia obcą dominacją.

W odpowiedzi na przypuszczenie Noltego, że wypadki, jakie zaszły w Rosji, mogły służyć za rodzaj katalizatora, w sensie logicznym i rzeczowym, dla stworzenia Oświeceni, podkreśla się często różnicę, zasadniczą i trudno wymierzalną, między dwiema ideologiami. Komunizm, mówi się, nawet w formie sowieckiej, odsyła, jeśli pamięta się o jego źródłach, do pewnego zespołu idei humanistycznych. Ani cierpienia, których jest wien, ani przeogromna liczba ofiar nie mogą wymazać z pamięci tych początków. Tymczasem narodowy socjalizm wywodzi się ze zlepką poglądów nacjonalistyczno-rasistowskich, rozpowszechnianych przez sekciarzy z przełomu stulecia za pośrednictwem ulotek i brukowych gazet.

Przypomnienie tych początków ideologicznych nie jest bez znaczenia. I gdy słowo „eksterminacja” pojawia się w gwałtownych deklaracjach wojennych jednej i drugiej strony, nie można lekceważyć faktu, że radykałowie z lewicy, używając tego terminu, myślą najczęściej o likwidowaniu historycznym i społecznym przeciwnika, a nie o niszczeniu go w sensie fizycznym. Lecz wymogi parareligijne, którymi kierowała się propaganda radykalnej lewicy, oraz manichejska sztywność, z jaką dzieliła świat na Dobro i Zło, a ludzi na Sprawiedliwych i Potępionych, nieuchronnie zacierały tę granicę, która miała gwarantować wrogowi klasowemu prawo do życia.

Ponadto, gdy zważy się, że wspomnienie wojen religijnych, jak również fanatyzmu, który je rozpętał, było jeszcze silnie obecne w świadomości, nie mogło być pewności, że te postulaty walki z wrogiem nie zostaną potraktowane dosłownie. „Zniszczenie społeczne” przeciwnika potraktowane dosłownie mogło przekształcić się łatwo w zniszczenie biologiczne. Istota deklaracji ideologicznych polega na istniejącym w nich automatycznym powiązaniu między słowem i następującymi po nim czynami: ten automatyzm odbiera myśli jej niewinność, a zarazem szuka on w tej niewinności usprawiedliwienia dla siebie.

Więc cóż to za różnica, w wypadku morderców, czy czują się usprawiedliwieni przez ideologię humanitarną, choć wypaczoną, czy też przez koncepcję świata, przegniłą od samego początku? Czyż nie sprowadza się ona aby do tego, że jedni mogli, w osta-

teczności, wykonywać swe zbrodnicze zadania ze spokojnym sumieniem, a drudzy z sumieniem nieco mniej spokojnym?

Czy kiedykolwiek pomyślano, dlaczego relacja Solżenicyna nie wywołała szczególnego poruszenia wśród intelektualistów niemieckich, w przeciwieństwie do tego, co działo się we Francji czy we Włoszech? Naraziła ona jedynie autora na nieufność ideologiczną. Ci, którzy aprowadzają to zjawisko do skrupowania synów lub wnuków dawnych katów, którym nie wypada mówić o sznurze w domu powieszzonego, niewątpliwie się mylą. Nie było przecież tej powściągliwości, gdy chodziło o rzezie francuskie w Algierii, jatki w Wietnamie, w Chile czy w Argentynie, i to nie bez powodu. Wolno przypuszczać, że intencje polityczne wyznaczają szlaki na których można manifestować oburzenie moralne. Wówczas, z brakiem wrażliwości przywołującej najgorsze wspomnienia, można w profesorskich gabinetach selekcjonować ofiary.

Gdy wątpi się w słuszność tezy, jakoby masowe zbrodnie nazistowskie miały charakter jedyny i wyjątkowy, trzeba być przygotowanym na argument, że wypominanie innym podobnych zbrodni zmierza do pomniejszenia wagi zarzutów, którym powinno się samemu stawić czoła... a więc, czy nie chodzi aby o to, by przypominając wszystkie zbrodnie historii, zmyć z siebie piętno winy? Ludobójstwo mogłoby być sprowadzone w ten sposób do swoistej normalności historycznej, do ustanowienia której przyczyniły się porcją zbrodniczości najróżniejsze narody i do której na koniec, raczej późno, przyczynili się też Niemcy.

Takie nadużycie jest niewątpliwie możliwe, lecz żadnej myśli nie można uchronić w pełni przed fałszywym interpretowaniem jej, w tym czy w innym kierunku... Faktami nie można jednak dowolnie obracać. Dla Habermasa „brzydłko trąci” przypomnienie przez Noltego zjadłego antysemityzmu polskiej ofiary Hitlera, tak jakby fakt ten był sprawą węchu czy podniebienia. Być może to starcie się dwóch postaw wiąże się z tym, że historyk, w przeciwieństwie do przeważającej często u socjologów swobody, jest więzieniem pewnego zespołu danych sprawdzalnych; jest to nawet dla niego wręcz podstawa, na której chce się oprzeć.

W związku z debatą na temat szczególnego charakteru zbrodni nazistowskich wypada dodać, że poczucie winy nie może być

przedmiotem kompensacji: żadna zbrodnia popełniona przez kogoś innego nie pomniejsza mojej własnej zbrodni, żaden kłamca nie zdejmie z siebie piętna przypominając, że przecież nie on jeden grzeszy.

Cały hałas i oskarżycielsko krzyki na proscenium są być może mniej ważne niż easkiem innego rodzaju antagonizmy, dominujące w tym sporze. Jürgen Habermas jest głęboko zaangażowany w walkę z widmami wczorajszymi, a nawet przedwczorajszymi; tym samym postrzega granicę, dzielącą go od jego przeciwników, jako granicę między konserwatystami a postępowcami, nacjonalistami niemieckimi a liberałami. Dopatruje się on strategii relatywizacji moralnej, które miałyby służyć skonstruowaniu obrazu historii wolnej od winy, przyczyniając się tym samym, na swój sposób, do owej charakterystycznej „zmiany”, i wykrywa wszędzie aktywnych jej sprzymierzeńców, takich jak Nolte i Hildebrand, Strümler i Hillgruber, traktując ich wszystkich jednakowo. Dochodzi w ten sposób do prymitywnej teorii „spisku”, która, jak zawsze, jest niczym innym jak wyrazem niezrozumienia sytuacji.

Można, postępując inaczej, zastanowić się, czy nie należałoby posłużyć się innym rozróżnieniem. Z jednej strony, pesymistyczna wizja świata, która nie pozwala dostrzec w historii nic innego poza ciągiem zbrodni; dzięki możliwościom technicznym zbrodniczość ta objawia się obecnie z niespotykaną w dziejach beznamietnością i pociąga równocześnie za sobą dużo większą liczbę ofiar. W takiej optyce Oświećcim istotnie zostaje sprowadzony do rozmiarów innowacji technologicznej. Przeciwwagę dla wizji pesymistów stanowiłby punkt widzenia tych, którzy, mimo katastrof moralnych tego stulecia, zachowali dawną wiarę – i dbali o jej zachowanie – „w zdolność człowieka do doskonalenia się” i w możliwości wychowywania go. Dla nich zagłada Żydów jest aktem jedynej w sobie, wyjątkowej niepoczytalności, po którym znów zostanie podjęty marsz ku lepszemu. Pojawia się wówczas na horyzoncie, wprawdzie pokiereszowany nieco, ale przecież nie zapomniany, obraz Nowego Człowieka. Dla pesymistów zaś, człowiek zawsze pozostaje taki sam. Zło zawsze było niecdstępnym atrybutem kondycji ludzkiej i żadna utopia nie potrafiła okazać się od niego silniejsza. Jedni są święcie przekonani, że Hitler był jedynie straszliwym fałszywym krokiem historii, którego nie wolno puścić w niepamięć.

podczas gdy drudzy uginają się wobec oczywistego ich zdaniem faktu, że ludobójstwo przeprowadzone przez Hitlera nie było pierwsze i nie będzie ostatnie, że należy zachować pamięć o ofiarach, i o tych tu, i o tych, co tam, i że z tym wszystkim trzeba dalej żyć.

Można znaleźć argumenty na poparcie każdej z tych dwóch koncepcji, ale, zdaniem piszącego te słowa, nie jest wcale rzeczą pewną, czy decyzja o miejscu w tej walce jest naprawdę sprawą własnego wyboru... Habermas przypisuje sobie i swemu pokoleniu zasługę otwarcia się, bez jakichkolwiek ograniczeń, Republiki Federalnej na kulturę polityczną Zachodu. Przedstawia się również jako rzecznik „pluralizmu w odczytywaniu historii”. A mimo to, najwyższej miary spełnienie się intelektualne w dziełach historyczno-literackich będących owocem całego życia, świadczących zarówno o poważnym podejściu naukowym jak i o niepokoju moralnym, a przy tym, nawiasem mówiąc, głośnych w świecie, nie uchroniły Ernsta Nolte czy też Andreasa Hillgrubera przed zarzutem, że się sprzymierzili z interesami reakcjonistów i ludzi amoralnych. Oto pada wobec nich oskarżenie, że są „rewizjonistami”, tak jakby nauka i wszelka refleksja nie poddawały nieustająco wszystkiego „rewizji”, chyba że przestają być sobą.

Widać też, po raz któryś z kolei, że stróże nowej ideologii oświeceniowej chętnie wcielają się w rolę – zależnie od okoliczności i ich potrzeb – kapłanów mitów. Bo Hitler i narodowy socjalizm, mimo trwających od wielu lat prac intelektualnych nad tym tematem, nadal mieszczą się raczej w sferze mitu niż historii, a dyskusje publiczne z tym związane bliższe są raczej odprawiania egzorcyzmów niż prób dociekań poznawczych.

Nie trudno pojąć niepokój kogoś, kto lęka się, by stopniowa akademizacja tamtych wydarzeń nie doprowadziła do osłabienia wrażliwości moralnej na zbrodnie przeszłości. Ten niepokój nie jest jednak uzasadniony. Należy raczej oczekiwac, że właśnie nowe naświetlenia i nowa wiedza, bardziej zróżnicowane i obejmujące szersze obszary, sprawią, że ten temat, wyzuty ze swej istoty przez deklamacyjne przemówienia, dopełniające jedynie czczych rytuałów, stanie się znów terenem refleksji etycznej.

Joachim Fest

Przełożyła J. M.

Christian Meier

**POTEPIAĆ, ALE ROZUMIEĆ.
DYLEMATY NIEMIECKIEJ
PAMIĘCI HISTORYCZNEJ ***

Stoimy przed dwojakim problemem: pamięci historycznej i tożsamości. Historia składa się z zapomnienia i z pamięci. Pewne elementy, zepchnięte w podświadomość, by odciążyć teraźniejszość ze zbędnego balastu, zaliczam do zapomnienia, które nie jest przecież całkiem nieświadome. Ale ludzie i społeczności nie mogą bezkarnie się doń uciekać. Istnieją wprawdzie niewygodne fakty, które chce się zepchnąć w podświadomość, ale będą nas tam one bez ustanku dręczyć, molestować, gnębić i zawładać całymi połączeniami naszej osobowości. Krótko mówiąc, nie dadzą nam spokoju.

Nie należy przeceniać naszej pamięci o zbrodniach popełnionych w latach 1933-1945, ale nie należy jej też umniejszać. Nauka szkolna, choć niekompletna, nie mija bez śladu. Także w prasie, telewizji i literaturze wydarzenia tych lat zajmują niemało miejsca. Niebłahym dowodem, że nasze zbrodnie żyją i będą żyły między nami, są – choć *a contrario* – liczne gesty zaniechanne, posunięcia, z których rezygnujemy, pełna zrozumienia ostrożność (nawet ze strony ludzi oświeconych) w stosunku do

* *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, 28.06.1986.

Żydów i w ogóle do naszej przeszłości, wreszcie zaciekle, choć wiecznle nieudana próba wypchnięcia jej ze świadomości.

Świadomość narodową Niemców Zachodnich cechuje nie słaba, a przeciwnie, stosunkowo silna pamięć historyczna, nałożona na nasz obraz samych siebie i na naszą mitologię narodową. Wyraża się ona rozmaicie: w żalu, wstydzie, konsternacji, bezradności, obsesjach, buncie, próbach ucieczki i kompensacji. Zawsze jednak są one wyrazem pamięci historycznej, której nie umiemy sprostać, a która stanowi część naszej wspólnej tożsamości.

Nasza zbiorowa tożsamość zawiera wciąż jeszcze ten składnik historyczny, bez którego nie potrafilibyśmy ani powiedzieć, kim jesteśmy, ani zdefiniować, kim chcielibyśmy być. Stajemy jednak przed ośchłaniem czasu. Nie możemy oprzeć naszej tożsamości na negacji dwunastolecia, które się skończyło cztery lata przed powstaniem Republiki Federalnej Niemiec. Musimy wpisać Niemców tamtej epoki, naszych rodziców i dziadków, w ogólny ciąg naszej historii. Napawają nas przerażeniem? Może więc powinniśmy bać się również ich przodków – naszych przodków – a także nas samych, zważywszy, jak głębokie i różnorodne ślady historia żłobi w duszy narodów?

Cała trudność naszego stosunku do własnej historii wynika z siły i natężenia pamięci o tych latach. Bowiem stanowią one historyczną ziemię nieczyją, cezurę, odgradzającą nas od poprzednich epok historycznych. Stanowią też ziejącą przepaść w naszej świadomości narodowej. Wolf Jobst Siedler zwrócił w 1964 roku uwagę, że gruboskórność jest niemieckim pancerzem ochronnym. Zdumiewało go, że Niemcy ośmielali się – po Oświęcimiu – skarżyć się na niesprawiedliwość, jaka ich spotkała, a po Jaltcie i Poczdamie widzieć w RFN odrodzoną „pod szczęśliwymi auspicjami” Republikę Weimarską, tak jakby w ogóle nie mieli powodu do rozpacz. Do 1986 roku sytuacja właściwie się nie zmieniła, tyle tylko, że obecność tej ziemi nieczyjej bardziej nam ciąży, że podjęliśmy wokół niej prace, ba, sama ziemia zdaje się pracować.

Wyrósł z tego nowy zespół wybuchowych problemów, związanych w dużej mierze ze zbrodnią popełnioną na Żydach. Inne narody, choć niekiedy ciężko od nas ucierpiały, stoją za tym da-

leko w tyle. Pozostałe zagadnienia naszego stosunku do własnej historii, związane z podziałem Niemiec, są dlatego tak trudne, że właśnie w RFN lata 1933-1945 kładą się cieniem między nami a naszą historią. W przeciwnym razie rozbiór Niemiec byłby raczej wyzwaniem i skłaniał do intensywnego pielegnowania pamięci historycznej, podstawy naszej wspólnoty. Tym jednak historia u nas nie jest. Dawne pytanie wciąż jest otwarte: czy i w jakim sensie przyznajemy się do tego, cośmy uczynili w latach 1933-1945? Ścisłej mówiąc, chodzi o precyzyjne zdefiniowanie i jasną świadomość tego, co się stało oraz podmiotu, któremu czyny te należy przypisać. Czy byliśmy nim my, naród niemiecki, czy tylko nasi rodzice i dziadkowie (w międzyczasie zmarli albo stojący nad grobem), czy mieszczanństwo (a raczej drobnomieszczanństwo) niemieckie, czy „faszyzm”, czy kilku zbrodniarzy, którzy zakradli się między w całości „porządny” naród, czy wręcz tylko Hitler?

Pytanie, co się stało w tych dwunastu latach, dotyczy nie tej czy innej erupcji niesprawiedliwości i zbrodni – te się w historii co jakiś czas zdarzają – i nie uznania zbrodniczej natury narodowego socjalizmu, lecz jego wyjątkowości. Oto jakiś kraj i jakiś naród ustami swego rządu uzurpował sobie prawo do decydowania, czy jakiś inny naród – o przynależności do którego uzurpator co więcej sam decydował – ma prawo pozostać na tej ziemi, czy nie. Nawiasem mówiąc, chodziło o naród, który nigdy nie był Niemcom wrogi, wręcz przeciwnie. Chodziło o naród, który – z wyjątkiem małych grup – nawet nie bronił się, którego członkowie „jak kukły” szli na śmierć, by użyć słów jednego ze świadków. I którego zagłada została zaplanowana i zrealizowana metodami, stosowanymi normalnie wobec robactwa. Dla tego wydarzenia odpowiedników w historii. Jest to gatunkowo nowa zbrodnia przeciw normom i obyczajom ludzkości.

Uznanie unikalności zbrodni niemieckiej jest i zawsze było bardzo trudne. Wiele można na ten temat powiedzieć, fakty dają się koniec końców wyizolować i opisać, jednak od przyznania, że było to coś gatunkowo nowego ludzie się jak mogą uchylają. Chętnie uciekają się wtedy do wyliczania cierpień, których i my doznaliśmy. Jednak sam fakt, że ta bezmierna zbrodnia była możliwa (co znaczy, że jest możliwa), zmienił oblicze dziejów.

My zaś związaliśmy w ten sposób – jak w ogóle przez drugą wojnę światową – nasze ofiary i świat cały głęboko z naszą historią. Dlatego nie możemy na przykład wystawić pomnika naszym padłym na polu bitwy żołnierzom, nie myśląc zarazem z czcią, wstydem i nawet jakąś wdzięcznością o tych, których zwalczaliśmy, męczylimy i mordowaliśmy. Zaś na temat kształtu owego pomnika wypowiedają się też inne narody i nie mamy prawa odmówić im głosu.

Ponieważ jednak od końca wojny upłynęło już czterdzieści lat, do starych problemów dochodzą nowe. Przeważająca większość żyjących dziś Niemców nie brała udziału w zbrodniach narodowych socjalistów. Do tej kategorii zaliczają się z małymi wyjątkami nawet rodzice dzisiejszych osiemnastolatków, którzy już tylko dziadkom mogą zarzucać kolaborację bądź tolerowanie hitleryzmu. Co więcej, jesteśmy szanowani, żyjemy w dość ustabilizowanej demokracji i dobrobycie i staramy się w miarę sił – i chyba skutecznie – być normalnym narodem.

Czy nie należy, czy nie powinno się więc wreszcie skończyć z zarzutami i „samobiczowaniem” (jak się to chętnie nazywa) z powodu lat 1933-1945? Czy zdając sobie w pełni sprawę z tego, co się stało (tzn. na tyle, na ile w ogóle można zdać sobie sprawę z tak unikalnej zbrodni) musimy znosić, żeby nam to bezustannie przypomniano? Czy musimy pozwalać, żeby wypominały nam ją narody, które w międzyczasie same dopuściły się niejednego czynu, jakie nam zaliczono do zbrodni wojennych, nie ponosząc za to żadnej odpowiedzialności (co mówiąc, znowu usiłujemy uchylić się od przyznania, że zagłady Żydów nie da się z niczym porównać)? Czy powinniśmy zgadzać się na to, by przeszłość narzucała nam rygory, jak choćby ten, że sztuki w których padają repliki antysemitki, nie mają prawa wejść na nasze sceny? Czy mamy się wiccznie wstydzić? Czy nie mamy prawa – zwłaszcza młodzi – do dumy z naszego kraju? Z tym hasłem i fotografią Willy Brandta SPD już w 1972 stanęła do wyborów. Im dłużej zwlekamy z odpowiedzią na to pytanie, tym jest ono pilniejsze. W 1983 roku przewodniczący frakcji CDU oświadczył, że Niemcy „powinni nareszcie zrzucić z siebie cień Hitlera”. Na początku 1985 roku 54% Niemców odpowiedziało na stosowne pytanie w ankiecie, że pora już, by prasa i telewizja przestały się zajmować epoką hitleryzmu.

Wiele przemawia za takim spojrzeniem. Nie zostaniemy jednak zwinieni z odpowiedzialności. Wspomnienie zagłady Żydów będzie wyływać przy rozmaitych okazjach. Wciąż też będziemy stawać twarzą w twarz z odradzającym się w każdym pokoleniu przerażeniem młodych wobec nie dających się wprost ogarnąć umysłem zbrodni narodowego socjalizmu. To, co się wówczas stało, nie zostanie i nie ma prawa zostać zapomniane, w każdym razie nie w czasie, dostępnym wyobraźni żyjących. Musimy się zgodzić na obecność pamięci i zgrozy. Poczucie odpowiedzialności każe nam uznać tę historię za swoją. Świadomość jednak wzdraga się przed tym.

Ileż to razy próbowaliśmy uciec przed pamięcią! Najpierw broniliśmy się i zaprzeczaliśmy, kiedy zwycięzcy przypisali te straszne czyny naszemu rządowi i państwu i chcieli nas zmusić do spojrzenia im w oczy. Naturalnie, że zastrzeżenia do narodowego socjalizmu narodziły się dość prędko, ale dotyczyły nie jego zbrodni; pręcej jego błędów. A już na pewno nie dotyczyły tego, z czym utożsamiała się większość narodu: państwa, wojska, narodu, Kościoła, gospodarki, mieszczańskich norm moralnych, cnót niemieckich. Dla tego wszystkiego położono niesłychane ofiary, nie mogło się to z dnia na dzień okazać fałszywe. Ludzie, którzy nie mieli nic wspólnego z narodowym socjalizmem, którzy licznie obejmowali wtedy stanowiska polityczne, legitymowali poczucie niewinności.

Potem całe dziedzictwo przeszłości – z wyjątkiem elementów wyselekcjonowanych jako narodowo-socjalistyczne – zostało wcielone do nowej demokracji. Rozpoczął się ważny i – jak dowiódł Hermann Lübbe – konieczny proces integracji, w którym nie pytano zbyt dociekliwie, kim kto był, co robił i co myślał przed 1945 rokiem. Społeczeństwo szybko znalazło nowe poczucie jedności w antykomunizmie, ten szybko przerodził się w antytotalitaryzm, co ku naszej wielkiej uldze pozwoliło nam zrównać komunizm i hitleryzm jako dwóch równorzędnych wrogów i utwierdziło nas w przekonaniu, że zawsze szliśmy słuszną drogą (z wyjątkiem narodowego socjalizmu, czego nigdy nie omieszkało podkreślić).

Szeroka debata wokół puczu 20 lipca dowodzi, jak silna była wierność pewnym tradycjom. Wielu ludzi uważało, że genera-

lowie powinni byli dochować wierności przysiędze, mimo iż Hitler prowadził kraj do zguby. Herman Ehlers skomentował to wówczas, że zamiast o zbiorowym poczuciu winy należy w Niemczech mówić o zbiorowym poczuciu niewinności. Zbyt mały dystans dzielił nas od lat hitleryzmu, abysmy byli w stanie spojrzeć na siebie bezstronnie i dostrzec związek między zbrodnią a społeczeństwem niemieckim. Tradno wszak było jej zaprzeczyć. Płaciliśmy odszkodowania (nie bez oporów). Później cały naród uciekł w epitetki nowego dziesięcia, gorliwie uznał się za część Europy, odzegnoł się jak mógł od tożsamości niemieckiej i nawet miał się w tym względzie za wzór, ponieważ inne narody obstarowały – i dla siebie samych, i dla Niemiec – przy charakterze narodowym.

Pierwsze poważne zakłócenie daleko posuniętego procesu spychania przeszłości w podświadomość nastąpiło w 1960 roku, po „Namiętności” Hochhutha i innych podobnych publikacjach. Wkrótce po procesie Eichmanna w Jerozolimie, w Niemczech otwarto szereg dochodzeń. W latach 1964-1965 toczył się we Frankfurcie proces oświęcimskich oprawców „Muski i innych”, który żywo poruszył opinię publiczną. Po raz pierwszy chyba ludzie poczuli, że to ich dotyczy. Zaczęto się interesować hitlerowską przeszłością sędziów, profesorów, przemysłowców i innych.

Później nastąpiły ruchy studenckie 1968 roku, których niemiecki wariant niewątpliwie karmił się zgrozą wobec narodowego socjalizmu, zgrozą, którą natychmiast zinstrumentalizowano dla podania w wątpliwość moralności mieszczańskiej, niemieckiego ducha, stylu życia i ładu społecznego. W ten sposób studenci podjęli drugą ucieczkę od przeszłości, tym razem w sen o lepszej przyszłości i czystości moralnej, która potem zyskała tytuł adeptów. Okopani w bezpiecznej teraźniejszości, z wyżyn swojej nieskazitelności osądiali czyny rodziców i dziadków. Był szeregowiec musiał się tłumaczyć, że w ogóle stanął do broni.

Ogólnie należy stwierdzić, że świadomość tego, czegośmy się dopuścili między 1933 a 1945 rokiem była i jest pełna smutku, bólu i wstydu. Zarazem odpychanie tego problemu przez uogólnienia lub ucieczkę pozwoliło przynajmniej uchylić się od poczucia, że nasza zbrodnia nie da się z niczym porównać. Ci, którzy

mieli jaśniejszą świadomość zbrodni hitlerizmu, chętnie przypisywali je formacjom, do których sami nie należeli: hitlerowcom, burżuazji i innym. Teoria totalitaryzmu obchodziła szerokim łukiem unikalność zagłady Żydów i zrównywała hitlerowskie Niemcy ze stalinowskim Związkiem Radzieckim; adepti teorii faszyzmu robili to samo, stawiając hitlerowskie Niemcy w jednym szeregu z innymi faszystowskimi czy tylko kapitalistycznymi ustrojami. Godne uwagi zbanalizowanie sprawy. Tak czy inaczej, wspomnianych dwanaście lat zdaje się nie należeć do naszej historii. Ma to swoje konsekwencje, trudne do opisania, ale oczywiste.

Jest to zresztą po części zrozumiałe. Któżby chciał takiej historii? Sprawa wyjaśnia się zresztą w znacznej mierze przez paradoks, na który mało kto zwraca uwagę: spojrzenia w oczy własnej zbrodni domagano się nie od narodu złamanego, rzuconego na kolana, zgnębnego, lecz od ludzi, którzy po kilku przykrych latach odzyskali wolność i szacunek świata, a także osiągnęli wyjątkowy wprost dobrobyt. Sukces rzadko idzie w parze z poczuciem winy, więc paradoks ów utrudniał dodatkowo krytyczne spojrzenie na historię Niemiec.

Doszliliśmy jednak do momentu, w którym wyczuwa się coraz silniejszą chęć „zrzucenia z siebie cienia Hitlera”, powrotu do „normalności historycznej” – czyli ponownego okrycia młokasieniem zbrodni hitlerizmu i w ogóle rządów Hitlera.

Historia lat 1933-1945 sprawia nam ogromne kłopoty. Obecny sposób ucieczki od nich tym się różni od poprzednich, że staramy się zespolić dwunastolecie hitlerizmu z całym powojennym czterdziestolecie. Wygląda to mniej więcej tak: przeżyliśmy dwanaście strasznych lat, które nam zatruty czterdzieści następnych. Pora z tym skończyć.

Znaczy to tyle: ponieważ stał się pod niemal wszystkimi względami narodem normalnym, wynormalniejmy też, jeśli chodzi o historię. Niech historia przestanie nas straszyć. Zapomnijmy o czarnych latach, jak inni zapominają o swolch. Przypominajmy je przy niezbędnych okazjach, a poza nimi odłóżmy do archiwów. Ta potrzeba wynormalnienia jest coraz bardziej widoczna, na przykład w projektach muzeum historii niemieckiej lub pomnika poległych żołnierzy. Naród chce nawiązać naturalną więź ze swoją historią.

Odzyskanie „wspólnoty interpretacji naszej historii” (Richard von Weizsäcker) niewątpliwie przyniosłoby nam pożytek. Ja sam nazwałbym to ostrożniej bardziej świadomym i koherentnym stosunkiem do własnej historii, który pozwoliłby nam odzyskać jakieś poczucie tożsamości. Wiele za tym przemawia, między innymi fakt, że poczucie tożsamości wyznacza stosunek społeczeństw do rzeczywistości. Nie tylko dlatego, że zależą od niej na przykład pewne elementy polityki zagranicznej. Chodzi o coś znacznie szerszego: istnieją w zasadzie dwa rodzaje miar, jakie przykładamy do naszych działań – doświadczenie historyczne oraz wzory i zasady moralne. Całe życie opiera się na kompromisie między tymi kryteriami. Kompromis ten stawia nas na ogół w konflikcie z zasadami lub przekonaniami. Jest więc ważne, aby człowiek uczył się sztuki kompromisu na własnym podwórku, to znaczy wobec rodziców i dziadków, naturalnie nie w oderwaniu od powszechnej moralności, a w sposób, który pozwala się w niej odnaleźć.

Kiedy praktyka życiowa całych generacji zostaje *ex post* potępiona, jak to się dzieje w RFN od 1968 roku, surowe wymogi moralne wobec polityki zyskują przewagę, a wraz z nimi rosną rozczarowania. Różnie to można oceniać, jednak pewne elementy wskazują na to, że towarzyszy temu pewna utrata poczucia rzeczywistości, która nie obywa się bez konsekwencji politycznych.

Nie wolno nam negować ani choćby spychać w zapomnienie tego, co się stało. Świadomość z niczym nieporównywalnej zbrodni, jaką popełniliśmy w latach 1933-1945, powinna na wieki wejść do niemieckiej świadomości historycznej. Ta rana musi pozostać otwarta, chociażby dlatego, że inaczej nie zrozumiemy, dlaczego do tej zbrodni świat nie przykładają tej samej miary co do niechlubnych kart w dziejach innych narodów, które przecież kiedyś pokrywa zapomnienie, tak że zwykłe poczucie taktu każe nam nie wspominać o nich publicznie. Zresztą świadomość, że dopuściliśmy się bezprzykładnej zbrodni pozwoli nam pogodzić się – jako z uzasadnionymi – z pewnymi faktami, jak nasza klęska czy utrata ziem wschodnich (której wszak nie należy uważać za karę za Oświęcim).

Naszej historii nigdy nie będziemy mogli spojrzeć w oczy bez zahamowań. Nie istnieje wprawdzie zbiorowa wina, ale wszyscy

ponosimy odpowiedzialność za to, czego w naszym imieniu dokonano. Ponieważ tak jest, musimy przekazać naszym potomnym pamięć o zbrodniach ich przodków. Jesteśmy to winni ofiarom. Jeśli tego zaniechamy, sami stanemy się winni. A jeśli zechcemy zatrzeć jasne potępienie relatywizowaniem i rozmaitymi unikami, przekreślimy z góry wszelkie próby ustalenia nowego stosunku do naszej historii.

Jasność w tej materii jest zresztą konieczna chociażby dlatego, że zachodzi ścisła zależność między naszym stosunkiem do tego fragmentu naszej historii a stosunkiem do nas w wielu ważnych częściach świata. Jeśli my będziemy pamiętać, Innym będzie łatwiej zapomnieć. Nasze próby pogodzenia się z historią zależą w pewnej mierze od tego, czy inni nie będą nam tego zbyt łatwo utrudniać. Naturalnie świat ma prawo oczekiwać, że będziemy nosić to jarzmo. Wolno nam chyba jednak wyznać – nie porównując broń Boże nieporównywalnego – że nie jest łatwo być dziećmi morderców. Świat powinien więc mieć trochę wyrozumiałości dla naszych problemów z najnowszą historią. Na wyrozumiałość możemy jednak liczyć tylko wtedy, jeśli sami będziemy bez winy.

Weźmy też pod uwagę, że dystans czterdziestu lat zmienia perspektywę, z jakiej patrzymy na zbrodnie hitlerizmu i złagodził surowość pewnych sądów. Równocześnie wydarzenia tamtych lat wydają się coraz bardziej monstrualne i niepojęte, i coraz bardziej patrzymy na nie jako na wyraz tego, do czego człowiek w ogóle jest zdolny, aniżeli jako na konkretne wydarzenia. Z dystansu czterdziestu lat, w świecie, który ogólnie rzecz biorąc niewiele się polepszył, ale w którym przynajmniej w Europie panuje pokój, a na Zachodzie wolność i prawo, gdzie państwo nie uzurpuje sobie zbyt wiele, a obywatele rzadko cierpią nędzę, sama możliwość wojny takiej jak wtedy napawa nas przerażeniem. Już nie tylko zbrodnie, ale ich kontekst jest trudny do wyobrażenia: tajemnica, jaką były otoczone, posłuszne i gorliwe wykonywanie rozkazów, ideał zezwierżenia, gwałt i zgoda na gwałt.

Równocześnie z perspektywy demokracji odpowiedzialność każdego pojedynczego człowieka wydaje się większa. To prowadzi nas od dawnej koncepcji mniczności, która wydawała rozka-

zy i większości, która je wykonywała, do pytania o cały naród, który dopuścił do zbrodni, tolerował ją i uczestniczył w niej.

Musimy więc zrobić wszystko, co w naszej mocy, aby – na tyle, na ile to możliwe – zrozumieć postępowanie naszych rodziców i dziadków. Musimy spojrzeć na naszą przeszłość nie tylko z potępieniem, ale i ze zrozumieniem. Jeśli młodzi mają w ogóle cokolwiek pojąć z lat 1933-1945, nie wolno nam po prostu wszystkiego potępiać w czambuł. Musimy nie tylko przybliżyć się do prawdy, ale zrobić to w taki sposób, by pokolenia, których i dziadkowie będą już należeć do niewinnych, potrafiły tę prawdę udźwignąć.

Wiemy dziś – a przynajmniej możemy i powinniśmy wiedzieć – że udział w zbrodni był bardzo szeroki. Za mocodawcami i organizatorami mordy oraz oprawcami obozowymi stali policjanci, którzy spędzali ofiary oraz kolejjarze, którzy je zwozili na kaźń. Cała armia niemiecka broniła frontów, za którymi pracowały młyny śmierci. Wielu żołnierzy widziało na własne oczy egzekucje Żydów i ani się im nie przeciwstawiło, ani nie wyciągało z nich żadnych konsekwencji dla siebie. „Jeśli jest to prawda, powiedział wówczas pewien młody oficer (miał na myśli egzekucje Żydów), to nie mamy prawa wygrać tej wojny”. Walczył jednak dalej, bo uważał to za swój obowiązek wobec ojczyzny i kolegów. Ilu było takich, co przyłożyli rękę do szerokiego kontekstu zbrodni, do wielu innych nieprawości – na przykład do rozstrzeliwania jeńców wojennych – ilu przyglądało się bezczynnie? Naturalnie wisiał nad nimi potężny aparat ucisku, ale ileż gotowości, ile zwykłej ludzkiej słabości ułatwiało mu zadanie! Nauczyciele i rodzice, zwolennicy i przeciwnicy wspierali bezprawie, ba, nawet brzdące, które w 1945 roku liczyły sobie tyleż lat co dzisiejszy kanclerz, też przyłożyły swoją cegiełkę, bo śpiewanie krwawych antysemitycznych kupletów na ulicach należało do oprawy zbrodni. W tym sensie wszyscy Niemcy (a wśród nich i niemieccy Żydzi i liczni nie Niemcy) stworzyli ten reżym i bezpośrednio lub pośrednio przyłożyli rękę do jego zbrodni.

Wynika z tego pewna dwuznaczność, zarówno co do charakteru reżymu jak i działań ludzi, którzy w nim żyli. Postawa większości Niemców, którzy nie brali czynnego udziału w zbrodni,

jest fragmentem całości. Gdybyśmy ją jednak rozpatrywali w świetle zbrodni, której była częścią, nabrałaby kolorów zbyt czarnych, zbyt odległych od rzeczywistości. Mądrzej będzie analizować ją w kontekście epoki i ram, w których większość ludzi działała i myślała. Rozpatrywana indywidualnie, postawa większości Niemców nabiera zupełnie innego charakteru.

Mogli sobie wprawdzie wyobrazić, do jakich nieprawości jest zdolny reżym hitlerowski, ale z tego nie wynika jeszcze, że wiedzieli, do jak niesłychanej, bezprzykładnej zbrodni zmierza ich kraj. Choćby ich uprzedzono o zagładzie Żydów, i tak by w nią nie uwierzyli. Nie tylko dlatego, że byli na ogół ludźmi apolitycznymi, wychowanymi w posłuchu dla państwa.

Wielu dało się porwać fali zwycięstw, wielu urzekła siła reżymu, zwłaszcza na tle bezrobocia i beznadziei lat poprzednich. Ci, którzy akurat byli w odpowiednim wieku, starali się skorzystać z okazji i urządzić się w życiu. Czy można im to zarzucić? Naturalnie musieli iść na ustępstwa, dostosowywać się, na niejedno przyszykować oczy. Robili to dobrowolnie? Owszem, ale zarazem pod naciskiem powszechnego poczucia bezsilności wobec reżymu. *Ex post* nasuwa się wiele pytań. Liczne słabości, ustępstwa, zbyt duża gorliwość, niekiedy też – nie zawsze, ale dostatecznie często – zaniechanie pomocy w konkretnych przypadkach wydają się godne potępienia. Mimo to powtarzam: czy upoważnia nas to do uważania ówczesnego postępowania większości Niemców – wyjąwszy oczywiście tych, którzy dopuszczali się przestępstw i zbrodni – za odbiegające od normy? Porównajmy je z postawami obserwowanymi w innych dyktaturach, gdzie ludzie muszą w swych wyborach abstrahować od ich wymiaru politycznego i gdzie nacisk reżymu jest taki, że nigdy nie wychodzą z nich całkiem czysti. Na ogół nie wynika to z ich woli, lecz z całej sieci wymogów, wobec których stają, z początkowo drobnych ustępstw, z przyszykiwania oczu na rozmaite fakty, z niezdecydowania, które ich wciąga jak ruchome piaski, z przyzwyczajania itd. Całe życie codzienne jest w to usidlane, zacieśnia się granica między normą a łajdactwem. Niewinna uwaga może kogoś kosztować życie. Klótnia z rodzicami lub kolegami łatwo może się przerodzić w donos, wystarczy dać upust gniewowi w nieodpowiednim towarzystwie.

Ambicja, pracowitość, pycha Niemców, tak szanujących solidność i poczucie obowiązku, zostały w latach 1933-1945 wystawione na ciężką próbę, tym bardziej, że dawne normy postępowania nie nadawały się do nowej sytuacji. Trzeba było mieć niesłychanie dużo zdrowego rozsądku, opanowania, zdolności do wyrzeczeń i niezależności sądów, by wymknąć się z sieci a zarazem uniknąć groźnych konsekwencji.

Trudno zarzucać pojedynczym Niemcom, że sumiennie i karnie spełniali swój obowiązek w obliczu wojny, że byli dzielni i stawiali życie na jedną kartę. Czy mieli z uwagi na charakter reżymu opuścić kraj w potrzebie? Z tego punktu widzenia postępowali nie inaczej – i zapewne nie gorzej – niż ich przeciwnicy. Tyle, że liczba tych, którzy posyłali lub byli posyłani do spełniania czynów ewidentnie zbrodniczych, była po stronie Niemców znacznie wyższa aniżeli w innych armiach. I że reżym narodowych socjalistów – a zwłaszcza jego teoria rasy – wymagał nie tylko wielkich zbrodni, ale i licznych pomniejszych nieprawości i prześladowań, ponieważ normy moralne były zachwiane lub przynajmniej mocno zrelatywizowane. Dowodzi tego postępowanie armii niemieckiej.

Jeśli przyjrzymy się z bliska, co robili, a czego nie robili ci mimo wszystko liczni Niemcy, którzy nie przyłożyli ręki do wielkich i mniejszych zbrodni, dojdziemy do wniosku, że ich udział w ówczesnych wydarzeniach nie zasługuje na potępienie, ba, często zasługuje na szacunek (w granicach ich pola działania), ale że działali oni jakby na innym planie aniżeli sytuacja globalna i w sumie przyczynili się do niesłychanej zbrodni.

W ten sposób dochodzimy do punktu, który tak trudno pojąć i o który potykają się wszelkie próby osądu, mianowicie do faktu, że normalne postępowanie w życiu codziennym – a to z nim ludzie mają przeważnie do czynienia – było wprzęgnięte w szerszy kontekst, którego na ogół nie dostrzegali, a tym bardziej nie mogli w całości ogarnąć rozumem ani zmienić. Ustroje totalitarne mają to do siebie, że zaprzęgają w swoją służbę działania i zamiary, które niekoniecznie dla nich były przeznaczone. W takiej sytuacji kryteria, którymi mierzymy czyny i intencje poszczególnych ludzi, są całkowicie niewspółmierne do kryterów, jakie przykładamy do ogólnego biegu wydarzeń.

Wymknąć się z sidła można tylko wtedy, jeśli się stanie świadomie po przeciwnej stronie, chociażby sygnalizować w tryby zamiast dzielnie pracować (jeśli nie jest się zdolnym do sabotażu i oporu). A i wtedy trudno być pewnym, czy nlezbędne dla zamaskowania się ustępstwa na rzecz reżymu nie przyniosą mu więcej pożytku aniżeli szkody, jakie możemy mu wyrządzić. Czy można jednak wymagać od większości, by szła na takie ryzyko?

Przyzwoite, ba, wzorowe postępowanie staje się w takim ustroju własnym przeciwieństwem, jeśli spojrzymy na nie z punktu widzenia odpowiedzialności za całokształt wydarzeń, do których się przyczynia. W takiej sytuacji ludzie stają przed wysokimi, by nie powiedzieć wygórowanymi wymaganiami. Kiedy maszynista ma sobie zadać pytanie, co wlezie jego pociąg i po co? Kiedy żołnierz ma się zastanowić, jakiemu państwu służy? Kiedy jeden i drugi stają się winni tylko dlatego, że robią to, co każdy inny w każdym innym kraju gotów by zrobić? Kiedy można zarzucić dyrygentowi, że wspaniale prowadzi orkiestrę w czasach grozy i przyczynia się do splendoru zbrodniczego reżymu? Gdzie przebiega granica, za którą można zarzucić całemu pokoleniu, że nie zrezygnowało z życia zawodowego, tylko dlatego, że zmuszało je ono do bliskich kontaktów z władcami swego kraju?

Musimy na nowo przemyśleć związek między historią przez duże „h” a indywidualną historią naszych rodziców i dziadków. Musimy znaleźć miary rozumowe i uczuciowe, które pozwolą nam zrozumieć, że indywidualne biografie miały najprawdopodobniej przebieg w miarę normalny, nie odbiegający zbytnio od powszechnych norm moralnych, choć w sumie złożyły się na niesłychaną zbrodnię. Że historia przez duże „h” i indywidualne losy ludzi były sprzężone, a zarazem całkowicie oddzielone od siebie. Zdrowy rozsądek każe zawsze szukać związków przyczynowo-skutkowych. Niesłychane zbrodnie miałyby być dziełem niesłychanych zbrodniarzy. Między zbrodniczym państwem a jego obywatelami chciałoby się postawić znak równania. Oto dlaczego tak trudno jest zrozumieć tamtą epokę i tak łatwo ulec pokusie uproszczonego potępienia, które niejedno usuwa w cień.

Chcąc potępić, ale i zrozumieć, połączyć sprawiedliwość z jasnością sądu, aby odzyskać poczucie tożsamości narodowej, po-

winniśmy chyba postępować jak Wasilij Grossman w *Życiu i losie*: szukać jednostkowego losu w historii i historii w jednostkowym losie, starając się zrozumieć tych, którzy byli zarazem katem i ofiarą, nawet jeśli – dlatego, że byli kátami – nie wolno nam ich choćby z dala pomylić z ich ofiarami.

A co my sami zrobilibyśmy w takiej sytuacji? Potępić w masie ówczesnych Niemców mamy prawo tylko wtedy, jeśli jesteśmy pewni, że w tamtej sytuacji, wiedząc tyle, ile oni wiedzieli, zachowalibyśmy się lepiej. Otóż z tego punktu widzenia nie mamy powodu do wstydu za większość naszych rodziców i dziadków. Ale też bardzo rzadko możemy brać z nich przykład. Mamy natomiast prawo ufać, że zachowamy się lepiej, bo wiemy już, czym jest ustrój totalitarny i jak powstaje. Jednak fakt, że jesteśmy w szczęśliwszym położeniu, nie uprawnia nas do faryzeuszostwa.

Nie znajdziemy w historii przykładu narodu równie porażonego przez swą historię, który by się z nią uporał, bo nie znajdziemy takiej historii. Nie znajdziemy też państwa jak Republika Federalna Niemiec, obdarzonego w kołysce konstytucją i świadomością narodową. Zwróćmy jednak uwagę, że żaloba, jaką napawają nas dzieje lat 1933-1945 jest żywa i dojmująca tylko w stosunku do zbrodni dokonanych na Żydach i w pewnej mierze na Polakach, a zupełnie nie wobec Rosjan. Tłumaczy się to nie tylko bezprecedensowym charakterem zagłady Żydów, ale i tym, że na taką skrucę możemy sobie pozwolić tylko wobec nich (i w mniejszej mierze wobec Polaków). Wobec Rosjan miałaby ona konsekwencje polityczne, których lepiej uniknąć. Pamięć historyczna jest ściśle związana z sytuacją polityczną, co też tłumaczy, dlaczego inne narody reagują inaczej – o ile w ogóle reagują – na swoje własne winy.

Znajdujemy się w sytuacji, dla której brak wszelkich odpowiedników, które pozwoliłyby nam się z nią zmierzyć. Wśród wielu trudnych do przewidzenia konsekwencji tego stanu rzeczy wspomnijmy ryzyko odrodzenia się antysemityzmu w Niemczech, lub przynajmniej rozmaitych odruchów, wyrosłych z głębokiego poczucia niepewności ludzi, którzy zaczną odczuwać zarzuty, jakie im się stawia, jako prowokację. Choć niepokojące, ryzyko to wydaje mi się na dłuższą metę mniej groźne niż nie-

bezpieczeństwo, na jakie się wystawiamy, trwając w pół drogi między świadomym i całkowitym odcięciem się od lat 1933-1945 a prowokacyjnym ignorowaniem ich. Niemiecka pamięć historyczna stoi na rozdrożach. Jeśli chcemy odzyskać poczucie jedności z samymi sobą, musimy zrozumieć sens naszej historii; to znaczy spojrzeć jej w oczy. Nami samym, naszym ofiarom i światu całemu jesteśmy winni potępienie naszych zbrodni. Tylko pod tym warunkiem możemy liczyć na wyrozumiałość. Sami zaś musimy zrozumieć, co zrozumieć można, nie tylko w imię sprawiedliwości, ale i po to, by móc tę historię znieść.

Christian Meier

Przełożyła Julia Jutyś

NAKŁADEM

ANEKSU

Stanisław Nowicki

PÓL WIEKU CZYSĆCA

ROZMOWY Z TADEUSZEM KONWICKIM

ROZDZIAŁY: Dolina – Wileńska wojna – Nowe życie –
Narkotyk filmu – Świat zdegradowany – Kobieta i mężczyzna –
Gry i determinacje – Buchalteria niezależności – Pasja i męka.

Str. 248 + zdjęcia

Cena: £6,00; \$13,50

Winicjusz Narejok

PERSPEKTYWY PLURALIZMU W UPANSTWOWIONYM SPOŁECZEŃSTWIE

OCENA SYTUACJI

NA PODSTAWIE POLSKICH KRYZYSÓW

ROZDZIAŁY: Błąd polityczny i kryzys społeczny – Mechanizm
rządzenia w trybie bezalternatywnym – Podstawy społeczne
polityki w społeczeństwie wykonawców planów – Odbudowa
pluralizmu na nowych podstawach społecznych.

Str. 128

Cena: £3,50; \$8,00

Franciszek Draus

NIEMCY, POLSKA I EUROPA

Od początku XIX wieku aż do 1945 roku Niemcy wyróżniały się dość osobliwym poczuciem własnej odmienności. Z jednej strony wyrażało się ono w odrzuceniu utylitarystycznego i liberalno-demokratycznego modelu cywilizacji na rzecz swojskiej, sentymentalnej i przytulnej niemieckości, tak w sensie kulturowym, jak i politycznym, zaś z drugiej strony przybierało ono z niesłychaną łatwością szaty uniwersalizmu i przekształcało się w rodzaj polityczno-kulturalnego prometeizmu. Nie byłoby w tym nic zdroźnego, jeśliby ten wybór był świadomie indywidualny, jeśliby budowanie własnych i odrębnych Niemiec miało pozostać dziełem tylko i wyłącznie niemieckim. Jednakże ten partykularyzm wiązał się w istocie z wyniesieniem niemieckości do rangi kryterium prawa, kultury i polityki. Niemiecka uniwersalizacja swojskości doprowadziła do wydarzeń, które okazały się tragiczne tak dla samych Niemców, jak i dla Europy w ogóle.

Od roku 1945 los Europy przestał być zależny od losu Niemiec. To raczej los Niemiec uzależnił się, wydawałoby się że ostatecznie, od losu Europy. Pierwszym dowodem zmiany strategicznej perspektywy był sam podział Niemiec. Był on niejako zakodowany w podziale Europy, niezależnie od tego czy przyjmujemy, że podział Europy miał źródła w konferencji jaltańskiej, czy też że wynikał z faktycznego stosunku sił w pierwszym powojennym dziesięcioleciu.

Nie tylko kształt terytorialny, ale także i ustrój społeczno-polityczny Niemiec określony został przez powojenny stan stosunków Wschód-Zachód. Niemcy Zachodnie stały się państwem liberalno-demokratycznym nie w wyniku nagłego nawrócenia się na zachodnią polityczną wiarę jej mieszkańców, lecz dlatego, że tak stać się musiało. Historyczny przymus zdecydował również o losie wschodniej części Niemiec. Z pewnego punktu widzenia można by powiedzieć, że klęska 1945 roku dla jednej części Niemiec okazała się momentem przełomowym oraz w zasadzie historycznym dobrodziejstwem, zaś dla drugiej jedynie przejściem od jednej dyktatury do drugiej. Lecz taki punkt widzenia znajduje właśnie w Niemczech najmniej zrozumienia.

W ciągu pierwszych powojennych dziesięcioleci tak polityka rządu w Bonn jak i polityka rządu w Pankow opierały się na niekwestionowanej lojalności jednych wobec Waszyngtonu i Sojuszu Atlantycznego, drugich zaś wobec Moskwy i Paktu Warszawskiego. Nikomu nie przeszkadzała, ani też nikogo nie dziwiła sławetna polityczna karłowatość powojennych Niemiec.

W ostatnich latach coś się zmieniło. Szerzy się pogląd o kapitalnym znaczeniu Niemiec dla przyszłości Europy w ogóle, o kluczowym znaczeniu zjednoczenia Niemiec dla zjednoczenia całej Europy, dla przezwyciężenia jaltańskiego podziału. Nic dziwnego, że opinia ta znalazła szerokie odbicie wśród Niemców oraz że Niemcy do jej rozpowszechnienia poważnie się przyczynili. Oznacza ona bowiem przede wszystkim uznanie kluczowej pozycji polityki niemieckiej, a zatem przezwycięzenie politycznej karłowatości Niemiec. Czy pogląd ten istotnie odpowiada strategicznym stosunkom w Europie lat osiemdziesiątych? Czy rzeczywistość europejska aż tak się zmieniła?

Wydaje się, że to nie rzeczywistość się zmieniła, lecz sposób jej postrzegania. Oczywiście nastąpiły różne zmiany w gospodarce i kulturze, także w polityce każdego z krajów europejskich. Są to rzeczy oczywiste. Nie zmieniła się jednak natura systemu sowieckiego, tak jak i nie zmieniła się natura liberalno-demokratycznego Zachodu.

Również konflikt Wschód-Zachód, tak jak przeszłości, pozostał konfliktem przede wszystkim ideologicznym, w następstwie zaś strategicznym i politycznym. Wprawdzie stosunki Wschód-

Zachód w latach 1970-ych bardzo się ocieplify, lecz nie doprowadziło to do zasadniczej zmiany klimatu. Podobnie jak i oziębienie lat następnych. Także w stosunkach niemiecko-niemieckich nic się zasadniczego nie zmieniło mimo wielu nowości i przobrażeń (podpisanie układu RFN – NRD, łączenie rodzin, podróże, kredyty, itp.). Wydaje mi się, że w tych samych kategoriach należy widzieć skutki polityki Gorbaczowa dla ożywienia stosunków Wschód-Zachód. Jest lato, ale zima w każdej chwili jest możliwa.

Dlaczego więc, jeżeli nic istotnie się nie zmieniło, zmienił się sposób postrzegania strategiczno-politycznej rzeczywistości Europy, a zwłaszcza Niemiec? Dlaczego Timothy Garton Ash przeświadczony jest o tym, że „droga do zjednoczonej Europy wiedzie przez zjednoczenie Niemiec”? (*Aneks 39/1985*). Dlaczego zjednoczenie Niemiec miałyby być warunkiem zjednoczenia Europy, przez co rozumie się przede wszystkim wyzwolenie Europy Wschodniej spod dominacji sowieckiej? Dlaczego Niemcy, tak uzależnione od całości stosunków europejskich, miałyby teraz stanowić główny czynnik zmiany tychże stosunków? Czyżby znowu jakaś historyczna dialektyka? Czyżby jakiś odstęp rozumu historii?

Dążenie do zjednoczenia Niemiec jest konstytucyjnym obowiązkiem każdego rządu i polityki RFN. Środki osiągnięcia tego celu nie zostały wprowadzić określone, ale wiadomo, że Niemcy wyrzekły się stosowania przemocy. Oczywiście, ten cel wydaje się utopijny i Niemcy nie robią sobie złudzeń co do szans na jego urzeczywistnienie w najbliższej przyszłości, lecz nadzieja jest podtrzymywana i dość powszechnie podzielana. Neliczne głosy domagające się anulowania owego konstytucyjnego zapisu pozostają izolowane i bez poważniejszego znaczenia. Niekiedy można odnieść wrażenie, że idea zjednoczenia jest jedynym wyznacznikiem politycznej tożsamości RFN.

Z faktu utopijności projektu zjednoczenia wynika, że nikt poważnie się nie zastanawia nad jego możliwymi formami. Niektórzy mówią tylko o jedności kulturowej, inni, nieugięci zwolennicy wielkich Niemiec, o granicach z 1937 roku. Najczęściej przywołuje się wizję konfederacji RFN – NRD i ta myśl wydaje się najbardziej realistyczna, ale tylko z pozoru. Warunkiem nie-

mlekkiej konfederacji miałyby być równoczesne wycofanie się aliantów zachodnich z obszaru RFN i Związku Radzieckiego z terenu NRD oraz strategiczna neutralizacja Niemiec. Wizja zneutralizowanych Niemiec w środku Europy nie jest nie do pomysłenia. Wiadomo, że Stalin w 1952 roku otwarcie sugerował takie właśnie rozwiązanie problemu niemieckiego. Dyplomacja Gorbaczowa dyskretnie pokazuje Niemcom, że ma tę kartę ciągle w ręku.

Załóżmy zatem, że któregoś dnia dochodzi do powstania skonfederowanych i neutralistycznych Niemiec. Co mogłoby z tego wyniknąć dla Europy? Dla stosunków Wschód-Zachód? dla Polski?

Wbicie neutralistycznego klina w środek Europy oznaczałoby dość znaczne przetasowanie strategiczne. Otrzymałobyśmy wtedy niewątpliwie nową Europę. Byłaby to Europa podzielona nie na dwie, lecz na trzy zasadnicze części: Wschód, Zachód i Niemcy. Konflikt Wschód-Zachód nabrałby nowych wyniarów, lecz nie widzę powodów, dla których miałyby się zmienić natura tego konfliktu. Wydaje się bardzo wątpliwe, by takie europejskie przetasowanie mogło przynieść coś szczególnego Polakom. Natomiast powstanie skonfederowanych czy zjednoczonych Niemiec oznaczałoby niewątpliwie sukces polityki sowieckiej oraz ogromne ustępstwo ze strony USA. Pozostaje też kwestią otwartą, na ile Niemcy byłiby w stanie rzeczywiście zachować swój neutralizm w stosunku do Moskwy.

Ten model strategicznej przemiany w Europie wydaje się mało prawdopodobny. Jego urzeczywistnienie wymagałoby zaistnienia koncepcji i faktów, o których mogą tylko marzyć romantycznie usposobieni polityczni myśliciele.

Rosjanie mogliby ewentualnie przystać na zjednoczenie Niemiec pod warunkiem ich neutralizacji oraz równoczesnego rozwiązania Paktu Warszawskiego i Sojuszu Atlantyckiego. Dyplomacja sowiecka nie ukrywa tego *iunctim*. Założywszy nawet, że nie chodziłoby o likwidację bloków, lecz o wycofanie sojuszków militarnych ze środka kontynentu, ujawniłaby się wtedy zasadnicza asymetria bloków, nie do przyjęcia dla Zachodu. O ile wycofanie wojsk Paktu Warszawskiego o kilkaset kilometrów na wschód nie stanowiłoby ze strategicznego punktu widzenia istot-

nej modyfikacji, wycofanie wojsk NATO z terytorium zachodnio-niemieckiego oznaczałoby praktycznie likwidację Sojuszu Atlantyckiego.

Istnieje jednak inny hipotetyczny modus zjednoczenia Niemiec, który, w przeciwieństwie do wyżej omówionego, rzeczywiście zakłada, że zjednoczenie Europy stanowi warunek zjednoczenia Niemiec. Perspektywa ta napotyka na liczne sprzeczności w RFN, gdyż oznacza ona po prostu odłożenie sprawy zjednoczenia *ad acta*. Do jak doprowadzić do przezwyciężenia istniejącego podziału Europy? Niemcy nie rażą tu i nie mogą mieć żadnej recepty.

Europejskie uwarunkowanie rozwiązania problemu niemieckiego nie musi wcale wykluczać możliwości ewentualnych bezpośrednich powiązań między działaniem Niemiec zmierzającym do urzeczywistnienia ideału zjednoczenia a działaniem na rzecz przezwyciężenia jałtańskiego podziału. Zapytajmy tedy, czy istnieje w RFN koncepcje i siły polityczne świadomie stawiające na zjednoczenie Europy.

Odpowiedź na to pytanie wiąże się ściśle z problemem ideologicznego i ustrojowego kształtu przyszłej Europy. Przezwyciężenie jałtańskiego podziału można sobie wyobrazić w dwojaki sposób. Po pierwsze, zjednoczenie Europy pod protektorałem sowieckim, czego pierwszym warunkiem musiałoby być amerykańskie *dissengagement* w Europie. Europejczycy, a zwłaszcza Niemcy, mogliby wtedy odnaleźć upragnioną jedność w ramach sfinlandyzowanej Europy. Być może, kraje wschodnioeuropejskie mogłyby otrzymać wtedy większą swobodę polityczną, gospodarczą i kulturalną. Finlandyzacyjna perspektywa staje się coraz bardziej pojętna dla Niemców i w ostatnich latach można było słyszeć głosy sugerujące otwarcie neutralizację całej Europy jako warunek czy drogę do zjednoczenia Niemiec. Przed paru laty jeden z czołowych publicystów tygodnika *Die Zeit* zastanawiał się, w trybie co prawda warunkowym, czy aby polityka Finlandii nie była wzorem do naśladowania dla całej Europy.

Jeżeli perspektywa zjednoczenia Niemiec i Europy na „warunkach sowieckich” staje się coraz bardziej pojętna, to równocześnie słabnie przywiązanie do idei zjednoczenia Europy na „warunkach zachodnich”. A ta ostatnia właśnie dominowała w

latach powojennych. Pierwszy kanclerz RFN Konrad Adenauer oparł na niej swe nadzieje i politykę. Dziś wiadomo, że takie zjednoczenie Europy nie ma najmniejszych szans. Istnieje tylko cień starych nadziei w postaci idei przewyciężenia Jałty w oparciu o zachodnioeuropejską wspólnotę gospodarczą, militarną i polityczną. Pomijając jednak liczne rozbieżności pomiędzy członkami wspólnoty, idea ewentualnego zjednoczenia Europy w oparciu o integrację zachodnią jest mało wiarygodna choćby ze względu na ryzyko i konsekwencje strategicznego odłączenia Europy Zachodniej od USA. Każdy krok ku rzeczywistemu zjednoczeniu całej Europy wymaga przyzwolenia sowieckiego, zaś warunkiem każdego pozytywnego gestu ZSRR będzie strategiczne oddalenie się USA od Europy. Trudno wyobrazić sobie ukonstytuowanie się Europy Zachodniej jako odrębnego mocarstwa na równi z USA i ZSRR, bez ujawnienia się tendencji finlandyzacyjnych. Tym bardziej trudno wyobrazić sobie strategicznie samodzielną Europę zachodnią jako przyczółek zjednoczonej całej Europy. Nawet gdyby Europa Zachodnia zdobyła się na strategiczną niezależność oraz gdyby była w stanie dorównać militarnej potędze sowieckiej, wystarczy spojrzeć na mapę, by stwierdzić iluzoryczny charakter osiągniętej równowagi. Wszelki zbrojny konflikt toczyłby się z dużym prawdopodobieństwem na terytorium Europy. Nawet europejskie zwycięstwo mogłoby być co najwyżej zwycięstwem na europejskich gruzach. Perspektywa mało pociągająca.

W gruncie rzeczy hipoteza przewyciężenia Jałty w oparciu o zachodnią integrację nie wychodzi poza europejską alternatywę: Wschód albo Zachód. Wszelkie strategiczne zwiększanie dystansu Europy zachodniej wobec USA pociąga za sobą finlandyzacyjne ryzyko. USA i ZSRR nie mogą ograniczyć swych „opiekuńczych” funkcji wobec Europy, jakkolwiek wielkie byłyby różnice w tej opiekuńczości, bez powiększania ryzyka dla samych siebie.

Trudno w obecnej sytuacji widzieć jasne perspektywy dla zjednoczonej Europy. Nie może to jednak oznaczać rezygnacji z samodzielnego myślenia i działania. Konieczne należy też odróżnić zrozumiałe nadzieje od niebezpiecznych złudzeń. Próba przewyciężenia Jałty poprzez uzależnienie zjednoczenia Euro-

py od zjednoczenia Niemiec wydaje mi się właśnie niebezpiecznym sładzaniem. Przeświśle rzecz się ma z ideą zjednoczenia Niemiec w perspektywie ogólnoeuropejskiej. Kto i jak miałby działać na rzecz ogólnoeuropejskiego zjednoczenia? Czytby należało liczyć na Niemców? Czytby Niemcy miały stać się nadszającą całej Europy?

Jest rzeczą oczywistą, że Niemcom zależy na zmianie europejskiego status quo. Można sądzić, że Republika Federalna opierając się na swej gospodarczej potędze, mogłaby adobyć się na samodzielny, dynamiczną politykę na rzecz ogólnoeuropejskiego zjednoczenia. By móc działać w tym kierunku, konieczna jest jednak wizja europejskiej jedności, która byłaby do przyjęcia dla wszystkich Europejczyków. By Niemcy mogły działać na rzecz całej Europy, ich własny interes narodowy musiałby być do pogodzenia z interesami innych państw europejskich. W tym względzie nasuwają się liczne wątpliwości, które można ukazać na przykładzie stosunku interesu narodowego Niemców do narodowego interesu Polaków.

II

Problem niemiecki nie ogranicza się do wymiaru arytmetycznego: jedno, dwa, czy kilka państw niemieckich. Polityka niemiecka zmierzająca do realizacji swego nadrzędnego celu posiada wiele różnych aspektów, z których najważniejszymi wydają mi się problem terytorialny oraz ideologiczny.

Sprawa granic jest z polskiego punktu widzenia najważniejsza. Tak długo jak będzie istniał obecny podział Europy, Polacy nie będą mieli powodów do specjalnej troski o „ziemie odzyskane”. ZSRR jest gwarantem przynależności tych ziem do Polski. Artykuł 3 układu między RFN a ZSRR z 1970 roku zawiera wyraźne potwierdzenie granicy na Odrze i Nysie jako zachodniej granicy PRL. Fakt ten należy uznać za dość osobliwy, gdyż raczej rzadko się zdarza, by dwa państwa zobowiązywały się do uznania granicy państwa trzeciego nie mającej ani centymetra wspólnego z granicami układających się stron. Granica na Odrze i Nysie jest przecież granicą między PRL a NRD! Niezależnie od tego, jak zinterpretujemy wspomniany układ, pozostaje faktem,

że aż cztery państwa (ZSRR, PRL, RFN, NRD) oficjalnie zobowiązały się do respektowania granicy na Odrze i Nysie.

Do układu RFN-ZSRR dołączony został specjalny list ówczesnego prezydenta RFN W. Scheela stwierdzający, iż podpisany układ nie stoi w sprzeczności z politycznym celem RFN, którym jest działanie na rzecz zaistnienia takiego pokojowego stanu w Europie, w którym naród niemiecki mocą wolnego samostanowienia (*freie Selbstbestimmung*) odzyskałby swoją jedność. Treść tego listu nie została do dziś ani zaakceptowana ani odrzucona przez Kreml.

Także w maju 1972 roku *Bundestag* wydał specjalne oświadczenie, w którym raz jeszcze potwierdzono, że tak zwany *Ostvertrag* (układ z ZSRR z 12.08.1970 i z PRL z 7.12.1970) nie oznaczają rezygnacji z dalekośiężnych celów Niemiec oraz że te układy nie nadają sankcji prawnej obecnie istniejącym granicom.

By zrozumieć sens stanowiska niemieckiego, trzeba odróżnić problem prawny oraz problem polityczny. Uznanie istniejących granic przez RFN jest uznaniem przede wszystkim realiów politycznych, ze względu na istniejący układ sił w Europie. Z prawnego punktu widzenia zjednoczeniowa polityka Niemiec opiera się na wspomnianym oświadczeniu *Bundestagu* oraz na tym artykule układu poczdamskiego (którego Niemcy nie były ani stroną, ani sygnatariuszem) z 1945 roku, w którym aliansi zapowiedzieli zwołanie europejskiej konferencji pokojowej celem uregulowania granic i statusu Niemiec. Jak wiadomo, do tej konferencji nie doszło i na jej zwołanie nikt już poważnie nie liczy za wyjątkiem Niemców.

By zrozumieć sens prawnej wykładni problemu niemieckiego, założmy, że jutro dochodzi do zwołania owej konferencji pokojowej. Jakie mogą być tego konsekwencje? Niezależnie od możliwych decyzji, z niemieckiego punktu widzenia tracą ważność układy z ZSRR i Polską, ponieważ automatycznie ustają polityczne przyczyny ich zawarcia. Niemcy wyrzekają się zdecydowanie jednostronnego dążenia do zmiany istniejących granic, zwłaszcza granicy na Odrze i Nysie, lecz nie tracą nadziei, że w ramach owej konferencji uda im się wynegocjować nowe i korzystniejsze dla nich określenie granic.

Jakie mogłoby być znaczenie zwołania takiej ogólnoeuropejskiej konferencji dla sprawy zjednoczenia Niemiec czy przezwyciężenia Jałty? Na pierwszy rzut oka oznaczałoby to dla Europy szansę na nowe uregulowanie własnych spraw. Lecz jakie warunki musiałyby być spełnione, by mogło dojść do owej konferencji? Należy wnioskować, że możliwość jej zwołania oznaczałaby zaistnienie nowej sytuacji w Europie, to znaczy zniknięcie przyczyn, które uniemożliwiały jej odbycie w ostatnich czterdziestu latach. Fakt, że do zwołania tej konferencji dotąd nie doszło, wynika z tego, że Związek Radziecki i blok wschodni temu się sprzeciwiały, czyli stawiały warunki, których państwa zachodnie przyjąć nie mogły. Możliwość zwołania konferencji w przyszłości wymagałaby sowieckiego przyzwolenia, albo ustępstw zachodnich. Tak czy owak oznaczałoby to specyficzny protektorat sowiecki nad Europą. ZSRR mógłby wtedy z łatwością dopuścić do pozornej ogólnoeuropejskiej gry dyplomatycznej. Wtedy okazałoby się z całą oczywistością, od kogo zależy w istocie przyszłość Niemiec i Europy.

Cały problem zjednoczenia Niemiec sprowadza się do problemu porozumienia ze Związkiem Radzieckim. Zależność tę zrozumieli niemieccy socjaldemokraci jeszcze przed wzniesieniem berlińskiego muru. Willy Brandt oświadczył przy końcu 1960 roku (powołując się zresztą na odpowiednie wypowiedzi H. Wehnera z roku 1959), że zjednoczenie Niemiec nie jest do osiągnięcia drogą sprzeciwu czy konfrontacji wobec ZSRR. Urzeczywistnienie zjednoczeniowego ideału wymaga nowego ułożenia stosunków z ZSRR.

W połowie lat osiemdziesiątych nie trzeba zbytnio rozwodzić się na temat specyfiki aktualnych stosunków RFN z ZSRR. To co było kiedyś projektem, stało się w znacznej mierze rzeczywistością. socjaldemokratyczny projekt podziela dziś większość Niemców, a młode pokolenie idzie w swej uległości wobec ZSRR o wiele dalej aniżeli socjaldemokraci.

Obecny rząd prawicowy lawiruje między adenauerowską koncepcją *Westbindung* a wschodnimi ciągotkami, które przedstawiane są niekiedy jak patriotyczny obowiązek.

Do specyfiki stosunków niemiecko-sowieckich należy między innymi wyciszenie dyskusji na temat natury komunistycznego

systemu, czy na temat gatunkowych różnic między ustrojem: sowieckim a ustrojem demokratyczno-liberalnym. Obecnie dominuje albo naiwny empiryzm sprowadzający ideologiczno-ustrojowe różnice między demokracją a totalitaryzmem do różnic ilościowych i folklorystycznych, albo romantyczne potępienie tak komunizmu jak i zachodniego liberalizmu. Nawet tak znany socjolog jak Raif Dahrendorf stwierdził w artykule opublikowanym na łamach tygodnika *Die Zeit* w lutym 1986, że konwergencja obu systemów w dużym stopniu się urzeczywistniła oraz że wyznacza ona nadal niechybną perspektywę europejskiej przyszłości.

Dlaczego jest tak trudno w RFN o prawdziwą krytykę sowiezizmu? Typową odpowiedź niemiecką można by sformułować w ten sposób: my wiemy, co to jest komunizm, ale wiemy również, że na krytyce komunizmu daleko nie zajędziemy. Podkreślanie ideologicznych przeciwieństw, ustrojowych różnic nie tylko oddala perspektywę ewentualnego zjednoczenia, ale również utrudnia utrzymanie i rozwój bieżących kontaktów z NRD. Chcąc przezwyciężyć podział, trzeba raczej szukać pokrewieństwa, a nie upierać się przy różnicach. Dążenie do ułożenia się z przeciwną stroną wymaga niejako wyciszenia bezwzględnej krytyki.

Uznając że klucze do zjednoczenia Niemiec znajdują się w Moskwie, o czym większość Niemców jest dzisiaj przekonana, nie należy czynić z ZSRR potwora, bo to tylko utrudni ewentualny przetarg.

Zagażnienie stosunków niemiecko-sowieckich jest ważne i skomplikowane. Oczywiście nie można Niemcom odmawiać prawa do swobodnego działania, lecz *należy wyrażać wątpliwości, czy polityka uprawiana kosztem prawdy może doprowadzić do faktycznego polepszenia istniejącej rzeczywistości.*

Jak się ma zjednoczeniowa strategia Niemców do „sprawy polskiej”? Myśl i polityka polskiej opozycji opierają się na szczególnym wartościowaniu i przywiązaniu do zachodnich ideałów liberalnych i demokratycznych. Pro-zachodnia orientacja polskiej opozycji wiąże się z wizją zjednoczenia Europy na „warunkach zachodnich”, a nie na „warunkach sowieckich”. Oznacza to również odpowiedni stosunek Polaków do kwestii zjednoczenia Niemiec. Wedle Polaków, tak Niemcy jak i cała

Europa Wschodnia winny wybić się na niezależność, czyli jedność poprzez samostanowienie, a nie szukać jedności pod sowieckim protektoratem. Stanowisko niemieckie w tym względzie jest zupełnie inne. Istnienie silnej gospodarczo i stabilnej wewnętrznie Republiki Federalnej daje Niemcom szansę negocjowania z Kremlem. W tych warunkach nie należy się dziwić, że radykalizm polskiej opozycji, jak i jej oczywisty antysowiecki charakter nie znajdują u Niemców zrozumienia, tym bardziej odpowiedniego poparcia. Byłoby jednak błędem posądzać Niemców o złą wolę, gdyż niezależnie od tego, co czują oni wobec Polaków (masowa pomoc materialna po Grudniu świadczyła niewątpliwie o przyjaźni i sympatii), logika interesu narodowego skłania Niemców do takiej *Ostpolitik*, w której polska opozycja nie znajduje i nie znajdzie prawdziwego sprzymierzeńca.

Jednym z warunków powodzenia zachodnio-niemieckiej *Ost- und Deutschlandpolitik* jest polityczna stabilizacja w Europie Wschodniej. Stąd też niemieckie reakcje na wydarzenia polskie zakłócające stabilność stosunków Wschód-Zachód: uznanie stanu wojennego, czy później nieukrywane poparcie sporej części wpływowej opinii niemieckiej dla polityki „normalizacji” w PRL. Byłoby błędem pojmowanie tych faktów w kategoriach wrogości Niemców do Polaków. Niemieckie zainteresowanie stabilizacją na Wschodzie, a zatem pomijanie interesów walczących tam ruchów opozycyjnych, jest niejako zakodowane w logice niemieckiego dążenia do jedności. Znając niemiecką konsekwencję działania, byłoby naiwnością oczekiwać od Niemców poparcia dla idei i działań utrudniających im ich własną politykę.

III

Sytuacja Europy jest trudna, zaś sytuacja Niemców i Polaków jeszcze trudniejsza. Te dwa narody o tysiącletniej wspólnej przeszłości sprawiają wrażenie, jakby pojawiły się w historii pod dwoma zasadniczo różnymi znakami: Niemcy pod znakiem *jedności*, zaś Polacy pod znakiem *wolności*. To „astrologiczne” przeznaczenie wyznaczało i zdaje się nadal wyznaczać dwa rozbieżne tematy historii Niemiec i historii Polski. Jedność pozosta-

je nadal głównym motywem polityki niemieckiej, tak jak wolność jest zasadniczą aspiracją niezależnej polityki polskiej. W pewnym sensie Niemcy i Polacy są historycznie skazani na polityczny romantyzm. To wspólne przeznaczenie łączy i dzieli razem. Łączy w tym sensie, że Polakom i Niemcom łatwiej jest zrozumieć ich wzajemne historyczne nieszczęście. Zaś dzieli dlatego, gdyż gwiazda jedności porusza się po innym torze aniżeli gwiazda wolności. Z tego właśnie wynikają liczne różnice w charakterze politycznych idei i zachowań.

Franciszek Draus

NAKLADEM

ANEKSU

Irena Grudzińska-Gross i Jan T. Gross (red.)

**W CZTERDZIESTYM
NAS MATKO NA SYBIR ZEŚLALI...**

Poprzedzony analitycznym wstępem J. T. Grossa wybór relacji dzieci i dorosłych o okupacji sowieckiej i zsyłce w latach 1939-1942, napisanych w Teheranie po wyjściu Armii Andersa z ZSRR.

Str. 512

Cena: £9,50-\$19,00

Tadeusz Kowicki

**RZKA PODZIEMNA,
PODZIEMNE PTAKI**

Powieść o stanie wojennym

Str. 216

Cena: £4,00-\$10,00

Wiktor Woroszyński

DZIENNIK INTERNOWANIA

i inne wiersze ilustrowane przez
JANA LEBENSTEINA

Str. 64

Cena: £2,75-\$6,50

Helmut Wagner

PROBLEM NIEMIECKI *

Próba historycznej interpretacji dylematu politycznego

W wielu językach świata istnieje pojęcie „problem niemiecki”. Nie jest ono także obce językowi polskiemu. Co stanowi istotę obciążonej historycznie *question allemande*, stale dyskutowanego *German problem*? Co kryje się za określeniami *la questione tedesca*, *el problema aleman* czy *aleman meseles*?

Problem nie zrodził się z pewnością w 1933 roku. Nie doszukiwałbym się jego źródeł w ustanowieniu dyktatury hitlerowskiej w Niemczech. Przyjęcie roku 1945, a więc podziału Niemiec, jako momentu narodzin „problemu niemieckiego” jest już całkowicie mylące. Za przesąd z kolei należy uznać twierdzenie, że problem ten, w swej jakże dziś irytującej postaci i wymiarze, istnieje od niepamiętnych czasów. Przesłanką „problemu niemieckiego” była speryficzna sytuacja polityczna ukształtowana w następstwie powstania suwerennego, narodowego państwa niemieckiego. Państwo to wpływało na historię Europy i świata we względnie krótkiej epoce o wyraźnie określonych ramach czasowych.

* Tekst wykładu wygłoszonego w marcu 1987 roku w Instytucie Śląskim w Opolu, na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach, Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, Uniwersytecie Warszawskim i w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych w Warszawie

Jeśli zamierzamy, nie po raz pierwszy i nie ostatni, zająć się „kwestią niemiecką”, to nie z intencją jej rozwiązania. Zostanie ona z całą pewnością w taki czy inny sposób rozwiązana, ale nie w wyniku refleksji, lecz wyłącznie biegu wydarzeń, tak jak to się stało z wszystkimi, jakoby nierozwiązywalnymi, kwestiami w dotychczasowej historii świata.

Powodem, który skłonił mnie do podjęcia tak nabrzmiałego problemu, było przekonanie, że ostateczne rozwiązanie kwestii niemieckiej zaważy w istotny sposób na dalszych losach Europy. Jest to więc kwestia głęboko obchodząca wszystkich Europejczyków, nie obojętna też dla Stanów Zjednoczonych, Związku Radzieckiego i dla państw Azji Wschodniej. Dotychczasowe dzieje problemu niemieckiego mogą stanowić lekcję historii również dla innych narodów.

1. Prezentacja problemu

„Kwestia niemiecka” nie jest dziś martwym, po wsze czasy rozwiązany, problemem. Powraca ona w różnych wariantach z niezwykłą częstotliwością, wywołując nie tylko zainteresowanie, lecz także obawy i niepokój. Nie tylko „cienie przeszłości” powodują, że „kwestia niemiecka” jest stale obecna. A gdy nawet ktoś cienie te przywołuje, to z reguły w obawie przed przyszłością. Obawy wiążą się z tym, że Niemcy mogłyby wybrać ponownie drogę rozwoju szkodliwą dla interesów innych państw. Jest oczywiste, że inne państwa, zwłaszcza ościenne, nie patrzą obojętnie na to, co dzieje się i będzie się dziać w Niemczech. Można znaleźć wiele przykładów zachowań naznaczonych obawami wśród wydarzeń ostatniej doby.

Świat wysoko ceni neutralność Szwajcarii i Austrii. Myśl o neutralności Niemiec – zjednoczonych bądź podzielonych – przyjmowana jest na ogół z oburzeniem. Należy się zastanowić nad źródłem tak bardzo odmiennych reakcji. Odejście Jugosławii, Albanii, a nawet Chin, z bloku radzieckiego nie wstrząsnęło podstawami jego istnienia. Natomiast przynależność Niemieckiej Republiki Demokratycznej do obozu państw socjalistycznych leży niewątpliwie w żywotnym interesie Związku Radzieckiego i nie może być w związku z tym przedmiotem jakichkol-

wiek negocjacji. I znów pytanie – dlaczego tak właściwie jest? Wystąpienie Francji ze struktury militarnej NATO nie podważyło podstaw istnienia tego ugrupowania wojskowego. Z pewnością istniałoby ono nadal, gdyby rządy Luksemburga czy Grecji postanowiły pewnego pięknego dnia opuścić jego szeregi. Co natomiast pozostałoby z Paktu Atlantyckiego, gdyby opuściła go Republika Federalna Niemiec? To, czy Dania, Wielka Brytania, Portugalia czy Hiszpania należą do Wspólnoty Europejskiej, jest dla nich z pewnością ważne, nie stanowi jednak kwestii *być albo nie być* Wspólnoty. Gdyby jednak Republika Federalna wystąpiła z EWG, stanowiłoby to faktyczny koniec Wspólnoty.

Dlaczego los Niemców jest aż tak silnie związany z całością Europy, nieporównanie silniej niż los innych narodów? Gdzie tkwi źródło tych różnic? To, że zachowania Niemiec, tak w przeszłości jak i obecnie, wywołują jakże różne skutki w zestawieniu z analogicznymi działaniami większości sąsiadów Niemiec, nie jest spowodowane ich historią i nie wynika z tego, że Niemcy są właśnie Niemcami. Niemcy jako obywatele austriaccy czy szwajcarscy są nie tylko tolerowani, ale także ogólnie lubiani. Przyczyn należy szukać w położeniu geopolitycznym oraz w potencjale i dynamice społeczno-ekonomicznej państwa niemieckiego. Jego istnienie przyjmowane było i jest przez inne państwa jako zagrożenie dla ich interesów i to nie tylko wtedy, gdy Niemcy były lub są zbyt silne, ale także wtedy, gdy były – bądź są – zbyt słabe. W pierwszym przypadku rodziło się podejrzenie, że dążyć będą do zdominowania Europy, w drugim zaś obawiano się powstania swoistej próżni politycznej. Są ludzie, którzy twierdzą, że Bundeswehra nie może być tak silna, by zagrażać egzystencji Luksemburga. Z drugiej strony utrzymuje się, że nie może być zbyt słaba, gdyż wówczas Europa Zachodnia nie mogłaby bronić się skutecznie przed potęgą Paktu Warszawskiego. Nikt nie wie, jak pogodzić te sprzeczne oczekiwania. Niemcy nie są w stanie, jak widać, zadowolić swoich sąsiadów i to bez względu na rodzaj i kierunek poczynań; zawsze mieli oni i mają jakieś zastrzeżenia. Wygląda na to, że samo istnienie Niemiec traktowane jest jako czynnik destabilizujący europejski ład polityczny.

Niemcy – pisał Hans-Peter Schwarz – są w stanie zrujnować Europę przez swe „poczucie potęgi” (*Machtbesessenheit*), ale

mogą także przyczynić się do jej zagłady „rezygnując z potęgi” (Machtvergessenheit). Wiąże się to z tym, że ich symbioza z Europą jest ściślejsza niż innych narodów.

Niemieckie państwo narodowe było, od powstania aż do upadku, stale odradzającym się źródłem niepokoju, ogniskiem zagrożeń, gniazdem pokus, czynnikiem niepewności w Europie. Trudno sobie wyobrazić obie wojny światowe bez istnienia Rzeszy. Wojny te wybuchły, gdyż Europa nie znalazła dla państwa niemieckiego odpowiedniego, powszechnie respektowanego, możliwego do zaakceptowania przez nie i innych miejsca w ramach tradycyjnego systemu państw europejskich. Nie do przyjęcia było i jest zarówno „małoniemieckie państwo” formatu bismarckowskiego, jak i „wielkoniemieckie państwo” o demokratycznej proveniencji z okresu Wiosny Ludów. Obie formy są zbyt wielkie i obie rozszadzają ład europejski.

Nic więc dziwnego, że w przeszłości coraz to powracały żądania, by skreślić Niemcy z mapy Europy. A i dziś żadne z państw nie przejawia zainteresowania przywróceniem zjednoczonego i suwerennego niemieckiego organizmu państwowego. Te niepodważalne fakty stanowią jedną stronę medalu. Druga strona nie jest już tak jednoznaczna. Chodzi tu o interpretację znaczenia faktów, a nie o ich podważenie. W tej kwestii, jak wiadomo, drogi się rozchodzą.

Dłaczego więc Niemcy były zawsze ogniskiem niepokoju i czynnikiem destabilizującym układ europejski, lub za takowe je zwykle uważano? Z czego wynika brak zaufania do nich pod dziś dzień? Większość podejmowanych prób odpowiedzi na te pytania nie trafiała w sedno sprawy.

II. Interpretacje

Odpowiedzi na pytanie, dlaczego historia Niemiec miała przebieg tak katastrofalny, poszukuje się najczęściej w charakterze narodowym Niemców. Przyjmuje się, że od czasów Lutra, jeśli już nie w czasach germańskiej prehistorii, do cech niemieckiego charakteru narodowego należą agresywność, nieodróżnienie, emocjonalna nieobliczalność. Te dziedziczne wady narodowe mają być winne wszystkim kolejnym nieszczęściom. A ponieważ

są to cechy wrodzone, a nie nabyte, nie mogą być przezwyciężone przez samych Niemców, nawet przy najlepszej woli z ich strony. Stąd prosty wniosek, że powinni oni być poddani kuratelii sprzymierzonych, jeśli oczywiście sami nie zrezygnują z wszelkiej aktywności politycznej. Tego rodzaju wniosek jest logiczny, jeśli traktować na serio dywagacje o charakterze narodowym w ogóle, a w szczególności o nieuleczalnie chorym charakterze narodowym Niemców.

Do takich konkluzji doszli między innymi, niezależnie od siebie, amerykański publicysta William L. Shirer i niemiecki historyk Friedrich Meinecke. Mimo różnych postaw i doświadczeń obaj sformułowali prawie identyczne wnioski ze swych przemyśleń. Shirer był przekonany, że Niemcy mieli zawsze skłonność do „irracjonalnego, mistycznego widzenia świata, pełnego zdrad i zbrodni, skąpanego we krwi, którego kulminacją był zmierzch bogów”. Zaś „straszliwemu pożądaniu duszy niemieckiej” odpowiadało „pragnienie samozagłady”. Meinecke utrzymywał, że Niemcy okazali się politycznie nieudolni, że „zmarowali” po wsze czasy prawo do egzystencji państwowej i dobrze uczyniliby, gdyby, tak jak przed utworzeniem państwa narodowego, nadal poświęcali się filozofii, muzyce i sztuce, nie mieszając się do polityki. Obaj myśliciele szukali dla swych rozważań oparcia w twórczości Goethego, który kiedyś zanotował: „Odczuwałem dość często gorzki ból, myśląc o narodzie niemieckim, który godny jest podziwu, gdy patrzy się na pojedynczych ludzi i jakże nędzny jako całość”. Goethe nadawał jednak z pewnością zupełnie inny sens tym słowom niż jego dwaj interpretatorzy.

Jeśli doświadczenia drugiej wojny światowej usprawiedliwiają w jakiejś mierze powyższą interpretację, to operowanie pojęciem *charakteru narodowego* nie tylko niczego nie wyjaśnia, lecz stanowi wręcz przeszkodę dla historycznego widzenia zagadnienia. Otwartość i wielość sytuacji historycznych ulega zamazaniu przy jednowymiarowym, założonym z góry, widzeniu zdarzeń. Historyczne wyjaśnianie zredukowane do jednego wymiaru oznacza koniec poważnie traktowanego dziejopisarstwa. Wystarczy przyjąć inną, choćby o kilka lat wcześniejszą lub późniejszą datę, by stwierdzić, że po rzekomym niemieckim „prag-

nieniu samozagłady" nie pozostał nawet ślad. Przedstawione wyżej stanowisko, dyskwalifikujące cały naród, prowadzi konsekwentnie na pozycje uprzedzeń nacjonalistycznych czy wręcz rasowych. Kolektywistyczna interpretacja kwestii niemieckiej niewiele w sumie wyjaśnia. Mało tego, utrudnia wręcz dotarcie do przyczyn interesującego nas zjawiska.

Kolejnym, nie mniej denerwującym źródłem nieporozumień co do kwestii niemieckiej jest pogląd, głoszony między innymi przez Arnolda Toynbee'ego i Stanisława Salmonowicza. Arnold Toynbee sformułował w 1916 roku tezę, że Niemcy nie byłiby takim znów złym narodem, gdyby wyzwolić ich od *militaryzmu*. Stanisław Salmonowicz, należący do powojennej generacji uczonych, głosi w 1986 roku i wierzy z całą powagą w to, że istotą „problemu niemieckiego” są „Prusy” odpowiedzialne za wszystko, co w niemieckiej historii było negatywne. Obie próby interpretacyjne należy uznać za chybione, nie wnoszące niczego istotnego do lepszego czy głębszego rozumienia problemów Niemiec.

Także bez *militaryzmu* oraz *prusactwa* nie cieszą się Niemcy ani o cał większą łaskawością i życzliwością sąsiadów. Wspomnieć należy również, że *militaryzm* pruski był dla Anglii tak długo pożądany, jak długo był zgodny z jej interesami i kierował się przeciwko Francji. Na wyspach brytyjskich uważano do końca XIX wieku, że to *militaryzm francuski*, a nie niemiecki, jest źródłem wszelkiego zła.

Tylko przez narzucenie sobie z góry ograniczonego punktu widzenia stało się możliwe dojście do wniosku, że to właśnie Prusy, które w 1871 roku utraciły samodzielność, a w 1918 zostały zdemokratyzowane, były sprawcą katastrof dwudziestego stulecia. Na tę propagandową tezę, jak na podwodną rafę, wpadli alianci, uzasadniając tym argumentem likwidację Prus w 1947 roku. Ta decyzja nie zmieniła przy tym ani o jotę ich polityki okupacyjnej. Bez względu na to, czemu i komu miała ona służyć, koncepcja ta zaciemniała tylko istotę sprawy.

Aby odkryć, że to niemiecka filozofia była przyczyną wszelkiego zła, które zrodziło się w Niemczech, potrzeba było aż amerykańskiego profesora filozofii, Johna Deweya. Wierzył on, że idealistyczna filozofia Kanta, Fichtego i Schellinga, a także

(sic!) Hegla, Marksa i Nietzschego, których¹ dla uproszczenia potraktował łącznie z pierwszą trójką, pozbawiła Niemców zmysłu wyczucia rzeczywistości i uczyniła z nich politycznych lunatyków.

„Zasługą” Kanta było sformułowanie „imperatywu kategorycznego”, co według Johna Deweya miało sprzyjać ślepemu posłuszeństwu. Hegel natomiast otworzył drzwi relatywizmowi swoją historyczną dialektyką. Marks materialistycznym kolektywizmem godzić miał w indywidualizm. Wreszcie Nietzsche wypełniał istniejącą pustkę „wołą potęgę”, podniósł „siłę” i „przemoc” do rangi najwyższych wartości.

Założenie, że filozofia była w stanie oślepić cały naród jest kuriozalne. Tym bardziej wydaje się dziwne, że do jednego kotła wrzucano jakże różne kierunki filozoficzne, uznając je przy tym za niemiecką własność prywatną. W tym rozumowaniu była jednak metoda. Dewey rozumiał, że najłatwiej było rozniecić gniew Amerykanów i skierować go przeciwko Niemcom, przypisując im cechy obce jego rodakom. Ideologiczna interpretacja problemu niemieckiego sformułowana przez Deweya znalazła w Ameryce немало zwolenników. Co można było począć z uzyskanym efektem propagandowym? Choroba Niemców jest uleczalna – odpowiedział humanitarny profesor; wystarczy że odwykną od swojej filozofii i nakarmieni zostaną amerykańskim filozoficznym pragmatyzmem. Jego słowo stało się w 1945 roku ciałem. Jednakże już w dwa lata później zrezygnowano z tej teorii zanim zdążyły się ujawnić efekty kuracji.

Kolejna interpretacja problemu niemieckiego miała dłuższy żywot. Luminarzami tego kierunku są socjolog Ralf Dahrendorf i historyk Hans Ulrich Wehler. Byli oni przekonani, że klucz do rozwikłania problemu tkwi w społecznym kształcie narodowego państwa niemieckiego. Na pytanie: dlaczego było ono aż tak agresywne – odpowiadają: ponieważ nie było ono demokratyczne. A dlaczego nie wykształciła się w nim demokracja? Ponieważ Niemcy, o czym pisał H. Plessner, byli nie tylko „narodem opóźnionym” („verzpatete Nation”) w stosunku do innych, ale nadto społeczeństwem „przemieszczonym, zdekomponowanym” („verworfenen Gesellschaft”), jak warstwy ideologiczne po kaktaklizmie trzęsienia ziemi, wedle słów Dahrendorfa. Ta interpre-

tacja, dopatrująca się źródeł dramatu niemieckiego w wewnętrznych napięciach społecznych oraz w uwarunkowaniach zewnętrznych w postaci militarnych erupcji, przyjęta została przez wielu jak objawienie. Przynajmniej trzy przyczyny były u źródeł tej popularności:

— interpretacja ta została przedstawiona jako teza naukowa, poparta autorytetem solidnej analizy socjologicznej;

— zdawała się ona wyjaśniać przyczyny wybuchowego charakteru napięć w Niemczech w przeszłości;

— oferowała Niemcom piękną iluzję, że wystarczy rzucić się w objęcia demokracji, za ideal uznac społeczeństwo otwarte, by zyskać uznanie i szacunek narodów otaczających, które przestaną się obawiać Niemców i podejrzewać ich o najgorsze.

Obietnica *happy endu* spowodowała, że ta interpretacja cieszyła się przez krótki czas popularnością wśród wielu Niemców, zwłaszcza w okresie koalicji socjalistów z liberałami. Dziwne, że ta wątpliwa teza zyskała tak dużą popularność. Ostrzegano przecież społeczeństwo niemieckie dość dawno przed podobnymi iluzjami i to nie tylko dlatego, że w proponowanej interpretacji odnaleźć można błęde odbicie tezy marksistowskiej o automatycznym zaniku w socjalizmie wszelkich konfliktów. Władysław Markiewicz zwrócił nieco złośliwie uwagę na to podobieństwo, odrzucając „ewangeliczne posłanie” Ralfa Dahrendorfa jako przedwczesne. Największe napięcia i konflikty społeczne – zdaniem Markiewicza – których ostrze teza niemieckiego socjologa stępie, dopiero staną przed Republiką Federalną w okresie zbliżającej się rzekomo agonii systemu kapitalistycznego. Jedyne socjalizm zrealizowany w NRD może urzeczywistnić to, czego Dahrendorf błędnie oczekiwał po demokracji: dobrobyt, pokój, harmonię, zgodę między narodami i śmierć naturalną problemu niemieckiego.

Mimo iż Niemcy stały się pluralistyczną demokracją, sąsiedzi nadal patrzyli na ten kraj z dużą podejrzliwością. Mało tego, uważano, że gdyby Niemcy wyzwolić z wszelkich ograniczeń i pozostawić je samym sobie, to można spodziewać się z ich strony najgorszego. Sąsiedzi zachowywali się tak, jakby mieli ciągle do czynienia ze starymi Niemcami, a nie z nowym demokratycznie zorganizowanym państwem. Ten fakt powinien był skłonić

Dahrendorffa i innych podobnie jak on rozumujących do ponownego przemyślenia kwestii niemieckiej. Tak się jednak nie stało.

Wątpliwości budziło już założenie Dahrendorffa, w myśl którego demokracja sama z siebie służy umacnianiu pokoju. Historia dowodzi czegoś przeciwnego. Uczy ona, na przykład, że tak „pokojowo” nastawiona Wielka Brytania, będąca dla wielu ideałem demokracji, zajmowała w XVIII i XIX wieku czołową pozycję wśród narodów prowadzących wojny. „Wojownicze” Prusy wypadają na jej tle dość blade. Różnica polegała między innymi na tym, że Wielka Brytania na ogół te wojny wygrywała i to dość łatwo. Tworzenie imperium takiego jak brytyjskie nie było uszczęśliwianiem ludów. Zostało ono zbudowane na ruinach pokonanych narodów.

Doktryna Dahrendorffa nie odpowiadała na pytanie najważniejsze, a mianowicie dlaczego demokratyzacja zjednoczonych Niemiec miałaby nastroić sąsiednie państwa pozytywnie, jeśli także Niemcy usunęłyby je w cień. Nie stawiała ona ponadto jasno kwestii, kto miałby przejąć rolę USA i ZSRR jako gwarantów *status quo* w Europie. Te dwa supermocarstwa, niezależnie od sąsiadów Niemiec, są obecnie w stanie na trwałe nie dopuścić do i tak niepopularnego zjednoczenia Niemiec. Kto poza supermocarstwami byłby jeszcze w stanie kontrolować Niemcy? Z pewnością nie Europa podzielona na sterowne państwa i państewka.

Analiza Dahrendorffa była mało przydatna dla prób dokonania ostatecznego rozrachunku z przeszłością Niemiec. Nie ukazywała ona bowiem drogi do emancypacji Europy, wyzwolenia jej spod obcej kurateli przy jednoczesnym skutecznym zapobieżeniu niemieckiej dominacji. Ułomność tej doktryny wynika z faktu, że jej punktem wyjścia i zarazem dojścia jest tradycyjny ład europejski. W jego ramach nie ma szans na ostateczne rozwiązanie dyskutowanego przez nas problemu, nawet przy najlepszych chęciach oraz największym wysiłku intelektualnym.

Oto kolejny przykład błędnych wniosków, jakie wyciągnęli Niemcy prześladowani przez własną przeszłość, dezorientowani przez przyjaźń i wrogów i usiłujący się poprawić. By odpokutować za grzechy ojców i uzyskać przebaczenie, Niemcy muszą – tak brzmiała szeroko głoszona teza – sami publicznie przyznać

się do winy i odzegnać się od przeszłości. Osobom głęboko religijnym, ludziom o nastawieniu idealistycznym, taka propozycja była szczególnie bliska. Nie ma wybaczenia bez skruchy – brzmiało ich motto. Uczynili z niego polityczne wyznanie wiary najwyższej rangi. Jakie pociągnęło to za sobą skutki? Reagując na nazistowską przeszłość niektóre kręgi społeczne Republiki Federalnej czyniły z zagadnień politycznych kwestię sumienia i przykładały do polityki niezwykle rygorystyczne miary moralne. Z przesłanek etycznych wyciągali też wniosek o konieczności angażowania się w sprawy polityczne i demonstrowania swójego sprzeciwu.

Z tych wartości, nastawień i zachowań wyrósł w latach pięćdziesiątych ruch znany pod nazwą *Ohne mich* (beze mnie), skierowany przeciwko remilitaryzacji Republiki Federalnej Niemiec. Nadzieje pielęgnowane przez ludzi tego ruchu były u źródeł „Ostpolitik” Willy Brandta. Miała ona na celu nie tylko pojednanie z narodami Europy Wschodniej, ale także nawracanie komunizmu przez demonstracyjnie czynione dobre uczynki. Ta postawa moralna ujawniła się w liczącym setki tysięcy osób ruchu pokojowym. Przewodziła ona, w prostej linii do powstania „Partii Zielonych”, na którą oddały głos miliony wyborców. Spoiwem tej partii stało się poczucie misji idealistycznych zapaleńców, wpatrzonych w iluzoryczne cele.

Na przykładzie dwóch pisarzy, Heinricha Bölla i Güntera Grassa, mentorów tego kierunku, można pokazać podglebie na którym ruch ten wyrósł. Ich osobiste zaangażowanie polityczne miało źródła w przekonaniu, że jako Niemcy są moralnie zobowiązani i historycznie upoważnieni do chronienia swych współziomków, ba, całej ludzkości, przed wojną i zagładą. Najważniejsze zagrożenia w tym ruchu widzi się, na zmianę, w Bundeswehrze, w NATO, kiedy indziej w amerykańskich raketach stacjonujących w Republice Federalnej lub też w skażeniu środowiska naturalnego „kapitalistycznymi chemikaliami”. Obmywając ręce z grzechów ojców, którzy wierzyli, że duch niemiecki zbawi świat (*Am deutschen Wesen soll die Welt genesen* – Emanuel Geibel), wpadli na pomysł, by go ratować przez niemiecki protest. Dla osiągnięcia tego celu uprawnione miałyby być prawie wszystkie środki. I gdy wreszcie doświadczyli – a

przykładów nie brakowało – że zarówno większość Niemców, jak i reszta świata nie pragną być przez nich zbawieni, reakcją ich było rozdrażnienie i rozczarowanie brakiem rozsądku u innych.

Mesjanizm, bez względu na formę jaką przyjmuje, nie jest wyłącznym przywilejem Niemców. Potwierdza to powszechność ruchu na rzecz pokoju. Osobliwością niemiecką jest jednak to, że wszelki idealistyczny ruch radykalny staje się tu szybciej niż gdzie indziej w Europie zagrożeniem międzynarodowym. Dzieje się tak dlatego, że historycznie uwarunkowana odporność organizmu społecznego jest tu niższa oraz dlatego, że konsekwencje polityczne osiągają tu, ze względów strategicznych, nieproporcjonalnie większe rozmiary niż gdzie indziej.

Moralna wersja rozliczania z przeszłością okazała się, jak można było przewidzieć, przedsięwzięciem daremnym. Tylko Niemcy nie myślący politycznie mogli sądzić inaczej. Samooskarżenia i publiczne wyznania skruchy nie imponowały państwu ościennym. Sąsiedzi wywoływali duchy przeszłości, gdy było to tylko korzystne ze względów politycznych czy finansowych. „Naprawianie szkód” czy „samopotępienie” nie zmieniały nastawienia sąsiadów, którzy czuli się zagrożeni wizją potężnego sąsiada niemieckiego w środku Europy. Jest to fakt. Nie da się go zatuzszować uroczystymi przyrzeczeniami poprawy moralnej. Aby coś zmienić, konieczna jest ewolucja struktur politycznych.

III. Dylemat

Wiele realnych faktów przemawia za tym, że wszystkie zaprezentowane, a także pominięte tu interpretacje „problemu niemieckiego” – kolektywistyczna, anegdotyczna, ideologiczna, socjologiczna i moralistyczna – wyjaśniły w sumie dużo mniej, niż obiecywały. Czy istnieje jednak jeszcze jakieś inne, głębsze, bardziej przekonujące, trafiające w sedno rozwiązanie „kwestii niemieckiej”?

Tomasz Mann ujął w 1914 roku tę jak węzeł gordyjski splątaną sprawę w następujących słowach: „Któż zaprzeczy, że istota niemieckości jest boleśnie problematyczna. Nie jest łatwo być Niemcem – nie tak wygodnie, jak Anglikiem, nie tak wytworknie

i pogodnie, jak żyje się na sposób francuski. Naród ma trudności z samym sobą; dręczą go niezliczone wątpliwości, cierpi i czuje obrzydzenie do samego siebie". Czy słowa te nie brzmią, jakby ich autor przeczuwał dzisiejsze samopoczucie Niemców i czy nie świadczą o tym, jak mało zmieniła się konstytucja psychiczna narodu niemieckiego? Nawet tak wybitny pisarz jak Tomasz Mann nie potrafił nazwać po imieniu przyczyn tego dziwnego stanu. To on powiedział, że Niemcy to „najgorzej znany naród Europy”. Nikt jednak nie będzie mógł uniknąć zajęcia się narodem niemieckim, o to zadbają już – prorokował Mann – sami Niemcy, gdyż „poznanie ich jest koniecznością. Życie i historia od tego zależą”. Prorocze słowa! Ale, o dziwo, sprawa pozostała nie ruszona do dnia dzisiejszego, mimo że poznanie jej jest dość łatwo osiągalne.

Koronnym świadkiem, człowiekiem, którego słów należałoby pilnie wysłuchać, jest amerykański dyplomata i historyk George F. Kennan. Jego życzliwy stosunek do problemów nurtujących Niemców nie podlega dyskusji. Może dlatego właśnie był w stanie powiedzieć im w 1954 roku nagą prawdę: „Teza o podziale Niemiec nie jest pozbawiona logiki i rozsądku. Problem niemiecki w jego obecnym kształcie zrodził się wraz z urzeczywistnieniem jedności niemieckiej, to znaczy w 1871 roku. Straszliwe wojny europejskie naszego stulecia są wyrazem tego, iż nie udało się, i prawdopodobnie nie było możliwe, znalezienie stosownego miejsca dla zjednoczonych i zarazem suwerennych Niemiec w społeczności suwerennych państw Europy. Autor tych słów zdaje sobie sprawę, że rzeczywiście konstruktywna polityka, w okresie który miał nastąpić, nie mogła polegać na ponownej próbie usytuowania suwerennych i zjednoczonych Niemiec w europejskim systemie mniejszych państw. Niemcy także, coraz silniejsze w wielu dziedzinach, zdeklasowałyby z konieczności pozostałe państwa. Niemcy mogłyby moim zdaniem pójść dwiema drogami: albo wstecz, do punktu, w którym suwerenność wielu drobnych niemieckich państewek stałaby się strawną dla innych państw, albo do przodu, to znaczy w kierunku większej wspólnoty politycznej, swego rodzaju federacji europejskiej, w ramach której jedność niemiecka byłaby do zaakceptowania, gdyż także Niemcy utraciłyby na jej rzecz swą suwerenność. Jest

oczywiste, że pierwsza alternatywa byłaby politycznie mało realnym anachronizmem prowadzącym ku przeszłości. Jedyne w drugim rozwiązaniu można pokładać nadzieję". Nie znam dobitniejszego przedstawienia istoty „problemu niemieckiego”.

Tę samą myśl, choć w odmienny sposób, wypowiedział w 1968 roku Raymond Aron: „Europejskie państwa narodowe – podobnie jak dużo wcześniej greckie miasta-państwa – obawiały się hegemonii jednego narodu. Najsilniejszy spośród nich stanowił najgroźniejszą potęgę i w ich oczach zaczynał uosabiać wspólnego wroga, mogącego zburzyć istniejący ład. Gdy Niemcy szykowały się do zjednoczenia, okazało się rychło, że stały się, chcąc nie chcąc, takim właśnie zagrożeniem. Nasuwa się wniosek, że uzasadnione i nieuniknione zjednoczenie Niemców przyniosło w efekcie napięcia i konflikty, a może nawet i tragedie, które mieliśmy przeżyć w Europie w dwudziestym stuleciu”.

Jeżeli prawdą jest to, co twierdzą Kennan, Aron i kilku innych autorów, to istotą „kwestii niemieckiej” jest następujący dylemat: niemieckie państwo narodowe jest nie do pogodzenia z europejskim systemem państw. Dlaczego? Bo w odróżnieniu od innych państw narodowych nie tylko nie dopasowało się ono do istniejącego porządku, ale wręcz go rozsądziło. Dla Niemców zabrakło miejsca w europejskim zespole narodów, gdyż państwo ich – ze względu na centralne położenie w Europie, oraz potencjał demograficzny i ekonomiczny – usuwało państwa sąsiednie w cień, budząc w nich uzasadnione poczucie zagrożenia. Gdy z kolei sąsiedzi zwierali szeregi i wzywali na pomoc resztę świata, wówczas Niemców ogarniało – także uzasadnione – poczucie zagrożenia. Sprzeczność ta, oraz budzące podejrzliwość błędne interpretacje „problemu niemieckiego”, tworzyły podglebie dla napięć, konfliktów i wojen, które nie pozwoliły Europie zaznać spokoju po 1871 roku.

To, czego uczy nas dzisiaj historia, było już oczywiste dla Leopolda von Ranke w 1838 roku: „W przypadku wielkich zagrożeń uciekamy z ufnością pod skrzydła opiekuńczego ducha, który ciągle jeszcze chroni Europę przed panowaniem jednostronnej i opartej na przemocy orientacji i który presji jednej strony przeciwstawia opór drugiej. Wobec fakt że całość łączyły z dziesięciolecia na dziesięciolecie coraz to silniejsze więzy,

mógł ten opiekuńczy duch Europy szczęśliwie ratować jej ogólną wolność i samodzielność". Mechanizm, który miał na myśli Ranke, ukrócił w swoim czasie ambicje Francji. Tenże mechanizm, co słusznie podkreślił Ludwig Dehio, dał jeszcze raz znać o sobie, w stadium agonii tradycyjnego europejskiego systemu państw, blokując skutecznie dążenie Niemców do dominacji.

Karol Marks widział wyraźnie hegemoniczne skłonności niemieckiego państwa narodowego. Problem ten postrzegał nieporównanie bardziej wyraziście niż przyszłość klasy robotniczej. W 1870 roku, na godzinę przed narodzinami tego państwa, stwierdził, że przez sam fakt jego egzystencji „wojna stała się instytucją europejską”, zaś „pokój niczym więcej niż zawieszaniem broni”. Wniosek ten był logiczną konsekwencją „prawa starego systemu politycznego”. Fryderyk Engels zaś już w 1887 roku z wizjonerską wyrazistością powiedział, że „dla pruskich Niemiec (Preußen-Deutschland) niemożliwa jest żadna inna wojna poza światową, i to wojna o dotychczas niewyobrażalnej ekspansywności i gwałtowności. Osiem do dziesięciu milionów żołnierzy skoczy sobie do gardła i oskubie Europę skuteczniej niż największa chmara szarańczy. Spustoszenia spowodowane wojną trzydziestoletnią skumulują się w trzech-czterech latach i obejmą całą Europę”. Tak rzeczywiście się stało i to dwukrotnie. Nie wydaje się jednak, by prorocza uwaga Engelsa wniosła wiele do zrozumienia przyczyn europejskiej wojny domowej. Raczej przeciwnie.

Sedno „problemu niemieckiego” polegało na tym, że narodowe państwo niemieckie – „małoniemieckie”, a jeszcze bardziej „wielkoniemieckie” – osiągnęło w ramach europejskiego ładu politycznego „masę krytyczną” (K.G. Kiesinger). Było na tyle silne, że budziło obawy sąsiadów, za słabe zaś by zburzyć fundamenty tradycyjnego porządku europejskiego. Sprawa staje się bardziej wyrazista, gdy dokonamy następującego rachunku. Gdyby liczba Niemców w Europie wynosiła 7 milionów, wówczas nie byłoby mowy o „problemie niemieckim”. Zachowywaliby się z całą pewnością tak jak pozostałe, mniej liczne narody. Nie byłoby również „problemu niemieckiego”, gdyby liczba Niemców w Europie wynosiła 140 milionów. Europa byłaby wówczas zdominowana przez Niemców, podobnie jak Stany

Zjednoczone zdominowane były i są przez Anglosasów, czy Związek Radziecki, a poprzednio imperium carskie, przez Rosjan. Fakt, że Niemcy liczą nie siedem i nie sto czterdzieści, lecz około siedemdziesiąt milionów mieszkańców, określa nieszczęścia i ich, i Europy, która nie potrafiła znaleźć *modus vivendi* z niemieckim państwem narodowym. W czasie swojej tysiącletniej historii Niemcy tylko siedem jakże okrutnych lat 1938-1945 żyli w państwie obejmującym cały naród. Tak więc, w efekcie, Niemcy pozostały pojęciem geograficznym, bądź – jak to określił A. Hillgruber – „nieukończonym, niemożliwym do ukończenia państwem narodowym”.

Na czym polega cały dylemat? Na tym, że na przeciwległych biegunach znalazły się dwie międzynarodowo uznawane, a więc prawomocne zasady, które w przypadku niemieckim były nie do pogodzenia: zasada europejskiej równowagi, gwarantująca poszczególnym państwom wolność i niezależność, oraz zasada przez wszystkich chronionej i cenionej samostanowienia narodów.

Gdy Niemcy uparcie dążyli do posiadania państwa narodowego, opierając się na przysługującym im, podobnie jak innym narodom prawie, wówczas inni, mający takie państwo, mieli im to za złe i nie dopuszczali do przekształcenia możliwości w rzeczywistość. Było to zrozumiałe. Nie czyniąc tego, naraziliby swe społeczeństwa na utratę suwerenności państwowej. Gdy europejscy sąsiedzi Niemiec z obcą pomocą i przy użyciu siły dążyli do utrzymania równowagi w Europie, wówczas Niemcy mieli im to za złe, bronili się, dążąc mimo wszystko do utworzenia zakazanego im państwa narodowego; także przy użyciu siły. To też było zrozumiałe. Dlaczego niby mieli zrezygnować z przysługującego im prawa, z którego inni bezceremonialnie korzystali? Winni byli kierować się interesem Europy? Na to nikt nie zwracał uwagi. Interesy narodowe miały pierwszeństwo, były ponad wszystkim.

Czy nie ma wyjścia z tego dylematu? Jedno jest pewne: nie ma go w ramach europejskiego układu równowagi. Każda ewentualność, niezależnie od najlepszej czy najgorszej woli, jest nie do pogodzenia z prawem Niemców do narodowego samostanowienia. Wszelkie próby kończyły się fiaskiem. Rezultatem była bądź hegemoniczna pozycja Niemiec, bądź ich dyskryminacja.

Jedno i drugie nie wychodziło Europie na dobre. Próby były kosztowne i daremne. Nie oznacza to jednak, że sytuacja jest rzeczywiście nie do rozwiązania.

IV. Rozwiązania

Tradycyjna europejska równowaga nie została złamana przez jeden naród. Nie uczynili tego Hiszpanie w XVI wieku, Francuzi w XIX, ani też Niemcy w naszym wieku. Uległa ona rozkładowi w okresie wojny o hegemonię, trwającej trzydzieści jeden lat, od 1914 do 1945 roku. Europejski układ równowagi sił zastąpiony został przez globalny system równowagi, któremu ton nadają dwa pozaeuropejskie mocarstwa światowe. Od 1945 roku o losach Europy decydują Stany Zjednoczone i Związek Radziecki. Żadna z potęg europejskich nie ma istotnego wpływu. Ten fakt powinien ułatwić ostateczne rozstanie się ze starym, niefunkcjonalnym systemem państw w Europie i ukazać nieodzowną konieczność zastąpienia go nowym, wewnątrznie zintegrowanym systemem państw europejskich. Jak dotychczas nie udało się jednak wyjść poza stadium początkowe.

Bezpośrednie zaangażowanie obu supermocarstw uniemożliwiło po wojnie niezbędną przebudowę Europy. Nie była możliwa restrukturalizacja w Europie Wschodniej, zaś w zachodniej części kontynentu nie odczuwano takiej potrzeby. Oba mocarstwa nie tylko gwarantowały europejskie powojenne *status quo*, ale także utrzymywały stare struktury narodowo-państwowe. Z tych też względów obraz potencjalnych kierunków ewolucji systemu europejskiego rysuje się dziś inaczej niż w okresie, kiedy powstały cytowane wyżej rozważania Kennana. Obecnie rysują się trzy możliwe warianty rozwoju Europy. Każdemu z nich przyporządkować można odmienne rozwiązanie „problemu niemieckiego”.

Po pierwsze – jeżeli w dającym się przewidzieć czasie nie uda się Europejczykom wyemancypować spod wpływów supermocarstw, kontynent nasz stanie się w większym jeszcze niż dotychczas stopniu podzielonym kondominium pozostającym pod ich kuratelą. Neutralizacja Niemiec – jak i kilku innych państw – będzie stanowić dla nich ciągłą pokusę, by na tej drodze szukać

wyjścia z pata podzielonej Europy. Szanse na taki kierunek rozwoju, przy istniejącym układzie sił, równają się jednak zeru.

Po drugie – restauracja tradycyjnego systemu państw w Europie, która dla George'a F. Kennana była już w latach pięćdziesiątych chimera, miałaby rzeczywiście tylko wtedy szanse, gdyby oba mocarstwa jakimś cudem jednocześnie dotknięte zostały paraliżem. Tylko kryzys, a nie odprężenie, mógłby wymusić na nich wstrzemięźliwość w działaniach na terenie Europy, a nawet spowodować ich ustąpienie z jej terytorium. W tym mało prawdopodobnym przypadku, siły europejskie zdobyłyby szerokie pole manewru, co pozwoliłoby bronić im swoich interesów narodowych. Odrodzenie europejskiego systemu równowagi prowadziłoby jednak nieuchronnie do zamartwychwstania „problemu niemieckiego”: Niemieckim dążeniem zjednoczeniowym przeciwstawiliby się z pewnością ich sąsiedzi, nie byłoby jednak w stanie zapobiec przywróceniu jedności bez odwoływania się do mocarstw pozauropczyjskich, które wróciłyby w ten sposób ponownie na scenę. Tylko od siły i taktyki supermocarstw zależałoby, które z nich stałoby się hegemonem w Europie. W każdym przypadku klęskę ponieśliby Europejczycy.

Po trzecie – polityczna integracja Europy wydaje się być jedy-
ną drogą, którą Europejczycy mogą dojść do samodzielnego decydowania o swoim losie. Polityczna integracja jest nie tylko *conditio sine qua non* emancypacji Europy. Jej swoistym produktem ubocznym byłoby rozwiązanie „problemu niemieckiego”. W sfederalizowanej Europie znalazłoby się stosowne miejsce dla niemieckiego państwa narodowego, jako równoprawnego członka wspólnoty. Tak więc dopiero w zintegrowanej Europie byłoby możliwe rozwiązanie, które okazywało się dotychczas niemożliwe na podzielonym na suwerenne państwa kontynencie.

Rozwiązanie to, zgodnie z duchem czasów, godzi interesy Niemców z dążeniami pozostałych Europejczyków. Decyzje dotyczące całej Europy pozostawałyby w rękach wszystkich narodów kontynentu. Ani siły pozauropczyjskie, ani jakakolwiek europejska siła hegemoniczna nie mogłaby być kompetentna w sprawach Europejczyków. Podstawowym warunkiem wspomnianego rozwiązania jest istnienie instancji europejskiej, mającej realne

kompetencje do występowania w imieniu narodów, które połączyły się w polityczną wspólnotę europejską.

Co przemawia przeciwko tej idei? Gdyby uczynić wybranych reprezentantów politycznej wspólnoty „sędziami pokoju” w wewnętrznych sprawach Europy, wówczas Niemcy, rezygnując z suwerenności, wypuściliby także z własnych rąk sprawę zjednoczenia narodowego. Taki pogląd głosi na przykład profesor Wolfgang Seiffert, były mieszkaniec NRD i członek SED. Kwestia ta przestałaby być sprawą samych Niemców. W nowej konstelacji decyzje zapadałyby w kompetentnych gremiach europejskich. A cóż na to sami Niemcy? Czy uważają oni naprawdę, że zjednoczenie jest możliwe wbrew woli pozostałych Europejczyków lub wręcz za ich plecami? Otóż nie. Niemcy mogą zjednoczyć się tylko za zgodą pozostałych członków federacji. Zjednoczenie narodu niemieckiego jest do pomyślenia tylko wtedy, gdy chcieć tego będą Niemcy z Republiki Federalnej i z NRD, oraz gdyby zostało ono zrealizowane w ramach politycznego zintegrowania wspólnoty europejskiej. Istnienie wspólnoty europejskiej tego rodzaju – jeśli traktować rzecz trzeźwo i bez iluzji – stanowi przesłankę realizacji również przez Niemców ich prawa do samookreślenia, jeśli będzie im wtedy w ogóle jeszcze zależało na skorzystaniu z tego prawa. Ma się rozumieć, że podstawą tak zorganizowanej politycznie Europy byłaby jej demokratyczna prawomocność, co oznacza, że podejmowane decyzje byłyby oczywiście podstawą działania politycznie zorganizowanej Europy. Za takim rozwiązaniem, odbierającym suwerenność poszczególnym państwom kontynentu europejskiego, przemawia fakt, że suwerenność, zwłaszcza mniejszych z nich, była i tak już od dłuższego czasu fikcją. Natomiast większym spośród nich – jeżeli nie chcą zapłacić wysokiej ceny za zaniechanie zjednoczenia – zależeć musi coraz bardziej na splątaniu ich własnych interesów z interesami Europy. Oczywiście, Niemcom może zależeć na takim właśnie rozwiązaniu. Jerzy Krasucki, a także niektórzy inni autorzy, sformułowali kilka zastrzeżeń dotyczących powyższej koncepcji. Twierdzą oni, że zainteresowanie Niemców stworzeniem politycznej wspólnoty europejskiej jest aż nadto zrozumiałe, bowiem byłaby to dla nich wprawdzie okrojona, ale jednak droga do zdobycia dominacji w Europie. Co sądzić o takiej argumentacji?

Dość prosty rachunek wskazuje, że Republika Federalna Niemiec licząca łącznie z Berlinem Zachodnim blisko 62 miliony mieszkańców stanowi 19,4% ludności Wspólnoty Europejskiej (320 milionów osób). Oba państwa niemieckie wraz z Berlinem liczą około 80 milionów mieszkańców, to znaczy 14,9% wszystkich Europejczyków (536 milionów). Republika Federalna posiada w dzisiejszym parlamencie Europejskim 81 miejsc na 521 zasiadających tam deputowanych (15,5%), którzy głosują z reguły nie według przynależności państwowej, lecz orientacji partyjno-politycznej. Można przyjąć, że w Ogólnoeuropejskiej Izbie Deputowanych, liczącej przykładowo 500 posłów, Niemcy miałyby 75 reprezentantów, proporcjonalnie do liczby mieszkańców i zgodnie z geografią ugrupowań politycznych. Natomiast w Ogólnoeuropejskiej Izbie Krajów, gdzie każdy kraj reprezentowany byłby przez jednego przedstawiciela, Niemcy miałyby naprzeciw siebie 33 przedstawicieli reszty federacji. W liczącym, powiedzmy, osiemnastu członków rządzie europejskim pozostawiono by Niemcom jeden lub dwa resorty. W obliczu tak jednoznacznych proporcji Niemcy nie mogłyby nawet marzyć o narzuceniu przywództwa Europie.

Zaletą wspólnoty europejskiej byłoby wykluczenie raz na zawsze niemieckich dążeń hegemonicznych. Niemiecki organizm polityczno-gospodarczy zostałby wprzęgnięty do służby na rzecz Europy, a nie Europa na rzecz Niemiec. Na takim rozwiązaniu skorzystałby wszyscy Europejczycy, nie tylko Niemcy. Na tym właśnie polega sens i cel politycznego zjednoczenia Europy.

V. Aspekty

Jeden z biografów generała de Gaulle'a przytacza znamienne anegdotę. Gdy jeden z jego ministrów, wskazując palcem na mapę Europy, zauważył, że podział Niemiec jest bardzo korzystny dla Francji, de Gaulle miał odpowiedzieć: „Przecież powtarzam to już od tysiąca lat”. Stwierdzenie to było słuszne w epoce państw narodowych w Europie. Wygląda jednak na to, że tysiąc lat Generała już minęło. Politykę francuską obowiązywała uprzednio zasada ujęta w powiedzonku François Mauriac: „Kochamy Niemcy tak bardzo, że życzymy sobie, by istniało

możliwie dużo państw niemieckich". Obecnie jednak, w zintegrowanej Europie, Francja zainteresowana jest istnieniem możliwie silnych Niemiec. Od tego bowiem zależy jej własne bezpieczeństwo i pomyślność.

Konrad Adenauer powtarzał wielokrotnie, że celem politycznej integracji europejskiej jest nie tylko zagwarantowanie bezpieczeństwa innych Europejczyków w obliczu państwa niemieckiego, ale także „ochrona Niemców przed nimi samymi”. Czy warto pomóc Niemcom? Czy warto pomóc innym narodom? Jeżeli leży to w interesie Europy, to na pewno warto.

Winston Churchill powiedział ongiś: „Nie mieliśmy niczego przeciwko cesarzowi, a także przeciwko Hitlerowi. W obu zwalczyliśmy jedynie niemiecką hegemonię w Europie”. Czy opisując istotę „problemu niemieckiego” tak jak go rozumiał Churchill – to znaczy, widząc jego przyczyny w dążeniu Niemców do hegemonii z jednej strony, a trwaniem pozostałych Europejczyków na pozycjach układu równowagi sił z drugiej – stwarzam wrażenie bagatelizowania przeszłości, tragicznego rozwoju wypadków w Europie w ostatnim stuleciu? Na to pytanie odpowiem następująco: łatwo jest jednego człowieka, Hitlera, lub pojedynczy naród, Niemców, czynić odpowiedzialnymi za całe zło niedawnej przeszłości. Byłoby to jednak daleko idące uproszczenie. Prawda nie jest aż tak jednoznaczna. Na dłuższą metę nie da się zatuszować tego, co jest oczywiste: najnowszą historią Europy nie jest ani dziełem jednostki, nawet Hitlera, ani pojedynczego narodu, w tym przypadku Niemców. Można ją zrozumieć, jeśli weźmie się pod uwagę społeczne uwarunkowania i fakty, wszystko co łączy i dzieli Europę. Hitler w Kambodży! Komu, prócz mieszkańców tego kraju, mogłoby to przeszkadzać? Niemcy na Malcie! Kto by się bał ich wówczas?

Ważne jest widzenie całokształtu spraw, uwarunkowań i konsekwencji, akcji i reakcji, motywacji i zachowań aktorów wydarzeń. Dopiero kompleksowe podejście pozwala na bardziej obiektywną ocenę europejskiego systemu państw i roli, jaką w jego ramach odgrywały Niemcy.

Struktury polityczne nie zwalniają jednak nikogo od osobistej odpowiedzialności. Interesy narodowe nie mogą, bez względu na warunki, unieważniać ogólnoludzkich zasad etycznych. Co

lub kto jest winien, że Niemcy nie mogli cieszyć się własnym państwem narodowym – naturalną formą istnienia innych narodów – poza tragicznym okresem lat 1938-1945? Co lub kto określał za rzecz sprawiedliwą traktowanie przez sąsiadów równowagi państw europejskich jako najwyższego dobra politycznego? Być może w przyszłości Niemcy uzyskają państwo narodowe, o które tak długo i daremnie walczyli, i istnienie jego nie będzie budziło obaw sąsiadów, a jednocześnie europejski układ równowagi, o którego utrzymanie sąsiedzi ci walczyli tak skutecznie, pójdzie w zapomnienie. Historia zna takie paradoksy.

Powyższe rozważania miały na celu podkreślenie, jak nieprostą rzeczą, jeśli chodzi o historię, jest jednoznaczne oddzielenie racji od braku racji, winy od braku winy, i to zarówno w odniesieniu do jednostek, jak i całych narodów. Wypada o tym pamiętać, gdyż w piśarstwie historycznym, zwłaszcza krajów zwyciężczych, łatwo się o tym zapomina.

Jeżeli w historii, o której tu mówiliśmy, wiele było ciemnych plam, to prawdopodobnie wynikało to z faktu, że po obu stronach konfliktu stało prawo, przynajmniej w przekonaniu zainteresowanych. Jeśli przyznamy, że każda ze stron mogła mieć subiektywne poczucie, że działa zgodnie z przysługującym jej prawem, to postępowanie ich stanie się bardziej zrozumiałe. W każdym razie bardziej, niż gdybyśmy przypisywali im nieuczciwe metody, patologiczne skłonności czy społeczne zdeprawowanie. Uwaga ta odnosi się do wszystkich narodów biorących udział w wojnach o hegemonię.

Od Tukidydesa, pierwszego dziejopisarza europejskiego, możemy uczyć się odróżniania bezpośrednich powodów od głębszych przyczyn konfliktów międzynarodowych. W jego opisie wojny peloponeskiej między sprzymierzeńcami Ateńczyków i Spartanami, w wyniku której legł w gruzach system greckich *polis*, czytamy: „By odpowiedzieć na pytanie, jak mogło w Grecji dojść do tak straszliwej wojny, chcę zaraz na początku wskazać na jej praprzyczynę. Był nią, o czym się właściwie nie mówi, lęk Lacedemończyków (czyli Spartan – H. W.) przed rosnącą potęgą Aien”. Rosnąca potęga jednej ze stron, mogąca obalić chwiejną równowagę sił w greckim systemie miast-państw

i zastąpić ją przez hegemonię, jest, zdaniem Tukidydesa, przyczyną konfliktu. Coś podobnego wydarzyło się we współczesnej Europie.

Istnieje wiele przykładów historycznych na to, jaką rolę w życiu narodów odgrywała pokusa skorzystania z domniemanej niepowtarzalnej szansy. Historia państwa Monako u początków czasów nowożytnych, kiedy trwał nie kończący się konflikt z Genuą, Wenecją i Neapolem, należy do najbardziej krwawych w Europie. Stosunki między nimi są dzisiaj idylliczne. Czy mieszkańcy Monako zmienili się aż tak bardzo? Czy też zmniejszyła się groźba konfliktów na skutek zmiany układu, w którym egzystuje to państewko? Nadzwyczaj uspokajająca musi być także dla mieszkańców Monako świadomość, iż oni sami nie są w stanie spowodować nieszczęść na nasz świat, nawet gdyby ich wszystkich diabeł opętał. Może to, co teraz powiem, zostanie uznane za zbyt odważne proroctwo, ale uważam, że istnieje tu analogia do sytuacji Niemców, pod warunkiem, że znaleźliby się oni na trwałe i nieodwołalnie w społeczności politycznie zintegrowanej Europie.

Niemcy w okresie rozdrobnienia dzielnicowego były przez szereg wieków próżnią polityczną, terenem przemarszów i walk obcych wojsk. Wówczas nie budziły obaw, nie stanowiły dla innych zagrożenia. Stan uległ zmianie – wspominaliśmy już – wraz ze zjednoczeniem państwa w 1871 roku. Od tego czasu, jak zauważył Raymond Aron, Niemcy, nowa potęga na kontynencie, były *nolens volens* nosicielem wojen i napięć w Europie. Rolę odgrywała tu siła Niemiec i ich pokusa dominacji. Czy istnieje jednak naród, który by w takich warunkach nie uległ tej pokusie? Nie jest to oczywiście usprawiedliwienie.

Max Weber napisał w 1916 roku słowa, które mogą stanowić motto tego wykładu: „Nie chcąc ryzykować wojny (chodzi o pierwszą wojnę światową — H. W.), mogliśmy poniechać utworzenia Rzeszy i trwać dalej jako naród w małych państewkach. Panowanie Francji nad Alzacją chroniło nas przed nią w niewielkim stopniu. W równie nikłym stopniu chroniłaby nas przed wojną rezygnacja z posiadania państwa narodowego. Wojna byłaby i tak nieunikniona: jedni walczyliby jako państwo nadreńskie w interesie francuskim, inni jako namiestnicy rosyj-

szy potykałby się w interesie rosyjskiej satrapii, albo, jak poprzednio bywało, walczone by po to, by i tak ustąpić pole bitwy innym... Ponieważ jednak nie jesteśmy narodem śladmio- lecz siedemdziesięciomilionowym, przesądziło to o naszym losie”.

Wszystko co pozwoliłem sobie tu przedstawić, jest niczym więcej, jak komentarzem do powyższych słów, nad którymi warto się zadumać.

Helmut Wagner

NAKLADEM

ANeksu

Teresa Torńska

ONI

Rozmowy z czołowymi funkcjonariuszami komunistycznymi:
J. Bermanem, L. Chajnem, W. Kłosiewiczem, J. Mincową,
E. Ochabem, S. Staszewskim i R. Werflem.

Str. 368

Cena: £ 7,00; \$ 14,00

Adam Zagajewski

JECHAĆ DO LWOWA

Wiersze z ilustracjami
JÓZEFA CZAPSKIEGO

Str. 80

Cena: £ 3,00; \$ 7,50

POLSKA 5 LAT PO SIERPNIU

Wstęp Lecha Wałęsy

RAPORT sporządzony przez liczny zespół naukowców
i działaczy społecznych. DZIAŁY: Prawo i praworządność –
Gospodarka w kryzysie – System polityczny i impas reformy
– Warunki życia i pracy – Oświata – Nauka – Kultura –
Z perspektywy Sierpnia.

Str. 366

Cena: £ 6,00; \$ 12,00

Rubem Cesar Fernandes

OBRAZY MĘKI PAŃSKIEJ. KOŚCIÓŁ W BRAZYLII I W POLSCE

Kościół w Brazylii i w Polsce zdają się być tak od siebie odległe, że porównanie, które chcę podjąć, wymaga wyjaśnienia. Względem osobiste odgrywają tu pewną rolę: oba kraje stanowią część mej biografii i czuję potrzebę zbliżenia ich do siebie. Myślę jednak, że moje zainteresowania, choć wynikające z przypadku, mogą pobudzić refleksje także u innych.

Oto dwa Kościoły położone na obrzeżach zachodniego chrześcijaństwa, których szczególne znaczenie widzi się dziś nie tylko w tych krajach, ale także w całym świecie katolickim. To uznanie wzrosło w ciągu ostatnich dwudziestu lat, w okresie europejskiego otwarcia ku peryferiom.

Zarówno w Brazylii, jak i w Polsce Kościół katolicki daje dowody skuteczności swych działań. Stał się głównym strażnikiem wartości humanistycznych uznawanych przez nas za podstawowe. Tych wartości, którym zagrażają rządy autorytarne i nietolerancyjne. W latach siedemdziesiątych w obu tych krajach Kościół stał się prawdziwym „sanktuarium obywatelskiego nieposłuszeństwa”.

Funkcje społeczno-polityczne, które Kościół wziął na siebie w ostatnich latach, wynikają z konkretnej sytuacji obu krajów. Ale przy okazji ujawniła się także żywotność pewnych form kulturowych, które bywają traktowane przez konformistów różn-

proweniencji, jak również przez znaczną część intelektualistów katolickich, jako anachroniczne. Wyłania się więc jeszcze jedna, szersza płaszczyzna możliwych porównań Kościoła w Brazylii i w Polsce. W obu krajach obecne są wciąż ślady katolicyzmu średniowiecznego, dobrze współlistniejące ze współczesną wyobraźnią. Ta sytuacja, egzotyczna dla zachodnich Europejczyków i Amerykanów z północy, jest jednak typowa, wręcz banalna na szerszych obszarach katolickiej peryferii. Idea „długiego średniowiecza” sformułowana przez Jacques le Goffa pomaga nam w myśleniu o naszych Kościołach.

Istniejące więc elementy wspólne o dłuższym czy krótszym rodowodzie umożliwiają porównanie. Trzeba jednak od razu podkreślić, że ewolucja obu Kościołów bywała rozbieżna. Czasem widzę je jako przeciwstawne, jako dwie różne strony tego samego świata; muszę wręcz uważać, by nie zredukować obrazu Kościoła w jednym kraju do wizerunku symetrycznie przeciwstawnego drugiemu. Jestem jednak przekonany, że kontrastowy obraz może być poznawczo płodny.

Ambicją niniejszego artykułu jest dokonanie porównania wychodzącego poza powierzchnię zjawisk. Będąc jednak u początków szeroko zakrojonych badań, zmuszony jestem wysuwać tezy, które powinny być bardziej zniuansowane i lepiej udokumentowane. Przedstawiając zaledwie szkic badań, postanowiłem, dla większej swobody, wykluczyć wszelkie odnośniki bibliograficzne. Podzieliłem mój wywód na dwie części. Najpierw zajmować się będącymi cechami o dłuższym rodowodzie, które możemy nazwać „kulturowymi”, następnie głównymi ideami wynikającymi z obecnej sytuacji, o znaczeniu bardziej politycznym. Subtelna osnowa tych wątków o dłuższym i krótszym rodowodzie pozostanie oczywiście nietknięta. Ograniczę się tu do zasugerowania, że w Brazylii jak w Polsce więzią łączącą te dwa wymiary czasu jest żywa i typowo katolicka pamięć o Męce Chrystusa.

Porównanie Kościołów polskiego i brazylijskiego nie jest, rzecz jasna, jedynym ważnym dla współczesnego katolicyzmu. Byłoby na przykład bardzo interesującym porównać je z Kościołami działającymi w warunkach kulturowej dominacji klasy średniej i liberalizmu, jak na przykład w Stanach Zjednoczonych czy Holandii. Te różne konteksty kształtują i współokreślają oblicze katolicyz-

mu Kościoła rzymskiego, napełniają treścią jego powołanie, którym jest budowanie jedności w różnorodności. Należy żałować, że badania porównawcze, często stosowane w innych dziedzinach, występują tak rzadko w studiach nad życiem religijnym.

1. ORGANIZACJA KOŚCIELNA

Powolania

Żywotność Kościoła, tak w Brazylii jak w Polsce lat siedemdziesiątych, wyraziła się wzrostem liczby powołań do stanu duchownego, gdy w tym samym okresie na świecie ich liczba spadła. Generalnie biorąc między 1973 i 1982 ilość kapłanów katolickich zmniejszyła się na północy (w Ameryce Północnej i w Europie), wzrosła na południu (w Ameryce Południowej, w Azji południowo-wschodniej i w Afryce). Wzrost był szybki w Polsce, wolniejszy w Brazylii. W 1982 r. odsetek seminarzystów w stosunku do ogólnej liczby księży wynosił 34,8% w Brazylii i 36,5% w Polsce. Liczby te, dwukrotnie wyższe niż średnia światowa, świadczą o atrakcyjności kariery duchownej w obu krajach, choć różnice między nimi są znaczące. Nie należy bowiem zapominać, oceniając powyższe dane, że ogólna liczba księży jest znacznie mniejsza w Brazylii niż w Polsce. Ponadto, seminarzyści brazylijscy opuszczają uczelnie często przed ukończeniem studiów, co prawie nie zdarza się w Polsce.

Oceniając rozwój obu Kościołów, pamiętać należy o jeszcze jednym czynniku – o kadrach laikatu. Bez uwzględnienia bardzo licznych powołań laikkich trudno zdać sobie sprawę z dynamizmu Kościoła brazylijskiego: działalność „Podstawowych wspólnot kościelnych” (CEBS) jest niewyobrażalna bez udziału „ministrantów laikkich”, także w spełnianiu sakramentu Eucharystii. W Brazylii istnieje obecnie prawie sto tysięcy zorganizowanych wspólnot CEBS.

Laikat odgrywa także decydującą rolę w duszpasterstwach specjalistycznych. Dodać do tego należy jeszcze organizacje pozapaństwowe (ONGS), które rozpowszechniły się w latach siedemdziesiątych, angażując kadry klasy średniej, a zwłaszcza intelektualistów, do pracy nad awansem społecznym ubogiej ludności.

W ostatnio opracowanym, niepełnym raporcie wymieniono 1.041 organizacji tego typu. Choć niezależne i laickie, są one w 40% bezpośrednio powiązane z Kościołem. Podkreślić także należy, że obrzędy kościelne (święta, pielgrzymki, nowenny) w dużym stopniu, i to już od epoki kolonialnej, opierają się na laikacie.

Hierarchia

W obydwu krajach Kościoły tworzą złożoną organizację, która przenika całą strukturę społeczną. Schemat organizacji jest jednak całkowicie odmienny. W Polsce Prymas skupia wiele przywilejów i tradycyjnie cieszy się dużym autorytetem. W Brazylii ten tytuł jest czysto honorowy, zaś Episkopat kierowany jest przez radę wybraną przez zgromadzenie biskupów, na wzór parlamentu. Episkopat polski jest stosunkowo mały: w 1982 roku liczył 27 diecezji i nieco ponad 80 biskupów. W Brazylii Episkopat jest bardzo liczny: w 1984 roku, 245 diecezji i 362 biskupów. Polska posiada (w 1982 r.) znaczną liczbę księży, z zakonnikami prawie 20.000. Brazylija ma ich niewielu, w 1983 roku około 13 tysięcy. Hierarchiczna piramida brazylijska jest więc nieco ułomna: szeroki wierzchołek spoczywa na wąskiej podstawie. W 1984 r. przypadało tylko 36 księży na jednego biskupa. Piramida polskiego Kościoła ma mocniejszą podstawę: w 1982 r. było 245 księży na jednego biskupa. Schodząc nieco niżej wzdłuż piramidy, proporcje ulegają odwróceniu: udział laikatu w kierowaniu pracami Kościoła jest w Polsce bardzo skromny w porównaniu z Brazylią.

Kościół i społeczeństwo

Różnica między Polską i Brazylią pogłębia się jeszcze bardziej, gdy rozważa się problem stosunków Kościoła ze społeczeństwem. Ludność Brazylii jest prawie czterokrotnie liczniejsza niż w Polsce, zaś liczba księży znacznie mniejsza. Przeciętnie 1.860 wiernych przypada na jednego księdza w Polsce (1982) i 10.018 w Brazylii (1983). Co więcej, ogromne odległości czynią brak kapłanów w Kościele brazylijskim bardziej jeszcze dotkliwym.

Podobne różnice występują w sieci parafii. W Polsce jest ona znacznie gęstsza (7.715 parafii w 1982) niż w Brazylii (6.588 parafii w 1982), przy 27 razy większej powierzchni kraju. Nadto, przeszło dwie trzecie parafii w Brazylii utworzono dopiero w dwudziestym wieku. W Polsce przeszło dwie trzecie parafii powstało wcześniej.

W Polsce nie istnieje zjawisko „księży cudzoziemskich”; księża pracują zazwyczaj w tych samych diecezjach, w których uzyskali święcenia. W Brazylii, udział cudzoziemców jest znaczący. W roku 1982 było prawie 27% cudzoziemców wśród biskupów i 40% wśród księży. Kler Brazylii jest wspaniałym przykładem powszechności Kościoła rzymskiego. Składa się z przedstawicieli przeszło 64 krajów, przybyłych z pięciu kontynentów. Księża urodzeni w Brazylii są częstokroć synami emigrantów z Niemiec, Polski itp.

Z powyższego wynika zasadnicza różnica więzów łączących kapłanów z wiernymi. W Polsce kapłan jest „miejscowy” i uczestniczy w pamięci i tożsamości zbiorowej. Przeciwnie w Brazylii, gdzie kapłan ma inne korzenie niż ogół jego wiernych. Typowy ksiądz brazylijski mówi po portugalsku z obcym akcentem. Nie oznacza to, że należy do innego świata: jest akceptowany przez wiernych, jedynie jego sposób mówienia i bycia są inne.

Oprócz tych różnic dotyczących samej struktury i tradycji obu Kościołów uwzględnić trzeba szczególnie tendencje lat siedemdziesiątych, które zaakcentowały inne w obu krajach aspekty symboliczne funkcji kapłana. W Polsce znaczenie stanu duchownego wzrosło niepomniernie. Księża stali się głównymi łącznikami ze sferą sacrum, tak w planie indywidualnym jak społecznym. Wzrósł nie tylko prestiż księży, ale także i ich autorytet wynikający z faktu zostania księdzem poprzez rezygnację z losu ogółu śmiertelników. Okoliczności sprawiły, że charyzma funkcji kapłańskich wpłynęła nawet na ich sytuację materialną. W surowych warunkach socjalizmu w stanie kryzysu kariera księdza zapewnia znowu pewne korzyści.

W Brazylii przeciwnie: funkcja kapłana została jakby pomniejszona. W latach siedemdziesiątych pojawiło się oczekiwanie, by kler rezygnował ze swej pozycji i zaszczytów, stał się

bardziej skromny na wzór ubogich i samego Jezusa z Nazaretu. Funkcje liturgiczne kapłana oczywiście nie zniknęły, lecz okoliczności uczyniły z kapłana przede wszystkim „animatora” symbolicznego przekazu, którego początek i koniec są poza nim. Kapłan realizował się nie poprzez odróżnianie się, lecz poprzez identyfikację z bliźnimi. Nawet dokumenty kościelne przejęły funkcjonalny język socjologii, mówiąc o kapłanach jako o „działaczach”, „czy pracownikach duszpasterskich”.

2. CZYNNIKI DŁUGOTRWAŁE

Męka Pańska

Pomimo wszystkich różnic Brazylijczyk nie czuje się zagubiony w praktykach katolicyzmu polskiego. Świece, święci, cuda, procesje, orkiestry i pielgrzymki są mu dobrze znane. W 1984 r. śmierć księdza Popiełuszki w Polsce i prezydenta Tancredo Neves w Brazylii wywołały zdumiewająco podobne reakcje polegające na identyfikowaniu się z ich agonią, jakby całe społeczeństwo podzielało ich śmierć, oraz na identyfikowaniu ich (naszego) cierpienia z Męką Chrystusa, która je uświęca. Tak w Polsce jak w Brazylii nawet niewierzący uczestniczyli w tym uobramieniu wydarzenia z rytuałem Wielkiego Tygodnia i w tym kreowaniu nowych świętych. Groby Popiełuszki i Tancredo stały się z dnia na dzień nowymi celami narodowych pielgrzymek.

Katolicka treść tych przeżyć staje się widoczna w porównaniu na przykład z reakcjami na śmierć prezydenta Kennedy'ego w Stanach Zjednoczonych. Tutaj reakcje koncentrowały się wokół pytania, czy przyczyną śmierci był „spisek”, czy „wybujałe ambicje” samotnego zabójcy? I choć śmierć prezydenta Stanów Zjednoczonych wywołała w społeczeństwie wstrząs i powszechne uczucie bólu, jasne było, że John Fitzgerald Kennedy zmarł samotnie. Wiceprezydent natychmiast przejął jego funkcje; wdowa powtórnie wyszła za mąż; imię zabitego stało się częścią dziedzictwa partii politycznej, która doprowadziła do jego wyboru. Dramat dotknął naprawdę tylko jego rodzinę. Kennedy nie stał się świętym, lecz jedynie przykładową ofiarą szaleństwa,

które towarzyszy sukcesowi. Przywódcy północno-amerykańscy mogą reprezentować społeczeństwo zgodnie z prawem, ale go nie uosobiają. Bohaterowie są oddaleni od ogółu śmiertelników jak gwiazdy filmowe i to wystawia ich na niebezpieczeństwo. Wyobraźnia liberalna i protestancka nie myli zasad życia w społeczeństwie, które są proste i wspólne dla wszystkich, z niezwykłymi czynami niektórych jego członków. I tak jak zarówno kapłaństwo jak i prawo są uniwersalne, tak czas powinien płynąć nie zmieniając swego biegu na skutek wydarzeń, nawet dramatycznych.

W Brazylii i w Polsce jest inaczej; już mówi się o „świętym Tancredo” i „świętym Popieluszcze”, którym ludzie oddają się w opiekę, jakby przeżycie jednostek i wspólnoty wymagało ich wstawienictwa. Dla prawdziwego katolika, jak sędzę, niezwykłość sytuuje się w samym centrum życia wspólnoty wiernych, zaś kalendarz liturgiczny, który obejmuje cały rok, skonstruowany jest wokół Wielkiego Tygodnia. W czasie spełnia się dialektyka męczeństwa; cierpienie zostaje przewyżczone przez śmierć i zmartwychwstanie na innym poziomie egzystencji. Tak też przeżywano śmierć Tancredo i przejście w ciągu 40 dni od autorytarnego reżymu ku „Nowej Republice”. W Polsce, w związku z księdzem Popieluszką ten sam rytuał rozciągnął się w czasie jak w nie kończącej się pielgrzymce.

Miejsce święte znajduje się nie w centrum, jest miejscem spełniania się niemożliwego i zadośćuczynienia cierpieniu. Dlatego wierni pozostawiają na boku swą codzienność i wyruszają w pielgrzymki, które nadają sens czasowi i przestrzeni, w których żyją. Cykliczny ruch pielgrzymek, tak niepojęty dla pielgrzyma purytańskiego zniierzającego prosto ku niebiańskiej ojczyźnie, ma decydujące znaczenie w kształtowaniu odczuć wiernych w Brazylii i w Polsce.

Maria

Męczeństwo zbliża świętych i wiernych do Pasji Chrystusa, a wszyscy znajdują się pod opieką Marii. W utwierdzonej tradycji wyobraźni katolickiej Jezus nie był sam na krzyżu. Jeśli Ojciec był daleko, Matka była blisko Niego we wszystkich chwilach

męczeństwa. Podczas gdy Męka Chrystusa nadaje sens wszystkim cierpieniom człowieka, wprowadzając niezwykłość do samego ośrodka wspólnie przeżywanego czasu i przestrzeni, obecność Marii zapewnia opiekuńczą ciągłość poprzez kryzysy i cierpienia niszczące ten czas i przestrzeń. Maria, która sama nie zaznała męczeństwa, wspiera umęczonych. W katolicyzmie polskim i brazylijskim w centrum znajduje się nie samotna jednostka, nawet jeśli miałby nią być sam Bóg, ale relacja, stosunek syna i matki, który nie może zostać zerwany nawet poprzez śmierć.

W Brazylii i w Polsce kult Marii jest dominujący; może o tym zaświadczyć prosta statystyka: około 24% polskich parafii, a więc jedna na cztery jest pod wezwaniem Marii. Jezus daje swoje imię tylko 11% parafii, a Bóg – 4%. W Brazylii różnice są jeszcze większe: imię Marii nosi 37% parafii, a więc więcej niż jedna na trzy, Jezusa – 8%, Boga-Ojca – 0,04%; Dołączając do tej ostatniej liczby parafie pod wezwaniem Trójcy Świętej uzyskamy 0,3%.

Centrum i policentryzm

Podobne wzory kulturowe występują jednak w innym kontekście. Oto kilka istotnych różnic:

Osoba księdza Popieluszki jest szczególna, lecz zarazem dołącza się do długiego rzędu świętych narodowych, poczynając od św. Stanisława z XI wieku po Maksymiliana Kolbe z okresu II wojny światowej. Dramat Tancredo był natomiast wydarzeniem wyjątkowym w historii Brazylii, w którym po raz pierwszy czas religijny nałożył się na czas przemian społecznych i politycznych. Hagiografia świętych polskich obejmuje wiele tomów, dają oni wezwanie ok. 9% parafii, prawie tyle samo, co imię Jezusa. Kościół brazylijski ma także wielu swoich świętych, ale są to osobistości lokalne, mówi się o nich „święci ludowi”. Pierwszym oficjalnym świętym Brazylii stał się Anchieta, misjonarz z epoki kolonialnej kanonizowany przez Jana Pawła II w 1982 roku.

Reasumując: katolicyzm polski łączy w sobie wiele planów symbolicznych, podczas gdy katolicyzm brazylijski dzieli się na szereg obrazów. Dobrym tego przykładem są pielgrzymki. W obu krajach istnieją setki sanktuariów, z których każde stano-

wi ośrodek kultu. W Polsce, przy zachowaniu ich różnorodności, wszystkie ośrodki symbolicznie łączy częstochowskie sanktuarium Matki Bożej, która jest matką wszystkich i Królową Polski. Macierzyństwo i królowanie są nierozdzielne w wizerunku Madonny z Częstochowy. Przeciwnie w Brazylii, która jest pod tym względem policentryczna. Tytuł królowej Brazylii, przyznany Matce Boskiej z Aparecida do Norte, jest uznawany przez kler i władze państwowe, lecz nie dociera powszechnie do świadomości wiernych. Królestwo Aparecidy jest uznawane tylko przez mieszkańców tego okręgu. „Matka” i „królowa” mają dwa odrębne znaczenia.

Czas Męki

Męka Chrystusa, zajmująca centralne miejsce w katolickim kalendarzu liturgicznym, jest dramatem w wielu odsłonach.

Jeżeli Chrystus mówi nam o zerwaniu, a Maria o ciągłości – stosunek między nimi jest bardzo ważny dla wyobrażeń dramatu w czasie.

W Brazylii ludowa pobożność skupia się wokół dwóch obrazów pasyjnych: Chrystus uwięziony i biczowany przed Pilatem – wyobrażony poprzez tradycyjną portugalską postać „Dobrego Jezusa” – i „Chrystus Zmarły”, zdjęty z krzyża. Procesje „Chrystusa Zmarłego” i pielgrzymki do „Dobrego Jezusa” stanowią ważne momenty obrządku brazylijskiego. Do 1900 roku ok. 80% parafii poświęconych Synowi Bożemu było pod wezwaniem „Dobrego Jezusa”.

„Krzyż Święty” jest także czczony, lecz Zmartwychwstanie, zwycięstwo nad śmiercią na ziemi nie znajduje się w centrum rytuału. Znika jakby wymiar eschatologiczny i mesjanistyczny wiążący się z Chrystusem i Zmartwychwstaniem oraz obietnicą powrotu. Nawet szczególność Boskiej Ofiary poprzez osobę Syna gubi się w języku ludowym, w określeniu „Dobry Święty Jezus”.

Z drugiej strony dewocja skierowana ku Synowi jest umniejszana przez nieustanną obecność Marii. Poprzez swe współuczestnictwo i współczucie to Maria w końcu zaczyna nosić w sobie sens śmierci Chrystusa. Można nawet powiedzieć, że Męka Pańska zostaje praktycznie ograniczona do rytualnego wstę-

pu do kultu świętych, zaś Maria staje się wielką pośredniczką między ludźmi (jej dziećmi), którzy cierpią. Kult świętych pobawiony eschatologii prowadzi do czasu cyklicznego, do kryzysów i świąt, które co roku rozpoczynają się od nowa.

Nic dziwnego, że działania ewangelizacyjne kleru skupiają się wokół osoby Chrystusa: „Chrystusa-Króla” i „Serca Jezusa” pod koniec XIX wieku, zaś dziś wokół „Chrystusa-Wyzwolicie-la”, który zajmuje ważne miejsce w katechezie. Służą one do podkreślenia ważności Chrystusa Zmartwychwstałego. Tęsknota mesjanistyczna wyraża się jedynie na marginesie ludowej pobożności w całkowitym zaprzeczeniu cyklicznego rytmu ludowego kultu i w zderzeniu z porządkiem kościelnym katolicyzmu uczonego.

Te same elementy występują w Polsce: świętowanie świętych, historycyzm chrystocentryczny, mesjanizm. Lecz w miejsce segmentacji typowej dla Brazylii, występuje tu, wydaje się, dążenie do silnej integracji.

Kalwarie polskie są ważnymi celami pielgrzymek, odtwarzają topografię Jerozolimy na rozległym terenie. Kręte drogi prowadzą od kapliczki do kapliczki – stacji Męki Pańskiej. Jednakże, rzecz zdumiewająca, kapliczki te stały się z czasem ważnym ośrodkiem kultu maryjnego. Wizerunki Marii w tych sanktuariach okazały się być cudownymi obrazami, zwiększając wagę Jej obecności w miejscu poświęconym Ukrzyżowaniu. Ustawione zostały przydrożne kapliczki ku uczczeniu najważniejszych momentów życia Marii aż do śmierci i Wniebowzięcia. Pielgrzymując w jedną stronę, wspomina się Mękę Chrystusa, idąc tymi samymi drogami z powrotem – odtwarza się mękę Marii. Kalwarie wypełnione są tłumami pielgrzymów w Wielkim Tygodniu, ale także w połowie sierpnia, w związku ze świętem Wniebowzięcia. Kontrast z przedstawieniami brazylijskimi jest olbrzymi. Cierpienia prowadzące od Pilata na Kalwarię są co prawda przedstawione z całym dramatyzmem, ale rytualny punkt ciężkości przenosi się poza Ukrzyżowanie, ku obietnicy Zmartwychwstania. Maria staje się nie tylko źródłem bezpieczeństwa i opieki, ale utożsamia się ze swoim Synem do tego stopnia, że wraz z Nim przeżywa mękę, i wyniesienie do nieba. Dialektyczna triada cierpienia, śmierci i zmartwychwstania jest

w centrum rytuału, w którym uczestniczą masy wiernych, Łączy i nawet w ostatnich latach – intelektualści katolicy. Cykliczność ztraca się w tym wyobrażeniu czasu ludzkiego. Stabilność porządku odtwarzanego w przemienności czasu cierpienia i czasu święta – jak następstwo postu i karnawału w Brazylii – oddala się jakby poza horyzont. Sama idea „porządku” staje się nieobecna. Ciągłość czasu, dana nam przez Marię, zdaje się przemieniać przede wszystkim w długą mękę.

Być może powyższa interpretacja znajduje się pod wpływem okoliczności „stanu wojennego” i traci nieco z oczu inny, tradycyjny wymiar katolicyzmu, jaki jest praktykowany na przykład na wsi. Być może praktyki w Polsce wieku XIX-go bardziej przypominały wycuciem dystansu i podziałem czasu dzisiejszy katolicyzm brazylijski. Jednak historia ostatniego wieku spowodowała tak ogromną rytualną integrację wokół przeżycia mesjanistycznego, że byłaby ona nie do pomyślenia w sytuacji brazylijskiej.

Katolicyzm na peryferiach

Rozważając przyczyny tak odmiennego rozwoju – z jednej strony integrację, z drugiej, segmentację – weźmy pod uwagę jeszcze jeden znaczący dla obu Kościołów temat. Oba znajdują się na peryferiach zachodniego świata chrześcijańskiego, na granicy cywilizacji. W wyobraźni polskiej Kościół został przeznaczony do pełnienia roli przedmurza chrześcijaństwa zachodniego, bastionu oporu wobec nacisków z zewnątrz. Idea ta, ukształtowana w okresie najazdów tatarskich i tureckich XIII i XIV wieku, służyła także umacnianiu oporu wobec ekspansji prawosławia rosyjskiego w wieku XIX i jest jak nigdy żywa dzisiaj jako podstawa oporu wobec „azjatyckiego despotyzmu” narzucanego Europie Wschodniej.

W Brazylii Kościół widzi siebie na terenie misyjnym, otwartym na ekspansję zachodniego chrześcijaństwa. Dziś jeszcze, choć ludność określa się jako katolicka, Kościół czuje, że liczne wartości nadal mu umykają w tym „Nowym Świecie”.

To opór wzmocnił cechy wyróżniające i wewnętrzną spójność Kościoła polskiego. Ekspansja zaś przyczyniła się do otwartości

Kościola brazylijskiego na rozmaite symbole, sprzyjając rozwojowi synkretyzmu. Jednak tak jeden, jak drugi Kościół oglądany z centrum Zachodu wydaje się egzotyczny. Ich znaczenie społeczno-polityczne zwraca uwagę, lecz zarazem wydaje się anachroniczne dla Europejczyków z Zachodu przywykłych do całkowitej świeckości życia publicznego.

Wiele zjawisk wywołuje to poczucie dziwności. W Polsce jest sprawą normalną, że lekarka poleca opiece Matki Boskiej swego chorego krewnego. W Brazylii spotkać można psychoanalitików, często kształconych we Francji, którzy zwracają się do kapłanów reprezentujących synkretyzm afro-brazylijski, z prośbą o interpretację chorób. Widok gdańskich stoczniovców na kolanach w czasie strajku wywołał podziw połączony ze zdumieniem. Papież piszący taką encyklikę, jak „*Laborem Exercens*” i podnoszący zarazem na nowo znaczenie aktu beatyfikacji świętych Kościoła, jest z pewnością postacią asynchroniczną. Sam papież, fenomenolog, pełen energii globtrotter, czczący Marię, skupia w sobie cechy, które zdają się pochodzić z różnych epok. Być może z tego właśnie powodu odniósł tak wielki sukces w czasie swej podróży do Brazylii.

Ale czy samo papieństwo nie jest instytucją „asynchroniczną”? Zaś katolicyzm, czyż nie jest *par excellence* religią łączącą w sobie różne wymiary czasu? Nie znam żadnej innej instytucji na Zachodzie, która potrafiłaby, tak jak Kościół katolicki, łączyć w sobie starożytną, średniowieczną i współczesną pamięć Zachodu. A najbardziej żyznymi przestrzeniami tego Kościoła są jego peryferie. Na obszarach takich jak Brazyliia i Polska kulturowe przekształcenia nowoczesności, z Renesansem, rewolucją naukową, Reformacją i iluminizmem, miały zróżnicowany wpływ i prowadziły do aktywnego współżycia różnych elementów kultury. Są to więc przestrzenie płodne dla Kościoła Rzymskiego z jego ideą katolicykości. Jeżeli u progu nowego tysiąclecia dysproporcja między krajami rozwiniętymi i resztą świata zdaje się stanowić podstawowe wyzwanie, Kościół katolicki, który przeżył tyle trudności w początkach epoki nowożytnej, paradoksalnie wydaje się być dobrze przygotowanym na przyjście „postnowoczesności”. Zaś Janowi Pawłowi II można przypisać jeszcze jeden tytuł: pierwszego papieża „postnowoczesnego”.

3. SYTUACJA OBECNA

Sanktuarium obywatelskiego nieposuszeństwa

Rozmaicie interpretuje się miejsce, jakie w ostatnich latach zajmuje Kościół w Brazylii i w Polsce. W Brazylii, tak jak w całej Ameryce Łacińskiej, mówi się o zerwaniu z odwieczną tradycją identyfikowania Kościoła z klasą rządzącą i władzami kolonialnymi. Po raz pierwszy w swej historii Kościół jako całość otworzył się dla biednych i prześladowanych, choć znaczenie i szerokość tego otwarcia różnie są interpretowane. W Polsce, przeciwnie, mówi się o długiej historii utożsamiania się Kościoła z cierpieniami narodu. W słowach, gestach i pieśniach potwierdza się nieustannie ciągłość oporu.

Istnieje jednak pewna zbieżność ostatnich wydarzeń. W obu krajach oznaki dynamizmu Kościoła nasiliły się w latach 60-ych. W Brazylii katolicka młodzież wzięła na siebie nadzieje i ryzyko profetycznej awangardy. Niedawno utworzona Konferencja Biskupów starała się odpowiedzieć na wyzwanie wynikające z rozwoju kraju. W Polsce za czasów Gomułki Kościół przestaje być obleganą w czasie stalinizmu fortecą. Pod kierunkiem kardynała Wyszyńskiego Kościół organizuje narodową nowennę, sytuując się w roli wielkiego depozytariusza tysiącletniej historii.

Rok 1968 jest rokiem znaczących przemian w obu krajach. To początek najbardziej nictolerancyjnego okresu dyktatury wojskowej w Brazylii; w Polsce zaś to wyczerpanie się rezerw ideologicznych dyktatury komunistycznej wraz z upadkiem rewizjonistycznych nurtów polskiego marksizmu. Izolacja władz państwowych idzie w parze z dynamicznym otwarciem się Kościoła na wszystkie problemy społeczeństwa w obu krajach. Lata 70-e pokazują, choć w różnych formach, wzrastające zbliżenie Kościoła do ruchów społecznych zagrażających podstawom ustroju. Znaczącą część tego procesu, o którym powiemy później, stanowi nowe ułożenie stosunków między „myślą laicką” i Kościołem. W ten sposób, poprzez wysiłek intelektualny i liczne akcje wzajemnej pomocy wobec opresyjnego państwa, zostaje podważona typowa dla współczesności opozycja liberałów, radykałów i socjalistów wobec idei dominujących w Kościele rzymskim.

Pod koniec lat siedemdziesiątych w obu krajach powszechnie uznawany jest fakt, że Kościół stał się prawdziwym „sanktuarium obywatelskiego nieposhuseństwa”. Lata osiemdziesiąte zaczynają się w nowych okolicznościach, tragicznych w Polsce, pełnych nadziei w Brazylii, wynikających w obu wypadkach z wcześniejszych wydarzeń.

Nie sposób streścić na kilku stronach nowych zjawisk ideologicznych. Ograniczę się tu do rozważań ogólnych, które są aktualne, jak się wydaje, dla obu krajów.

Świeży sojusz myśli laickiej i Kościoła nie wynikał z okolicznościowych kalkulacji politycznych, lecz z żywotnych potrzeb.

Opozycja laicka, porozbijana, znajduje w Kościele schronienie, a nie klątwę. Traktowana przez państwo jako „przestępcza”, zyskuje moralne wsparcie Kościoła uznając zarazem jego autorytet moralny. Kościół zaś, tak w przeszłości zagrożony nowoczesną koncepcją obywatelstwa, bierze na siebie obronę „praw człowieka” i korzysta z historycznej szansy pogodzenia się ze społeczeństwem cywilnym. Różnymi i nieoczekiwanymi drogami oba Kościoły dokonują głębokiego Agglornamento, choć oddalają się nieraz od litery dokumentów Soboru Watykańskiego II.

Jednak w obu krajach „społeczeństwo obywatelskie” jest bardziej aspiracją, projektem do spełnienia niż rzeczywistością. Przemoc państwa dominuje nad prawem i istniejące struktury społeczne często utrudniają inicjatywy jednostek. Parafeudalne zależności w Brazylii, podobnie jak upaństwowienie życia społecznego w Polsce, nie dają się pogodzić z egzekwowaniem praw obywatelskich. „Społeczeństwo obywatelskie” musi więc być *budowane* poprzez ruchy społeczne. Spotkanie myśli laickiej z Kościołem sprzyja powstawaniu utopii.

Jednak ruch na rzecz tworzenia „społeczeństwa obywatelskiego” zawiera w sobie fundamentalne dwuznaczności. Z jednej strony kieruje się ideą autonomii jednostek i swobodnie tworzący się związki. Organizacja struktur lokalnych typu horyzontalnego, równościowych i autonomicznych, staje się celem taktycznym o znaczeniu symbolicznym. Z tej inspiracji powstają różnego typu stowarzyszenia, zwłaszcza związkowe; sprzyja temu niesłychana żywotność, magiczność czy wręcz obsesja

związaną z pojęciem „niezależności”. Z drugiej strony ten sam ruch jest ożywiony ideą zbiorowej tożsamości społecznej, która obejmuje społeczeństwo jako całość i która przeciwstawiona jest państwu. W Brazylii ta całość jest nazywana „ludem”, w Polsce „narodem”.

Lud i naród

Ambiwalentny stosunek do *autonomii jednostki i tożsamości zbiorowej* widoczny jest we wszystkich przejawach ruchu i wszystkich dziedzinach myślenia. W Kościele istnieje wyraźna tendencja do zdominowania pierwszej wartości przez drugą, podobnie jak do podporządkowania wizji indywidualistycznej – holistycznej, a różnorodności – jedności. W obu krajach Kościół staje się siedliskiem symbolicznych wyobrażeń idei „Ludu” i „Narodu”. Oba pojęcia na pewnym planie spotykają się. Zarówno lud jak i naród są postrzegane jako *wspólnota*. Słowo to zrobiło wielką karierę w Brazylii i w Polsce. W krajach tych treści „wspólnotowe” są tak wyolbrzymione, że lud i naród zdają się w pełni realizować we wspólnocie wiernych; oba są nadto traktowane jako „podmiot zbiorowy”. Wartości takie, jak niezależność, aktywność i suwerenność przynależne podmiotowi – ludowi lub narodowi – stanowią nieodmiennie element dyskursu w obu krajach. Dialektyka *ucisku i wyzwolenia*, choć termin „wyzwolenie” został zawłaszczony przez teologię latyno-amerykańską, jest również fundamentalnym tematem polskiej myśli społeczno-religijnej. Dramat tego zbiorowego podmiotu jest w obu krajach przedstawiany na wzór Męki Chrystusa.

Istnieją także podobne niejasności. Stosunek między podmiotem społecznym i podmiotem religijnym jest sprawą delikatną. Określenia „być Polakiem” i „być katolikiem” występują w tych samych wypowiedziach jako równoznaczne i znaczące co innego. Ten sam paradoks pojawia się w stosunku między „byciem ludem” i „byciem ludem bożym” w świadomości działaczy duszpasterskich w Brazylii.

Dla utrwalenia wartości demokratycznych konieczne jest jednak podważenie tożsamości społeczeństwa i wspólnoty wiernych, nawet jeśli w różnych okolicznościach więź między nimi

jest głęboko odczuwana. Bez tego rozróżnienia nie byłoby możliwe zbliżenie Kościoła z myślą laicką. Co więcej, znaczenie tego sojuszu zostało przez Kościół docenione i w różnych dziedzinach działalności Kościół nie mógłby się już obejść bez wartości wnoszonych do wiary przez laickość. Jesteśmy więc świadkami formowania się złożonego kompleksu idei i odczuć, który można by określić jako romantyczne przywłaszczenie idei iluministycznych.

Przyjrzyjmy się teraz różnicom. Sytuacja geopolityczna jest w obu wypadkach symetrycznie odwrotna. Tło historyczne i system społeczny są całkowicie odmienne: z jednej strony dyktatura w kontekście niesamodzielnego kapitalizmu, z drugiej – socjalizm totalitarny. Nic dziwnego, że drogi, którymi idą oba Kościoły, są także rozbieżne.

W Brazylii pojęcie „narodu” stawiane jest pod znakiem zapytania. Za rządów generałów barwy narodowe kojarzyły się z nietolerancją, zaś święto narodowe zamieniło się w święto wojskowe. Patriotyzm jest co prawda obecny wśród opozycji, lecz podporządkowany innym wartościom: demokracji i sprawiedliwości społecznej. W taki właśnie kontekst wpisuje się opowiadanie się Kościoła na rzecz biednych, przeciwko żądzy zysku za wszelką cenę, przeciwko dzikiemu kapitalizmowi opartemu na policyjnej przemocy. Biedni, ludzie marginesu, zajmują główne miejsce w przesłaniu Kościoła, który odzyskuje swój ewangeliczny wymiar i franciszkański charakter religijnego powołania. W obrębie Kościoła powstaje szeroki ruch zwrócony ku ludowi. Porównywanie tego ruchu ze strategią i taktyką partii leninowskiej nie ma oczywiście sensu. Jeżeli chciałoby się szukać dla niego analogii w świecie słowiańskim – to raczej w rosyjskim populizmie XIX wieku. Ten zwrot ku ludowi i chęć spłacenia historycznego długu zaciągniętego przez elity, przypomina na przykład narodników. Wyznanie historycznych grzechów stało się potrzebą Kościoła, który ubolewa nad swym kolonialnym rodowodem i pragnie stać się Kościołem ludowym. Dystans kulturowy dzielący kier od wiernych, typowy dla dziedzictwa kolonialnego, zostanie wreszcie przewyżniony przez identyfikację z cierpieniami ludu.

Niejasne jest jednak już samo pojęcie „ludowości”. Idea ludu jako jedynego, niezależnego i suwerennego podmiotu zderza się

z mnogością ludowych obrzędów religijnych w Brazylii: katolicyzm ludowy, z jego kultem świętych, cudami, pielgrzymkami, określają nie tylko różne warunki ludzkiego bytowania, lecz składają się na przykład żywa tradycja afrykańska i indiańska z całym ich symbolicznym bagażem, a także protestantyzm zielonoświątkowców z jego charyzmatycznym indywidualizmem. W efekcie „ludowe duszpasterstwa wyzwolenicze” z lat 70-ych zamknęły się w małych grupkach działaczy religijnych oddalonych od masy wierzących. Paradoksalnie, Kościelne Wspólnoty Podstawowe, w których lud miał się odnaleźć w pełnym, ludzkim wymiarze, są ruchem mniejszościowym.

W Polsce „ubóstwo” nie stanowi kategorii wyróżniającej. W porównaniu z zachodnimi modelami konsumpcji ubóstwo jest powszechne, choć prawdziwe ubóstwo, takie jak w Trzecim Świecie, tu nie istnieje. Nie istnieje także równość, choć czynniki nierówności (dochodów, jakości życia, pozycji, praw itp.) tworzą skomplikowane i często zaprzeczające sobie układy, zaś przywileje stanowią niestabilną funkcję ewentualnej pozycji w aparacie władzy. W tym systemie nie ma sensu poszukiwanie stałej i czytelnej granicy dzielącej „bogatyh” i „biednych”.

Rewindykacje równościowe, choć obecne w dążeniach polskiej opozycji, są częścią innych systemów wartości, na przykład demokracji czy suwerenności narodowej. Stworzenie obszarów niezależności (obszary „samorządności”) stało się w latach 70-ych taktycznym celem nie tylko znajdującym poparcie w Kościele, ale widzącym w nim wzór. Instytucjonalna niezależność Kościoła, zachowana mimo kilku dziesięcioleci „socjalizmu”, dawała gwarancje istnienia przestrzeni alternatywnej, w której dramat ludzki mógłby być symbolicznie wyrażony.

Obszary autonomii mnożyły się aż do niezwyklej eksplozji „Solidarności”. Różne, nieraz sprzeczne ze sobą idee niezależności znalazły schronienie w ruchu, który wyrażał wartości obywatelskie, związkowe i narodowe, potrafił być jednocześnie liberalny, konserwatywny i socjalistyczny – zgodnie z błyskotliwą formułą Leszka Kołakowskiego. Totalitarne państwo, pretendujące do przewyciężenia wszystkich zachodnich tradycji ideologicznych, spowodowało zjednoczenie ich wszystkich przeciwko sobie.

W tych okolicznościach Kościół, który przeżył wszelkie okupacje, zniszczenia wojenne i rewolucje, okazał się być wielkim, niezależnym obszarem przetrwania i uwspółcześniania tradycji; mówię o przetrwaniu i uwspółcześnianiu, gdyż chodzi tu właśnie o nadanie nowego znaczenia odwiecznym wartościom, wpisanie ich w nowy kontekst.

Związany z myślą laicką Kościół poszerzył swe widzenie współczesnego świata. Wybór polskiego papieża wzmocnił dążenie ku otwarciu. Kościół przejął idee współczesności („prawa człowieka”), odnajdując je równocześnie w swych najstarszych prawdach (kudzkość Boga w Chrystusie). W wymiarze narodowym zaś znalazł Kościół obszar, na którym mogła się dokonać integracja jego symboliki.

W narodzie wszelkie więzy, tak indywidualne jak zbiorowe, szczególnie i uniwersalne, tak ciągłość jak jej zerwanie, jednoczą się w czasie. Obrzędy Kościoła polskiego stały się dynamicznym nośnikiem pamięci narodowej, przestrzenią publiczną, w której ta pamięć może być przeżywana i czczona, w której może być oczyszczona.

Jednak, podobnie jak w Brazylii, sama zasada narodowej integracji jest wieloznaczna. Pojęcie suwerennego i zjednoczonego narodu, którego wartość potwierdza trwanie w czasie, ściera się z historyczną pamięcią kraju wleolonarodowego i wielowyznaniowego, pełnego wewnętrznych konfliktów i bogatych kontaktów z cudzoziemcami. Kraj, który wyłonił się z drugiej wojny światowej, rzeczywiście odpowiada idei jedności narodowej, ale jest krajem socjalistycznym i jego granice czasowe są zbyt ciasne, by pomieścić symbole polskiej tożsamości narodowej. Problem jest więc stale, symbolicznie obecny. Wyraża się na przykład w ważności „kwestii żydowskiej” w świadomości Polaków po wojnie, nawet w okresie po 1968 roku, gdy mówiło się już o „kwestii żydowskiej bez Żydów”. „Żydzi są zawsze” powiedział mi niedawno pewien ksiądz polski i rzeczywiście: można pominąć Litwinów, Ukraińców, Białorusinów, Niemców, gdyż ich tożsamość narodowa opiera się o istnienie odpowiednich krajów. Z wyjątkiem Żydów, którzy pozostają nadal uosobieniem wewnętrznej obecności, obrazem nie do wymazania, szczególnie z pamięci chrześcijan.

Tak w Brazylii jak w Polsce dwuznaczności wywołane przez budowę zbiorowej tożsamości stawiają przed nami problem pluralizmu wewnątrz ludowego i narodowego podmiotu.

Integracja i rozdrobnienie w duszpasterstwach

Różnice stylów duszpasterskich w obu Kościołach wynikające z odmiennych warunków ująć można w sposób następujący: zwracając się ku ludowi Kościół brazylijski rozproszył się na wiele autonomicznych organizacji duszpasterskich. Kościół polski, przeciwnie, jednocząc naród, przyciągał do swego centrum mnogość środowisk społecznych i typów pobożności.

Dyktatura wojskowa w Brazylii została narzucona społeczeństwu o strukturze złożonej, posiadającej wiele poziomów i podporządkowanej różnym zasadom. Autorytarna blokada ogólnokrajowego życia publicznego wywołała wybuch różnych inicjatyw lokalnych. Także kościelne duszpasterstwa poszły tą drogą specjalizując się w różnych sprawach społecznych. Duszpasterstwa robotników, rolników, górników, ubogich, tubylców, młodzieży odpowiadały i towarzyszyły ruchowi w obrębie tych środowisk, którym były poświęcone. Organizowano je w miejscach pracy lub zamieszkania, zależnie od okoliczności. Z drugiej strony, Kościelne Wspólnoty Podstawowe organizowane były w oparciu o komórki rodzinne. W każdej wspólnotcie CEBS jest ksiądz, lub przynajmniej zakonnica, zawsze związane są one z parafią, jak ciała niebieskie krążące wokół gwiazdy. Jest to jednak życie zorganizowane na marginesie ośrodka parafialnego.

W socjalizmie totalitarnym, gdzie kontrola partii obejmuje wszystkie poziomy organizacji społeczeństwa, nie było żadnej możliwości organizowania duszpasterstw na zewnątrz parafii. Organizacje laikatu, początkowo rozwiązane, zyskiwały powoli prawo do istnienia ograniczając się jednak do środowiska intelektualnego.

Trzeba było narodowego powstania „Solidarności” i stanu wojennego, by mnożące się duszpasterstwa wyspecjalizowane objęły szerokie kręgi pracujących wsi i miast. Na naciski ze strony państwa i presje wynikające z samej logiki systemu, Kościół odpowiedział włączając wszelkiego rodzaju inicjatywy niezależ-

ne do przestrzeni parafialnej i tradycyjnych obrzędów religijnych (przykładem mogą być pielgrzymki lat 80-ych).

Powyższe różnice mają rozliczne konsekwencje w obu interesujących nas krajach: „przecenianie” parafii w Polsce i niedocenianie jej w Brazylii, stała obecność kapłana w Polsce i jego częste oddalenie w Brazylii. Wynika z tego w pierwszym rzędzie wzrost znaczenia hierarchii kościelnej i skupienia biskupów wokół Prymasa w Polsce, podczas gdy w Brazylii zauważyć można pewne rozluźnienie hierarchii, panowanie zasad demokracji bezpośredniej w lokalnych wspólnotach i publiczne wyrażanie różnicy zdań między biskupami utrzymującymi swą jedność poprzez zasadę kolegiałności.

Otwarcie – i stan wojenny

Lata osiemdziesiąte zastały w obu krajach sytuację całkowicie odmienną: „otwarcie polityczne” w Brazylii, powstanie „Solidarności”, a potem stan wojenny w Polsce. I jedno i drugie wywiera znaczący wpływ na stosunki Kościoła z ruchami laickimi.

W Brazylii wezwania do demokracji i do sprawiedliwości społecznej formułowane są niezależnie od siebie i grożą podziałem w łonie opozycji występującej w imieniu społeczeństwa obywatelskiego. Demokracja postępuje krok za krokiem naprzód, w obrębie instytucji kontrolowanych przez elity (rząd, partie, przedsiębiorstwa, media, uczelnie). Brak jest jednak postępów sprawiedliwości społecznej; sytuacja warstw ludowych nie ulega zmianie. Kościół jest chyba jedyną instytucją obecną na obu poziomach, co zapewnia mu strategicznie ważną pozycję także w nowej sytuacji w kraju.

Ruchy występujące na obu poziomach mają odmienną dynamikę. Wśród elit pojawia się dążenie do sekularyzacji przemian ustrojowych; istnieje tendencja do ograniczania Kościoła do jego tradycyjnej, czysto religijnej funkcji. W ruchach społecznych natomiast wzrasta frustracja w następstwie działania mechanizmów wyboru i podejmowania decyzji charakterystycznych dla demokracji burżuazyjnej. Duszpasterstwa ludowe, szczególnie na wsiach, gdzie problemy są najostrejsze, są miejscem tej krytycznej postawy wobec „Nowej Republiki”. A więc Kościół

wzmaga swą aktywność społeczną wśród ludu. Te sprzeczne ze sobą tendencje spotykające się w Kościele na nowo podnoszą problematykę stosunku „wiary i polityki” i poddają ją nowej ocenie. Jest to więc czas intensywnych dyskusji w Kościele brazylijskim.

W Polsce stan wojenny sprowadził opozycję świecką do najprostszych form wyrazu. Wysiłki opozycjonistów z czterech pokoleń (tych z 1945, 1956, 1968 i 1980) napotkały na nieprzekraczalną granicę wyznaczoną przez przemoc wojskową narzuconą w imię „naukowego socjalizmu”. Wywołana tym frustracja prowadziła aż do naruszenia wiarygodności świeckiej kultury politycznej skazując resztki przywództwa „Solidarności” na rosnącą izolację. Normalizacja systemu jednak nie nastąpiła; duch oporu zszedł głębiej, odnajdując chrześcijańskie wzory w polskiej pamięci historycznej. Z sanktuarium chroniącego opozycjonistów Kościół przemienił się we wcielenie samego ducha opozycji tak, jakby ją w całości uosabiał. Myśl świecka zdaje się nie znajdować ratunku poza Kościołem...

Sytuacja obecna wyznacza więc rozbieżne drogi dla obu Kościołów, wynikające tak z ożywienia polityki świeckiej w Brazylii, jak z impasu struktur organizujących i myśli laickiej w Polsce. Jesteśmy świadkami zmiany stosunków między wiarą a polityką w łonie Kościoła brazylijskiego oraz globalnego upolitycznienia wiary w Polsce, któremu towarzyszy pewne ograniczenie polityki do wymiaru moralnego i wzorców religijnych. Działalność społeczno-religijna w Brazylii prowadzona jest przez tysiące małych grup, które pracują wśród ludności. W Polsce przeciwnie, działalność społeczno-religijna wyraża się poprzez masowe manifestacje, zaś małe wspólnoty tworzone są raczej przez organizacje, które pragnęłyby zachować pewien dystans wobec patriotycznego charakteru wielkich mszy i pielgrzymek. Te małe wspólnoty mnożą się, jak w Brazylii, lecz ożywia je duch uniwersalistyczny i personalistyczny.

Pomimo tych różnic rzecz można, że w pewnym sensie stosunki między Kościołem i myślą laicką przeżywają kryzys w obu krajach. Duszpasterstwa ludowe w Brazylii oddalają się od świeckich elit, zaś duszpasterstwa masowe w Polsce nie znajdują godnych rozmówców w świecie świeckim poza zdemoralizowanym państwem.

Świecki, liberalny obserwator ma powody do niepokoju. Oba procesy mogą sprzyjać tendencjom totalitarnym w tonie opozycji – lewicowym w Brazylii, poprzez zbliżenie duszpasterstw ludowych z marginesowymi organizacjami politycznymi o rodowodzie leninowskim, prawicowym w Polsce, poprzez pełne utożsamienie „bycia Polakiem” z „byciem katolikiem”.

Jednak w obu Kościołach świeckie wpływy liberalne zostały przyswojone przez znaczną część kleru i intelektualistów katolickich. Te tendencje są bardzo żywe w obu krajach i walczą z pojawieniem się katolickiego totalizmu, który zagroziłby zdobyczom lat 70-ych, w których nastąpiło pojednanie między Kościołem i „społeczeństwem obywatelskim”, nawet jeśli to ostatnie było załedwie zapowiedzią przyszłości.

4. KATOLICKOŚĆ

Jak było do przewidzenia, dostrzegamy więcej różnic niż podobieństw między Kościołami Brazylii i Polski. Jeśli poświęcilibyśmy więcej uwagi historii każdego z nich, różnice stałyby się jeszcze silniejsze, do tego stopnia, że podważyłyby może sens naszego porównawczego przedsięwzięcia, który nie jest widoczny od pierwszego spojrzenia. Jednak badanie różnic i kontrastów odbywa się wewnątrz tego samego zbioru, który nazywamy katolicyzmem. Porównanie jest więc możliwe dzięki tajemnicy jedności Kościoła, zaś nasze wątpliwości mogą streścić się w pytaniu: w jakim sensie chodzi tu o jeden i ten sam Kościół?

Próbowaliśmy na nie odpowiedzieć, rozważając tajemnicę Męki Chrystusa, która nas prowadziła przy interpretacji zjawisk długotrwałych, jak i ideologicznych wstrząsów współczesności. Znajdujemy się na szerokim obszarze kulturowym, którego powstanie datuje się na pierwsze wieki chrześcijaństwa, rozwój – na okres średniowiecza. Pielgrzymki, procesje, cuda, świece dla zmarłych, które oświetlają przestrzenie i czas kalendarzowy, uporządkowane są wokół kultu świętych, typowo katolickiej uniwersalizacji Drogi Krzyżowej. Świętość świętych polega bowiem na naśladowaniu Chrystusa w różnorodności ludzkich sytuacji. Kult świętych jest równie żywy w Brazylii jak w Polsce i powoduje dalsze podobieństwa: dusze czyścicowe ogółu śmier-

tełników, Maria wyniesiona prawie do rangi boskości. To poprzez nich i związane z nimi obrzędy wyraża się, jak sądzę, prawdziwa żywotność katolicyzmu.

Wstrząsy teologiczno-ideologiczne sprowadzają nas do kręgu bardziej ograniczonego, typowo nowoczesnego, gdzie poszukuje się definicji człowieka jako uniwersalnego podmiotu.

„Lud” i „Naród”, takie, jakimi dziś je znamy, są tworamí wieku XIX-go. Myślenie o ich dramacie jako o odnowieniu się Męki Chrystusa, to droga otwarta przez romantyków, która przeszła wiele przemian łącząc się z prądami myśli naukowej, a dziś odzyskuje swą żywotność u teologów brazylijskich i polskich. Jej symbolika przyjęła racjonalistyczną krytykę kosmologii średniowiecznej i wiary w cuda. Jednak paradygmat Męki Chrystusa wyrażony językiem współczesnej socjologii stwarza most łączący nas z religijnością średniowieczną.

Na każdym planie rytuał Wielkiego Tygodnia nabiera intensywności sakramentu. Nie chodzi tu jedynie o „symbol”, który odsyła nas do „innej”, „dawniejszej” rzeczywistości. Tu znajduje się dźwignia, przy pomocy której sądzi się, że można poruszyć świat w całej jego materialności; zasada porządku, sensu i celu; włączenia każdego celu do odnowicielskiego projektu, który przywraca możliwość cudu wbrew rzeczywistości materialnej, powołuje utopie pomimo otaczających nas utrapień.

Jeśli ta sakramentalna koncepcja tajemnicy Kościoła odróżnia wiarę katolicką od innych religii chrześcijańskich, czyniąc z niej więź łączącą naturalny i historyczny wymiar życia zbiorowości; jeśli Męka Chrystusa jest prawdziwym Sakramentem, o czym przypomina nam w każdej mszy Eucharystia – racja następstwa po sobie innych sakramentów tworzących katolicyzm Kościoła – to mamy klucz do równoczesnego rozważania katolicyzmu w Brazylii i w Polsce.

W nim mieszczą się ukazane wyżej kontrasty, jak ten, odróżniający kapłana od działacza społecznego w osobie księdza, jak hierarchiczność kościelna w odróżnieniu od wspólnotowego egalitaryzmu, jak mesjanistyczna nadzieja z jednej, a cykliczna koncepcja czasu przedstawiona w Drodze Krzyżowej, z drugiej strony. Jak wreszcie scalenie lub rozdrobnienie duszpasterstw, jak „lud” obok „narodu”, jak „postępowość” naprzeciw „konser-

watyzmu". Są one nie tylko prostymi różnicami, lecz ekspresją „Kościoła Walczącego” wynikającą z samej jego istoty, którą stanowi nieustająca zapowiedź odnowienia wszelkich konfliktów.

Rubem Cesar Fernandes

NAKLADEM

ANEKSU

Jan Józef Lipski **K O R**

„Jest to książka o wysiłkach grownity ludzi, bardzo różnych, którzy postanowili wystąpić w obronie bitych i więzionych robotników, stworzyć ruch budujący przyszłą Polskę niepodległą i demokratyczną od podstaw, pokazać swym przykładem, że można się przeciwstawić totalizmowi – o ludziach, których połączyły wspólne postawy moralne i którzy byli tylko ludźmi, a więc nieraz mylili się, kłócili się między sobą, a przy tym potrafili być zespołem – Komitetem Obrony Robotników”. – J. J. Lipski

Str. 436

Cena: £8,90; US\$17,90

Jacek Kuroń

POLITYKA I ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Artykuły i eseje

W tomie m.in.: Etyka zaangażowania – Tradycja i cele –

Myśli o opozycji –

Próba „Solidarności” – Z więzienia.

Str. 222

Cena: £4,00; US\$10,00

kultura i polityka

Stanisław Barańczak

DZIECIĘCA NAIWNOŚĆ

O „Poemacie dla dorosłych” Adama Ważyka

1.

Trzydziesty czwarty numer *Nowej Kultury* z 1955 roku, opatrzony datą 21 sierpnia, na pierwszy rzut oka nie wyróżniał się niczym szczególnym. Ta sama co zwykle winieta tytułowa, z tym samym czerwonym sztandarem na tle antycznej kolumny i tym samym zawołaniem „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się”. Nie było też niczego wyjątkowego w fakcie wyeksponowania na pierwszej stronie długiego utworu poetyckiego; bądź co bądź, jego autorem był Adam Ważyk, jeden z czołowych przedstawicieli oficjalnej literatury pierwszego powojennego dziesięciolecia.

Ale czytelnik, który w ten sierpniowy dzień roku 1955 nie prześlizgnął się wzrokiem po poemacie, lecz zaczął go czytać uważnie – taki czytelnik, można przypuścić, musiał poczuć w gardle skurcz sensacji. Od chwili pierwszej lektury musiało być pewne, że publikacja poematu Ważyka to wydarzenie wielkie i zarazem uderzająco niezrozumiałe, tajemnicze, nie mieszczące się w kanonie dopuszczalnych w tym czasie zachowań i manewrów literatury. Nawet jednak czytelnik, który sobie z tego zdawał sprawę, nie mógł chyba przewidzieć rozmiarów zamieszania,

jakie miało się wkrótce rozpętać. Ogłoszenie „Poematu dla dorosłych” Adama Ważyka urosło w następnych tygodniach, miesiącach, latach do rangi bezspornie największego skandalu, jaki kiedykolwiek w całej historii życia literackiego PRL wywołany został przez publikację utworu poetyckiego.

Rekonstrukcja pełnego obrazu dziejów recepcji poematu jest dziś, po trzydziestu dwu latach, zadaniem prawie niemożliwym. Poważną przeszkodę stanowi dopuszczenie do druku przez ówczesną cenzurę prawie wyłącznie ataków, krytyk i sprzeciwów wobec poematu Ważyka, zarazem zaś oczywisty jest fakt, że kampania „spontanicznych” protestów była planowo spreparowana i wyreżyserowana. W ostatnich latach jednak zaczęły się pojawiać wspomnienia – ze wspomnieniem najbardziej zainteresowanego, samego poety, na czele ¹ – które, choć też stronicze, dają przynajmniej częściowy wgląd za kulisy tego, co się działo w prasie literackiej czy na publicznych imprezach. Wiadomo w każdym razie, że jedną ze stron skandalu było błyskawiczne wytworzenie się aury sensacji wokół poematu. Numer 34 *Nowej Kultury* usiłowano po kilku dniach wycofać z kiosków ², ale było już za późno: nakład rozszedł się prawie natychmiast. Zaczęły się polowania na numer; szczęśliwi nabywcy płacili spekulantom po 100 złotych za egzemplarz ³ – ponad osiemdziesięciokrotną wysokość nominalnej ceny – lub, jak wspomina sam autor, nawet po 250 złotych ⁴. Poemat przepisywano na maszynie i kolportowano z rąk do rąk; autor otrzymywał listy z wyrazami poparcia i entuzjazmu ⁵. Krótko mówiąc, poemat miał swoich zagorzałych obrońców i zwolenników. O tym wszystkim jednak mało wiemy, gdyż zwolennicy i obrońcy nie byli na razie – z nielicznymi wyjątkami ⁶ – dopuszczani do głosu ⁷; o ich istnieniu przekonują nas pośrednie wzmianki w napaściach na poemat, wzmianki powołujące się na niebezpieczeństwo rosnącej popularności poematu, której trzeba dać odpór ⁸.

O wiele bardziej donośne i słyszalne były w roku 1955 głosy protestu i potępienia. Konsekwencje publikacji poematu wyszły daleko poza przedziały życia literackiego – potępienie nie tylko wyraziło się w druku, ale przybrało nader konkretne formy akcji karnej. W sprawie „Poematu dla dorosłych” zwołano na jesieni tegoż roku specjalny „sąd partyjny [...] z udziałem Ochaba,

Bermana i Morawskiego oraz licznych literatów partyjnych”⁹; mimo wystąpień broniących Ważyka, na sali panowała atmosfera nagonki. Odpowiedzialny za publikację redaktor naczelny *Nowej Kultury*, Paweł Hoffman, odmówił złożenia samokrytyki i w efekcie nie tylko wyleciał „z trzaskiem” z posady, ale „w ogóle wypadł z orbity polityki kulturalnej”¹⁰. Przemówienie z krytyczną aluzją do „Poematu” wygłosił sam Bolesław Bierut¹¹. Dbano jednak usilnie o to, aby potępienie płynęło nie tylko z partyjnej „góry”, ale także z ludowego „dołu”. W Nowej Hucie – miejscowości, której dotyczył szczególnie drastyczny fragment poematu – zorganizowano publiczną „dyskusję” mieszkańców miasta, w której przeważały głosy oburzenia i potępienia pod adresem autora, podsumowane w tym samym duchu przez posta i publicystę Adama Połewkę¹².

Reakcja przeciw poematowi miała wszelkie cechy szeroko zaplanowanej kampanii „dawania odporu”; kampania ta długo nie słabła, podsycana kolejnymi utworami Ważyka, między innymi jego „Krytyką «Poematu dla dorosłych»”, która – podobnie jak niegdyś „Antymonachomachia” Krasińskiego – zamiast aktu samokrytyki oferowała potwierdzenie i nawet wzmocnienie poprzedniej diagnozy. „Odpór” dawano poecie jeszcze długo po październiku 1956: wydanie książkowe *Poematu dla dorosłych i innych wierszy* ukazało się w ograniczonym pięciotysięcznym nakładzie, później ze próby przedruków aż do roku 1970 spotykały się z represjami w postaci blokowania części nakładu w magazynach lub zapisu cenzuralnego¹³. Działo się tak, mimo że tuż po 1956 roku usiłowano przez krótki czas zrehabilitować poemat na łamach prasy partyjnej, posuwając się wręcz do twierdzenia, iż jest on „najlepszym dowodem, że metoda realizmu socjalistycznego może dać dobre artystycznie rezultaty”¹⁴.

2.

Obraz kampanii z połowy lat pięćdziesiątych dostępny jest dziś głównie poprzez lekturę artykułów, polemik i notatek prasowych z tego okresu. Niezależnie od naszych podejrzeń co do wyreżyserowanego przebiegu całej nagonki, lektura tych głosów nasuwa pytanie: co właściwie spowodowało aż taką furię ata-

ku? Czy konkretnie uraził Ważyk uczucia swych polemistów, jeśli nawet nie wnikać w to, czy były to rzeczywiście szczere odczucia, czy tylko zespół poglądów, którego kazano im bronić? Spróbujmy odczytać raz jeszcze głosy z lat 1955-56, które składały się na oficjalnie ujawnioną reakcję wobec prasowej publikacji „Poematu dla dorosłych”. I spróbujmy wyłowić z tych wypowiedzi powtarzające się zarzuty.

Zarzut pierwszy: poemat podsuwa nieprawdziwy obraz rzeczywistości. To zarzut oczywiście najbardziej prymitywny. Podnoszą go ci, którzy traktują poemat jako literaturę faktu, jako reportaż:

Nieprawdziwy, bo jednostronny jest obraz naszego życia w „Poemacie dla dorosłych”, z którego mógłby ktoś wyczytać, że socjalistyczna industrializacja przyniosła ludowi naszego kraju zdziczenie, tulaczkę, rozpustę, zbrodnie i nędzę¹⁶.

Z natury rzeczy zarzut ten dominuje w przejawach krytyki „odgórnjej”: w ideologicznym referacie Stefana Żółkiewskiego¹⁶ czy w artykułach publikowanych w prasie partyjnej¹⁷. Przeważa też w tym, co miało uchodzić za krytykę „oddolną”, tu znaczy na przykład w zapisie nowohuckiej dyskusji (wyraźnie manipulowanej, choćby w tym sensie, że uczestników od początku nakierowano na taki sposób odczytania poematu, który казал go traktować jako coś w rodzaju reportażu podlegającego kryteriom prawdy i fałszu). Oto charakterystyczny głos z tej ostatniej dyskusji:

Skąd wziął Ważyk fakty? Od plotkarzy lub od tych, którzy nam od początku brużdżą. [...] Ja jestem robociarz, awansowany społecznie, ale tyle rozumiem z poematu, że to ordynarny paszkwil¹⁸.

W innych, bardziej umiarkowanych głosach nowohuckich dyskutantów pojawia się oskarżenie o „przesadę i wyjąskrawianie”. Podobnie w polemikach krytyków prostacki zarzut niezgodności poematu z „faktami” zmodyfikowany zostaje najczęściej powołaniem się na podstawowy dogmat socrealizmu: zasadę typowości. W takiej wysubtelnionej postaci zarzut przedstawia się następująco: pewne elementy rzeczywistości, o których mówi Ważyk, są być może prawdziwe, nie są one jednak typowe. Pisał na przykład Roman Zimand:

Ważyk spróbował podjąć jedną ze spraw, które określamy mianem nowego w naszej literaturze – krytycyzm wobec

złych stron naszej rzeczywistości. [...] Ale Ważyk podjął swoją próbę ze starych pozycji, to znaczy bez zrozumienia procesu historycznego, roli i miejsca człowieka w tym procesie, bez zrozumienia uogólniającej funkcji utworu poetyckiego typu „Poematu dla dorosłych”. W rezultacie pod wieloma względami pozostał na starych, *laktarnicznych* pozycjach. Różnica w kolorze lakieru z punktu widzenia *prawdy o świecie* jest drugorzędna ¹⁹.

Zarzut drugi: obraz rzeczywistości jest może prawdziwy, jest jednak „niesłuszny” gdyż poeta nie wyprowadza z niego żadnych wniosków (natury na przykład praktycznej lub agitacyjnej). Szczególnie wyraźnie zabrzmiał ten zarzut w polemice Agnieszki Osieckiej („Samo dostrzeganie zła nie wystarcza” ²¹) czy w poemacie Joanny Sierpińskiej. Sierpińska, tajemnicza debiutantka, która swój polemiczny „Poemat dla młodych” nadesłała do redakcji *Nowej Kultury* prawie natychmiast po publikacji „Poematu” Ważyka (ukazał się w numerze 36 z 1955 r.), zdawała się potępiać starszego poetę przede wszystkim za jego pacywizm, wycofanie się, „patrzenie z boku” na wspólny marsz:

Ale widzieć zmarszczki, czuć pot,
a nie dostrzec *zrobionego* kroku
można tylko, gdy się patrzy z łóż
można tylko, gdy się patrzy z boku.

I przeciwstawiała temu własną postawę:

Nie będę pisać wierszy zgryzoty.
Sama chcę zmieniać życie.
Nie będę pisać wierszy zgryzoty!
I nie chcę się gryźć. Chcę bić się.

Zarzut trzeci: poeta wyobcował się z klasy, którą miał reprezentować; jego stanowisko jest antyludowe, nacechowane pogardą dla prostego człowieka. Ten zarzut podniósł szczególnie zajadło Tadeusz Hołuj, dla którego nie ulegało wątpliwości, że „Ważyk podał na ogół fakty prawdziwe i fakty istotne”, natomiast „Stosunek Ważyka do robotników [...] jest to stosunek *nie-ludowy*. [...] Patrzenie Ważyka na robotników czy chłopów jest patrzeniem burżuazji i nie ma żadnej sprzeczności pomię-

dzy wychwalanym wienzem o «robotnikach, którzy weszli do śródmieścia», a ganionym – o zwierzącym obrazie ich życia. Tu i tam patrzy Ważyk na lud z wysokości burżuazyjnego stanowiska, raz idealizując, raz plując²¹. Za niewłaściwy „stosunek do ludu” zaatakował też Ważyka m.in. Jerzy Putrament²². Ten sam zarzut (formułowany jako „obrażanie” lub „uwłaczanie człowieka”) brzmiał także wielokrotnie w nowohuckiej dyskusji.

Zarzut czwarty: poeta dokonał zwrotu o 180 stopni, okazał się dwulicowy. Ten zarzut jest szczególnie interesujący i częsty. Słychać go w wielu skądinąd różnych artykułach, od prymitywnej napaści Bohdana Czeszki („[...] jakże łatwo jest obwoływać nagłość króla kiedy się samemu szyło jego nieistniejące szaty”²³) po błyskotliwy esej Ludwika Flaszena „O trudnym kunszcie womitowania”²⁴; zarzut stanowi, co ciekawe, wspólną płaszczyznę ataku dla „twardogłowych” konserwatystów i dla tych, którzy Ważyka atakowali z pozycji już odwilżowych²⁵. Flaszen na przykład z sarkazmem podkreślał „nagłość” ideologicznego zwrotu Ważyka. „Obarzała mnie wołta, której dokonał w ciągu tak niewiele lat” – zupełnie podobnie wspomina krańcowo odległy od Flaszena Putrament, doszukujący się zresztą w owej „wołcie” motywacji ściśle osobistych: rewanzu za „poczucie własnej krzywdy”, biorące się rzekomo z faktu, że już w początkach 1954 roku Ważyk był stopniowo usuwany z orbity partyjnych wpływów²⁶.

Zarzut dwulicowości czy „wołty” mógł się oczywiście wydawać uzasadniony każdemu, kto pamiętał rolę, jaką Ważyk odgrywał w życiu kulturalnym okresu stalinowskiego, czy jego nie tak dawną socrealistyczną produkcję pisarską. Jak przypomina Michał Głowiński, w tym samym roku 1955 Ważyk ogłosił wulgarnie-marksistowskie *Przemiany Słowackiego* i ukończył socrealistyczny dramat „Planetarium”²⁷. Uważny czytelnik innych wypowiedzi poety z roku 1955 (choćby odpowiedzi na ankietę „Pisarze wobec dziesięciolecia” w *Nowej Kulturze* 1955 nr 8, gdzie Ważyk potępia zjawisko „komenderowania” życiem literackim i rzuca zdanie: „Trzeba pogrzebać widmo wzorcowej estetyki”) mógł przeczuwać zbliżającą się w jego twórczości przemianę. Nikt jednak nie mógł przeczuć, że przemiana okaże się tak dramatyczna.

3.

Z drugiej strony, burza, jaka się rozpętała po publikacji „Poematu”, znacznie przerosła swymi rozmiarami odgłosy wywołane przez wcześniejsze precedensy podobnych „wolt”. Pamiętajmy bowiem, że choć do prawdziwej odwilży było jeszcze daleko, latem 1955 roku nie brakowało już oznak, że mroźne temperatury stalinizmu zaczynają się podwyższać. Innymi słowy, Ważyk nie był bynajmniej pierwszy. Na jakiś czas przed „Poematem dla dorosłych” zaczęły się w prasie literackiej pojawiać rozrachunkowe – albo przynajmniej nieortodoksyjne – utwory literackie innych autorów. Niektórzy z tych autorów byli nie mniej niż Ważyk zaangażowani w socrealizm. W 39 numerze *Nowej Kultury* z roku 1954 ukazuje się opowiadanie Kazimierza Brandysa – jednego z byłych redaktorów *Kuźnicy* – „Hotel Rzymski”. W marcowym numerze *Twórczości* z 1955 roku pojawia się cykl wierszy „Pieśni jesienne i zimowe” pióra innego byłego redaktora *Kuźnicy*, Pawła Hertza. Jeszcze przedtem, w końcu 1954 roku (w *Nowej Kulturze* nr 49-50), pojawia się „Złoty lis” Andrzejewskiego, autora sławetnej broszury *Partia a twórczość pisarza*, opublikowanej zaledwie dwa lata wcześniej. Fala rewizjonizmu w literaturze była już w pierwszej połowie 1955 na tyle wyraźna, że prowokowała krytyczne podsumowania i klasyfikacje²⁸.

Co więcej, jeszcze przed publikacją „Poematu dla dorosłych” składnikiem życia literackiego jest już reakcja odwrotna na „odwilż”: ironizowanie na temat pośpiesznych zmian frontu dokonywanych przez byłych socrealistów, na temat pseudo-odwagi okazywanej „bo można”. Nie brak takich głosów na łamach samej *Nowej Kultury*, i to na długo przed latem 1955 roku. W numerze 5, datowanym 30 stycznia 1955, ukazuje się nader śmiały jak na owe czasy (szczególnie w końcowym niby-rosyjskim przejęzyczeniu-kalamburze) wierszowany żart Antoniego Słonimskiego pod tytułem „Chór odważnych”:

Hej brudasy moralne, do łaźni!
Trzeba prać, kiedy pełna balia.
Bądźmy dzisiaj odważni, odważni,
Niech drży kanalia

Ostrożna!
 My będziemy odważni!
 Bo można.

Byłe czym nas już nie przestraszą,
 I nikomu nie radzę nas drażnić.
 Niech tam inni bez wazeliny wążą.
 My już nie. My jesteśmy odważni,
 Bo tak dziś każą.

W poczuciu prawdy i obowiązku
 Szanować trzeba własne zdanie,
 Jeśli się je ma.
 Oczywiście to nie może być bez związku
 Ale ze związkiem a właściwie za.

A jakby się okazało, że to jeszcze nie,
 My pierwsi będziemy się bić w piersi,
 Aż nam spuchną sutki,
 Aż nas znowu przyhołubi do piersi
 Obywatel minister Kultury i Sztuki.

W numerze 10 z 6 marca pojawia się „fraszka” prozą, podpisana „n.n.”, a zatytułowana „Co kto czuje”:

Pewnego dnia nastąpiła odwilż. W serca ludzkie wstąpiła otucha. Głośniejsz rozlegał się śpiew ptaków. Kora drzew zapachniała młodym, wiosennym sokiem. Wszystko wokół odmarzło.

Na skraju jezdnicy leżały dwa lajny. – Czujesz? – spytało jedno. – Odwilż. Teraz dopiero będziemy mogły śmierdzieć.

Znamienne, że fraszka wywołała natychmiast odzew Jerzego Putramenta, który w liście do redakcji zamieszczonym w następnym numerze zagrział: „Uważam, że jest to obrzydliwość, i myślę, że choćbyście działali natchnieni najszlachetniejszymi pobudkami, nie powinniście byli tego zamieszczać”²⁹. Jak sam Putrament rozumiał sens „odwilży”, stało się jasne dla czytelników *Nowej Kultury* kilka tygodni później, po lekturze sprawozdania z dyskusji w siedzibie ZLP nad powieścią, która wprowadza-

działa to pojęcie w powszechny obieg – *Odwilżą* Erenburga. Sprawozdawca relacjonował konkluzje Putramenta następująco:

„*Odwilż*” jest różnie przyjmowana i interpretowana z różnych ideologicznych pozycji. Są i tacy, stwierdza Putrament, którzy uznali „*Odwilż*” za punkt wyjścia do walki z realizmem socjalistycznym. Dyskutując nad „*Odwilżą*” trzeba wziąć pod uwagę najtrudniejszy moment w ocenie „*Odwilży*” i całej naszej sytuacji kulturalnej tego okresu. Zadanie nasze polega na tym, by walcząc o zmianę tego co w teorii kultury i sztuki socjalistycznej okazało się niesłuszne, ani na chwilę nie dać się zepchnąć z partyjnych pozycji, nie stracić z oczu celu, który przed nami stoi³⁰.

„Cesarz lubi odwagę cywilną / do pewnych granic do pewnych rozsądnych granic...” – napisze wkrótce Zbigniew Herbert w „*Powrocie prokonsula*”. W oczach twardegłowych przeciwników „*Poematu dla dorosłych*” Ważyk przekroczył „pewne rozsądne granice”, dał się „zepchnąć z partyjnych pozycji”³¹. W oczach natomiast tych przeciwników, którzy w roku 1955 reprezentowali już zaawansowane tendencje odwilżowe i mogli z pewną ironią spoglądać na pośpieszne bicie się w piersi przez niedawnych socrealistycznych prominentów – w ich oczach Ważyk, przeciwnie, grzeszył połowicznością i niezdecydowaniem, a nawet nieautentycznością i hipokryzją.

Ten ostatni zarzut urasta w siłę tym bardziej, im więcej lat dzieli nas od roku 1955. Już po książkowej publikacji „*Poematu...*” pod koniec roku 1956 nie brak było tego rodzaju głosów³². W latach ostatnich pojawiają się zaś coraz częściej skrajne opinie odmawiające protestowi Ważyka wszelkiej moralnej i artystycznej wartości. Jeszcze Michał Głowiński w swoim niedawnym znakomitym artykule, dostrzegając wprawdzie ograniczenia Ważykowego rewizjonizmu, próbuje jednak bronić „*Poematu...*”: interpretując utwór jako antysielankę (w sensie polemiki z socrealistycznym obrazem komunistycznej Arkadii) i zarazem palinodię (w sensie „odwołania” czy „unieważnienia” własnego socrealistycznego dorobku Ważyka), dochodzi do wniosku, że „*Poemat...*” jest „najwybitniejszym dziełem polskiej poezji politycznej w pierwszym powojennym ćwierćwieczu”³³. Ale już Stanisław Stabro w jednocześnie ogłoszonym szkicu

określa poemat jako „paradę pozorów” i „dzieło sklamane”, przykład „charakterystycznego samozniewolenia twórcy pewnymi kategoriami historycznymi, ideologicznymi i estetycznymi”³⁴. Leszek Szaruga, również w niedawno opublikowanym szkicu, sugeruje, iż „druk poematu był jednym z ważniejszych elementów gry w ówczesnej elicie władzy” i przyznaje utworowi znaczenie jedynie polityczne³⁵. Szczególnie ostro rozprawiają się z Ważykiem inni poeci – byli socrealiści a potem „odwilżowcy”, których rozrachunkowe utwory wyprzedziły w swoim czasie „Poemat...”, nie zdobyły sobie jednak analogicznego rozgłosu. Witold Wirpsza na przykład w wywiadzie udzielonym niedługo przed śmiercią Jackowi Trznadłowi idzie jeszcze dalej niż Stabro czy Szaruga, nazywając „Poemat...” rzeczą całkowicie nieautentyczną, bo napisaną na odgórne zamówienie jednego z dygnitarzy partyjnych³⁶.

Zarzut dwulicowości i nieautentyczności łączy się przy tym z reguły – i to już w polemikach z lat 1955-56 – z zarzutem dodatkowym, którego wspólny mianownik sprowadza się do często używanego słowa „historia”. „Jest źle kiedy pisarze partyjni zaczynają ulegać hysterii demaskatorskiej”, upominał Czeszko w *Trybunie Ludu*³⁷. Wtórowali mu inni polemisi:

Powodów do zgryzoty jest rzeczywiście nie mało! Ale zgryzota zgryzocie nie równa; jest taka płacziwa, historyczna, z opuszczonymi rękami – i ta komunistyczna, przy której człowiek obwiązuje skaleczony palec i bierze się do roboty³⁸.

Tę [Ważykową ~ St.B.] perspektywę można nazwać perspektywą heroicznego history. Nie jest ona chyba jedyną alternatywną widzeniem spraw na sposób czytanek dla dzieci³⁹.

Te dwa zdania Strzeleckiego zwłaszcza stanowią, jak mi się wydaje, klucz do problemu. I twardegołowych, i odwilżowych przeciwników Ważyka uraziła nie tylko jego „wolta”, jego nagle zmiana frontu. Skandal „Poematu...” polegał również i na tym, że infantylną czytankowość socrealizmu zastąpiła, zamiast oczekiwanej (i zapowiedzianej w tytule) dorosłości, dziecienna „historia”. Nie stały się takim skandalem rozrachunkowe wiersze Herta czy Jastruna, którym nikt nie mógł zarzucić niedojrzalo-

ści, dziecinady. W wypadku Ważyka natomiast kamieniem obraży stał się właśnie fakt, że poeta zachował się jak dziecko, które wpada w „histerię”, gdy rzeczywistość nie zgadza się z jego wyobrażeniami; zażądał zwrotu zabawek i obraził się na współuczestników zabawy; na złość wszystkim zwymiotował w literackim salonie, zapominając o regułach tak socrealistycznego jak „odwilżowego” *savoir-vivre’a*.

4.

Tak, ale mimo wszystko mówimy przecież o utworze zatytułowanym „Poemat dla dorosłych”! Jak pogodzić z tym tytułem – starannie wybranym⁴⁶ i stanowiącym manifestacyjny wyraz intencji autora – wrażenie dziecinnego oddechu, jakie poemat zrobił na tak licznych swoich krytykach?

Sprawa jest bardziej skomplikowana, niżby się wydawało. Trzeba zacząć od stwierdzenia, iż rola semantycznej opozycji „dziecinność-dorośl” w przełomie literackim połowy lat pięćdziesiątych pozostaje wciąż jeszcze nie doceniona i godna byłaby szczegółowego przebadania. Upraszczając znacznie, można powiedzieć, że z punktu widzenia tej antynomii reakcja odrzucenia socrealizmu we wczesnej literaturze odwilżowej przebiegała dwoma odrębnymi torami – zależnie od tego, w czym zbudowany pisarz upatrywał główny powód artystyczno-poznawczej klęski socrealistycznej doktryny. Dla jednych socrealizm przedstawiał się jako kultura „oficjalna”, a więc zastygła, sztywna, znumifikowana, śmiertelnie poważna, w ortodoksyjności swej niemalże wiktoriańska, skrępowana perspektywą dorosłego i uformowanego „obywatela”, przez którego oczy oglądana była rzeczywistość. Reakcją na tak rozumiane ograniczenie socrealizmu stawało się w podobnych wypadkach wprowadzenie – jako narratora czy głównego bohatera – właśnie dziecka, z jego świeżą, naiwną, nie skrępowaną dogmatami wyobraźnią i perspektywą poznawczą. Na tym chwycie opierała się „odwilżowość” „Złotego lisa” Andrzejewskiego; w poezji wkrótce pojawią się eksplorujące dziecięcą wyobraźnię wiersze Harasymowicza i Grochowiaka czy niektóre „bajki” Herberta. Inni jednak pisarze (a nawet niekiedy ci sami pisarze w innych swoich utworach)

widzieli naturę socrealizmu odmiennie. W ich oczach podstawową przesłanką doktryny była właśnie jej swoista infantylność, mówiąc ściśle – traktowanie czytelnika jako dziecka, a utworu literackiego jako upupiającej czytanki *ad usum delphini*, ubezwłasnowolniającej sielanki dla małych. Jako naturalna reakcja odwrotna na tak rozumiane ograniczenie pojawiły się więc w literaturze odwilżowej „manifestacyjne powroty do perspektywy „dorosłej”, do „męskiego” tonu, do „dojrzałego” podejmowania trudnych i bolesnych tematów: to casus rozrachunkowej poezji Hertza, Jastruna, Woroszyńskiego, później Herberta (w wierszach raczej niż w „bajkach”) czy Drozdowskiego.

Na tle tego rozwoju, oddzielenia „dziecięcej” i „dorosłej” perspektywy „Poemat dla dorosłych” uderza jako swoista anomalia. Ważyk, jeden z pierwszych wybitniejszych „odwilżowców”, już w roku 1955 doprowadza do jedynej w swoim rodzaju kombinacji obu ujęć: zarówno tematyka poematu jak i sposób traktowania czytelnika odwoływały się do kategorii „dorosłości”, jednakże cały rewelatorski efekt poznawczo-artystyczny utworu możliwy był dzięki zastosowaniu „dziecięcej” optyki poetyckiej. Do posłużenia się zaś tego rodzaju optyką właśnie Ważyk nadawał się idealnie: czyniąc tak, sięgał bowiem do swoich własnych poetyckich początków, do techniki widzenia wypracowanej w okresie swojej kubistycznej młodości. „Poczynając od «Poematu dla dorosłych» korzystałem z całego zasobu swych «awangardowych» doświadczeń”, stwierdzał otwarcie w wywiadzie z 1957⁴¹. Będąc (jak to przekonująco udokumentował Głowiński) palinodią, zakwestionowaniem i odrzuceniem niedawnej socrealistycznej przeszłości autora, jest więc poemat zarazem autoapologią, wyrazem przewartościowania i afirmacji przeszłości dawniejszej – awangardowej.

Ale co należy rozumieć przez „dziecięcą optykę”? Muszę się od razu zastrzec, że określenie to jest skrótowe i umowne: w sensie, w jakim stosowane jest w tym szkicu, oznacza nie tyle sposób widzenia związany dosłownie z osobą dziecka w roli narratora, ile, ogólniej, takie widzenie obiektu, jakby oglądało się go po raz pierwszy. Gdyby ktoś chciał ująć w dwóch słowach istotę kubistycznej techniki Ważyka z lat dwudziestych, z okresu *Semafarów* i *Oczu i ust*, musiałby posłużyć się określeniem:

świeżość widzenia ⁴². Zapożyczone z kubizmu chwytły jukstapozycji i metonimii ⁴³ służą tu rejestracji wrażeń tak jak są one bezpośrednio wchłaniane przez aparat percepcyjny. Przede wszystkim więc, nasilona zostaje zmysłowość percepcji, zatrzymującej się przed progiem intelektualnej hierarchizacji. W opisie nie ma śladu jakichkolwiek *preconceived notions* – poprzestaje się na ściśle empirycznej, nawet za cenę pozornego braku logicznego związku między zarejestrowanymi wrażeniami. Co więcej, sam postrzegany obiekt widzi się nie jako logicznie i hierarchicznie powiązaną całość, lecz jako zbiorowisko oddzielnych, niespójnych składników. Jest to widzenie oczyma nawet już nie Leśmianowskiego „człowieka pierwotnego” (ten miał bowiem przynajmniej swoje mity, które nadawały jego światu spójność), ale oczyma kogoś jeszcze bardziej dziewiczego w swoim odbiorze zewnętrznosci. Na przykład – oczyma rekonwalescenta, który wychodzi po raz pierwszy na ulicę po długiej chorobie ⁴⁴:

Dziś pierwszy raz od czasu jak leżałem chory
wyszedłem dobre ciepłe poczułem kolory
Podczas każdej choroby wrażliwość zmieniamy
jak dziecko z łona matki wyszedłem dzisiaj z bramy
[„List rekonwalescenta,” WW 45] ⁴⁵

Albo – dosłownego dziecka, którego „oczy duże” wchłaniają świat bez uprzedzeń i ograniczeń:

Długo chodziłem w chwale włosów długich,
miałem lat dziesięć i oczy duże.
O ileż dłużej będę spłacał dług ich,
najcięższy z długów zaciągniętych w górze?
[„Adolescencja”, WW 15]

Bohater liryczny wczesnej poezji Ważyka jest zresztą na ogół – w momencie, w którym toczy się liryczna akcja wiersza – nie dzieckiem lecz raczej wyrostkiem lub młodzieńcem. Nie stoi to jednak w sprzeczności z często przyjmowaną przezeń „naiwną” perspektywą, która w dziecięcy właśnie sposób ogranicza się do symultanicznego rejestrowania niehierarchizowanych wrażeń ⁴⁵. Wrażenie dziecięcej naiwności wzmaga niejednokrotnie parataktyczna śladnia oraz celowo prymitywny rytm i rym wiersza:

Po ulicy spacerują cztery kwiaciarki
 na rogu przed rozstaniem podają sobie wargi
 W południe idzie również jakiś handlarz uliczny
 wieczorem stoi w bramie sklepikarz symetryczny
 [„Przechodzień”, WW 69]

Nawet w wierszach, w których mamy do czynienia z wyraźnie nie-dziecięcym podmiotem czy bohaterem, częstym zjawiskiem są przeskoki jego pamięci w stronę wrażeń zmysłowych z dzieciństwa – tak jak gdyby wrażenia te były silniejsze czy autentyczniejsze od wszelkich doznań z okresu dorosłości:

To byłoby cudem w dzieciństwie kiedy zbieraliśmy marki
 [„Aorta”, WW 36]

W dzieciństwie włosy mokre
 czesał matczynej grzebień
 pod pachą blaszany okręt
 [„Transatlantyk 1924”, WW 25]

Krzysztof znowu czuł, jak dojrzewanie holi,
 wspomniał łzy dzieciństwa o przykrym smaku soli;
 [„Ślub Krzysztofa”, WW 50]

5.

Jak wiadomo, po wydaniu w roku 1926 *Oczu i ust* Ważyk praktycznie zamilkł jako poeta, aby objawić się ponownie – ale w drastycznie odmiennym wcieleniu klasycyzującego socrealisty – dopiero w Związku Radzieckim w latach wojny. Przejście od etapu kubistycznego do socrealistycznego miało – choć oddzielała te etapy wieloletnia przerwa – wszelkie cechy gwałtownego zerwania. Dokumentem owego zerwania stał się napisany w roku 1940 wiersz „Pożegnanie Inkipo”⁴⁷. Warto przypomnieć ten wiersz w pełnym brzmieniu, podkreślając w nim wyrażenia, które nadają mu charakter jednoznacznego potępienia dawnej „dziecinności”. Przyjęcie baśniowego Inkipo za symbol minionych złudzeń poetyckich służy Ważykowi do postawienia znaku równania między „niedorosłością” z jednej strony a „niepowagą”, „urojeniem” czy wręcz „mystyfikacją” z drugiej:

Inkipo, końskie miasto, gdzie różowe klacze,
 wyrastając nad ludzi, na przelaj stuleci
 biegły, żegnaj, Inkipo, jeśli cię zobaczę
 kiedyś, to chyba w książce pisanej dla dzieci:
 spocziwiałe miasteczko, będziesz kalkomanią
 odartą z mgły perłowej i chłopcy poklepią
 twoje konie po grzebietach, nie zagadasz stajnią
 parskającą do przygód, co się wszystkie ślepo
 kończyły – zagadkową, karczemną scenerią
 albo lasem bez wyjścia... Jakaś *nastoletnia*
 skrytobójczyni, pędząc na skradzionej klaczy,
 zmrużyła do mnie oko: tam *nie brano serio*
 nawet zbrodni i człowiek jak las obojętniał;
 ptak się z niego *naśmiewał*: co właściwie znaczy
 Inkipo, to nieludzkie *urojenie*? Żegnaj,
 miasto, które sławili *mystyfikatory!*
 Ja także zachodziłem między nich onegdaj,
 alem ja, *bredniło* moja, zgryzł cię i otworzył
 przez pół, pokrętną, stęchłą, jak wnętrze orzecha,
 co wysechł. Jeśli o mnie spyta kto w Inkipo,
 odpowiedzcie mu prawdę: nawet ten odjechał.

[WP 74]

W pełnej zgodzie z zapowiedziami zawartymi w „Pożegnaniu Inkipo”, przejście od kubizmu do socrealistycznego klasycyzmu dokonało się u Ważyka nie tylko w płaszczyźnie ideologii czy stylistyki. Objęło również to, co można nazwać zupełnie dosłownym wydorosleniem podmiotu jego wierszy. Znamienne, jak często w utworach z lat czterdziestych pojawia się przeciwstawienie dawnej niedorosłości i obecnej dorosłości, z dokładnymi – jak w ankiecie personalnej – określeniami dotyczącymi własnego wieku:

Poczuć wiosnę i zdziwić się miastu,
 i twojego przerazić się gestu,
 muzo, muzo mych lat dziewiętnastu,
 smutna żono moich lat trzydziestu.

[„Zwierzenia”, WP 81]

Gdzie sosna wielka i biała topól,
gdzie świszczy w uszach wiatr nadwiślański,
tam w młodość wczesną zapadł jak w topiel
wiersz horacjański.

I trwał, jak niegdyś, na dnie stuleci,
i po dwudziestu latach mnie dościgił:

[„Gdzie sosna wielka”, WP 87]

Trzydziestokilkuletniemu wypada widzieć jasno,
jak się prawują pociski, jak nocą w głębokim kryształe
wirują czasy i losy, miotły ogniste gasną
nad ośnieżoną równiną, zanim ruszymy dalej.

[„Czuwanie”, WP 92]

Pożegnanie ze złudzeniami młodości, analogiczne do „Pożegnania Inkipo”, pozostaje w tych latach częstym tematem wierszy Ważyka, żeby wspomnieć tylko „Szkic do pamiętnika” czy „Katarynkę”. Ale proces „doroslenia” poety ma swoją odwrotną stronę. Jest nią przywłaszczenie sobie pozycji mentora, któremu nie tylko „wypada widzieć jasno”, ale i – wypada jasno i jednoznacznie oświecać nieoświeconych. Konsekwencją przyjęcia postawy dorosłego mentora staje się traktowanie adresata jak naiwnego dziecka – z wyższością ledwie maskowaną pozorami serdecznego zbratania:

Codziennie rodzą się piosenki
pełne czułości i mądrości,
które niechcący układacie,
ludzie przy pługu i warsztacie,
wpatrzeni w jutro ludzie prości.

[„Piosenka na rok 1949”, WP 116-117]

Charakterystyczna jest w tych mentorskich wierszach obecność form imperatywu: zamiast po prostu pokazać lub dać do myślenia, adresatowi – jak krnąbrnemu dziecku – nakazuje się, aby zobaczył lub wiedział:

Patrz, jak stoi uparta
na rusztowaniach partia,
rozpala się klasowa
bitwa – nasza budowa.

Niech wiedzą ludzie, komu
 rodzi się dom po domu,
 czy magnatom stalowym,
 wariatom atomowym,
 czy sobie i ludowi
 Warszawa się sposobi.

[„Lud wejdzie do śródmieścia”, WP 121]

– przy czym to, co adresat ma zobaczyć lub wiedzieć, podane mu jest od razu w gotowym opakowaniu ideologicznej klasyfikacji. To nie murarze (jak mogłoby się naiwnemu odbiorcy здаwać) stoją na rusztowaniach – to partia; to nie po prostu budowa postępuje – to rozpala się klasowa bitwa. W tym samym duchu alternatywa „czy... czy...”, podana rzekomo do rozważenia „ludziom” w dalszej części powyższej strofy, okazuje się natychmiast alternatywą pozorną, zabiegiem retorycznym: nikt przy zdrowych zmysłach nie może ani przez chwilę przyjąć, że odbudowa Warszawy może ucieszyć groźne siły, zaklasyfikowane dobitnie i jednoznacznie jako „magnaci stalowi, wariaci atomowi”. W podobny sposób zinterpretować wypada pozycję podmiotu w subtelniejszych z pozoru, nie tak natrętnie agitacyjnych wierszach socrealistycznych Ważyka, choćby takich jak „Widokówka z miasta socjalistycznego”;

O świecie niecierpliwa,
 niesyta swojego piękna,
 syczała lokomotywa
 nad dziewczyną, która ukłękła.

Ktoś, kto przelotnie zobaczył
 pogański profil dziewczyny,
 opacznie sobie tłumaczył,
 że modli się do maszyny.

A jej tylko drgała warga,
 gdy ranną racją oliwy
 maściła, czuła kolejątkę,
 tłoki lokomotywy.

[WP 111]

W tym krótkim wierszu postawa mentora przemawiającego do naiwnych słuchaczy manifestuje się aż na trzech logicznych poziomach. Po pierwsze, naiwne i „opaczne” okazuje się zdanie „kogoś”, kto wyobraża sobie absurdalnie, że prosta dziewczyna modli się do lokomotywy; dziewczyna nie jest ciemnym dzikusiem, to wykwalifikowana kolejarka. Ale – palec mentora unosi się po raz drugi – opaczne jest również zdanie dziewczyny, która wyobraża sobie, że po prostu spełnia swoje zawodowe obowiązki; w istocie, choćby o tym nie wiedziała, spełnia je z zaangażowaniem i poświęceniem, jest „czulą kolejką”, która „maści” tłoki oliwą wręcz pieśczośliwie (pozostawiam w tej chwili na boku całą – zapewne niezamierzoną – freudowską symbolikę i płynnie-obleśną fonetykę ostatniej strofy). Wreszcie – trzecie uniesienie mentorskiego palca – naiwni jesteśmy również my, którzy tego słuchamy i którym się wydaje, że cały opis to obrazek rodzajowy, „widokówka z miasta socjalistycznego”, socrealistyczny reportaż: w istocie cały opis przesycony jest autonomicznym „pięknem” obrazów, dźwięków i logicznych konstrukcji, autor jest nie tylko piewą industrializacji kraju i równouprawnienia kobiet, ale i subtejnym estetą.

Powtórzmy: nie w samej ideologii i nawet nie w stylistyce, ale właśnie w płaszczyźnie stosunku między narratorem i adresatem zmanifestowała się najwyraźniej ta radykalna transformacja, ten zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, którego dokonał Ważyk, stając się z kubisty socrealistą. Postawa „receptora” zastąpiona została postawą „preceptora”: zamiast umysłu dziecięcego, naiwnego, otwartego na dopływ zmysłowych wrażeń i opornego wobec jakiegokolwiek ich apriorycznej systematyzacji, pojawił się umysł formowany przez dogmatyczne kategorie i narzucający te kategorie traktowanemu jak naiwne dziecko słuchaczowi.

Czy może dziwić, że gwałtowne odrzucenie socrealizmu w „Poemacie dla dorosłych” (a także w innych wierszach rozrachunkowych z tego okresu, takich jak przesycone dziecięcymi obaeksjami „Zapalka” czy „Cyrk”) wyraziło się w niespodziewanym powrocie do dawnego, dziecięco-kubistycznego „świeżego widzenia”? Tyle że była w tym powrocie i pewna nowość. W okresie kubistyczno-awangardowym narrator Ważyka był dzieckiem przemawiającym do „dziecka w człowieku”. W okresie

socrealistycznym stał się dorosłym przemawiającym do poczynanych, naiwnych dzieci. W okresie „Poematu” stał się na powrót dzieckiem – ale tym razem przemawiającym do dorosłych ⁴⁸.

6.

Wszystko tu stare. Stare są hycie
od moralności socjalistycznej ⁴⁹.

Rzucone mimochodem w 11 części poematu, zdanie to stanowi nie tylko podsumowanie zarysowanego wcześniej obrazka rodzajowego, ale i klucz do całego utworu. Podstawowa idea „Poematu dla dorosłych” opiera się na paradoksie: świat, który według wszelkich przyjętych założeń miał być światem NOWYM, okazuje się światem STARYM. Świat, który miał być światem młodych, okazuje się światem „starych hyci”.

Aby jednak paradoks stanowił naprawdę zaskoczenie, osobą, która go obserwuje i uświadamia sobie, musiało stać się dziecko – czy, mówiąc ściślej, ktoś może i dorosły, ale przyjmujący dziecięcą perspektywę widzenia. Perspektywę kogoś, kto bierze – z dziecięcą naiwnością – na serio zapewnienia o „nowości” budowanego świata i kto – z dziecięcą spontanicznością sądu – odkrywa rozdźwięk między deklaracjami a rzeczywistością.

Warto prześledzić, jak dramat ten rozgrywa się w płaszczyźnie linearnej konstrukcji utworu. „Poemat dla dorosłych” podzielony jest na 15 części, kontrastujących ze sobą nawzajem i zestawionych bez jakichkolwiek łączników czy przejść, na zasadzie techniki jukstapozycji (podjętej na nowo przez Ważyka jako świadome nawiązanie do własnych kubistycznych początków) ⁵⁰. Części kontrastują ze sobą zwłaszcza przyjętym w nich typem sytuacji lirycznej i lirycznego monologu, natomiast upodobnione są wciąż tym samym punktem widzenia związanym z wciąż tą samą osobowością autorskiego podmiotu ⁵¹. Ten punkt widzenia narzucony zostaje, już w pierwszych słowach pierwszej części, przez znamieny akt popełnionej niechcący „pomyłki”:

Kiedy wskoczyłem przez pomyłkę do innego autobusu,
ludzie siedzieli jak zwykle, wracali z pracy.

Zwrot „jak zwykle” sugeruje, że i narrator jest dorosłym, zatrudnionym gdzieś człowiekiem, wraz z innymi o codziennie tej samej porze powracającym autobusem do domu. Z tej codziennej rutyny dorosłego życia wytrąca go „pomyłka”, niezaplanowany przypadek – fakt wskoczenia do innego niż zwykle autobusu. Autobus wiezie narratora nie, jak zwykle, ulicą Świętokrzyską (nową, bo odbudowaną po wojnie w socrealistycznym stylu ulicą w centrum Warszawy), ale „ulicą nieznaną”, wiodącą w sensie przestrzennym do starej „robotniczej dzielnicy, /gdzie szare mury srebrzą się od wspomnień”, a w sensie czasowym prowadzącą narratora ku reminiscencjom przeszłości („Gdzie jesteście, umarli? / Pamięć po was ginie”). Trasa kończy się „na rozkopanym placu”, gdzie „Stary grzbiet czteropiętrowej kamienicy / czekał na wyrok losu”. Narrator rozpoznaje w tym krajobrazie przeszłości krajobraz własnego dzieciństwa:

Ludzie śpieszyli się do domu.
Nie śmiałem ich zapytać, gdzie jestem.
Czy nie tutaj chodziłem w dzieciństwie do apteki?

Ta napawająca lękiem, nieoczekiwana wyprawa w świat dzieciństwa kończy się jednak powrotem narratora „do domu”, do żony i dzieci, w świat dorosłego życia:

Wróciłem do domu,
jak człowiek, który poszedł po lekarstwo
i wrócił po dwudziestu latach.

Żona spytała, gdzie byłeś.
Dzieci spytały, gdzie byłeś.
Milczałem spocony jak mysz.

Już w tej wyjściowej sytuacji lirycznej zarysowany zostaje podstawowy paradoks całego utworu. Dzięki „pomyłce”, aktowi sprzecznemu z dorosłą logiką postępowania, narrator uświadamia sobie, że świat „nowy”, świat rządowego centrum Warszawy z jego socrealistyczną architekturą, jest światem dorosłej, „starej” rutyny; na odwrót, światem autentycznych i świeżo odczuwanych wartości okazuje się świat dawny, świat starej

„robotniczej dzielnicy”, świat dzieciństwa⁵². Narrator powraca do świata dorosłego, ale ze zmienioną optyką: odtąd będzie widział rzeczywistość świata „starych hycł” nie jak człowiek do niej przyzwyczajony, lecz jak człowiek, który (jako dziecko) „poszedł po lekarstwo i wrócił po dwudziestu latach”, zachowując odtąd świeżość dziecięcego spojrzenia.

Anegdotyczno-narracyjna część pierwsza znajduje swoje kontrastowe uzupełnienie w piosenkowo-lirycznej części drugiej. W sensie topograficznym scenerię stanowi znowu socrealistyczne centrum Warszawy (w „placu pod kandelabrem” można się domyślać Placu Konstytucji), ale narrator, zarazony już dziecięcym sposobem widzenia i przechylny emocjonalnie na stronę świata swojego dzieciństwa widzi teraz tę scenerię odmiennie niż w początku części pierwszej. Gdy tam ulica Świętokrzyska stanowiła ostoję normalności, tutaj „plac pod kandelabrem” obnaża całą swoją groteskową niezbornosć, jawi się jako „patos pod rękę z tandetą”. W takim świecie nie można już się „odnalzczyć”:

Plące się wiją jak kobry,
domy się pysznją jak pawie,
dajcie mi stary kamyczek,
niech się odnajdę w Warszawie.

Stoję jak słupnik bezmyślny
na placu pod kandelabrem,
chwałę, podziwiam, przeklinam
na kobrę, na abrakadabrę.

[.....]

Kochaj to zwykłą koleją,
inne kochałem kamienie,
szare i wzniosłe prawdziwie,
w których dzwoniło wspomnienie.

Podstawowy paradoks poematu pogłębia się w tej jego części przez to, że „nowy” świat jest z pozoru światem „młodych” – ale zarazem są to młodzi, z którymi zarazony dziecięcością podmiot wiersza nie czuje się solidarny. Jako pokolenie odcięte od świata dawnego, pozbawione pamięci historycznej i możliwości porównania obu światów, „młodzi” stanowią coś w rodzaju *tabula rasa*, na której „stare hycle” mogą wypisać swoje „literę”:

Tu młodzi chodzą na lody!
 Ach, wszyscy tu bardzo młodzi,
 pamięcią sięgają ruin,
 dziewczyna wkrótce urodzi.

Co wrosło w kamień, zostanie:
 patos pod rękę z tandetą,
 tu będziesz uczył się liter,
 przyszedł warszawski poeta.

To, co określiśmy wyżej jako „zarażenie dziecięcnością”, podlega dalszemu rozwojowi w następnych częściach poematu. Wyściowy symboliczny kontrast między dawną a nową architekturą (jak podkreślało wielu krytyków, wybór tego akurat motywu stanowił autpolemikę Ważyka z jego własnym wierszem „Lud wejdzie do śródmieścia”⁵³) zarysował podstawową opozycję wartości: autentyczność contra fałsz. Umysł narratora w dziecięcounaiwny sposób wykrywa teraz istnienie tej samej opozycji na innych niż architektura terenach rzeczywistości. Typowa jest pod tym względem część trzecia, w której wzięte „z przemówienia politycznego” motto „Dziś nasze niebo nie jest puste” zostaje, w charakterystyczny dla dziecięcej logiki sposób, potraktowane dosłownie i wzięte na serio. W rzeczy samej, niebo nie jest puste, ponieważ wypełnia je „świsł odrzutowców, / kosztowny bardzo, a jednak musimy...” Znamienne, że momentem narracji jest „świsł” – początek nowego dorosłego dnia, ale wciąż jeszcze moment, w którym obudzony przed chwilą narrator może sobie pozwolić na myślenie nieortodoksyjne i nieschematyczne. Myślenie takie doprowadza go do prostego wniosku: „mówimy: niebo nie jest puste” dlatego że „nie chcemy mówić wprost o ziemi”, operujemy wzniosłymi hasłami i abstrakcjami dlatego że przyziemna i konkretna rzeczywistość („Ludzie tu chodzą byle jak, w drelkach, / szybko się u nas kobiety starzeją...”) przeraża nas swoją niezgodnością z ideałem.

Teza ta znajduje swoją drastyczną ilustrację w części czwartej – słynnym fragmencie „nowohuckim” – a także w stanowiącej jej uzupełnienie części piątej (którą można by nazwać fragmentem „śląskim”). Pierwszoosobowa perspektywa pierwszych trzech części zastąpiona tu zostaje prezentacją panoramiczną,

której obiektem staje się tłum, „masa wędrowna, Polska nie-człowiecza” wypełniająca hotele robotnicze i dostarczająca siły roboczej wielkiemu przemysłowi. Jest to masa „karmiona pustką wielkich słów, żyjąca / dziko, z dnia na dzień i wbrew kaznodziejom”, padająca ofiarą całkiem realnych tragedii, o których „piszą w gazetach lub wcale nie piszą”. Ton tych dwóch fragmentów trudno byłoby nazwać dziecięcym – szczególnie fragmenty nowohucki uderza, przy powierzchownej lekturze, ostentacyjnym cynizmem i brutalnością. A przecież dziecięcy jest tu stałe ten sam podstawowy zabieg konfrontacji „wielkich słów” z empirią – wzięcia na serio tego, co mówią „kaznodzieje”, tylko po to, aby wykazać, że rzeczywistość nie zawsze się z tym zgadza.

Ten sam zabieg w kliniczny wręcz sposób zostaje zademonstrowany we fragmencie szóstym, gdzie prezentacja z ogólnej panoramy zwięża się na powrót do rozmiarów konkretnej sytuacji. Tym razem scenerię stanowi dworcowy bufet gdzieś na trasie do Nowej Huty, zaś „pustkę wielkich słów” ilustruje antyalkoholowy plakat z napisem: „UWAGA! WRÓG PODSUWA CI WÓDKĘ!” W tonie tym razem ironiczno-groteskowym i w wierszu przypominającym rymowanki dla dzieci nieujawniony narrator bierze ostrzeżenie na serio, mimo że doprowadza to do absurdałnej konkluzji. Skoro to bufetowa podsuwa wódkę, zatem to ona jest wrogiem.

Tu na pewno będziesz otruty,
panna Jadzia ściągnie ci buty,
taka ładna, kiedy poziewa,
taka ładna, kiedy nalewa...

Ale kolejny etap wnioskowania nie jest już tak absurdałny: aluzja do „dorsza narodowego” w ostatnich liniijkach każe pomyśleć o tym, że przecież prawdziwym dostawcą alkoholu jest państwowy monopol. Slogany na plakatach są tak dalece puste znaczeniowo, że nikt nawet nie zwraca uwagi na to, że państwo-truciel samo wskazuje na siebie palcem:

Nie jedź, chłopcze, do Nowej Huty,
bo po drodze będziesz otruty,
niech ustrzeże cię plakat węzowy
i w żołądku dorsz narodowy:
UWAGA! WRÓG PODSUWA CI WÓDKĘ!

Fragmenty siódmy („Nie uwierzę, mój drogi, że lew jest jagnięciem...”) i ósny („To prawda, / kiedy miedziaki nudziarswa...”) znowu w pewnym sensie wzajemnie się uzupełniają. Oba są mianowicie replikami dialogowymi, stanowiącymi jakby fragmenty sporu z nieujawnionymi partnerami: fragment siódmy odmawia przyznania racji absurdalnym argumentom dogmatyka, ósny – przyznaje słusność zdroworozsądkowym argumentom racjonalisty. Wspólnym mianownikiem jest tu protest przeciwko „chimerom” i „sępom abstrakcji” przy jednoczesnej obronie najpręższego, dziesiątego-empirycznego podejścia do rzeczy-wistości:

ale wierzę, że stół ma tylko cztery nogi,
ale wierzę, że piąta noga to chimera,
a kiedy się chimery zlatują, mój drogi,
wtedy człowiek powoli na szree umiera.

Fragment dziewiąty to pierwsze w poemacie zastosowanie poetyki miniaturowej przypowieści, która powróci jeszcze we fragmentach dwunastym i trzynastym. Groteskowo-karykaturalna historyjka o topielcu, który w przedśmiertnej notatce zdążył jeszcze ocenić części swojego ubioru pod kątem ich ideologicznej „słusności” czy „niesłusności”⁶⁴, kontrastuje z fragmentem dziesiątym, którego typ prezentacji jest znowu realistyczny i dotyczy konkretnej sytuacji w konkretnym momencie. Sceneria „świeżo tynkowanej ulicy nowych bloków” to znowu składnik świata rzekomo „nowego”, który w istocie okazuje się światem wciąż tego samego złodziejstwa, prostytucji i bandytyzmu. Podobnie jak we fragmencie pierwszym czy drugim, punkt widzenia narratora oscyluje między „dorosłym” czasem teraźniejszym a wspomnieniem dzieciństwa („Jak trudno usnąć w dzieciństwie pośród szumiących kasztanów...”). Podobnie też jak we fragmencie drugim, „młodość” („piętnastoletnie kurewki schodzą po deskach do piwnic”, „chuligani bawią się w chuliganów”) okazuje się zdeprawowana i pozbawiona oparcia w jakimkolwiek świecie wartości – jest bliższa światu „starych hycyli” niż światu „dzieciństwa”. To samo można powiedzieć o wymowie fragmentu jedenastego, w którym historia (autentyczna podobno⁶⁵) zaszczucia lekkomyślnej dziewczyny przez specja-

listów „od moralności socjalistycznej” budzi nie tyle współczucie dla jej losu ile wszechogarniające zniechęcenie: „Wszystko tu stare”.

Perspektywa narracyjna dwu krótkich parabol, składających się na fragmenty dwunasty i trzynasty, zdominowana jest przez użycie trzeciej osoby liczby mnogiej, której konsekwentne semantyczne („oni” to dogmatyczni komuniści, do których groiła Ważyk, mocą samej gramatyki, nie włączył siebie samego) tak rozjuszyły wielu krytyków „Pocmatu...”. Możliwe dzięki użyciu słowa „oni” postawienie siebie samego poza obrębem krytykowanej zbiorowości jest jednak tylko logicznym następstwem zastosowania w poemacie dziecięcego sposobu patrzenia na rzeczywistość. We fragmencie 12 dorosła zbiorowość wyróżników utopii obowiązuje wspólnie podtrzymywana konwencja udawania, że „woda morską” istotnie smakuje jak „lemoniada”. Jedynie dziecko, którego dorosłe konwencje nie wiążą, może sobie pozwolić na spojrzenie z boku i niedelikatne wyjawienie, że opijający się morską wodą „Wracają do domu cichaczem / rzygać, / rzygać”. Podobnie niedelikatnie zachowuje się narrator we fragmencie 13:

Przybiegli, wołali:
w socjalizmie
skałeczony palec nie boli.

Skałeczylili sobie palec.
Poczuli.
Zwątpili.

Fragmencie 14 pokazuje efekty działania „ich” wobec ludzi nie dość fanatycznie wierzących w utopię („rutyniarzy”): usiłując za wszelką cenę „wychowywać” niezdecydowanych, dogmatycy tak dalece skupili się na narzucaniu im swojego obrazu świata, że zapomnieli o „znajomości praw rzeczywistych”. Ten fragment to z pewnością poetycko najmniej przekonująca z wszystkich części poematu, stanowi on jednak ogniwo pośrednie pomiędzy satyryczno-parabolicznymi fragmentami 12 i 13 a liryczno-supplikacyjnym zakończeniem. Fragment ostatni składa się w istocie z dwu części: pierwsza to lista rozmaitych faktów, które zaprzeczają utopijno-wyidealizowanej wizji rzeczywistości, druga – to

litanijne „upominanie się o” pożądane wartości (od konkretnych, takich jak „klucze do drzwi pasujące”, „izby z oknami” i „ściany bez grzybów”, do najogólniejszych, jak „jasne prawdy”, „zboże wolności” i „rozum płomienny”). Do kogo skierowana jest suplikacja? Zamiast odpowiedzieć, Ważyk w ostatnim słowie poematu zaskakuje czytelnika znaczącym – politycznie znaczącym – przekształceniem oczekiwanej składni: w miejsce spodziewanego wzoru, „upominamy się o coś przed kims” stosuje nietypowy model z narzędnikiem:

o jasne prawdy, o zboże wolności,
o rozum płomienny,
o rozum płomienny,
upominamy się codziennie,
upominamy się Partią.

„Zakończenie poematu [...] rozumiane jest jako nieusprawiedliwiony treścią utworu dopisek” – przygwałdził Ważyka w 1955 roku jego oficjalny partyjny krytyk⁵⁶. Również późniejsi krytycy interpretowali nieraz ostatnią linijkę „Poematu...” jako zabezpieczenie przed skreśleniem całego utworu przez cenzurę. Możliwe, ale trzeba oddać Ważykowi sprawiedliwość: dzięki drobnemu przekształceniu składni, dzięki użyciu narzędnika w miejsce wyrażenia przyimkowego, uczynił Partię nie wszechwładnym obiektem pokornej suplikacji lecz narzędziem posłusznym woli ludu. Cóż prawda, już wkrótce miał się przekonać na własnej skórze, jak naiwne było takie wyobrażenie.

7.

Sięgając po raz któryś po słowo „naiwność”, trzeba jednak również powtórzyć, że właśnie dziecięca naiwność stanowi organiczny składnik wizji świata zawartej w poemacie – składnik, bez którego jego piorunujący efekt społeczny w roku 1955 byłby niemożliwy. Jak zauważyliśmy przy przeglądzie tekstu w jego linearnym porządku, kolejne części poematu różnią się od siebie znacznie – tonem i nasileniem emocji, miejscem i czasem akcji, typem lirycznej sytuacji, trybem monologu. Jedno pozostaje niezmiennie: ten sam we wszystkich częściach klucz semantyczny.

jakim jest dziecięcy sposób widzenia rzeczywistości. Narrator Ważyka to oczywiście nie dziecko w dosłownym sensie: to raczej dorosły, który dzięki przypadkowemu wstrząsowi (można by ten wstrząs nazwać w języku mistyków iluminacją czy w języku psychologów – nagłym odzyskaniem pamięci po okresie amnezji) odzyskał pamięć własnego dzieciństwa. I zrozumiał, że dzieciennie-naïwny punkt widzenia umożliwia mu – paradoksalnie – właśnie wyzwolenie z otumaniających dogmatów. Przyjąwszy bowiem właściwy dziecku empiryczny, nieuprzedzony sposób widzenia, narrator jest w stanie dostrzec kontrast między faktami a ich jednostronną interpretacją czy konwencjonalnym przemilczaniem: jest w stanie dostrzec (aby się posłużyć frazą otwierającą część 5 poematu), że „i tak się zdarza”, że rzeczywistość zawiera w sobie wiele wymiarów i wewnętrznych sprzeczności, nie mówiąc o nieusuwalnych faktach cierpienia i zła. W tym sensie poemat jest istotnie „dla dorosłych” – ale jego „dorosłe” tematy i problemy swój traumatyczny walor zawdzięczają temu, że ujawnia je dziecięce spojrzenie.

W paradoksie tym zawiera się jednak i pułapka, w którą Ważyk wpadł – musiał wpaść. Poemat był w stanie osiągnąć zamierzony efekt tylko dzięki zastosowaniu dziecięcej optyki – zarazem zaś właśnie jej zastosowanie stało się powodem nieuniknionej połowiczności utworu. Dziecięcej „naiwności” towarzyszy bowiem nierozdzielnie, jak druga strona medalu, dziecięca „niewinność”; epistemologia nie daje się w tym wypadku oddzielić od etyki. Inaczej mówiąc, dziecko ze swoją „naiwnością” lepiej dostrzega i ujawnia fakty; zarazem jednak dziecko ze swoją „niewinnością” zwolnione jest od współodpowiedzialności za te fakty.

Stąd właśnie zjawisko, które jest typowe dla całej „formacji rewizjonistycznej”⁸⁷ w literaturze drugiej połowy lat pięćdziesiątych, ale które Ważyk reprezentuje w wyjątkowo jaskrawej postaci: oskarżenie, zarówno w „Poemacie dla dorosłych”, jak i w innych wierszach⁸⁸ czy esejach⁸⁹ Ważyka dotyczących okresu stalinowskiego, spada ostatecznie zawsze na „nich”, na tajemniczych manipulatorów, „mystyków przebranych”, którzy oszukali naiwnych – i niewinnych – wyznawców; sam zaś okres stalinizmu interpretowany jest w tych utworach jako zauroczenie wpły-

wem „demonów”, szalenstwo, hipnoza, czy choroba, z których wystarczyło zwyczajnie ocknąć się czy wyzdrowieć⁶⁰. Narrator Ważyka „podszywa się pod dziecko”, aby móc sobie pozwolić na większą szczerość; jednocześnie jednak „podszywa się pod dziecko” w sposób, w jaki dorosły udaje niepełnoletniego przed sądem – aby uchylić się od odpowiedzialności. Im dłużej trwa proces – a trwa już on, przed sądem kolejnych pokoleń czytelników, ponad trzydzieści lat – tym bardziej dwuznaczny wydaje się ten wybieg.

Kwiecień 1987

Stanisław Barańczak

PRZYPISY

¹ Adam Ważyk, „Losy poematu”, *Polityka* 1981, nr 1; por. także Jerzy Putrament, *Pół wieku. Literaci*, Warszawa 1970, ss. 288-292; Tadeusz Drewnowski, *Tyle hałasu – a nie? Wspomnienia*, Warszawa 1982, ss. 165-167; Henryk Markiewicz, „Czy to już historia?”, *Polityka* 1981, nr 1.

² Ważyk, „Losy...”

³ J.A. Szczepański, „Nad «Poematem dla dorosłych»”, *Trybuna Ludu* 1957, nr 64.

⁴ Ważyk, „Losy...”

⁵ *Ib.*

⁶ Jako próbę ostrożnej obrony Ważyka można np. odczytać rubrykę „Wędrowka po czasopiśmiech” w *Życiu Literackim* 1955, nr 38, w której, relacjonując treść polemiki z poematem, autor ukryty pod kryptonimem „Czytelnik” (był nim Tadeusz Hołuj) rzuca zdanie: „[...] nie jest dobrze, [...] gdy uważa się za demaskatorstwo taki poemat Ważyka, do którego większość faktów zaczerpnął po prostu z prasy codziennej”.

⁷ Napisany w 1955 roku artykuł Pawła Jasienicy, broniący Ważyka przed napaścią Czeszki i innych, mógł się ukazać dopiero w wydaniu książkowym w 1957 r. Zob. Jasienica, „Co ma wynikać?”, w: Jasienica, *Studyi polityczne*, Warszawa 1957.

⁸ O „ucięciu poważnej dyskusji” i „warunkach wyraźnie utrudnionej obrony poematu” w r. 1955 wspomina już w roku 1957 Ryszard Matuszewski, „Adam Ważyk – zbuntowany racjonalista”, *Nowa Kultura* 1957, nr 6.

⁹ Drewnowski, s. 165.

¹⁰ *Ib.*, s. 167.

¹¹ Ważyk, „Losy...”.

¹² „Tu mówi «kaszka»”, *Żywie Literackie* 1955, nr 44; por. też reportaż Andrzeja Bursy „Huta rozmawia o Ważyku”, *Od A do Z* 1955, nr 38; przedruk w: Bursa, *Utwory wierszem i prozą*, Kraków 1969.

¹³ Ważyk, „Losy...”.

¹⁴ Szczepański, „Nad «Poematem...»”.

- ¹⁹ Alina Osiađacz-Molska, „O «trzeźwości» przebudzonych...”, *Nowa Kultura* 1955, nr 37.
- ¹⁶ Stefan Żółkiewski, „Więcej uwagi środowiskom twórczym”, *Życie Partii* 1955, nr 6.
- ¹⁷ Zob. np. W. Barcz, „W sprawie «Poematu dla dorosłych»”, *Trybuna Wolności* 1955, nr 39.
- ¹⁸ „Tu mówi «kasza»”...
- ¹⁹ Roman Zimand, „Kalif”, *Nowa Kultura* 1955, nr 46; podkreślenia autora.
- ²⁰ Agnieszka Osiecka, „O darze wygodnej ślepoty – prozą”, *Po prostu* 1955, nr 27.
- ²¹ Tadeusz Holuj, „Nie-ludowy obraz Nowej Huty”, *Życie Literackie* 1955, nr 43; podkr. autora.
- ²² Jerzy Putrament, „Paniczna ofensywa”, *Przegląd Kulturalny* 1956, nr 15.
- ²³ Bohdan Czeszko, „Deliberacje nad «Poematem dla dorosłych»”, *Trybuna Ludu* 1955, nr 245.
- ²⁴ Ludwik Flaścen, „O trudnym kunszcie womitowania”, *Życie Literackie* 1955, nr 44; przedruk w: Flaścen, *Cyrogrof*, Kraków 1974.
- ²⁵ Zwraca na to uwagę Michał Głowiński, „Wokół «Poematu dla dorosłych»”, *Odra* 1985, nr 11, s. 38.
- ²⁶ Putrament, „Pół wieku...”, ss. 290, 291.
- ²⁷ Głowiński, „Wokół...”, s. 29.
- ²⁸ Por. np. Tadeusz Drzewnowski, „O kilku «odmianach» krytycyzmu w literaturze”, *Nowa Kultura* 1955, nr 25.
- ²⁹ „Spór o fraszkę”, *Nowa Kultura* 1955, nr 11.
- ³⁰ *ib.*, „Co mówiono o Odwilży”, *Nowa Kultura* 1955, nr 20.
- ³¹ Jeszcze w roku 1965 Janina Preger („Adam Ważyk”, *Tygodnik Kulturalny* 1965, nr 14) pisała o „Poemacie dla dorosłych”: „[...] to kpina kogoś, kto stoi na stronie, kto wycofał swój udział i bez bólu wewnętrznego może ubiegać się o laur za najdotkliwsze uderzenie. Gdyby pisząc to samo mówił o własnym dramacie błędów, gdyby mówił o tym z bólem, jako o własnej tragedii socjalisty – przy lekturze nie odczuwaloby się tego protestu moralnego”.
- ³² Zob. np. akcenty krytyczne w recenzji Zdzisława Łapińskiego „Październik poetów”, *Tygodnik Powszechny* 1957, nr 21.
- ³³ Głowiński, ss. 31, 29. Por. również wytoką ocenę poematu w ogłoszonym po śmierci Ważyka szkicu Włodzimierza Odojewskiego, „Dwugłos o Ważyku”, *Puls* 1982-83, nr 17.
- ³⁴ Stanisław Stabro, „«Poemat dla dorosłych» – parada pozorów”, *Odra* 1985, nr 11, ss. 44, 40.
- ³⁵ Leszek Szaruga, „Wokół «Poematu dla dorosłych»”, *Powściągliwość i Praca* 1986, nr 10.
- ³⁶ „W kilka lat później [po 1955 r. – St. B.] dowiedziałem się od Flory Bieńkowskiej, że «Poemat dla dorosłych» został napisany na zamówienie Zambrowskiego. [...] Miała to Flora Bieńkowska Ważykowi za złe. Że to tymi drogami szło, że on w ten czas otrzymał darmowy pobyt w Nieborowie, żył w luksusach, żeby to napisać. To było zamówienie z Biura Politycznego”. Jacek Trznadel, *Hariba domowa: Rozmowy z pisarzami*, Paryż 1986, s. 115.
- ³⁷ Czeszko, „Deliberacje...”.
- ³⁸ Alina Osiađacz-Molska, „O «trzeźwości»...”.
- ³⁹ Jan Strzelecki, „W sprawie dla dorosłych”, *Nowa Kultura* 1955, nr 37.

⁴⁰ Ważyk, „Losy...”.

⁴¹ „Z Adamem Ważykiem rozmawia Andrzej Wasilewski”, *Nowa Kultura* 1957, nr 19.

⁴² Por. na ten temat znacznie obszerniejsze rozważania w: Wiesław Krzysztószek, *Mit niespójności: Twórczość Adama Ważyka w okresie międzywojennym*, Warszawa-Poznań-Toruń 1986, zvl. rozdz. III: „Niespójne widzenie świata”; Jacek Trznadel, „Wstęp do Ważyka”, w: Trznadel, *Plomien obdarzony rozumem*, Warszawa 1978; Jacek Łukasiewicz, „Szczegół i całość: O poezji Adama Ważyka”, *Odra* 1979, nr 9; Marek Zieliński, „Powrót do Inkipo – Adam Ważyk”, w: *Poezi dwudziestolecia międzywojennego*, red. I. Mąciójewska, t. 2, Warszawa 1982; Maria Delaperriere, „Czy istnieje poezja kubistyczna? (Od Apollinaire'a do Ważyka)”, *Ruch Literacki* 1984, nr 4; Małgorzata Baranowska, „Geometryczna fantazja nowej logiki (Ważyk)”, w: Baranowska, *Surrealna wyobraźnia i poezja*, Warszawa 1984.

⁴³ Zob. na ten temat wypowiedzi samego Ważyka, zwłaszcza w szkicach „Miejsce kubizmu” i „Dziwna historia awangardy”, w: Ważyk, *Esaje literackie*, Warszawa 1982.

⁴⁴ Por. Tomasz Burek, „Adam Ważyk: «List rekonwalescenta»”, w: *Czytamy wiersze*, Warszawa 1970.

⁴⁵ Cytaty z wierszy Ważyka innych niż „Poemat dla dorosłych” według wydań: WP = Ważyk, *Wiersze i poematy*, Warszawa 1957; WŹ = Ważyk, *Wiersze wybrane*, Warszawa 1978. Cyfra oznacza stronę. Kursywa w cytatach pochodzi ode mnie – St. B.

⁴⁶ O „miedożraźnej, młodziankowej kreacji podmiotu” i „zapisie świadomości dziecięcej” w debiutanckim tomie Ważyka przeze obszerniej zwłaszcza Zieliński, „Powrót do Inkipo...”, ss. 423-424.

⁴⁷ Zob. autointerpretację tego wiersza: Ważyk, „Wiersz skomentowany”, *Odra* 1980, nr 4.

⁴⁸ Por. podobne ujęcie ewolucji Ważyka w: Łukasiewicz, „Szczegół i całość...”, s. 43.

⁴⁹ Cytaty z „Poematu dla dorosłych” według wydania: Ważyk, *Poemat dla dorosłych i inne wiersze*, Warszawa 1956. Kursywa w cytatach pochodzi ode mnie – St. B.

⁵⁰ Por. uwagi Głowińskiego, „Wokół...”, ss. 34-35.

⁵¹ Faktem jest zarazem, że podmiot ten występuje w różnych rolach – jak wskazuje Głowiński, *ib.*, jego cztery przemieszane „wcielenia” to „nieistniejących miast wspominać”, „krytyczny obserwator współczesnych procesów społecznych”, „polemista”, wreszcie „retor”.

⁵² Por. uwagi Głowińskiego o dokonanej w „Poemacie...” „całkowitej zmianie aksjologii w ujmowaniu przeszłości i teraźniejszości” i ujmującej element składowy ogólniejszego procesu „kwestionowania socrealistycznego decorum”, s. 32. Problem czasu w twórczości Ważyka analizuje interesująco Tadeusz Nyczek w esej „W labiryncie czasu”, *Odra* 1975, nr 2.

⁵³ Zob. uwagi Głowińskiego, „Wokół...”, ss. 31-32, o „Poemacie dla dorosłych” jako palinodii oraz o obecnych w nim nawiązaniach do fomatycznych i ekspresjonistycznych wizji miasta.

⁵⁴ Głowiński, s. 34, interpretuje ten fragment jako jeden z najważniejszych w poemacie przejawów polemicznego stosunku Ważyka do stalinowskiej nowomowy.

⁵⁵ Ważyk, „Losy...”.

⁶⁶ Żółkiewski, „Więcej uwagi...”.

⁶⁷ Termin Głowińskiego, „Wokół...”, s. 39.

⁶⁸ Zob. zwłaszcza „Posłanie do przyjaciela w kwietniu 1955” i „Krytykę «Poematu dla dorosłych»”.

⁶⁹ Szczególnie interesujący jest esej Ważyka „Co to było?”, ogłoszony dopiero w *Aneksie* 1977, nr 13/14, nie napisany w październiku 1956.

⁷⁰ Zob. charakterystyczne sformułowania: „Od 1949 do 1953 wierzyłem w demologię i majaczyłem na temat realizmu socjalistycznego”. Ważyk, „Co to było?”, s. 173.

ZESZYTY LITERACKIE

W numerze 19 (LATO 1987): PROZA I POEZJA: MOJSZE KULBAK, Wilno; LESZEK KOŁAKOWSKI, Legenda o Cesarzu Kennedym: nowa dyskusja antropologiczna; ADAM ZAGAJEWSKI, Nowe wiersze; MICHAŁ WYSZOMIRSKI, Moja matka opowiadała ml...; Wyżnanie; Wieikanoc w Walii; GRAŻYNA BRAKONIECKA, Wiersze; KRZYSZTOF KOEHLER, Lwów. EUROPA ŚRODKA: JOSIF BRODSKI, W półtora pokoju. LISTY Z PARYŻA: WOJCIECH KARPIŃSKI, Aleksander Wat — klucz i hak. ŚWIADECTWA: JERZY STEMPOWSKI, Listy do Józefa Wittlina. SPOJRZENIA: JAN KOTT, Aniołowie i córki ludzkie. PREZENTACJE: JERZY GROTOWSKI, Teatr Źródła. WSPOMNIENIA: FELICJA KRANCE, O Lechoni; JAN LECHOŃ, Z listów; ADAM ZAGAJEWSKI, O Konstantym Jeleńskim. O KSIĄŻKACH: TOMAS VENCLOVA, Głos poezji; VACLAV HAVEL, Odpowiedzialność jako ios. NOTATKI. NOWE PUBLIKACJE. NOTY O AUTORACH.

Numer 19 *Zeszytów Literackich* ukazał się w lipcu 1987.

Do nabycia w redakcji (CAHIERS LITTÉRAIRES, 44, rue Tiquetonne 75002 PARIS).

Cena pojedynczego egzemplarza wraz z przesyłką 50 FF

(7,50 \$USA); pocztą lotniczą 56 FF (8,5 \$USA).

Prenumerata roczna — 170 FF (25 \$USA); pocztą lotniczą 210 FF (30,00 \$USA).

ADAM ZAGAJEWSKI

Solidarność i samotność

Do nabycia w redakcji *Zeszytów Literackich* i w księgarniach

Cena: 60,00FF

4 maja 1987 roku zmarł w Paryżu
w wieku 65 lat

KONSTANTY ALEKSANDER JELEŃSKI

eseista, tłumacz,
nieustrudzony ambasador polskiej kultury,
aktywny uczestnik powojennych inicjatyw
intelektualnych w obronie wolności.

Aleksander Smolar

POŻEGNANIE KOTA JELEŃSKIEGO

Jak pisać o Kocie Jeleńskim, by nie popaść w rytuał wyliczania dokonań i osłagięć; nie pogрузić się w tani sentymentalizm wspomnień o człowieku, który sentymentalizmu nie znoził? Ale też, czy można o nim pisać nie próbując oddać tego, co w nim najbardziej fascynowało: inteligencję, lekkość, błyskotliwość, łatwość poruszania się w wielu kulturach, wielu językach, wielu światach; jak opisać jego serdeczne zainteresowanie ludźmi, gotowość niesienia pomocy, bezinteresowność i niezwykłą umiejętność przyjaźni? Tak łatwo o fałszywy ton. Tak niebezpiecznie pisać, gdy słowo można przyłożyć do obrazu intensywnie obecnego pod powieką.

Aby nie zdradzać go moją nieporadnością, będę pisał tylko o tym, co było w nim dla mnie najważniejsze. Nie o Kocie w ogóle, tylko o moim Kocie. Był on i dla mnie, jak dla wielu innych, nieocenionym przewodnikiem po świecie Gombrowicza, poezji i esesistyce Miłosza, malarstwie Czapskiego; wspaniałym rozmówcą, świetnym komentatorem, baczny obserwator komedii ludzkiej. Przede wszystkim fascynował mnie jako człowiek, zarazem nowoczesny – pięknie mówił o tym i pisał Woj-

ciech Karpiński – jak i dziwnie anachroniczny. Jedno i drugie współtworzyło pociągający i intrygujący zarazem wzór postawy, styl intelektualny.

O szczególności postawy Jeleńskiego nie decydowały głoszone przezeń idee ani też sympatie polityczne. Miał do nich stosunek nad wyraz sceptyczny, który z czasem zdawał się pogłębiać. Pisał: „Zbyt dużo znalazłem lewicowych rewolucjonistów, którzy byli reakcyjnymi mężami i kochankami, zapobiegliwymi chomnikami w życiu codziennym, gorliwych katolików wpatrzonych we własny pepek, nawet – choć rzadziej – tolerancyjnych faszystów, żeby wierzyć, że jakiegokolwiek «idee» mają wiele wpływu na nasze postępowanie”.

Tę samą myśl wyraża, gdy pisze o literaturze:

„Raz jeszcze uderzył mnie fakt, jak mało stosunkowo znaczący w literaturze tzw. «opinie» czy «światopogląd», o ile ważniejsze są cechy osobiste: zdolność obserwacji, inteligencja, wrażliwość, samodzielność sądu, przywiązanie do prawdy”.

Są to cechy, które cenili najbardziej u pisarzy i po prostu ludzi.

Równie sceptyczny był jego stosunek do polityki. Mary McCarthy, amerykańska pisarka i bliska przyjaciółka Jeleńskiego podkreślała jego niezłomną lewicowość *contre vents et marées*. Pisała:

„Jest to cecha rzadka i dowodząca odwagi w czasach, gdy najstarsi i najbardziej zdecydowani antystalinowcy oraz młodzi dysydenci stają się konserwatystami i neokonserwatystami”.

Jest w tej ocenie prawda – Kot sam siebie nazywał lewicowcem – ale jest równocześnie coś niestosownego w próbie zaszukadkowania człowieka, który na polu ideowo-politycznych przeciwstawień czuł się obco.

A przecież w jednej sprawie, zasadniczej, definiował się zawsze bez wahania, demonstracyjnie. Pisał o Polsce niepodległej:

„...prawdziwa przepaść istniała jednak na planie nie tyle politycznym, co uczuciowym, oddzielając pravicę nacjonalistyczną (...) od pozostałych formacji politycznych, czy to z lewicy, czy z prawicy”.

Nie jest to podział polityczny, ma on charakter bardziej elementarny, u c z u c i o w y, jak powiada Kot. Przeciwwstawione są w

ten sposób dwie koncepcje polskości, dwa różne ideały Polski, dwie wizje jej położenia w historii i świecie, odmienny stosunek do swoich i obcych, do kultury własnej i uniwersalnej, do jednostki i zbiorowości. Podstawowe przeciwstawienie wynikało ze stosunku do postawy otwartej, tolerancyjnej, zwróconej ku demokratycznym wartościom Zachodu. Jeleński był alergicznie uwrażliwiony, jak wielu ludzi z jego środowiska, na wszelkie przejawy narodowej tromtadacji, nacjonalizm, nietolerancję z lewa czy prawa, na polskość „pocziwą”, zamkniętą, prowincjonalną, na ową postać „Polaka-katolika”, którą nazywał z oczywistą przesadą, świadczącą o sile uczucia obcości, „drobnomieszcząskim wcieleniem wiecznego faryzeusza”. Jego agresję wywoływały „pobożne pienia na pokładzie okrętu, we wnętrzu którego przewozi się niewolników”, jak za Czesławem Miłoszem pisał o skłonności do werbalnego idealizmu rażącego na tyle mniej pobożnych praktyk.

Uczestnicząc w Mszy świętej celebrowanej w intencji Kota Jeleńskiego przez księży pallotynów w Paryżu, nie mogłem nie myśleć – mówił zresztą o tym w swej homilii ks. Zenon Modzelewski – o stosunku Kota do religii i Kościoła. I tu pozostał wierny tradycji, z której się wywodził, chociaż czas sprzyjał porzuceniu naiwnego, wojującego ateizmu. Pisał:

„Wstydzę się dziś, że długo byłem ateistą nie tylko antyklerykalnym, antyreligijnym nawet, że odczuwałem nadwierzającymi naiwne poczucie wyższości. Mam nadzieję, że stałem się z biegiem lat tym «ateistą prawdziwym», o którym pisze Miłosz, że religia winna być dla niego «godnym podziwu tworem ludzkiej wyobraźni»”.

Natychmiast jednak dodaje, ateusz niezłomny, iż wątpi, aby religia była – jak twierdzi Miłosz – „skutecznym środkiem łagodzącym dotkliwość życia i śmierci”. Nie zgadza się też, że jedynie wiara może ugruntować inną postawę od „obrony prawa jednostki do szczęścia, czyli do spożywania”.

Pamięć przywołuje równocześnie słowa Jeleńskiego o zjawiskach patologii życia duchowego w dzisiejszym świecie i o Janie Pawle II:

„Nigdy chyba nie był bardziej potrzebny na Tronie Piotrowym człowiek jego charakteru, mądrości, podobnie nie-

zachwianej wiary, gdyż lepiej od zdyskredytowanej lewicy może niebezpieczeństwom tego rodzaju przeciwdziałać dobrze pojęta tradycja Kościoła Powszechnego”.

Pewność tę czerpał Jeleński między innymi z lektury wierszy Karola Wojtyły, takich jak „Kamieniolom”, „Robotnik z fabryki samochodów”, „Robotnik z fabryki broni”, „Murzyn”. Autor takich wierszy, pisze Kot, „...może wskazać właściwy kierunek zarówno wierzącym, jak niewierzącym”.

Charakterystyczna dla Kota była jego postawa wobec twórców z Polski, którzy w różnych okresach, dla różnych przyczyn, zdradzali swoje powołanie, wybierając obóz władzy, służąc jej z wiarą czy bez wiary.

Jest to temat dzisiaj w Polsce aktualny. Biografia twórcy, pytanie, jak zachował się w momencie tej czy innej próby, przesłania często jego dzieło. Można nad tym ubolewać, ganić przejawy instrumentalizacji sztuki, pokłeskowy rygoryzm. Tak prosta ocena byłaby wielce niesprawiedliwa. W podejrzliwej czujności wobec starszego pokolenia widzieć trzeba również drogę, jaką przeszła generacja ukształtowana przez „Solidarność” i stan wojenny; nie jest już ona w stanie zrozumieć, jak można było władzy komunistycznej służyć, tym bardziej ulec jej urokom.

Spóźnione, obecne rozrachunki stawiają problem odpowiedzialności za słowo. Na Zachodzie pobłażliwie traktuje się intelektualną nieodpowiedzialność, spektakularne zmiany poglądów. Należy pamiętać jednak, że słowo nie jest tam jedynym gwarantem wolności, a twórcy – jedynymi jej kapłanami. Inaczej jest w takim kraju jak Polska, zwłaszcza w czasach cięższych niż obecne, gdy słowo, czasami wypowiedziane tylko szeptem, ukradkiem notowane, było schronieniem wolności. W takich warunkach czujne obserwowanie tego, co się ze słowem czyni, jest formą obrony wolności.

Jeleński oczywiście potępiał intelektualistów zdradzających swoje powołanie, od stalinowców lat pięćdziesiątych po tych, którzy pędzili z pomocą Jaruzelskiemu po 13 grudnia 1981 roku. Potępiając kategorycznie zdradę, bardzo ostrożnie ocenił ludzi. Pisał o swym przyjacielu Zigmuncie Hertzu, ale słowa te niewątpliwie odnosiły się i do Kota:

„Zygmunt nigdy nie oburzał się na «niebohaterskie» zachowanie takich czy innych rodaków w Kraju w najgorszym stalinowskim okresie. Miał dość wyobraźni na to, by wiedzieć, że jedynie osobiste doświadczenie – którego nam brak – mogłoby nam dać prawo do sądów”.

Wstrzeźliwość w ferowaniu wyroków nie oznaczała w żadnym razie bezkrytycyzmu Kota, „poczciwości”, której nie trawił. Był w tym przede wszystkim charakter: dobry, serdeczny, życzliwy ludziom, ale również przekonanie, któremu Kot często dawał wyraz, że – mówiąc językiem Gombrowicza – ludzie powinni żyć w „średnich temperaturach”, że „...tajna policja, cenzura, całkowita kontrola rynku pracy uniemożliwiają właśnie «średnie temperatury» i zmuszają ludzi do wyboru między degradującym oportunistycznym i odważnym oporem, na który zdobyć się mogą – na długą metę – tylko nieliczne jednostki”. Postawa Jeleńskiego wyrastała też z przekonania, że nie zwalniając człowieka od odpowiedzialności za jego czyny, za jego słowo, należy uwzględnić i piękny jest krótki, pośmiertny szkic poświęcony Julianowi Tuwimowi, w którym Jeleński pokazywał błędne koło zewnętrznych uwarunkowań i moralnego upadku. Napisze o nim:

„Psychiczna samoobrona człowieka zmuszonego do klamstwa przybiera różne formy. U Tuwima, jak mi się wydaje, samoobrona ta wyraziła się w potęgowaniu nienawiści i urazy do przedwojennej «antysemickiej» Polski. Musiał on starać się zrównoważyć własny upadek przez wyolbrzymienie przeszłej krzywdy, będącej jednocześnie przyczyną katastrofalnego wyboru”.

Widział Tuwima „...jak postać tragiczną. Ofiarę dumy, zranioną miłości własnej i zranioną miłości ojczyzny, ofiarę zemsty, która obraca się zwolna przeciw niemu samemu”. Patrzył na niego „...ze współczuciem połączonym ze strachem – trochę tak jak Marcel z *Czasu utraconego*, gdy z ukrycia widział przez oświetlone okno smutny rytuał profanacji ojca dokonany przez zrozpaczoną pannę Vinteuil”.

W profanacji, której dopuszczało się wielu innych twórców owego czasu; widział nie tylko skutek słabości, tchórzostwa, próżności, lecz również tradycji, która tym postawom pozwalała

się ujawniać w taki właśnie, a nie inny sposób. O służalczości poetów układających wiersze z okazji śmierci Stalina pisał:

„...zasadnicze pytanie: czy w żalobnym upodleniu polskich literatów w kraju oburza nas tylko to, że przedmiotem tej komedii jest znieawidzony Stalin, czy też mierzi nas także sama służalczość, sam banal, sam patos, sama łatwizna. Jeśli brzydzi nas formacja psychologiczna, która umożliwia pewien ton, pewien gatunek radosnego upodlenia (...), to musimy sobie zdać sprawę, że w moralnym tonie polskim nie tak wiele się zmieniło”.

Słowa te mogą szokować, wydać się niesprawiedliwe: trudno porównywać reakcje poetów na śmierć Piłsudskiego z panegirykami układanymi po zgonie Stalina. Kot zdawał sobie z tego sprawę:

„Naturalnie, że jest zasadnicza różnica w obiektywnej treści: teraz ślubuje się w kraju zaborcom, kadzi się krwawej dyktaturze narzuconej z zewnątrz. Zgoda. Ale gdyby nie pewna deformacja polskiego charakteru (...), gdyby nie polska tendencja do banału, cała ta żalobna literatura mniej byłaby żenująca”.

Zwraca w tych słowach uwagę niechęć do idealizowania Polski niepodległej. Uderza też utożsamianie kryteriów etycznych z estetycznymi, tak jakby moralna skaza nieuchronnie była znamieniem estetycznych porażek. Tak jakby rzeczywistość chodziło – słowami Zbigniewa Herberta – o „sprawę smaku”, „w którym są włókna duszy i chłzątki sumienia”.

Wyrozumiałość dla ludzkich słabości, załamań, upadków, łączy się u Kota z nietolerancją dla kiczu, banału, tandety umysłowej i artystycznej. Podziw i szacunek dla ludzi wielkich z grymasem niesmaku na widok wystawianych im kapliczek.

Czytam „Apokalipsę i perspektywę”, jeden z wcześniejszych szkiców Jeleńskiego, pomieszczonych w *Zbiegach okoliczności*, tomie wydany przez Instytut Literacki. W centrum ostatniej jego części jest obraz uchodzącego z płonącej Troi Eneasza z sędziwym ojcem na plecach. Kot przytacza interpretację Gide'a: Eneasza unosił w ten sposób nie tylko ojca, ale również cały ciężar przeszłości i tradycji.

W tym młodzieńczym eseju Kot dopuszcza możliwość, że w nowych cywilizacjach – ma na myśli między innymi komunizm –

dążenie człowieka do wolności „znajdzie swój wyraz, aczkolwiek różny”. Mimo to odrzuca możliwość pogodzenia się z nim. Pi-
sze:

„...obrona naszej cywilizacji w jej aspektach najbardziej zasadniczych nie jest wyłącznie zagadnieniem moralnego wyboru, ale również jedynym stanowiskiem, które możemy zająć angażując pełnię naszego istnienia”.

I kończy esej słowami: „...obraz Eneasza, który z płonącej Troi wynosił starego ojca bardziej jest zgodny z wiarą w wartości i wagę człowieka niż obraz bramy z napisem: *Las-ciate ogni speranza*”.

Kot był wybitnym przedstawicielem laickiej, liberalno-lewicowej inteligencji, która w kulturze polskiej, w polskim życiu publicznym ostatnich stu lat odgrywała bardzo istotną rolę. Wiele przyczyn złożyło się na to, iż formacja ta bardzo się ostatnio wykruszyła. Istotną rolę odegrały grzechy powojenne licznych jej przedstawicieli. Wielu wybitnych twórców tej orientacji dało uwieść się Nowej Wierze, czy przyjęło postawę realizmu służebnego. Kompromitując się osobiście, kompromitowali również idee świeckiego, laickiego humanizmu i politycznego liberalizmu. Tracąc autorytet, pozbawiali się prawa, również we własnych oczach, do zajmowania krytycznej postawy nie w stosunku do władzy, rzecz obecnie łatwa, lecz wobec przywar społeczeństwa i różnych niezależnych jego emanacji. W szczęściu „odnalezionej ojczyzny”, odzyskanej więzi z narodem po latach błędzenia, gotowi byli z euforią celebrować ciepło zbiorowości, swój, syna marnotrawnego, powrót do domu. Od aroganckiej pewnością siebie wobec społeczeństwa przerwali się często w skrajność przeciwną, bezkrytycznej jego afirmacji.

Kot reprezentował na obczyźnie tę zanikającą formację bez kompleksów, w sposób czasami zdumiewająco w polskim pejzażu anachroniczny, bez mała osiemnastowieczny. W misterny sposób, jak pajęczynę, snuł swoją dziwną syntezę ziemiańskiej tradycji i nowoczesności, kosmopolityzmu i głębokiego przywiązania do Polski, demokracji i elitaryzmu, fascynacji kulturą masową i bezwarunkowego oddania kulturze wielkiej, zdecydowanej afirmacji wartości podstawowych z bezgraniczną prawie wyrozumiałością dla grzeszników. Podziwiałem jego umiejętność

cieszenia się życiem i zarazem gotowość poświęcania się zajęciom niewdzięcznym, służącym jednak ludziom i sprawom mu bliższym. Podziwiałem ponad wszystko jego zdolność spontanicznego, bezbłędnego kierowania się prawdą i dobrym smakiem. Bez ostentacji, bez mentorstwa, w sposób naturalny, naturalnością, która cechowała go we wszystkim.

Aleksander Smolar

KWARTALNIK
POLITYCZNY

krytyka

WYDAWANY POZA CENZURĄ W POLSCE

W nr. 18: Prawo „stanu powojennego” – opracowanie prawników (II) *WOKÓŁ IDEOLOGII*: M. Komar: Gra o terror; M. Sobolewski: Ustroje demokratyczne i niedemokratyczne; S. Żelazny: Lewica – kryzys tożsamości. *HISTORIA NAJNOWSZA*: Powstanie KKP (posiedzenie delegacji MKZ – 17 IX 1980 w Gdańsku). *O PARTII*: M. Jagielto: Kilka refleksji o aparacie partyjnym 1980-1981; Próba (rozmowa z Edwardem Skrzypczakiem). *SOCJOLOGIA BEZ DEBITU*: I. Białecki: Co myśleli Polacy w roku 1981? (na marginesie badań „Polacy '81”). *ROZMOWY KRYTYKI*: Rozmowa z André Glucksmannem. *U INNYCH – NOWI „REALIŚCI”*: Od redakcji; Trzy wystąpienia. A. Celiński: Wokół czego dialog? *POLEMIKI*: J. Surdykowski: Miejsce spotkania; D. Kalbarczyk: Królestwo Boże nie jest z tego świata. *Z GALERII PISARZY PRL*: J. Wał: Roman Bratny, czyli cena obecności; A. Platek: Putrament nieznan, czyli ucłowieczenie komunizmu. *NAD KSIĄŻKAMI*: S-ki: W poszukiwaniu prawdy o czasach wojny; M. Górka: Podróż niemiecka; P.M.K.: „Solidarność” oczyma Brytyjczyka. *WIDZIANE INACZEJ*: Zey: Przeciw lamentom i realizmowi na kacu. *PUBLIKACJE NADESLANE*.

Dostępne są wszystkie dotychczas wydane numery w cenie:

nr 1-2, 10-11, 13-14, 15, 16, 17, 18 — £ 4,00, \$ 10,00

nr 3, 4, 9 — £ 2,00, \$ 5,00

nr 5, 6, 7, 8, 12 — £ 3,00, \$ 7,50

Zamówienia wraz z wpłatą należy przysyłać na adres:

Aneks, 61 Dorset Rd. London W5 4HX, England
załączając czeki lub przekazy pieniężne wystawione na Aneks.

Konstanty A. Jeleński

❶ KULTURZE RAZ JESZCZE *

Przyjąwszy zaproszenie prof. Daniela Beauvois na dzisiejsze kolokwium, poczułem, że jestem w kłopotcie. Nie mogę powtórzyć tego, co napisałem o *Kulturze* dla *Débat (Gallimard)* w lutym 1981 (tekst ten ukazał się kilka miesięcy później po polsku w *Aneksie*). Wprawdzie temat, jaki mi zaproponowano był węższy – rola *Kultury* we Francji – ale problem polega na tym, że specyfiką *Kultury* jest właśnie jej całkowite oderwanie od kraju, w którym wychodzi, od politycznego i społecznego życia Francji i nawet od problemów emigracji polskiej we Francji. Wynika to przede wszystkim z faktu, że *Kultura* ukazuje się wprawdzie we Francji, ale adresowana jest – od 1956 roku – przede wszystkim do inteligencji polskiej w Polsce, a od początku swego istnienia do polskich inteligentów rozsianych po świecie, którzy zachowali żywe związki z krajem. Większość czytelników *Kultury* mieszka w Anglii, Stanach Zjednoczonych, Niemczech Zachodnich, Szwecji; czytelnicy zamieszkali we Francji są w zdecydowanej mniejszości. Nie przypadkiem pewien młody pisarz nazwał *Kulturę* w *Res Publice* – jednym z pierwszych polskich pism podziemnych, jakie zaczęły się pojawiać w latach 70-ych – „udziel-

* Referat przygotowany na kolokwium poświęcone prasie polskiej, które odbyło się w Lille na początku 1985 roku.

nym księstwem na Maison-Laffitte". Jest w tym określeniu przyjaźnie-ironiczna aluzja do książęcego tytułu redaktora pisma, Jerzego Giedroycia, ale oddaje ono też dobrze „eksterytorialny” charakter *Kultury*, jej niezłomną wolę pozostania enklawą polskiej kultury na przedmieściach Paryża. Zanim zabrałem się do pisania niniejszego tekstu, zapytałem Giedroycia o kontakty *Kultury* z francuskimi kręgami oficjalnymi. Jego odpowiedź daje pojęcie o jego dumie, może nawet przesadnej, ale dumna ta przyczyniła się do niezłomnego utrzymania niezależności *Kultury*: „Zachowanie kolejnych francuskich rządów w stosunku do *Kultury* było zawsze bez zarzutu”.

A jednak, zastanawiając się nad tym tekstem i rozmawiając z Giedroyciem i Czapskim, doszedłem do wniosku, że w żadnym innym kraju *Kultura* nie mogła się rozwinąć tak, jak we Francji i że także we Francji nie byłaby się równie łatwo zakorzeniła w innym momencie aniżeli tuż po wojnie. Szczęśliwy zbieg miejsca i czasu. Zanim jednak powrócę do tego aspektu sprawy, pozwólcie państwu, że zrekapituluję historię *Kultury* i opiszę jej stanowisko polityczne i kulturalne.

Kultura została założona na wygnaniu w Paryżu w 1947 roku, po wojnie, która zaczęła się od solidarnej agresji na Polskę Niemiec i Związku Radzieckiego, a skończyła wcieleniem Polski do bloku sowieckiego. Jest to jedyne polskie pismo, zarówno w Polsce, jak na emigracji, które od początku apelowało do Polaków, aby nie obarczali odpowiedzialnością za zbrodnie hitleryzmu narodu niemieckiego, a za zbrodnie sowietyzmu Rosjan. Dodać tu wypada, że znaczna część polskiej emigracji politycznej często oskarżała *Kulturę* o zdradę, że władze PRL darzyły ją szczególną nienawiścią, a Episkopat Polski czujną nieufnością.

Natomiast na polską opozycję inteligentką *Kultura* wywierała zdecydowany wpływ, a te kręgi były w latach 70-ych motorem przebudzenia umysłowego, które ogarnęło cały kraj: narodziny „Solidarności” byłyby bez niego nie do pomyślenia.

Oto kilka zasadniczych punktów orientacyjnych:

1. *Kultura* jest przede wszystkim pismem jednego człowieka, Jerzego Giedroycia. Wyzuty z wszelkich ambicji osobistych, obojętny na „kariery” i „zaszczyty”, Giedroyc od młodych lat był zdecydowany wywrzeć wpływ

na losy swego kraju (nie bez racji mówi się, że przyświecają mu tylko dwa wzory – Piłsudski i de Gaulle). W 1929 roku założył *Myśl mocarstwowa* (jej tytuł brzmiał z czasem *Bunt młodych*, a potem *Polityka*); przez wszystkie te pisma przewijał się od początku ten sam zestaw współpracowników, młodych, niekonformistycznych intelektualistów piłsudczykowskich, zarówno z lewicy, jak antynacjonalistycznych konserwatystów. Odległego pochodzenia litewskiego jak Piłsudski, Giedroyc dzielił ze starym Marszałkiem marzenie o federacji Polski ze wschodnimi sąsiadami (Litwa, Ukraina, Białoruś), był jednak świadom kolonialnego posmaku marzeń o wskrzeszeniu imperium Jagiellońców. Jeden z jego najbliższych współpracowników napisał w 1937 roku w *Polityce*: „Twierdzę, że posługiwanie się terminem «idea jagiellońska» ożywia i odnawia nadzieje na powtórzenie tych procesów, które we własnym interesie powinniśmy jako zupełnie mrzonki czym prędzej zlikwidować. Zrozumiemy, że ani Litwini, ani Ukraińcy, ani Białorusini nie mają najmniejszej ochoty zostać Polakami – i uszanujmy tę wolę”. Widzimy zatem, że ostateczna rezygnacja z Wilna i ze Lwowa, do której *Kultura* nawoływała od początku wbrew olbrzymiej większości polskiej emigracji – była za to oskarżana o „zdradę” – miała głębsze przyczyny niż zwykły polityczny oportunizm.

Urodzony redaktor, Giedroyc nigdy w życiu nie napisał artykułu (jego wypowiedzi w *Kulturze* podpisane „Redaktor”, ograniczone do szczególnie ważnych okoliczności, są rzadkie, krótkie, precyzyjne). Ma wyjątkowy zmysł rozpoznawania najmniejszych zadatków na talent lub oryginalność, cierpliwość i upór w pozyskiwaniu potrzebnych mu współpracowników i w inspirowaniu ich i – przede wszystkim – prawdziwy geniusz zaskoczenia, naglej wolty, mimo że zawsze zmierza do tych samych celów. Jego pasja niezależności pozwoliła mu natychmiast odciąć się od wszelkiej utwierdzonej władzy, począwszy od rządu londyńskiego i generała Andersa, któremu wszak zawdzięczał samo istnienie pisma, i odrzucić wszelką pomoc finansową, która później mogłaby zagrozić jego autonomii.

2 O k o l e c z n o ś c i : Droga *Kultury* jest unikalna, nie dałoby się jej dziś powtórzyć. Emigracyjne pismo jest zazwyczaj robione przez ludzi, którzy opuścili swój kraj, aby prowadzić z

zewnątrz walkę z władzą, pod której rządami sami ucierpieli i którą odrzucają. Ani Giedroyc, ani żaden z jego współpracowników nie przeżyli ani jednego dnia pod polskimi rządami komunistycznymi. Natychmiast po układzie jałtańskim Giedroyc jednak przewidział, że Polaków, którzy wskutek zmiennych kolei wojny znaleźli się za granicą, czeka długa emigracja, i podjął zamiar założenia wydawnictwa przy pomocy kilkorga przyjaciół, między innymi Józefa Czapskiego, Zofii i Zygmunta Hertzów, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego i swego młodszego brata, Henryka. Byli oni wówczas żołnierzami II Korpusu armii polskiej, znajdującego się we Włoszech pod dowództwem generała Andersa. Pożyczka z Funduszu Społecznego Żołnierzy (zorganizowanego przez polskie dowództwo, żeby pomóc zdemobilizowanym w początkach cywilnego życia na obczyźnie) pozwoliła na zakupienie drukarni w Rzymie. W 1946 roku ekipa Instytutu sprzedaje drukarnię i rozpoczyna wydawanie *Kultury*. Jest charakterystyczne dla Giedroycia, że postarał się jak najprędzej zwrócić pożyczkę, aby móc swobodnie krytykować posunięcia polityczno-wojskowego establishmentu na wygnaniu, nie narażając się na zarzut niewdzięczności. Wewnętrzna organizacja zespołu do dziś przypomina organizację kibucu lub falansteru. Mieszkanie i jedzenie opłacane jest ze wspólnych pieniędzy, a redaktor naczelny i jego czterech czy pięciu współpracowników otrzymują takie same pensje, bliskie najniższym pensjom francuskim. To minimum jest zapewnione dzięki prenumeratom, które w latach 70-ych osiągnęły blisko dziesięć tysięcy, po czym przekroczyły tę liczbę wraz z falą emigracji politycznej po 1968 roku, a następnie po stanie wojennym 13 grudnia 1981 roku. Prenumeratory są rozproszeni po około dwudziestu krajach, w których *Kultura* ma około 50 przedstawicieli. Wszystkie nadwyżki są inwestowane w publikowanie książek (Instytut zaczął publikować książki dopiero w 1953 roku, po spłaceniu długów). W przedmowie do wyboru tekstów z *Kultury* (NOW-a) Adam Michnik pisze:

„Autor tych słów widział, jak skromnie, wręcz ascetycznie żyją ci mniemani «agenci wszystkich wywiadów», jak ofiarnie, często w osamotnieniu, pracują nad kontynuowaniem swego dzieła”.

Michnik słusznie podkreśla skromny tryb życia *Kultury*, ale niesłusznie przypisuje go „ascezie” czy „abnegacji”. Założyciele *Kultury* spędzili pięć lub sześć lat w wojsku, a czterech z nich dotarło do wojska dopiero po pobycie w syberyjskich gułagach. Ich nie tak łatwe przyzwyczajenia do komfortu czy luksusu należały do prehistorii, do innego świata. Poza tym należymy do pokolenia i pochodzimy z kraju, w którym każdy projekt stworzenia poważnego pisma literackiego wymagał ogromnych wyrzeczeń, w którym pisanie na serlo w wyjątkowych tylko wypadkach pozwalało zarobić na życie. Trzeba to jasno powiedzieć: jedynie zamknięty krąg emigracji pozwolił *Kulturze* na tak długie przetrwanie na tym samym poziomie, uniknięcie zniszczenia przez tygodniki lub dodatki do wielkich dzienników, na uniknięcie subwencjonowania przez reklamy, wielkiego wydawcę (a tym bardziej państwo). Zresztą skłonność polskiej oficjalnej do przypisywania *Kulturze* ogromnych subwencji w dolarach czy markach niemieckich wynika częściowo z faktu, że prawda wydaje się niewiarygodna: miesięcznik i wydawnictwo rozmiarów *Kultury* zatrudnia w PRL co najmniej dziesięć razy więcej ludzi i płaci im też – proporcjonalnie do miejscowych warunków – znacznie lepiej.

3. Non-konformizm *Kultury*. W tekście dla *Débat* za wspólny mianownik niejednolitego kręgu współpracowników *Kultury*, składającego się z pilsudczyków i eks-komunistów, z demokratycznych lewicowców i liberalnych konserwatystów, z potomków drobnej szlachty i wielkiej arystokracji, z mieszczaństwa (często żydowskiego), rzadziej z chłopstwa, jeszcze rzadziej z klasy robotniczej, uznałem wrogość do endecji, do spuścizny po Dmowskim i jej rozmaitych odmian, które pod różnymi przebraniami trwają po dziś dzień. Wróć jeszcze do tego zagadnienia, które po wprowadzeniu dyktatorskiego reżymu generała Jaruzelskiego nabrało znów aktualności.

Oprócz zgodnej postawy dotyczącej zasady demokracji i równości społecznej, oprócz wyjątkowej czujności na wszelkie przejawy szowinizmu, a zwłaszcza antysemityzmu, ani Giedroyc, ani żaden z jego współpracowników nie byli obciążeni względami ideologicznymi, co pozwalało pismu na często zaskakujące wolty. Adam Michnik pisze w cytowanej już przedmowie, że pismo od

początku „przeciwne było kontynuowaniu «państwa na wygnaniu»”. *Kultura* odrzekała się zdecydowanie od stosowania ostracyzmu wobec tych Polaków, którzy zrezygnowali z powojennej wewnętrznej emigracji, aby włączyć się w nowy system kulturalny, ekonomiczny i społeczny, a także wobec emigrantów, którzy zdecydowali się na powrót do Polski; ostracyzmu, który początkowo stosowany był przez całą emigrację. Nie uznała też nigdy uchwały polskiego Związku Pisarzy na Obczyźnie, zakazującej swoim członkom publikowania w Polsce.

Na planie międzynarodowym, po początkowym okresie popierania amerykańskiej polityki *libération*, *Kultura* stała się pierwszym intelektualnym środowiskiem w Europie, które oskarżyło USA i ZSRR o „obiektywne” współnictwo i interpretowało „zimną wojnę” jako grę, mającą na celu uwiecznienie podziału świata przeprowadzonego w Jaku. Zanim *Le Monde* wystąpił ze swoimi „neutralistycznymi” koncepcjami, *Kultura* sformułowała projekt „Klubu Trzeciego Miejsca”, mający na celu utworzenie bloku państw „niezaangażowanych”.

W odniesieniu do polskiej rzeczywistości *Kultura* przeciwstawiała się od początku polskim rojeniom o powrocie do kapitalizmu i starała się rozpowszechniać koncepcje samorządu, spółdzielczości i syndykalizmu. Ten punkt widzenia był niestrudzenie podtrzymywany przez Juliusza Mieroszewskiego, zamieszkałego w Londynie, najbliższego współpracownika Giedroycia, który marzył o utworzeniu w Polsce *welfare state*. Nic zatem dziwnego, że dość prędko doszło do porozumienia między pewnymi polskimi rewizjonistami a *Kulturą* i że ta ostatnia udzieliła Gomułce w 1956 roku całkowitego poparcia. Zerwała z nim jednak definitywnie, gdy tylko zlikwidował w 1957 roku czołowe pismo opozycyjne tamtego okresu, *Po prostu*. W tych jedynych miesiącach zbliżenia między *Kulturą* a władzami warszawskimi *Kultura* docierała legalnie do Polski.

Sam Giedroyc uważa za największe osiągnięcie *Kultury* jej walkę o normalizację stosunków z „ULB” (termin ukuty przez Mieroszewskiego dla określenia krajów należących do dawnego Wielkiego Xięstwa Litewskiego – Ukrainy, Litwy i Białorusi) i jej wysiłki dla przeprowadzenia rozróżnienia między ZSRR (jego ustrojem i imperialną polityką) a Rosją.

4. „Szczęście”. Wreszcie, nie można także zlekceważyć „szczęścia”, które od pierwszych lat istnienia *Kultury* sprzyjało Giedroyciowi. Umiał je spożytkować, korzystać ze sprzyjających okazji, mnożyć je, harmonizować, nie wychodząc właściwie ze swojego małego pokoju zarzuconego książkami i teczkami, nie odchodząc od swojej maszyny do pisania, pisząc dzień w dzień dziesiątki krótkich liścików, rozsyłanych na cztery końce świata.

„Dzieje narodów mają swoje misteria – pisze Czesław Miłosz – i do nich należy powołanie polskiego słowa, pisanego po różnych zagranicach”. W wieku XIX, w ponurych latach po klęsce powstania 1830 roku przeciw carskiej Rosji, najwięksi polscy poeci – Mickiewicz, Norwid, Słowacki, Krasiński – żyli i publikowali swoje najważniejsze dzieła w Paryżu. Podobnie stało się po ostatniej wojnie: właśnie w *Kulturze*, znów w Paryżu, dwaj najwięksi polscy pisarze współcześni, Witold Gombrowicz i Czesław Miłosz, opublikowali swoje najcenniejsze utwory. Niezależnie od wagi tych dzieł, wzmacniały one pozycję *Kultury* zarówno w stosunku do zniczołonej Polski komunistycznej, jak do zastygłej Polski emigracyjnej. Jedyne wspólne mianownik Gombrowicza z Miłoszem – w czym są podobni do Mickiewicza i Norwida – to właśnie podważanie stereotypów polskiej kultury, odgrywających równie ważną rolę w kraju, co na emigracji (jakkolwiek interpretowanych w skrajnie odmienny sposób). Nieawistne przyjęcie, jakie zgotowała im obu zarówno większość emigracji, jak Polska „oficjalna”, przyczyniło się w ogromnej mierze do ustalenia pozycji *Kultury* i do wzmocnienia prestiżu, który spływał na nią po części z tego niezwykle szacunku, jakim zaczęli niebawem cieszyć się w swoim kraju ci dwaj pisarze. Przypomnijmy, że zanim Miłosz dostał nagrodę Nobla w 1980 roku, Gombrowiczowi na rok przed śmiercią zabrakło do niej jednego głosu, oddanego na korzyść japońskiego pisarza Kawabata. Ten rzadki zbieg okoliczności dotyczący dwóch pisarzy, publikujących na łamach jednego pisma emigracyjnego, jeszcze dobitniej ukazuje wyjątkowy charakter przeznaczenia *Kultury*.



Kiedy w latach 70-ych zdarzało mi się spotykać młodych polskich intelektualistów z opozycji, mówiłem o paradoksie, który wydawał mi się niezrozumiały. Jak to się dzieje, że w tym tak znieuwadżonym systemie kultura polska osiągnęła w pewnych dziedzinach – filmie, poezji, malarstwie, literaturoznawstwie – poziom przewyższający osiągnięcia przedwojenne, który przecież też był dość wysoki? Odpowiadano mi, że przywiązując nadmierne znaczenie do tego, co udało się mimo ogromnych trudności osiągnąć małej elicie artystyczno-intelektualnej i że nie zdają sobie sprawy z katastrofalnej sytuacji całego narodu: z niekompetencji i oportunistycznego oportunizmu warstwy inteligentnej, z wyalienowania chłopstwa, ze stopnia demoralizacji klasy robotniczej, całkowicie złamanej. Od czasu wydarzeń z lata 1980 roku stało się oczywiste, że ten pesymizm był bezpodstawny. Dzięki „Solidarności” ogromna większość Polaków wyzwoliła się, jeśli nie spod ucisku, to od kłamstwa, na którym ten ucisk opiera się. Ucisk można przywrócić, ponieważ jednak kłamstwa wskrzesić się nie da, będzie on już tylko starą, odwieczną, niczym nie zamaskowaną tyranią. Jest to zdobyć bezcenna, nie tylko dla Polski. „Muza historii mówi dziś po polsku”, czytamy w wydanej w samizdacie w ZSRR książce pod tytułem *Polska rewolucja* (1983, str. 237).

„Dyktatura militarna w Polsce i jej następstwa – pisze Leszek Kołakowski w *Kulturze* z marca 1984 roku – były wielkim krokiem w procesie, który już długo był się ciągnął i który polega na budowaniu nowego dziwołagu państwowego: władzy komunistycznej bez ideologii. Zgon tej ostatniej na uwiad starczy nie budzi od dawna wątpliwości”.

Rząd generała Jaruzelskiego jest tego świadom, skoro dla wskrzeszenia jedności nie znalazł niczego innego jak PRON, Patriotyczna Rada Ocalenia Narodowego – Pétain by lepiej nie wymyślił. Nic dziwnego, że natychmiast przyklasnął jej stary, historyczny przywódca endecji na wygnaniu, Jędrzej Giertych, w swoim wydawnictwie „Opoka” (grudzień 1982), rozprawdzanym zresztą oficjalnie w Polsce. Walczy w nim równocześnie z „trockistami z KOR-u”, Żydami, masonami i *Kulturą*.

„Niektórym moim czytelnikom na pewno się to nie spodoba – pisze – oświadczam jednak otwarcie, że popieram przewrót z 13 grudnia 1981. (...) Wołę rządu «junty» generała Jaruzelskiego, nawet jeśli jest ortodoksyjnym komunistą (co zresztą nie jest pewne), od rewolucji, której przewodziliby polscy trockiści. (...) Życzę generałowi Jaruzelskiemu, by umiał zawrzeć przymierze z Kościołem. Życzę głowom Kościoła polskiego, by się wyzwolili spod wpływów prorewolucyjnych i promasońskich nowoczesnej lewicy katolickiej i «niepokornych» i umiały zawrzeć rozsądne przymierze z tymi, którzy dzierżą dziś w Polsce władzę polityczną” *.

Na Kościele polskim nie ciąży już na szczęście piętno jego przedwojennych sympatii endeckich (poparcie części kleru dla ONR-Falangi, antysemitkie wypowiedzi kardynała Hlonda). Jego bohatera postawa w czasie okupacji niemieckiej (tysiące zamordowanych lub uwieczonych księży), fakt, że nie dość liczne próby ratowania Żydów przed zagładą były przede wszystkim podejmowane przez Kościół i świeckich katolików, wreszcie nieugięty opór kardynała Wyszyńskiego przeciw uciskowi komunistycznemu przysporzyły Kościołowi ogromnego prestiżu w oczach wszystkich Polaków, włącznie z inteligencją lewicą laicką. Dał temu wyraz Adam Michnik w swej książce *Kościół, lewica, dialog*, opowiadając się za pojednaniem tych dwu żywych nurtów kultury polskiej, antytotalitarnego katolicyzmu i antytotalitarnej lewicy. Jędrzej Giertych uważa Michnika za „niebezpiecznego ateistę żydowskiego pochodzenia, bliskiego trockistom”. Apel pana Giertycha o święte przymierze Jaruzelskiego z Episkopatem zacytowałem właśnie dlatego, że w swej „naiwności” wyraża on w sposób przejawskrawiony stan ducha nieobcy pewnym kręgom partyjnym i kościelnym. Nie ulega wątpliwości, że władze starają się manipulować Kościołem w wojnie psychologicznej, która ma złamać opór zwolenników „Solidarności”. Kardynał Józef Glemp na pewno nie jest mężem stanu na miarę swego poprzednika, Wyszyńskiego, i można się zastanawiać, czy jego postawa po 13 grudnia 1981 roku przyniosła więcej korzyści władzy, czy narodowi polskiemu.

* Nie udało nam się dotrzeć do polskiego oryginału tekstu Jędrzeja Giertycha i podajemy go w przekładzie z francuskiego – przyp. red.

Zasłużony prestiż Kościoła i niewątpliwy fakt, że jest on na dłuższą metę niezbędnym fundamentem oporu Polaków, powodują, że opozycji trudno jest otwarcie krytykować politykę prymasa. W tej dziedzinie rola *Kultury* – niezależnie od tego, czy się zgadzamy z jej stanowiskiem, czy nie – jest niezastąpiona. Rząd Jaruzelskiego jest tego świadomy: ataki na *Kulturę* w prasie oficjalnej rzadko były równie zażarte, co teraz. „Każde słowo w *Kulturze* tchnie pogardą i nienawiścią do Polski i jej obywateli”, stwierdza wręcz tygodnik *Rzeczywistość*, pismo zresztą mało reprezentatywne i mało czytane, uważane za organ emerytowanych funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. Co mi się wydaje bardziej niepokojące, to zmartwychwstanie ideologii nacjonalistycznej w łonie opozycji, odważnej, radykalnej. Istnieje dziś kilka pism przyznających się do ideologii endeckiej i koncepcji Dmowskiego. Za najbardziej tolerancyjne i najmniej szowinistyczne spośród nich uchodzi *Polityka polska* i ona właśnie poświęciła ostatnio połowę numeru *Kulturze*. Krytyczne uwagi *Kultury* pod adresem kardynała Glempa i Kościoła *Polityka polska* uważa za samobójcze i oszczercze. Autor jednego z tekstów, podpisujący się pseudonimem „Józef Wierny”, atakuje m.in. mnie za to, że na kolokwium w grudniu 1982 r., poświęconym Polsce, mówiłem o złowieszczym dla polskiego demokracji mojej generacji brzmieniu pojęcia „Polak-katolik”, przedwojennego hasła faszystowskich band oenerowców. Tymczasem w tym samym referacie powiedziałem, że „jedną z nielicznych załug ustroju komunistycznego jest to, że ściągnął w swoje szeregi wszystko, co najgorsze w polskim nacjonalizmie. Trudno o coś bardziej polskiego i bardziej katolickiego niż «Solidarność», a jednak wydawała mi się wolna od tego wszystkiego, co było mi tak nienawistne w «Polaku-katoliku»”.

Osobiście uważam, że jedną z najgroźniejszych konsekwencji zamachu generała Jaruzelskiego jest zatrzymanie w pół drogi tej kielkującej tendencji do pluralistycznego, otwartego i tolerancyjnego społeczeństwa polskiego. W stęchłej atmosferze dyktatury generała nienawiść do komunistów i do Rosjan ponownie rozbudziła nieufność wobec tych wszystkich, którzy w przeszłości zgłosili akces do komunizmu (czyli do większości intelektualistów z lewicy laickiej) i pozwoliła zapomnieć o wielkich zasłu-

gach KOR-u, bez którego nie byłaby możliwa odnowa 1980 roku. Nie tylko Polska przeżywa taki regres, pierwsze jego jaskółki widać i w Europie Zachodniej i w powrocie Ameryki do reaganowskiego konserwatyizmu i nawet w Rosji. O ile jednak w Europie Zachodniej prawicowy nacjonalizm jest jeszcze naznaczony piętnem kolaboracji z Hitlerem, o tyle w Polsce jest wolny od tego grzechu pierworodnego.

Prestiż, jaki zyskała sobie *Kultura* w toku swego niemal półwiecznego istnienia, fakt, że stała się w pewnym sensie czcigodną instytucją narodową, nie obywa się bez „ale”. *Kultura* z pewnością nie jest już tak żywa, niekonformistyczna i zaskakująca, jak była na początku.

Ten prestiż daje jej jednak jedną, dziś szczególnie cenną przewagę nad innymi: fakt, że może swobodnie oceniać Kościół katolicki i świętości narodowe. Tę wolność *Kultura* zdobyła już dawno i wydaje się ona w jej przypadku oczywista, co trudno powiedzieć o innych polskich publikacjach opozycyjnych.

Na koniec kilka liczb. W listopadzie 1984 r. ukazał się 446-ty numer *Kultury* (176 stron). Przez trzydzieści siedem lat istnienia *Kultura* wydała 394 książki (w tym serię „Dokumenty” poświęconą polskim tajnym dokumentom oficjalnym oraz podziemnym tekstom opozycji oraz „Zeszyty Historyczne”, poświęcone historii współczesnej). Produkcję tego domu wydawniczego, jednego z najmniejszych i najbiedniejszych na świecie, należy szacować na około pięć milionów wolumenów.

Twierdząc na początku mego referatu, że Francja była tuż po wojnie idealnym terenem dla *Kultury*, miałem przede wszystkim na myśli ciągłość historyczną. Kiedy intelektualści polscy, definitywnie uznali *Kulturę* w latach siedemdziesiątych, kilkoro z nich porównywało jej rolę do roli dziewiętnastowiecznej Wielkiej Emigracji. Wśród specyficznych czynników, które odróżniają Polskę od innych krajów Europy Wschodniej, jeden jest – moim zdaniem – nie doceniony przez zagranicznych obserwatorów, mianowicie tradycja oporu, który trwał przez 123 lata, kiedy po rozbiorach Polska zniknęła z mapy Europy. Tradycja ta nadaje emigracji politycznej prawo bytu nieznanne innym krajom i wpisuje ją w chwalebny ciągłość. Oczywiście, że Giedroyc wybrał Paryż, a nie Londyn, dlatego, że chciał być jak najdalej od

nacisków rządu na wygnaniu, ale myślę, że analogia z Hotelem Lambert nie była mu niemiła. W 1946 roku sztab główny generała Andersa zaczął wycofywać się z Włoch, a biura wydziału kultury, którym kierował Józef Czapski (z niego właśnie narodził się Instytut Literacki, założony przez Giedroycia w Rzymie), zainstalował się w Hotelu Lambert na wyspie Św. Ludwika. Własność Czartoryskich od początku XIX wieku, Hotel Lambert był po 1830 roku ośrodkiem polskiej irredenty. Stąd książę Adam Czartoryski, przyjaciel cara Aleksandra I w czasach jego ciągotek do liberalizmu i wręcz jego minister spraw zagranicznych (pokłócił się z carem po Kongresie Wiedeńskim), kierował polityką zagraniczną Polski po wygnaniu i rozsyłał swych pełnomocników do wielkich stolic europejskich. W 1946 r. Hotel Lambert należał do sześciorga dzieci Władysława Czartoryskiego, których mandatarium był Stefan Zamoyski, żonaty z jedną z córek zmarłego księcia, przyjaciel sprzed wojny Czapskiego i Giedroycia. Przed przeniesieniem się Instytutu Literackiego do Paryża Czapski wynajął w Maisons-Laffitte domek na skład archiwów swojego wydziału. W tym właśnie domku przy ulicy Corneille'a, który opisał później Czesław Miłosz w swym pięknym wspomnieniu o Zygmuncie Hertzcu, zainstalowała się redakcja *Kultury* zaraz po przyjeździe do Francji. Jest oczywiście zbiegiem okoliczności, że przyjazd *Kultury* do Francji prowadzi do Hotelu Lambert, ale ten zbieg okoliczności wiele mówi o „polskiej ciągłości”.

W tym pierwszym okresie Józef Czapski był swego rodzaju ministrem spraw zagranicznych *Kultury*. W czasie swych długich pobytów w Paryżu w latach dwudziestych i trzydziestych (Czapski należał do grupy malarzy zwanej oficjalnie „Komitetem paryskim”, a potocznie „kapistami”) Czapski nawiązał liczne przyjaźnie w kręgach intelektualnych (wśród nich z Malraux, Mauriaciem, Maritainem, Bernanosem, Danielem Halévy) i „salonach” *tout court* (był blisko z Misią Sert, mającą dalekie korzenie polskie, zwaną z wszystkimi paryskimi awangardami od *Revue blanche* po Cocteau i Picasso). Oparcie *Kultury* w Paryżu stanowili trzej przyjaciele Giedroycia i Czapskiego. Wspomniałem już Stefana Zamoyskiego, który kilkakrotnie wspomagał *Kulturę* pieniędzmi i uzyskał dla niej wysoką pożyczkę na zakup

domu, w którym się ostatecznie osiedliła w Malsons-Laffitte. Wyciągnął ją od chilijskiego miliardera Arturo Lopez-Wilshaw, znanego z szumnych ball, jakie wydawał wówczas w Paryżu. Lopez-Wilshaw był jednym z lokatorów Hotelu Lambert. Pożyczkę Giedroyc jak zawsze punktualnie spłacił.

Drugim przyjacielem był Kajetan Dzierżykraj-Morawski, ambasador rządu londyńskiego (i pierwszy aliancki ambasador) przy rządzie tymczasowym Wolnej Francji w Algierze. Morawski, człowiek rozległej kultury, dobry klasyczny pisarz, na dodatek obdarzony wielkim poczuciem humoru, był współpracownikiem *Kultury*. Generał de Gaulle bardzo go lubił. Kiedy postanowił uznać rząd warszawski, zaprosił Morawskiego na obiad sam na sam, i powiedział mu mniej więcej tak (opowiadał mi to sam Morawski): „Drogi panie, jako politykowi i dyplomacie nie muszę panu tłumaczyć, że racje państwowe często biorą górę nad uczuciami i względami osobistymi. Pragnę pana jednak zapewnić, że przyjaźń moja dla pana pozostaje niezmienna, tak jak niezmiennie drzwi moje stoją przed panem otworem”. Morawski był człowiekiem niesłychanie delikatnym i nigdy tego zaproszenia nie nadużywał. Skorzystał z niego jeden raz – odnotowuję to dla historii przez małe „h” – dla uzyskania specjalnego przywileju. W chwili, kiedy ustanowiono we Francji oficjalnie status uchodźcy politycznego i stworzono OFPR-ę (*Office français de protection des réfugiés* – francuski urząd ochrony uciekinierów pod patronatem ministerstwa spraw zagranicznych) uchodźcy polscy chcieli, aby ich narodowość figurowała w dowodach osobistych i innych dokumentach. Dzięki interwencji Kajetana Morawskiego u de Gaulle’a jedynie Polacy oznaczeni są w dokumentach jako „uchodźcy polityczni z Polski”, a nie, jak wszyscy inni, jako „uchodźcy polityczni” *tout court*. Nawiasem mówiąc wielu polskich uchodźców politycznych (a w tym redakcja *Kultury*) nie ubiegało się nigdy o obywatelstwo francuskie, do którego mieli prawo i które by im oczywiście zostało przyznane. I ta specyfika wynika zapewne z wykształconego w ubiegłym stuleciu przekonania, że wygnanie jest naturalną formą bytu narodowego.

O dziwo, drugim Polakiem, którego de Gaulle zapewnił, że zawsze go przyjmie, był Józef Czapski. Przedstawił go de Gaul-

le'owi François Mauriac. General przyjął go pięć czy sześć razy w latach swego „Sulejówka”, czasami w swych biurach paryskich, czasami w Colombey. Wiele się mówiło o sympatii de Gaulle'a dla Piłsudskiego (pobył w Warszawie w 1920 roku nie był bez znaczenia). De Gaulle spytał Czapskiego, czy nie ma tłumaczenia tekstów Piłsudskiego, które chciałby przeczytać, i z zadowoleniem przyjął przedwojenny niemiecki przekład *Pism, Mów, Rozkazów*. Ten prawie bezpośredni kontakt między *Kulturą* a generałem de Gaullem byłby w żadnym innym kraju poza Francją nie do pomyślenia. Był on możliwy dzięki szczególnym stosunkom, jakie generał utrzymywał z historią. Więzy polsko-francuskie nie był dlań czynnikiem, ładnie brzmiącym w przemówieniach. Myślę, że polskie pochodzenie kilku jego towarzyszy – Palewskiego, Lipkowskiego, Kosciuszko-Morizet – też się trochę do tego przyczyniło. Gaston Palewski był blisko związany z trzecim polskim przyjacielem *Kultury* w Paryżu, Anatolem Muhlsteinem. Pochodzący z bogatej rodziny ortodoksyjnych Żydów, Muhlstein młodo wstąpił do PPS, potem związał się socjalistami belgijskimi i założył przed pierwszą wojną światową znane pismo belgijskie *Le Flambeau*. Później zbliżył się do Piłsudskiego i był w latach międzywojennych przez dłuższy czas radcą ambasady polskiej w Paryżu w randze ministra – w gruncie rzeczy „mózgiem” i filarem politycznym ambasady. Paryskie stosunki Muhlsteina ugruntowało jego małżeństwo z Dianą Rothschild, kuzynką po kądzieli barona Guy, który przed kilkoma laty odkupił od Czarotoryskich Hotel Lambert. Wybitnie inteligentny, dowcipny, pełen wdzięku, Muhlstein także współpracował z *Kulturą*, której aż do śmierci na początku lat sześćdziesiątych przysyłał przenikliwe kroniki polityki międzynarodowej. Muhlstein był bardzo blisko związany z takimi politykami francuskimi, jak Pierre Mendès-France i René Meyer. Lata wojny spędził w Stanach Zjednoczonych, gdzie nabył obywatelstwo amerykańskie. Kiedy Mendès-France został premierem, z dnia na dzień przyznał Muhlsteinowi obywatelstwo francuskie, aby móc wziąć go swego gabinetu jako *chargé de mission*.

Myślę, że warto wspomnieć o tych więzach, bo tłumaczą one przyjazny klimat, jaki *Kultura* znalazła w Paryżu od samego początku. Dorzucę dla pamięci kilka innych nazwisk francuskich

przyjaciół *Kultury*: ambasador Jean Laloy, Pierre Emmanuel, Manès Sperber (szef gabinetu Malraux po wyzwoleniu), Raymond Aron.

Dzięki tym znajomościom *Kultura* była uprzywilejowana nawet w sprawach praktycznych. Na przykład Giedroyc uzyskał specjalne zezwolenie na to, by zostać dyrektorem Instytutu Literackiego w latach, kiedy cudzoziemcy nie mieli prawa pełnić tej funkcji. Dodam – bo to jest charakterystyczne dla osobowości Giedroycia – że dopiero teraz, wy pytując go o różne rzeczy przy przygotowywaniu tego referatu dowiedziałem się, że powołał się wówczas na swój Krzyż Kawalerski Legii Honorowej, który dostał przed wojną, z okazji jakichś negocjacji francusko-polskich, kiedy był szefem gabinetu ministra przemysłu i handlu.

W planie politycznym rząd francuski zawsze ignorował rozmaite zabiegi rządu warszawskiego przeciw *Kulturze* (dwie takie *démarches* skierował do generała de Gaulle'a Cyrankiewicz podczas wizyty w Paryżu i Gomułka podczas wizyty de Gaulle'a w Warszawie).

Podkreśliłem na początku świadomą wstrzemięźliwość *Kultury*, jeśli chodzi o francuskie sprawy wewnętrzne. Mimo to *Kultura* wywarła pośredni, ale oczywisty wpływ na ewolucję francuskiej lewicy intelektualnej. Po pierwsze poprzez swe bliskie związki z pismem *Preuves*, w którym pracowałem od 1953 do 1967 roku, (kiedy pismo zostało rozwiązane) i którego wpływ antytotałitarny jest dziś powszechnie uznawany. To w *Preuves* ukazały się pierwotnie dzięki *Kulturze*, eseje, które złożyły się na *Zniewolony umysł* Miłesza, a począwszy od 1956 roku teksty z Polski, które niejednemu francuskiemu popucznikowi otworzyły oczy. Dzięki *Kulturze* też (i zaufaniu, jakie miała do Giedroycia Helena Zamoyska) przedostały się na Zachód i konkretnie do Francji *Doktor Żiwago* Pasternaka, teksty Siniawskiego, Daniela i innych dysydentów radzieckich. To wymagałoby jednak rozwinięcia, które wykracza poza ramy niniejszego referatu.

Konstanty A. Jeleński

Przełożyła z francuskiego Julia Juryś

z historii najnowszej

Jan T. Gross

WYBORY (Część druga)

Wybory, oczywiście, mają to do siebie, że się głosuje nie tylko na hasła i programy polityczne, ale przede wszystkim na ludzi. A ponieważ teoria demokracji przedstawicielskiej, z której wywodziła się praktyka wyborcza w państwie sowieckim, preferowała jak największą liczbę posłów¹, w październiku 1939 roku na Zachodniej Ukrainie i Białorusi wybierano prawie dwa i pół tysiąca osób. Kandydatów na posłów przedstawiano zazwyczaj wyborcom w trakcie zebrań, o których już była mowa i wspomnienia z kampanii wyborczej pozwalają odtworzyć dziś sylwetki wielu z nich. Wszyscy kandydaci na miejsca poselskie, z wyjątkiem może tuzina, uzyskali bezwzględną większość głosów w swoich okręgach konieczną dla zdobycia mandatu, tak więc w osobach kandydatów poznajemy przyszłych deputowanych.

Przede wszystkim zwróćmy uwagę na to, kto nie kandydował w wyborach do Zgromadzeń Narodowych. Otóż, wbrew łatwej intuicji, ubiegającymi się o mandaty nie byli w przeważającej części przedwojenni polscy komuniści, chociaż wielu z nich przebywało na terenie zajęтым przez Armię Czerwoną. Alfred Lampe, Marcełi Nowotko, Edward Ochab, Franciszek Mazur, czy Ostap Dłuski z całą pewnością gotowi byli służyć sprawie komunizmu zgodnie z poleceniami towarzyszy radzieckich, ale nie zaproponowano im współpracy. Kilku pomniejszych działac-

czy młodszego pokolenia, jak na przykład Jan Turlejski z Łomży czy w pół roku później w Wilnie Stefan Jędrychowski (pamiętajmy, że na Litwie obowiązywała chronologia podboju krajów bałtyckich), znalazło się w gronie wybranych. Były to jednak przypadki odosobnione. I jeśli jakaś reguła obowiązywała w stosunku do byłych członków tak zwanej kompartii („byłych”, bo partię tę rozwiązał w 1938 Komintern), to nakazywała ona trzymać ich z dala od wyłanianych ciał przedstawicielskich i od obsadzanych właśnie stanowisk w administracji lokalnej.

Kandydaci na posłów pojawiają się na zebraniach przedwyborezych z reguły kilka dni po utworzeniu grup, w których prowadzono agitację. Wedle obowiązujących przepisów każda taka grupa mogła wysunąć kandydata do Zgromadzenia Narodowego. I trzeba przyznać, że choć zebrania, na których ustalano osoby przyszłych deputowanych, były z reguły uważnie inscenizowane, nieraz starano się dobierać kandydatów zgodnie z wolą wyborców. Tyle tylko, i jest w tym swoista ironia losu, że nawet te cnotliwe zamiary wprowadzano w życie pod przymusem. W Brześciu nad Bugiem „władze łączności przeprowadziły wywiad, kto ma z kobiet większe zaufanie wśród pracowników poczty i telegrafów. Po ustaleniu nazwiska urzędniczki Stanisławy Barszczewskiej, pomimo jej woli, wysunęli jej kandydaturę, nie zwracając uwagi na to, że była znana jako szczerza patriotka, praktykująca katoliczka i odznaczona srebrnym krzyżem zasługi. Nawet do krzyża zasługi nie mieli pretensji”. Pilnowało jej tylko później w czasie zebrań, na których wygłaszała przemówienia „2 politycznych komisarzy”². W szczuczyńskim w gminie Wasiliszki kandydatem został Jan Makarczuk, były legionista i posiadacz 20 hektarowego gospodarstwa, lubiany i poważany przez miejscową ludność, bo prowadząc biuro podań często pisał je bezpłatnie i „dobrze znał się na polityce”. Otóż Makarczuk „wprawdzie nie chciał przyjąć kandydatury, ale musiał, bo mu powiedzieli, że taka jest wola wyborców”³. Również w relacjach z województwa tarnopolskiego i wileńskiego znajdujemy informacje o kandydowaniu osób cieszących się zaufaniem miejscowej ludności. Ukrainiec Wasyl Pałasjuk w Żłotnikach; „człowiek mądry i miłujący”, czy dr Omeljanowicz z gminy Druja nie tylko zostali wybrani na deputowanych, ale również pomagali później

ludziom, czyniąc wiele dobrego ⁴. Nie zdziwi nas przeto, że kilku co najmniej posłów wybranych w październiku do Zgromadzeń Narodowych Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi później aresztowano, wśród nich również i wspomnianego tu Makarczuka ⁵.

Oczywiście z reguły kandydowały tylko osoby wyznaczone przez sowieckich nadzorców. I zapewne dość typowym jest wspomnienie osadnika z powiatu luckiego, który opisuje, że kiedy „na osadę Maczkowce przyjechał starszy lejtnant, zebraliśmy się wszyscy osadnicy i ja w imieniu wszystkich zapytuję jego, czy mamy wybrać swego kandydata, to on nic tylko wyjął notes i podał nam nazwisko Paraska Maryszczuka ⁶. W krzemienieckim powiecie ludność wioski ukraińskiej, która usiłowała jednak wystawić swojego kandydata „z pośród uczciwych ludzi”, po części aresztowano ⁷, zaś w miasteczku Prońki, w powiecie postawskim, pojawiła się na wiecu przedwyborczym „prokurator Minkowa” i zapytana przez Piotra Kuczyńskiego czy zebrani mogą wysunąć kandydaturę osoby, którą znają i do której mają zaufanie, odpowiedziała, że to niemożliwe ponieważ naczelnik powiatu kapitan Brykow zdecydował już, kto ma kandydować „i zmienić go nie można” ⁸. Takie mniej więcej rozmowy musiały być dość powszechne, bowiem anonimowość wysuwanych kandydatów na posłów w wyborach październikowych była ich najbardziej zmienną cechą ⁹.

Oczywiście ludzie odnosili się nieufnie do sugestii, żeby sobie wybierali przedstawicieli spośród osób im nieznanych, więc na różne sposoby starano się ich nieufność rozproszyć. We wsi Pasichy kandydatem „był niejaki Wicik. Na szemranie ludności, że go nie znają i nie będą głosować zebrali wszystkich mieszkańców z kilku wsi i pokazali im Wicika. Kazano mu wejść na stół, żeby wszyscy go obejrzel” ¹⁰. W powiecie kobryńskim już tylko pokazywano fotografie, a życiorysy odczytywano. Mieszkańców kolonii Czapliczewszczyzna, którzy jednakowoż nie chcieli głosować na „Dawidsona Michała Abramowicza, narodowości żydowskiej, z pod Moskwy rodem” uspokajał politruk – „nie znacie go, to poznacie...” ¹¹.

Wydaje mi się, że tego rodzaju dialogi były raczej rezultatem swoistego nieporozumienia niż objawem cynizmu sowieckich

organizatorów. Ludzie radziecy, którym poruczono przygotowanie wyborów, zapewne po raz pierwszy zetknęli się z ludnością, która z ustrojem sowieckim nie miała nigdy przedtem do czynienia. Dlatego też musieli być kompletnie nie przygotowani na spontaniczne odruchy tych dziwnych mas ludowych. No bo właściwie dlaczego miałyby ktoś podważać kwalifikacje na „deputata” osoby wyznaczonej do tej roli przez zwierzchnią władzę? Jakże jeszcze inne warunki kandydat na posła powinien spełniać? W czasie wiecu na Politechnice lwowskiej przewodniczący zebrania poprosił o podniesienie ręki osoby sprzeciwiające się proponowanemu przez niego kandydatowi. I, o dziwo, sporo rąk uniosło się w górę. Jeden ze studentów, Stanisław Jarmiński, próbował zasugerować inne nazwisko, na co przewodniczący zareagował pytając: „czy mogę zarzucić jego kandydatowi, że jest człowiekiem nieszlachetnym, że kogoś okradł lub zabił? Odrzekłem: nie mogę, gdyż w ogóle nie znam tego człowieka”¹².

Struktura pytania, jak wiadomo, ma tę specyfikę, że zawiera w sobie zakodowaną odpowiedź. I tak prowadzący zebranie na Politechnice lwowskiej bezwiednie odkrył przed nami istotną prawdę na temat polityki kadrowej w Związku Sowieckim. Ukazał nam mianowicie, że kryteria wedle których wyznaczano ludzi na stanowiska, w tym wypadku posła do Zgromadzenia Narodowego Zachodniej Ukrainy, nie opierały się na ocenie czyichś kwalifikacji, ale raczej na stwierdzeniu czy dana osoba nie posiada cech dyskwalifikujących, w tym wypadku, czy kandydat na posła nie był złodziejem albo mordercą.

Zwracam uwagę czytelnika na ten aspekt rozmowy w auli Politechniki lwowskiej, bo choć opisałem już w pierwszej części artykułu zaskakującą a ideologiczność nowego reżymu (ludzi zmuszano bez względu na ich światopogląd, aby występować w roli agitatorów podczas kampanii wyborczej), to przez pryzmat tego dialogu wychodzi na jaw jeszcze bardziej podstawowa cecha sowieckiego ustroju: całkowicie instrumentalny stosunek do ludzkiej osoby. Można przyjąć zasadę, że życie, by tak rzec, jest wyłącznym sprawdzianem przydatności konkretnego człowieka do zajmowania określonego stanowiska tylko wtedy, kiedy ludzie są doskonale zamienni i kiedy osobę nie nadającą się (cokolwiek by to „nadawanie się” miało oznaczać) można w

każdej chwili usunąć i zastąpić kimś innym. Tyle tylko, że jednostka nie jest wtedy w swojej unikalnej specyfice rozpoznana i nie ma żadnych praw. Zawrotna rotacja kadr w okresie stalinowskim (przy czym rotowanym bywało się z reguły do więzienia) na wszystkich szczeblach, poczynając od śmietanki policji politycznej a kończąc na komitetach wioskowych, jest tego przejmującym dowodem.

Kolejną regułą, według której dobierano współpracowników na Ukrainie Zachodniej i Zachodniej Białorusi można by nazwać zasadą krzywego zwierciadła. Ponieważ nowe porządki pomyślane były jako rewolucja społeczna, tytułem do wyróżnienia w nowym społeczeństwie były przede wszystkim doświadczone poprzednio braki i deprivacje: „każdy kandydat miał podobny początek życiorysu. A więc musiał pochodzić z biednej rodziny, albo z rodziny «batraka», w młodym wieku musiał paść bydło cudze, a w sile wieku pracować w pocie czoła, przy tym jak najwięcej wyzyskiwany”¹². Tę obserwację, poczynioną przez Józefa Naruszewicza w folwarku Glinówka, należy uzupełnić o szczegóły miejskiej biografii typowego kandydata na posła: był to mianowicie proletariusz, najlepiej z więzienną przeszłością, przez dłuższy czas bezrobotny.

Oczywiście taki model wzorowego życiorysu wywiedziony jest bezpośrednio ze światopoglądu marksistowskiego. Jednakże świadomość polityczna mas ludowych na Zachodniej Ukrainie i Białorusi była niedorozwinięta. I kiedy przedstawiano im kandydatów, których biografie były wyborcom dobrze znane, ludzie czuli się jeszcze bardziej zdziwieni, niż kiedy kazano im głosować na osoby anonimowe. Weźmy dla przykładu relację Jana Kuranowskiego, rolnika z powiatu augustowskiego, który tak opisuje wystąpienie kandydatki do Zgromadzenia Narodowego Zachodniej Białorusi, Teofili Dorozki ze wsi Kapczany: „Była to niewiasta w wieku około lat 40 półanalfabетка, pracowała jako służąca w gospodarstwie, bez rodziców od ostatniej wojny światowej. W czasie tej agitacji i przedstawiania tej kandydatki, publicznie na zebraniu we wsi Raciczce przyznała się, że zabrali ją z gospodarstwa gdzie pała krowy, zabrali ją która nie wie i [nie] będzie wiedziała co mówić. Agitatorzy sowieccy przerwali jej rozmowę tym, że właśnie dobrze że nic nie umie, że tacy

ludzie właśnie, jak w sowietach jest zwyczaj, są wybierani i douczają się po objęciu stanowiska, gdyż wstydzą się przed współpracownikami. Teofila Dorożka została wybrana na posła do Mińska¹⁴. Była to stereotypowa odpowiedź agitatorów i możemy ją usłyszeć na Wołyniu czy w wileńskim, tak samo jak i w białostockim: „co jej będzie potrzeba tego ją nauczymy”, „nam nie trzeba mądrych i że ona nauczy się jeszcze wszystkiego”¹⁵. Oczywiście wyborcy doskonale wiedzieli, co się kryje za tą pozorną tolerancją, ale ich wiedza nie miała wpływu na przebieg wyborów, zaś osobom wypowiadającym głośno co myślały, mogła tylko zaszkodzić¹⁶.

Jeśli chodzi o ludzi pochodzących z dołów społecznych, byli wśród nich tacy, którzy z ochotą przyjmowali funkcje publiczne i sprawowali je z arogancją powodowani resentymentem i chęcią zemsty. Ale nie wszyscy. Wielu trzeba było zmuszać do występowania w roli kandydatów czy, szerzej, działaczy nowego reżymu. W Drohobyczu, na przykład, osiemnastoletnia dziewczyna, dojarka, przedstawiona na wiecu jako kandydatka i wypchnięta przed tłum „wystraszona coś «bełkotała», wreszcie rozpląkała się krzycząc «ta szczo si ony mnie czepyły, szczo ony, wid mene choezut» i uciekła z powrotem za kulisy”¹⁷. Zaś w miasteczku Horodziej kandydatka o nazwisku Sorokowik, która przed wojną pasowała krowy w pobliskich majątkach, zaniemowała po wyjściu na trybunę, tak że dopiero NKWD-zista przy niej stojący musiał ratować sytuację wyjaśniając, „że kandydatka nie może przemawiać ponieważ ma chrypkę”¹⁸. Ale, że ci tak dziwnie podobierani kandydaci narażali się na śmieszność i czuli się z tego powodu zawstyżeni, jest, z punktu widzenia doświadczenia zbiorowego i swego rodzaju dydaktyki społecznej wyływającej z październikowych wyborów, sprawą drugorzędną. Bo ludzie przede wszystkim zapamiętali fakt, że kazano im wybierać jako przedstawicieli osoby, którymi ze względu na ich niski status społeczny i cechy osobiste pogardzali. Odnotujmy, że wyborcy z całego obszaru okupacji sowieckiej opisują podobne przeżycia¹⁹.

Jednakże anonimowość czy nawet śmieszność kandydatów na posłów okazały się tylko stopniem pośrednim w ogólnym schemacie przenicowywania zastanej hierarchii społecznej w jej włas-

ne przeciwieństwo. Czytając wspomnienia z tego okresu, trafiamy niespodziewanie na informacje, które zbyt często powtarzają się w relacjach ludzi nie mających ze sobą nic wspólnego, aby je zignorować. Otóż było zjawiskiem rozpowszechnionym, że w październikowych wyborach ubiegali się o miejsca poselskie pospolici przestępcy. Ponieważ jednak autorów świadectw, na których się opieramy, nie można podejrzewać o sympatię do ustroju sowieckiego, musimy takie informacje uwierzytelnić ponad wszelką wątpliwość. W tym celu trzeba najpierw wykazać, że jest w ogóle do pomyślenia aby sowieci ludzi tego pokroju rzeczywiście brali pod uwagę jako kandydatów na deputowanych.

Wnioskując z ogólnego schematu marksistowskiej analizy społeczeństwa i zważywszy na okoliczności zajęcia tych terenów przez Armię Czerwoną, hipoteza taka wydaje się bardzo prawdopodobna. Ostatecznie odpowiedź na pytanie, kim są więźniowie w państwie burżuazyjnym, takim jak Polska przed klęską wrześniową, może być następująca: z punktu widzenia analizy klasowej są nimi albo przeciwnicy rządzącej burżuazji, albo jej ofiary. Przecież nawet najwyklesza kradzież daje się wytłumaczyć jako rezultat wyzysku przez klasę rządzącą, jako swoisty objaw protestu, w którym człowiek manifestuje jedynie swoje prawo do dysponowania owocem własnej pracy: że jest to, innymi słowy, inicjatywa indywidualna mająca na celu wywłaszczenie wywłaszczycieli. A ż. przeciwnik mojego przeciwnika, czy nawet po prostu jego ofiara, są moimi potencjalnymi sojusznikami, to już nawet nie analiza klasowa podpowiada, ale zdrowy rozsądek.

Tak więc więźniowie wychodzący na wolność (skoro tylko polska straż uciekła w popłochu przed nadchodzącą we wrześniu Armią Czerwoną) przyjmowani byli z łatwością przez sowietów w szeregi zwolenników nowego porządku. Tym bardziej, że kryminalistom było od razu wiadomo, iż identyfikując się jako ofiara prześladowań politycznych, można wiele uzyskać nic nie ryzykując, bo w pierwszym okresie nie było ani warunków, ani ochoty, żeby tego rodzaju informacje sprawdzać²⁰. W dodatku komuniści, którzy na te tereny stale przybywali, uciekając przed Niemcami z Polski centralnej i ci, którzy już tu mieszkali przed wojną, również skupiali się i pomagali sobie wzajemnie jako „byli więźniowie polityczni”. W związku z likwidacją partii ko-

munistycznych rok wcześniej przez Komintern, będąc zdyscyplinowanymi działaczami ruchu, nie mogli się przecież identyfikować jako komuniści i wyszło na to, że w początkowym okresie zaistnieli jako mniej lub bardziej zorganizowane środowisko pod szyldem „byli więźniowie polityczni”. Kilka takich ośrodków skupiających byłych komunistów powstało w początkowym okresie, najaktywniejszy bodaj w Białymstoku, pod energicznym kierownictwem Reginy Kaplan. Zresztą nawet i później jedyną organizacją polityczną, do której dopuszczono masowo działaczy lewicowych, z wyjątkiem związków zawodowych, był MOPR.

Tak więc w październiku 1939 roku więzienna biografia była, by tak rzec, nośna politycznie, a ponieważ nikt wtedy za bardzo nie pytał o szczegóły życiorysu, trudno się dziwić, że wśród kandydatów znalazło się sporo pospolitych przestępców. Jedyne co jeszcze musimy sprawdzić, to czy świadkowie się nie mylą w konkretnych przypadkach, bo jak to pewien uczeń ze wsi Krupie w powiecie łuckim powiedział: „jeżeli byli kandydaci z naszych ziem, to właśnie ci «bohaterowie», którzy nie wiadomo za co w Polsce siedzieli w więzieniu, za komunizm czy za kradzież”²¹. W odbiorze ówczesnej opinii społecznej, szczególnie na wsi, człowiek skazany przed sądem przynosił wstyd rodzinie i nikt za bardzo nie wnikał, z jakiego paragrafu wytoczono mu sprawę. Dlatego właśnie musimy dokładnie ustalić, z jakiej przyczyny poszczególni kandydaci na posłów popadli w konflikt z prawem w okresie dwudziestolecia, zanim uznamy, że ktoś, o kim sąsiedzi mówią z pogardą, bo był w kryminale, to pospolity przestępca.

Ponieważ autorami większości zachowanych wspomnień są ludzie z małych miasteczek, znają się oni nawzajem bardzo dobrze i oprócz używania zwrotów quasi retorycznych (że ktoś jest „kryminalistą”, na przykład), podają często dokładne szczegóły biograficzne. I tak, na przykład, dowiadujemy się, że „jednym z kandydatów [w powiecie Włodzimierz Wołyński] był miejscowy złodziej, który wyszedł z więzienia podczas wojny. Otóż kiedy na mitingu ktoś odważniejszy zwrócił uwagę na „przesłość kandydata, przewodniczący, jakiś urzędnik sowiecki, wyjaśnił, że on był zmuszony kraść dlatego, że w Polsce był głód. Śmieci się z tego wszyscy, bo znali go, że kradł kury”²². W innej zu-

pełnie części kraju, koło Świra w powiecie Święciany „politruk pod koniec swych wywodów podał do wiadomości, że głosować należy na Kuźmę Sobolewa, gdyż partia wystawiła go jako godnego kandydata. Jeden z chłopów, Michnowicz, zabrał głos i oświadczył, że tenże Kuźma Sobolew w Świrze na jarmarku ściągnął mu z wozu i ukradł worek owsa, innym zaś razem podpinkę z konia i że podobne zastrzeżenia mają i inni gospodarze. Na takie dictum ów politruk dobrodusznie odpowiedział, że to się już więcej nie powtórzy i Kuźma kraść więcej nie będzie”²³. Otóż Kuźma Sobolew, czy niejaki Kalitka w Kiwercach (powiat łucki), czy Tararuk albo Gajda w powiecie Dubno, Wiktor Bajda z Hołoby w powiecie Kowel, albo Andrzej Szubka też z okolic Kowla, Józef Pałacki z powiatu Mołodeczno, albo Proskurniak z kołomyjskiego wszystko to byli ludzie miejscowi, świetnie znani własnym sąsiadom od dzieciństwa i żaden agitator nie mógł wmówić zebranim na przedwyborczych wiecach, że są oni kim innym, niż byli naprawdę²⁴.

Zresztą, gwoli ścisłości trzeba przyznać, że organizatorzy bynajmniej nie zaprzeczali szczegółom biografii kandydatów przytaczanym przez ludność zebraną na wiecu. Co najwyżej poddawano ich życiorys interpretacji w duchu materializmu dialektycznego sugerując, że są ofiarami ucisku klasowego zmuszonymi przez trudne warunki życia do czynów przestępczych. Ale oczywiście ludzie miejscowi, którym przeważnie wcale się lepiej nie powodziło, wiedzieli świetnie co myśleć o takim tłumaczeniu. I wyśmiewali się początkowo z naiwności organizatorów (że, dajmy na to, drób to delikates i jeśli ktoś kradnie kury, to przecież nie dlatego, że umiera z głodu). Jednak po pewnym czasie zaczęło im świtać w głowie, że to nie z naiwności wypływa argumentacja sowieckich agitatorów, ale z arogancji: że, mianowicie, nie muszą oni niczego tłumaczyć ani nawet zabiegać o wiarygodność tego, co mówią, bo zebrana publiczność i tak musi wysłuchać i przyjąć do wiadomości, cokolwiek zechcą jej powiedzieć.

I wreszcie w końcowej fazie kampanii, przy pomocy zręcznego zabiegu zdobywano od wyborców wiążącą decyzję ustalającą, kto będzie kandydował do Zgromadzeń Narodowych. Przewodniczący zebrania zgłaszał formalny wniosek o przyjęcie wysuniętej przez niego kandydatury, po czym zadawał niezbędne pyta-

nie: „kto przeciw?”²⁵ Najczęściej nikt wtedy nie odważył się nie powiedzieć i zapisywano do protokołu, że kandydat uzyskał jednogłośnie poparcie zgromadzonych na wiecu. W ten sposób kontynuowano psychodramę, której regule odkryliśmy od razu na początku kampanii wyborczej: wielka mobilizacja polityczna tak była pomyślana, że stojąc w milczeniu i bez ruchu (innymi słowy – nie protestując) zgłaszał człowiek akces i żyrował swoim zachowaniem nowe porządki.

..

„Przychodzili agenci sowieccy do frunie na pole (kopałam kartofle) i namawiali do głosowania za nimi, obiecując iż ta praca, którą robię rękami, będę później robiła maszynami, że siac będę z samolotów, itp. bzdury. Ja nie wierzyłam temu, ale byli tacy, co myśleli że rzeczywiście tak jest w «raju czerwonym». Oprócz namowy na wszelki wypadek grozili niechętnym, ostrzegając iż każdy jest przez nich zanotowany i kto nie będzie głosował ten będzie uważany za wroga ludu”²⁶ Wspomnienie białoruskiej chłopki oddaje mieszaninę gróźb i obietnic z przedednia październikowych wyborów. Trzeba jednak podkreślić, że dominantą tego okresu z pewnością był stopniowo rosnący terror. Do celi więzienia w Skalacie wprowadzono Stanisławowi Widomskiemu w połowie października chłopców ukraińskich, których wzięto jako zakładników, żeby rodzice zachowywali się posłusznie podczas wyborów²⁷. Adwokat z miasteczka Międzyrzecz na Wołyniu wspomina, że na dzień przed wyborami „na postrach zaaresztowano z pośród ludności polskiej, żydowskiej i ukraińskiej działaczy oświatowych, spółdzielczych, członków organizacji sportowych i dwukrotnie pod konwojem przeprowadzono ich po mieście”²⁸. Grupę uchodźców ze Śląska straszono we Lwowie, że im mieszkania i prawo do racji żywnościowych odbiorą, jeżeli nie pójdą głosować; zaś pomocnik kierownika mleczarni miejskiej opisuje, jak sklepy w jego okolicy pozamykano i „ogłosili, że dopiero po głosowaniu, jeżeli wybory wypadną zadowolająco, żywność ukaże się w sprzedaży”²⁹.

Jednak czasami działo się dokładnie na odwrót: tuż przed wyborami aresztowania i rewizje ustawały, dowożono niespo-

dziewanie brakującą od dawna w lokalnej kooperatywie towary, a w szkole koło folwarku Sotopinki w gminie Druja pozwolono nawet z powrotem zawiesić w klasach krucyfiksy, które, oczywiście, wkrótce potem usunięto³⁰. W ogóle, propaganda oficjalna w przeddzień wyborów była wesola i pełna obietnic. Oprócz haseł wyborczych, artykułów problemowych i biografii ważniejszych kandydatów ze zdjęciami, *Czerwony Sztandar* podbił nastrosz czytelników dowcipem rysunkowym, zgrabną fraszką i łatwo wpadającym w ucho wierszykiem. „Każdy dom i każda chata wybierają delegata” informowała lwowska gazeta 21 października o tym, co się miało wydarzyć nazajutrz i dodawała zachęcająco, „a więc jutro droga Franiu, potkasz mię przy głosowaniu”.

I rzeczywiście, już rano ludzie zaczęli się gromadzić przed lokalami komisji wyborczych. Korespondent *Prawdy*, który był akurat w Brześciu, opisał, jak w pewnej chwili otworzyły się drzwi punktu wyborczego nr 38 „i człowiek z czerwoną gwiazdą w klapie powiedział głośno, współczującym głosem: «Towarzysze, noc jest zimna. Proszę was żebyście przyszli rano. Wybory zaczynają się dopiero o szóstej»”³¹. A były powody do współczucia, bo ten tróskliwy działacz miał na myśli czas oficjalny, czyli moskiewski, czyli sam środek nocy (jako że według dawnego czasu, którym się wszyscy posługiwali w życiu codziennym, było równo o dwie godziny wcześniej). W dodatku naganiacze zaczęli pracować, zatem uruchomiono punkty wyborcze. We Lwowie „bramy kamienne, które codziennie otwierano o 6-ej rano, wtedy nakazano otworzyć o 4-ej rano. O 4.30 wszystkim lokatorom przymieszony dozorca przypominał o wzięciu udziału w głosowaniu. Potem co godzinę przypominali różni cywilni agitatorzy o konieczności głosowania”³². Pewien leśniczy z białostockiego wspomina, że w jego miejscowości „wszystkich mieszkańców wypędzono z mieszkań o godzinie 4-ej nad ranem i kazano im iść głosować. Kościół zamknięto [a była to niedziela] dopóty, dopóki nie ukończy się głosowania”; zaś urzędnik z Równego opisuje jak „2 milicjanci o godz. 5 rano przyszedł do mego wuja, aby szedł na głosowanie a gdy powiedział, że to za wcześnie, pobili go kółkami”³³.

Nie możemy więc wykluczyć, że dziennikarze sowieccy, opisujący następnego dnia w *Prawdzie* tłumy kłębiące się nad ra-

nem na ulicach Stanisławowa czy Białegostoku, pisali prawdę. Bowiem, w istocie, pędzono mieszkańców Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi do lokali wyborczych jeszcze przed świętem. „Gdy nie pomagały groźby”, pisze rolnik ze wsi Wąsowice w powiecie Włodzimierz Wołyński, „siłą wzięli, kładli na wozy i odwozili do głosowania”³⁴. Milicja i wojsko niejednokrotnie zaganiały ludzi do punktów wyborczych pod eskortą³⁵. Do wsi Łady w powiecie Ostrołęka, „sprowadzili zbrojny pluton, obstawili wieś i zagrozili zniszczeniem całego dobytku i przymusowo doprowadzili do miejsca przeznaczonego do głosowania”. Ludzie z innych okolic opisują analogiczne sceny, kiedy to miejscowość przez nich zamieszkiwana została otoczona przez wojsko i zmuszona w ten sposób do wzięcia udziału w wyborach³⁶. Zaś środki transportu, którymi dysponowali organizatorzy wyborów – w teorii, aby umożliwić głosowanie starcom i chorym, którym trudno byłoby bez pomocy dotrzeć do lokali wyborczych – przede wszystkim przydały się milicji, aby dowozić opornych³⁷. Stosowano też czasami metodę odwrotną, dostarczano urnę do wyborców³⁸.

W ostateczności, kiedy już żadne inne środki perswazji nie skutkowały, aresztowano uchylających się od wypełniania obywatelskich obowiązków. Jednakże nawet i tak drastyczna sankcja nie chroniła delikwenta od udziału w zblorowym rytuale zaplanowanym na ten dzień dla mieszkańców Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi. Bo, jak się okazało niejednokrotnie, w więzieniu też trzeba było głosować. „W końcu miesiąca października 1939 r. zgłosiło się dwóch NKWD uzbrojonych w celi nr 7 więzienia gdzie ja przebywałem”, wspomina policjant z Nieświeża. „Wyprowadzili nas 17-cie osób na korytarz więzienia, odprowadzili do gmachu Szkoły Powszechnej w Nieświeżu i kazano nam podać te kartki tam znajdującemu się, nieznanemu, osobnikowi przy którym siedział oficer sowiecki... Na zapytanie co to mają znaczyć te kartki i nazwisko osoby na karcie Horocha, odpowiedziano mi: to wasz przedstawiciel, który uwolni was z więzienia, z tem odprowadzono nas do więzienia”³⁹. Epizod w Nieświeżu pozwala mieć jeszcze jakieś nadzieje na przyszłość, że poseł, na którego głosują więźniowie, będzie zabiegał o ich uwolnienie. Ale przeżycie rolnika ze Ściurzyzna wszelkich

optymistycznych akcentów było już pozbawione: „Mimo gróźb ja osobiście niechciałem głosować natychmiast NKWD mnie aresztowało i osadziło mnie w piwnicy budynku gdzie mieścił się komitet, przyszedł mnie biao wybijając ząb z dodatkiem słów dumajesz polska sobaka czto budziet Polska i niechoczysz podczyniastia sowieckomu sojuzu jak sie nie podczynisz tak padochniesz przy tych słowach jeden z mych oprawców wręczył mi kartkę przez niego podkreślono i kazał mi udać się do sali w której odbywało się głosowanie i wręczyć kartkę temu który stał przy urnie wyborczej, ten odebrał odemnie kartkę wyborczą, uśmiechnął się ironicznie i wrzucił kartkę do urny dając mi pokwitowanie, że ja głosowałem i kazał oddać te pokwitowanie temu który mie pilnował w piwnicy sąsiedniej. Ten odbierając odemnie pokwitowanie odezwał się w te słowa tiepier stupaj damoj, a kak nie budziesz sie podczyniastia sowieckomu sojuzu ubijom”⁴⁰. Relacje o przeprowadzonym głosowaniu zachowały się z kilku więzień rozsianych po zajętych terenach⁴¹.

Oprócz terroru indywidualnego, skierowanego przeciwko konkretnym osobom, stosowano również dyscyplinę grupową. Technika rewolucji społecznej, o czym już pisałem wcześniej, polega na tym, żeby ludzie sami wpasowywali się w nowe reguły współżycia. W ten sposób niszczy się wzajemne zaufanie i niezależność środowiskową, oszczędzając sobie zarazem trudu nadmiernego rozbudowywania aparatu terroru. Należy więc zmusić ludność, aby się pilnowała sama. W dniu głosowania wykorzystano w tym celu dyscyplinę pracy oraz istniejącą już strukturę organizacyjną, w ramach której prowadzono agitację przedwyborczą. I tak w Kołomyji „ogłoszono, że pochód odbędzie się ze stacji kolejowej do lokalu wyborczego wraz z orkiestrą i że wszyscy pracownicy muszą wziąć udział”. Dla Jana Wdowitka, słusza za Lwowa, niedziela 22 października była normalnym dniem pracy. „Po pewnym czasie wstrzymano pracę i w szeregach pomaszzerowaliśmy pod nadzorem do lokalu wyborczego”. Także i w Równym „robotnicy i inteligencja pracująca odchodziła grupami z miejsc pracy pod przewodnictwem politruków lub politrabotników żeby głosować”⁴². W Wilejce ludzie szli do głosowania według ulic, również „z orkiestrą i ze śpiewem”. We Lwowie organizowano marsze do lokali wyborczych „całymi ka-

mienicami”⁴³. Dozorców albo właścicieli domów czyniono odpowiedzialnymi za to, żeby ich lokatorzy stawili się do głosowania. Na prowincji bywało, że „cała wieś zbierała się i przewodniczący wsi meldował wieś gotową do głosowania”⁴⁴.

Większość mieszkańców Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi dotarła więc zapewne tego dnia grupami do lokali wyborczych lub, ściślej mówiąc, w ich okolice. Zbliżając się do celu, napotykali coraz więcej wojska albo uzbrojonej milicji. Onieśmienie rośnie. W dodatku, na progu lokalu wyborczego okazywało się często, że do środka ludzie wpuszczani są pojedynczo. „Podczas głosowania przypędzono do miejsca głosowania ludność całymi włoskami”, pisze rolnik ze wsi Kołki, „a do sali wyborczej wprowadzano pojedynczo, zadając pytanie «czy głosujesz?»”. We wsi Różanka, w powiecie szczuczynskim, na obstawionej wojskiem drodze „i przed samym lokalem wyborczym wolno było chodzić tylko samemu, a już grupę dwóch lub trzech rozpędzano”. Poczucie osamotnienia wzmacniał niekiedy wewnętrzny wystrój lokalu. W osadzie Tekłówka w powiecie Horochów „od wejścia aż do wyjścia był ustawiony szereg milicji”. Pewien kolejarz z kolonii Srebrnica w powiecie Łuniniec zapisał po prostu: „przez cały czas pilnowano mnie jak więźnia”⁴⁵.

Dodajmy dla porządku, że starano się równocześnie stworzyć pozory festynu ludowego, radosnego święta, które te wybory miały uosabiać dla miejscowej ludności. Zatem całe to przedsięwzięcie realizowano z akompaniamentem orkiestr amatorskich, z reguły kilku grajków ustawionych przed punktem wyborczym i po sfinalizowaniu zapraszano na poczęstunek, z reguły szklankę herbaty i zakąskę, chociaż piwa albo wódki też czasem można się było napić⁴⁶. We wsi Śnieżyce w nowogródzkim milicja doprowadzająca ludzi do lokalu komisji chodziła po wsi z orkiestrą, a w miasteczku Janów ksiądz katolicki „stał bez przerwy od rana do wieczora przed lokalem wyborczym i spełniał to co mu terroryści nakazali”, zachęcając ludność do oddania głosu⁴⁷.

Chociaż stwarzano pozory beztróskiej atmosfery i dobrowolnej współpracy miejscowych i poważanych obywateli, mieszkańcy Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi świetnie wiedzieli, że organizacja wyborów opiera się na przemocy. Nic dziwnego przeto, że ludzie czuli się jak w potrzasku, w miarę zbliżania

wyznaczonej daty coraz bardziej zdesperowani i upokorzeni. „W przeddzień wyborów”, wspomina uczeń gimnazjum ze Śniatynia, „z kolegami uciekłem w las. Tam spotkał się setki Narodu Polskiego, który chciał uniknąć przemocy”⁴⁸. Od wynaturzonego państwa, które zamiast gwarantować bezpieczeństwo zadaje swoim obywatelom gwałt, nie ma donikąd ucieczki, chyba że do lasu.

Wiemy już, w jaki sposób i w jakim nastroju docierał mieszkaniec Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi 22 października 1939 roku do lokalu komisji wyborczej, w którym miał głosować. Zapytajmy wobec tego, co się działo przez kilka następujących minut, jak wyglądało samo głosowanie?

Najogólniej scena przedstawiała się następująco: w lokalu wyborczym urzędowała komisja, znajdowała się tam kabina albo jakieś specjalnie desygnowane pomieszczenie, aby w odosobnieniu wypełnić biuletyn wyborczy, i wreszcie urna, do której należało wrzucić głos. W komisji zasiadał zazwyczaj umundurowany sowiecki żołnierz. Bywało, że dodatkowo koło urny wyborczej stał na straży ubrojeny żołnierz, zaś w samym pomieszczeniu przechadzało się z reguły jeszcze kilka osób z bronią, w mundurach albo po cywilnemu⁴⁹. Krótko mówiąc, panowała tam atmosfera obozu warownego. W komisji byli także miejscowi aktywiści, personel wioskowej milicji na przykład, a więc z reguły osoby o niskim statusie społecznym⁵⁰. Wreszcie, od czasu do czasu, mogli w komisji zasiadać tak zwani „przyzwoici” ludzie, których zamianowano do tej roli, nie zważając na ich obiekcje⁵¹. Ogólnie rzecz biorąc, w każdym razie, towarzystwo w którym się człowiek znalazł po wejściu do lokalu wyborczego, było dość przerażające.

Wyborca musiał w pierwszej kolejności podać tożsamość i sprawdzić zgodność nazwiska z zapisanym uprzednio na liście uprawnionych do głosowania. Dostawał następnie biuletyn wyborczy oraz instrukcje na temat obowiązującej procedury odawania głosu, po czym dopiero mógł spełnić obowiązek obywatelski. Wychodzącego z powrotem na zewnątrz zatrzymywano niekiedy po drodze w bufecie, na poczęstunek. Wbrew pozorom jednakże, to króciutkie przeżycie pełne było niespodzianek i zaskakujących momentów i zapisało się wyraziście w pamięci tych, którzy go doświadczyli.

„Głosujecie tak jak prawo nakazuje, a nie tak jak wam się podoba bo będą złe skutki”, powtarzał przechadzając się w tę i z powrotem po lokalu wyborczym w kolonii Kowale miejscowy „naczelnik” NKWD. W Dzisnej doradzano głosującym, żeby żadnych nazwisk nie wykreślali z biuletynów wyborczych, „ponieważ osoby skreślające będą odnotowane i aresztowane”⁵². W Hulanikach „powiedzieli, że głos będzie ważny niezależnie od tego, czy kto przekreślił kartkę czy nie”, a w Lidzie „że istnieją wrogowie narodu, którzy będą skreślać z kartek wyborczych prawdziwych przedstawicieli ludu celem niedopuszczenia do utworzenia prawdziwego Rządu Narodowego, więc aby ich zamiary pokrzyżować, skreśleń nie będzie się brało pod uwagę”⁵³. Najwyraźniej nie miało sensu głosować „nie” w tych wyborach. Czym jednak tłumaczyć tę szczerotę pracowników aparatu przemocy totalitarnego państwa, którzy nie grzeszą przecięz prawdziwością? Dlaczego więc zupełnie otwarcie negują wobec głosujących zasadę wolności wyboru, którą według hasła oficjalnej propagandy oni właśnie mieli inaugurować w życiu publicznym tych ziem? Zwróćmy uwagę, że ta na pozór banalna wypowiedź, oddając prawdę dla wszystkich oczywistą, jest równocześnie rewelacją, odsłonięciem istoty całego spektaklu: bo mówiąc, że przekreślenie biuletynu wyborczego czyli głos na „nie”, jest bez znaczenia, ów anonimowy urzędnik wypowiedział równocześnie zdanie komplementarne, że tak samo bez znaczenia jest głos na „tak”. W tym słownym geście arogancko afirmującym własną samowystarczalność, państwo sowieckie zbywało pogardliwie ustami szeregowego przedstawiciela również i dobrowolny akces swoich zwolenników.

„Po wejściu do budynku otrzymywało się kartkę w kopercie. Kartkę tę trzeba było zanieść do pokoju z urną i tam wrzucić. Nakazane było jak należy przenieść kopertę. Trzeba było nieść kopertę w dwóch palcach i ręką uniesioną przed siebie. Dlatego, aby nie można było zniszczyć koperty”⁵⁴. Tak, na przykład, głosowano w Koźlakiewiczach, a wspomnienie stolarza z tego poleskiego miasteczka nie jest wcale najbardziej niezwykłe. Tyle tylko, że oddziaływując na wyobraźnię, wywołuje symboliczną scenę procesji, w której chłopci, dzierżąc w wyciągniętych rękach koperty zamiast świeczek wotywnych, idą

oblaskawiać jakieś siły tajemne, które będą od tej pory decydować o ich losie.

A że to są siły tajemne stąd wiadomo, że koperta była zaklejona. „Do głosowania wydawano kartki już wypisane lecz co było wypisane nie wiem, gdyż zabraniali patrzeć”, pisze osadnik wojskowy z gminy Wiśniowiec⁵⁵. „Gdy przyszedł dzień wyborów ludność zwołali do szkoły, gdzie jeden z NKWD oświadczył żeby nikt nie ważył się niszczyć koperty, w której była zaklejona ankieta. Pótem wołali każdego i wręczali kopertę, którą rzucali się do skrzynki stojącej na stole. Tak odbyły się wybory”⁵⁶ w Magdalenówce, w powiecie Skalał. I nie tylko tam. Mieszkańcy Rogowa, Tymianek, Kulbaczna, Adampola, Kolb, Bateczy, Pieszczanki, Różanej, Łanowic, Ryszkowej Woli, Sieniawy, Sułkowszczyzny, Tułigłów, Wiśniowca, Rożyszcza, Orłat i Zuzanówki, wsi i miasteczek rozsianych po całym obszarze Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi, głosowali w ten sam sposób⁵⁷.

Tyle jeśli chodzi o przymiotnik „wolne” w odniesieniu do październikowych wyborów. Jeśli zaś chodzi o przymiotnik „tajne”, którym te wieloprzymiotnikowe wybory charakteryzowała ustawa, ucierpiał on najbardziej tam, gdzie kazano głosującym po prostu się podpisać na biuletynach wyborczych⁵⁸.

O co właściwie szło stosującym te dziwne metody, bo przecież niewiele się można było dowiedzieć o nastrojach, zbierając od ludzi zaklejone koperty albo podpisane głosy? Obie procedury pozwalały co najwyżej sprawdzić, kto przyszedł głosować, co i tak było wiadome, bo wszyscy musieli najpierw zgłosić obecność i wylegitymować się u urzędnika komisji, który miał pieczę nad listą uprawnionych do głosowania. Zatem jeśli komuś zależałoby na tym, aby przy okazji wyborów oddzielić, na przykład, zgodliwych obywateli od niepokornych, to innej musiałby użyć procedury. Otóż żeby sprawdzić, kto posłusznie głosuje bez skreśleń, używano nagminnie starego i wypróbowanego podstępu – numerowano biuletyny wyborcze. Zazwyczaj oznaczano je numerem, pod którym nazwisko wyborcy było zapisane na liście uprawnionych do głosowania. „W dniu głosowania udałem się do szkoły, w której odbywało się głosowanie a Iwan Kmin przewodniczący komisji skierował mnie do osób podających kartki

do głosowania. Otrzymałem kartkę z numerem 114 tymże samym jaki figurował przy moim nazwisku w księdze⁵⁹. Zabiegu tego zresztą najczęściej nie starano się nawet ukryć przed wyborcą⁶⁰, w rezultacie wiadomo było od razu, jak kto głosował i jeżeli poczynił jakieś skreślenia lub powypisywał hasła antysowieckie (a zaraz się dowiemy jak to w ogóle było możliwe), wkrótce po wyborach był aresztowany⁶¹.

Zdarzało się też, że sprawdzano, jak kto głosował na bieżąco i w razie potrzeby natychmiast cenzurowano zachowanie kłanbrnego wyborcy. „Jeśli ktoś nie wrzucił głosu do urny, lub na kartce coś dopisał, lub skreślił”, wspomina gajowy z leśniczówki Nowosiółki, „to po wyjściu z pokoju z urną był z powrotem doprowadzany do komisji wyborczej, gdzie dostawał ponownie kartkę i pod nadzorem musiał wrzucić głos, a w kilka dni po głosowaniu został aresztowany”⁶². Jak z tego widać, sowieccy organizatorzy bynajmniej nie czuli się skrupowani zasadą tajności wyborów i przyznawali się bez żenady wyborcom, że świetnie wiedzą, jak kto głosował. Wcale więc nas nie zdziwi, że kiedy pewnego sierżanta z Broszłowa aresztowano po wyborach, to, jak potem wspominał rozgoryczony, „mnie nawet dosłownie przeczytano co napisałem na kartce”⁶³. Jeśli zaś z powodu zamieszania albo niedokładności nie można było potem ustalić autorstwa jakichś napisów na biuletynach wyborczych, to bywało, że wzywano mieszkańców wioski już po wyborach do urzędu gminnego i brano od wszystkich próbkę pisma⁶⁴.

Organizatorzy wyborów nadzorujący poszczególne komisje, którym zostawiono najwyraźniej wolną rękę w doborze miejsca na lokal wyborczy (głosowano w szkołach, w urzędach publicznych, i nawet w prywatnych mieszkaniach) czy samej procedury oddawania głosu, musieli chyba rozliczyć się z tego, jak kto z powierzonych ich nadzorowi wyborców głosował. Ponieważ równocześnie wszystkich ich zobowiązano, żeby formalnie zagwarantowali wyborcom możliwość tajnego głosowania (stąd w każdym lokalu wyborczym specjalnie wydzielone miejsce odosobnienia), powstał konflikt, który trzeba było inteligentnie rozwiązać. Część organizatorów wpadła na pomysł, żeby wszystkich po prostu zmusić do głosowania tak samo. Stąd się wzięły, po części, zaklejone koperty i podpisywanie biuletynów wybor-

czych. Wiemy też o skutecznej metodzie numerowania głosów. Jeszcze gdzie indziej organizatorzy zdecydowali, że będą sprawdzać biuletyny wyborcze, zanim głosujący wrzuci je do urny. „Przed wrzuceniem kartki do urny jeden z miejscowych żydów kartkę brał, odczytywał, po czym sam ją wrzucał”⁶⁵. I ta metoda kontroli, jak każda inna zresztą, mogła od czasu do czasu szwankować. Na przykład w kolonii Haj, w powiecie postawskim, pisze pewien wyborca o sobie: „wyszedłem z za parawanu i poszedłem do urny, gdzie miałem wrzucić koperte i tu mnie Sokół Miron złapał za rękę i chciał zobaczyć czy przekreśliłem, ale mnie się udało kopertę przelożyć do drugiej ręki, którą wrzuciłem do urny”⁶⁶. Metoda ta, chociaż jak widać niedoskonała, była powszechnie stosowana⁶⁷.

Reżym sowiecki charakteryzuje się wielką dbałością o przestrzeganie form, czy może lepiej, o zachowanie pozorów. Podczas wyborów październikowych takim listkiem figowym, który miał przesłonić zbiorowy gwałt na ludności Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi, były kabiny wyborcze, przepierzenia, specjalne pokoje, do których głosujący mógł się oddalić, aby spełnić obywatelską powinność w odosobnieniu. Oczywiście ta „forma” była w potencjalnej kolizji z „treścią”, to znaczy wymogiem ścisłego nadzoru nad zachowaniem wyborcy. A więc w większości 15.000 punktów wyborczych rozsianych po terenach Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi⁶⁸ przekształcono kabiny w obiekt sakralny i wokół nich zaplanowano najważniejszą część rytuału wyborów.

Architektura wewnątrz lokali wyborczych pomyślana była w ten sposób, że owe miejsca odosobnienia były absolutnie widoczne, a wraz z nimi i ludzie, którzy z nich korzystali. Kabina stawała się więc przestrzenią wydzieloną, inną niż cała reszta lokalu wyborczego, naznaczoną tabu. W dodatku instrukcje dla wyborców podawane były niejednokrotnie w takiej formie, żeby osoby które zdecydowały się pójść na stronę, same się niejako stygmatyzowały. „Wręczono kartkę z nazwiskiem kandydatów a następnie przewodniczący zapytywał czy się godzę na kandydatów o ile nie – kierował do następnego pokoju w celu otrzymania instrukcji co należy zrobić. W tym pokoju znajdował się NKWD, do którego oczywiście nikt nie chodził...”⁶⁹. Podobnie

jak w Kostopolu przedstawiała się sytuacja w lwowskim lokalu wyborczym. „«Informator» informował wyborcę o sposobie oddawania głosu w tej formie, że o ile wyborca nie chce oddać głosu na kandydata to winien wejść do drugiej sali gdzie były parawany i tam nazwisko skreślić. O ile oddaje głos na kandydata, to uda się wprost do urny wyborczej w trzeciej sali”⁷⁰.

Zresztą słowne instrukcje były zbędne, bo ludzie sami potrafili zinterpretować znaczenie układu przestrzennego. W szkole powszechnej im. księdza Konarskiego we Lwowie głosowanie odbywało się w dużej sali przedzielonej w poprzek od drzwi do okna rzędem stołów. Między stołami pozostawiono wąskie przejście. Po jednej stronie sali stały udekorowane i ponumerowane kabiny, ale można było wrzucić głos bezpośrednio do urny w ogóle nie przechodząc między stołami w kierunku kabin⁷¹. Łatwo się domyślić, jak często z nich korzystano. Bo ludzie, jak powiadam, świetnie wszystko rozumieli. W kolonii Królewszczyzna (powiat Dżisna) „w lokalu wyborczym były ustawione parawany, za którymi wyborcy mogli wykreślać nazwiska kandydatów. Parawany te stały jednak nie na drodze do urn, a na liście było najczęściej jedno nazwisko, więc dla każdego obserwatora było jasne co robił wyborca korzystający z tych urządzeń”⁷². Podobnie reagowali głosujący w trzypokojowym mieszkaniu w samym miasteczku Dżisna, gdzie w dwóch frontowych pokojach sprawdzano listę i stała urna wyborcza, natomiast jeśli ktoś chciał skreślać, musiał przejść na tyły mieszkania do trzeciego pokoju. „To trudno było”, pisze nauczyciel Stanisław Pałuszka, „zwłaszcza polakom, pójść i skreślić”⁷³. Oczywiście każdy musiał sam zdecydować, co robić w podobnej sytuacji, ale o tajności głosu nie było mowy. Tym bardziej, że członkowie komisji zupełnie otwarcie zapisywali nazwiska wszystkich, którzy zdecydowali się z kabin korzystać⁷⁴.

Zdarzało się, że organizatorzy skrupulatnie stosowali się do przepisów i wtedy każdy wyborca musiał wejść do kabiny po drodze do urny. W osadzie Krugieli (powiat Kowel) odprowadzał go tam przewodniczący komisji „i dawał gotową listę z pochwałą wielkich czynów kandydata, którego nazwisko kazał podkreślić ołówkiem i tak podpisaną listę przy urnie oglądał politruk”⁷⁵. Zazwyczaj jednak, kiedy wymagano od głosują-

cych, żeby korzystali z kabin, organizatorzy wyborów po prostu podglądali, co tam robią wyborcy⁷⁶. W osadzie Marysin podglądano przez dziurę w suficie, zaś w wielu innych lokalach lustro zawieszono wysoko na ścianie pozwalając członkom komisji śledzić zachowanie powierzonych im pieczy wyborców bez opuszczania miejsca pracy za stołem⁷⁷.

Wreszcie i tak bywało, że organizatorzy nie mieli pomysłów albo dostatecznej brutalności i chwytali się dość prymitywnych sposobów. W Rumejkach i Pomorzance oraz w gminie Krasne jeden z członków komisji sprawdzał położenie ołówka na stoliku w kabinie po wyjściu każdego wyborcy. W Boguszach przewodniczący komisji połamał wszystkie ołówki leżące w kabinie (Feliks Zarzecki, zasiadający w komisji wbrew własnej woli, chodził tam parokrotnie aby je zatemperować), a w szczuczyńskim za koldrą zawieszoną w kącie pokoju stał wprawdzie na stole kalamarz, ale bez atramentu⁷⁸. Elektryk Jakub Grunfeld, który głosował we Lwowie, był zaskoczony olbrzymim rozmiarem urny wyborczej (również pisarka Beata Obertyńska w swojej relacji zwraca uwagę na niezwykle rozmiar urny wyborczej). „Ogólnie twierdziło, że w niej znajdował się przedstawiciel NKWD, którzy przeglądał każdą kartkę i w ten sposób miał ewidencję głosujących”⁷⁹.

Zaiste wsadzenie policjanta do skrzyni to byłby pomysł raczej niezwykle, ale przekonaliśmy się już, że praktyka wyborcza reżymu sowieckiego wykracza poza granice wyobraźni przeciętnego człowieka. W każdym razie pewien piekarz z Podhorek nie umiał ukryć zdziwienia, kiedy okazało się, że w lokalu wyborczym „głosujący otrzymywał kartkę na której zabraniano cokolwiek pisać i taką kartkę oddawał zasłoniętemu prześcieradłem urzędnikowi i tenże po chwili zwracał głosującemu już złożoną we dwoje a głosujący wrzucał do urny. Do wnętrza tej kartki uprzednio zabraniano zaglądać, tak że nikt z głosujących nie wiedział co za wspomnianym prześcieradłem na tej magicznej kartce robiono – czy pisano, czy stempłowano, czy też to był sobie taki «hokus-pokus»”⁸⁰. Wszystko jest na odwrót w scenie opisaną przez anonimowego pisarza, ale ta dowcipna procedura zastosowana w Podhorkach niespodziewanie odsłania ważną prawdę na temat wydarzeń 22 paź-

dzielnika 1939: ludność bierze wprawdzie udział w wyborach, ale głosuje komisja.

W kontekście opisanych do tej pory metod stwierdzamy z pewnym zaskoczeniem, że w wielu okręgach na biuletynach wyborczych znajdowało się po kilka nazwisk kandydatów, i że głosującym rzeczywiście kazano między nimi wybierać. I tutaj przyjęte formy były nader rozmaite: w Medyce jednego z dwóch kandydatów należało skreślić, w Trzciancu jednego z trzech na liście podkreślić, w Leszczynowej Dolinie podpisać się przy jednym z trzech nazwisk na liście, w Starym Siole podkreślić dwóch spośród pięciu wymienionych, w Kobryniu z trzech nazwisk na biuletynie wyborczym dwa były już przekreślone, kiedy głos wręczano wyborcy, zaś w Rypnem trzeba było w obecności komisji wpisać dwa nazwiska na czystą kartkę⁶¹. Wszystko to jednak nie zmienia faktu, że w ramach procedury wymyślonej przez te komisje wyborcy dostawali do ręki pióro albo ołówek. Czasami robili regulaminowe wpisy i skreślenia pod okiem komisji, czasami w kabinie. W rezultacie jednak stworzono sytuację, w której pozwolono manipulować przez chwilę biuletynem wyborczym i ludzie ochoczo wykorzystali tę okazję, żeby zamaniifestować swoje rzeczywiste preferencje.

Pomimo gróźb, strachu i prześladowań mieszkańcy Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi nie zdawali sobie jeszcze sprawy ze skali i brutalności represji, którą reżym sowiecki gotów był zastosować. Sytuacja zmieni się zasadniczo po pierwszej masowej wywózce 10 lutego 1940 roku. Ale w październiku 1939, jeśli nadarzyła się po temu okazja, na przykład kiedy ustalono odpowiednią procedurę głosowania, ludność broniła się uparcie. Jednorodnie etnicznie wioski – czy to ukraińskie na Wołyniu, czy polskie albo białoruskie w Białostockiem – najczęściej stawiały opór⁶². Wysyłano wojsko do takich wiosek, żeby zaprowadziło porządek, co nie wszędzie skutkowało, bo ludzie uciekali do lasu. W niedalekiej przyszłości wyaresztowano albo wywieziono mieszkańców, zaś w międzyczasie gnębiono ich represjami, odcinając dostawy soli albo nafty, lub nakładając kontrybucje⁶³.

Strategia oporu czasami była z góry przygotowana. W Wielkim Siole (powiat Mołodeczno) ludzie odbijali w domu na kar-

teczkach monetę pięciogroszową, czyli orla i napis Rzeczpospolita Polska (który „pięknie wyszedł” zapewnia nas Feliks Ciszewicz), i tak przygotowani szli nazajutrz do wyborów. W Sulejowie „ja jak i wielu innych umówiliśmy się w ten sposób, że palce smarowaliśmy ołówkiem chemicznym i w czasie niesienia kartki do urny ukradkiem zasmarowywaliśmy nazwiska”. „W niektórych wsiach górskich”, pisze Stanisław Vincenz, „chłopi zawiązali placki gnoju w kartki wyborcze”⁶⁴. Jeśli zaś w samej komisji wyborczej znalazła się przypadkowo grupa ludzi wyznaczonych wbrew ich woli, to mogli się umówić i pokierować wyborami wedle swojego planu⁶⁵. Interesujący ciąg dalszy takiej znowy miał miejsce zazwyczaj w trakcie podliczania głosów.

Niejednokrotnie więc „głosowanie odbyło się z dużą awanturą, dlatego że większość obywateli skreśliła obydwóch kandydatów nie głosując na żadnego”, „ponieważ nie było kontroli przy urnie ludność rzucała inne kartki z napisami, że nie chcą żadnego głosowania i władz sowieckich”⁶⁶. Kiedy tylko stwierdzono, jakie były wyniki głosowania, po kilku dniach zorganizowano ponowne wybory, w czasie których pilnowano uważnie, żeby nie było niespodzianek. *Prawda* z 25 października wymienia 13 okręgów (osiem w powiecie łuckim, trzy w lwowskim i dwa w powiecie Wysokie Mazowieckie), w których kandydaci nie uzyskali wymaganej bezwzględnej większości głosów i gdzie zarządzono powtórkę wyborów⁶⁷. Jednakże żaden z dwóch wymienionych przeze mnie okręgów (w powiecie Szczuczyn i w powiecie Postawy) nie figuruje na oficjalnej liście. Mamy też relacje, że dodatkową rundę wyborów zorganizowano jeszcze w powiecie Bóbrka, Dubno i Krzemieniec. Zaś na przykład w kobryńskim i w gminie Soły powiatu oszmiańskiego wezwano po paru dniach poszczególnych wyborców do ponownego głosowania⁶⁸.

Oto, dla przykładu, szczegółowa relacja na temat powtórego głosowania w miejscowości Tykocin: „zarządziły ponowne wybory na dzień 28 października to był czwarnek⁶⁹ wspomniana kandydatka już odpadła a na miejsce jej został wyznaczony felczer weterynarii towarzysz Urban Józef zamieszkały na kolonji Stelmachowo władze sowieckie wozily go od wioski do wioski a tenże przemawiał że został wyznaczony przez Komitet sowiecki na deputata przemawiał on że będzie wiernym i uczci-

wym proszę głosować na mnie bez obawy, nastąpił dzień 28 października powtórna muzyka sowieci tańczy i co okazało się bojcy jusz nie zezwalały wypełniać numerki tajne a głosować czyli wypełniać w obecności ich publicznie, po ukończeniu głosowania obliczono komisyjnie głosy i według uznania sowieckiej komisji wyborczej towarzysz Urban otrzymał 48 procentów wszystko zamało, więc uznali że ustawa sowiecka ma prawo ze swej strony prawnej dodać pewne procenta niepamiętam ile i ten że otrzymał pełen wybór na delegata”⁹⁰. Bo oczywiście fałszowano te wybory i w najprymitywniejszy sposób. Głosowali żołnierze Armii Czerwonej⁹¹. „Sam politruk wziął całą garść kartek i nie kępując się obecnością głosujących wrzucił je do urny wyborczej. Świadkiem tego był mój sąsiad Szalas Seweryn, który mnie trącił łokciem czy ja to widziałem”⁹². Albo kazano wyborcom wrzucać do urny głosy za nieobecnych członków rodziny⁹³.

Jeśli ludzie byli solidarni, potrafili się w październiku jeszcze skutecznie bronić i pewien rolnik z białostockiego mógł spokojnie napisać „wiem dokładnie, że mój głos i głosy mieszkańców Drukowszczyzny, Henrykowa, Kurjan i częściowo Sobolewa były nieważne, bowiem taka była między nami zawarta umowa przed wyborami”. „Jest mi wiadomo”, pisał mieszkaniec wsi Pałusza w osmiańskim powiecie, „że ludność w 96% unieważniła swoje głosy. Każdy się cieszył myślą: jak przeczytają te kartki to może nareszcie zrozumieją i przestaną nareszcie chwalić tę swoją władź”⁹⁴.

Co sowieci zrozumieli z tych wyborów, trudno już dziś ustalić, ale możemy powiedzieć z całą pewnością, że wyniki głosowania musieli fałszować. Zaiste jest to imponujące świadectwo uporu i zaciętości, szczególnie mieszkańców wiosek, że pomimo nacisku i zagrożenia, zagonieni do punktów wyborczych, zdobywali się jeszcze na akt przekory i głosowali wbrew poleceniom organizatorów. A wiemy, że wyborcy tak głosowali z relacji świadków obecnych przy podliczaniu głosów. Często sowieccy nadzorcy zabierali po prostu urny wyborcze i znikali, albo otwierali je w gronie paru zaufanych członków komisji⁹⁵. Mamy wszelako relacje osób zasiadających w komisjach z nominacji na całym obszarze Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi, w których opowiadają, jak obliczano wyniki głosowania⁹⁶.

„Niestety wszystkie przekreślone kartki uznano za ważne”, pisze Maria Ostrowicz z Buska, „wiem o tym dokładnie ponieważ byłam obecna przy obliczaniu głosów”⁹⁷. „Byłam przy obliczaniu kartek w urnie”, pisze nauczycielka z powiatu Dobromil, „i mimo, że znalazły się kartki poprawione, wliczano je jako ważne”⁹⁸. Adam Kaniak, tapicer ze Lwowa, też asystował przy ceremoniale podliczania głosów „i widziałem taki fakt”, podaje, „niektóre kartki wyjęte z urny były niszczone przez przewodniczącego lub sekretarza, a wyjęte inne kartki z ich kieszeni były obliczane jakby były wyjęte też z urny”⁹⁹. We wsi Karolówka po rozbiciu urny stwierdzono, że tylko 20 głosów było ważnych, a reszta pomazana ołówkiem kopiowym. Przestraszony przewodniczący komisji zasugerował, żeby podłożyć w miejsce skreślonych czyste głosy, na co członkowie komisji się zgodzili¹⁰⁰. W Modzelach Starych „głosy poprawiano w ten sposób, że przekreślone głosy ołówkiem ścierano. Kartki przekreślone na krzyż uznawano za dobre, a podarcie tłumaczono nieostrożnością. Jeśli obaj kandydaci na kartce byli przekreśleni, tłumaczono, że oddał głos za władzę sowiecką. Jeżeli komu udało się napisać atramentem i wyrazić swój sprzeciw – wówczas te jedynie głosy uważane były za nieważne”¹⁰¹.

Ale nie każdej komisji łatwo przychodziło fałszowanie wyników. Pamiętajmy, że w niektórych miejscowościach większość członków to byli ludzie mianowani. Zdarzało się więc, że przewodniczący (często przysłany z zewnątrz w ostatniej chwili, a więc bezradny, jeśli ludzie miejscowi umówili się między sobą) musiał później negocjować ostateczny zapis do protokołu. We wsi Bugusze na przykład, o której już pisałem, bo tam właśnie Feliks Zarzecki uparcie temperował ołówki tamane co chwila przez przewodniczącego, „po otwarciu urny okazało się, że było tylko 18 dobrych czystych głosów a reszta byli pokreśleni i napisy bili różne precz ze Staline prec z komuną my kcemy Polski niech Żyje Polska rysowane różne kalkatury ze Stalina i wiele jnych jeszcze obelżywych słów. Ja myślałem że bolszewicy wściekną się ze złości jak przeczyta jakie słowo na Stalina i że taka mała ilość głosów dobrych to bolszewicy zaczęli kręcić i wybierać która kartka była pokreślona imię a nazwisko nie abo zakreślone nazwisko to kręcił żeby dołączyć do dobrych tak że

Poliszewik przewodniczący komisji przebrał że wychodziło na 50 proc. dobrych a 50 proc kiepskich nato ja jeszcze jeden członek komisji niejaki Jackiewicz Adolf nie zgadzamy się na to i nie chciaeli podpisać protokołu targowaliśnny 2 godz jednak podpisali tylko na 25 proc dobrych po tej sprzeczce i głosowaniu powiedział na nas wy polskie pachołki ja was będę pamiętał”¹⁰².

Oczywiście dla sowieckich nadzorców wybory to był sprawdzian nie tyle nastrojów miejscowej ludności, co ich własnej gotowości do wypełniania poleceń zwierzchników. Oni sami byli na cenzurze winni. Żać wykonać powierzone zadanie musieli w niezwykłych trudnych warunkach, współpracując z ludnością, która nie miała jeszcze odruchów ukształtowanych przez sowiecką rzeczywistość. Więc mogło się zdarzyć, że ich sytuacja przerosła i nie umieli dać sobie rady – na przykład w trzynastu okręgach, o których *Pravda* donosiła, że trzeba tam było powtórzyć wybory. Czasami wychodzili z opałów obronną ręką w ostatniej chwili, jak panna krasnowolka, która zniewolila kowala z Dorgiszek¹⁰³. Że niepokój i zdenerwowanie sowieckich organizatorów był, wypowiedzieliście, zilustrują dwa epizody, które miały miejsce na szczeblu gminy i powiatu. Bowiern system kontroli wyborów był wielokowowy i od poszczególnej komisji wyborczej sięgał w pionowej linii poprzez gminę, powiat i województwo do samego Chruszczowa i Ponomarenki, którzy ten dzień spędzili na podległych im terenach Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białoruś, osobiście nadzorując przebieg głosowania¹⁰⁴.

A więc we wsi Mielnicze powiatu Święciany komisja złożona z miejscowych ludzi skutecznie odwróciła uwagę Rosjanina przysłanego, żeby jej pilnować. Umówili się co do własnego kandydata, dyskretnie pouczali wyborców jak na niego głosować, i w rezultacie, kiedy obliczono głosy, okazało się, że jest pięćdziesiąt głosów, pięć głosów na oficjalnego kandydata, i 220 na kandydata podsuniętego przez komisję. Nasłany urzędnik sowiecki był wściekły, ale już nic nie mógł poradzić, bo zaraz trzeba było wysłać protokół do urzędu gminnego w Świrze. „O godz. 3-ciej rano zawiezli głosy koniem do naczelnika, tylko co wchodziłny a on pyta nu jak dobrze? my muwimy że dobrze, a on ze złością krzyczy no jak dobrze wszyscy lub nie? oddali dobre głosy, my powiedzieli jak było jaka ilość jakich głosów, a on

o.1 naza chwycił za rewolwer i do nas, i mówi ze zastrzelił za takie zezwolenie ludności psuć biuletyny, i wytowinał sobie franych osób na deputatów, za przestąpienie praw Związku Sowieckiego, i przeciw ich zarządzeniu wbrew przeprowadził głosowanie i zupełnie nie odnosi żadnego skutku nieważne, wy nie chcecie władzy sowieckiej. My was oswobodzili, dali wam ziemi wody, lasy, wszystko to jest wasze, niema teraz panów którzy was gnębili, bili, orali wami itd, i niedopuszcili do was Hitlera, przynieśli wam Wolność otwarli więzienia, a wy nie chcecie naszej władzy Sowieckiego Sojuza, i wy jesteście kontrrewolucjonarzy i tak kazał nam stać przy ścianie dopóki nie przywieźli ze wszystkich gromad głosów, wszędzie głosowanie odbywało się według ich zasad 100% głosów i wszystkie dobre, i w trakcie paru godzinach czasu według obliczeń głosów deputat wymieniony przeszed, i wtedy nas zwolnił do domu, tylko nagadał, nawzywał jak jemu się podoba, psami, złodziejami, bandytami, i groził śmiercią, więzieniem itd." 105.

Łatwo się domyślić, że kowal Władysław Łukaza, który tę relację spisał, mocno się nastraszył. Naczelnik gminy ze Świra mógł ich przecież zastrzelić. Tym bardziej, że sam był w panice, bo jak wynika z opisu, komisja z Michnicz przyjechała wcześniej, zanim inne gromady dowiozły swoje urny i protokoły z wynikami. I jeśli by się okazało, że i tam źle głosowano, to naczelnik ze Świra byłby w tarapatkach. W podobnej sytuacji zagrożenia znajdowali się również jego zwierzchnicy. W Instytucie Siktorskiego zachowała się relacja pomocnika szefa Tymczasowej Administracji w Zbarażu, Wiktora Jerzego Brandesa. Wszeczmocnym na terenie powiatu urzędnikiem był wówczas niejaki Dziuba, przysłany z Kijowa. Pisze Brandes: „W dniu wyborów siedziliśmy w gabinecie Dziuby, w gmachu byłego starostwa, w otoczeniu urzędników sowieckich przybyłych z Kijowa; sekretarz Dziuby F. J. Retz przyjmował meldunki telefoniczne z terenu. Mniej więcej co godzina okręgi podawały ilu ludzi wzięło już udział w głosowaniu, a Retz powtarzał cyfry zarządowi wojewódzkiemu. Gdy w jakimś okręgu procent głosujących był niski, Dziuba zwracał się do któregoś z sowieckich ludzi i polecał mu wyjechać na miejsce i przypilnować, by wszystko «odbyło się w porządku». Denerwował się stale odbierając meldunki ze Stare-

go Zbaraża (przedmieście Zbaraża i wsie okoliczne). Do godz. 11-ej wynik był 3%. Do godz. 1 pp. utrzymał się bez zmian. Tarnopol zapytywał już konkretnie o stan rzeczy w Starym Zbarażu. Wówczas Dziuba zwrócił się do mnie i powiedział: «Stary Zbaraż skompromituje nas. Ładna cyfra 3%. Weź pan auto lub bryczkę, do pomocy daję panu Wajrycha (kooperatysta z Kijowa) i Sucharowa (wojskowy). Zrób pan tak, żeby było do 80% głosujących. Liczę na pańską energię. Trzeba przywódców ludności polskiej przydusić i nastraszyć, ale dyskretnie w cztery oczy...» 106

Chociaż Dziuba w Zbarażu, Brykow w Postawach, czy ów anonimowy urzędnik sowiecki ze Świra byli panami życia i śmierci podległej sobie ludności, przecież żaden z nich nie wyrastał ponad logikę sowieckiej rzeczywistości. Dotyczy to również Chruszczowa i Ponomarienki. Wszyscy byli tylko częścią sowieckiej maszyny państwowej, a więc byli wymieniaelni. Instrumentalny stosunek do ludzi, który pozwala przełożonym egzekwować posłuszeństwo z okrutną bezwzględnością, jest bowiem bronią obosieczną, ponieważ każdy działacz zajmuje tylko miejsce w hierarchii, a więc jest przełożonym i podwładnym jednocześnie. Dlatego w tym dziwnym społeczeństwie, w którym nikt nie ma gwarancji bezpieczeństwa, obowiązuje swoista wspólnota losu. Zaś wszyscy nadzorcy pieczołowicie zwracają uwagę na zachowanie każdego poszczególnego mieszkańca, albowiem los prokonsula znacznie bardziej zależy tam od zachowania poddanych (choć jest on w stosunku do nich wszechwładny) niż w jakimkolwiek innym ustroju. I on ryzykuje życiem przecież, nie tylko karierą, jeśli jego przełożony (sam w strachu o własne życie) uzna z kolei, że ów podwładny nie umie działać skutecznie. Stąd histeria naczelnika gimny w Świrze, zdenerwowanie szefa powiatu Dziuby i niepokój Chruszczowa.

Pora wreszcie omówić wyniki październikowych wyborów. Oczywiście statystyki, do których musimy się w tym celu odwołać, pochodzą ze źródeł oficjalnych. Dowiemy się z nich między innymi, że na Ukrainie Zachodniej 92,83% uprawnionych do głosowania wzięło udział w wyborach, z tego 90,93% poparło wystawionych kandydatów. Na Zachodniej Białorusi głosowało 96,71% uprawnionych, zaś 90,67% oddało głosy bez skreśleń.

Najwyższy procent wyborców, bo aż 99,02%, stawiał się do urn na Polesiu; tam też *Prawda* (25 X 1939) odnotowuje najsilniejsze poparcie dla wysuniętych kandydatów – 98,57%. Jako, że wśród bagien Polesia trudno się poruszać, zaś sami Poleszczycy uważają się za „miejscowych” i do tej pory nie bardzo interesowali się wyższą polityką, należy te osiągnięcia sowieckich organizatorów odnotować z podziwem.

Przyjrzyjmy się cyfrom uważnie. Do Tymczasowego Zgromadzenia Narodowego Zachodniej Ukrainy wybrano 1484 deputowanych na 1495 miejsc mandatowych (jedenastu kandydatów nie przeszło); na Zachodniej Białorusi 927 deputowanych zostało wybranych na 929 wakansów¹⁰⁷. Jednakże kiedy ogłoszono zamknięcie listy kandydatów w Białymstoku (donosi o tym fakcie artykuł w *Prawdzie* z 19 października), było na niej wpisanych tylko 911 nazwisk (w trzy dni później, przypominam, wybrano 927 deputowanych). Co więcej, *Prawda* z 26 października podaje dane na temat pochodzenia narodowościowego 911 już wybranych przedstawicieli do Tymczasowego Zgromadzenia Narodowego Zachodniej Białorusi. Ile więc osób obradowało w Białymstoku do końca, nie wiadomo. Odnotujmy też drobną niezgodność w oświadczeniach na temat liczby posłów zasiadających we Lwowie; niejaki Sydorenko, omawiając wyniki głosowania na Zachodniej Ukrainie, wymienia cyfrę 1482¹⁰⁸.

Jednak dopiero kiedy zaczęto ujawniać szczegóły na temat składu ciał przedstawicielskich, okazało się, że mają one niejako własne życie, i zmieniają się z dnia na dzień. *Prawda* z 25 października podaje, że w Zgromadzeniu Narodowym Zachodniej Ukrainy zasiada 239 kobiet, ale już 3 listopada w przemówieniu Sydorenki liczba ta urasta do 251, żeby się z powrotem skurczyła 17 listopada w ustach posła Piotra Franko, syna słynnego poety ukraińskiego, do 239¹⁰⁹. Obydwaj mówcy szczegółowo analizują skład społeczny grona deputowanych, ale choć używają tej samej terminologii liczby podają różne: robotnicy – 415 (Sydorenko), 402 (Franko); chłopci – 766 (Sydorenko), 819 (Franko); inteligencja pracująca – 270 (Sydorenko), 234 (Franko). Żaden wykaz, notabene, nie sumuje się cyfrą 1482 ani 1484, ale mniejsza o to. Ostatecznie przypisanie osoby do klasy społecznej jest w pewnej mierze sprawą definicyjną, a więc drobne niezgodności

nie powinny nas niepokoić. Wszelako okazuje się, że nawet narodowości posłów Zgromadzeń Narodowych Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi nie daje się jednoznacznie ustalić. Tak więc czytamy w komunikatach oficjalnych, że 26 października wśród 911 delegatów do Zgromadzenia Narodowego w Białymstoku było 659 Białorusinów, 105 Polaków, 75 Żydów i 38 Rosjan, zaś w pięć dni później liczba Białorusinów zmniejszyła się do 621, liczba Polaków urasta do 127, Żydów ubywa trzech (zostało 72), przybywa pięciu Rosjan (razem 43), a niewiadomo skąd (albo może i wiadomo – przeważnie z Białorusinów) pojawia się 53 Ukraińców, dając w sumie nowy zestaw 916 posłów¹¹⁰. W Zgromadzeniu Narodowym we Lwowie, donosi *Czerwony Sztandar* z 3 listopada, zasiadało 1389 Ukraińców, 44 Polaków, 61 Żydów i 8 Rosjan, a więc w sumie (również spotkanej po raz pierwszy) 1502 osoby. Dostępne są jeszcze informacje na temat wieku i wykształcenia posłów, ale czy można na nich polegać? Sydorenko twierdzi na przykład, że do Zgromadzenia Narodowego Zachodniej Ukrainy weszło 24 analfabety. Ale skoro niepodobna ustalić płci, pochodzenia społecznego i narodowościowego, a nawet rozmiaru liczbowego tej grupy, to już chyba na pewno nikt nie wie, ilu przedstawicieli ludu pracującego Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi umiało czytać i pisać.

Obrady wyłonionych ciał ustawodawczych odbyły się 26 i 27 października we Lwowie oraz 28 i 29 października w Białymstoku. Wykorzystano do tego celu sale teatrów miejskich. Posiedzenia otworzyli najstarsi wiekiem deputowani, profesor Kityło Studyiński we Lwowie i rolnik Stepan Strug w Białymstoku. I tu i tam obrady były czteropunktowe. Dyskutowano, czy należy wprowadzić ustrój sowiecki, czy połączyć się z ZSSR, czy rozdzielić majątki kościelne i obszarne, oraz czy znacjonalizować wielki przemysł i banki. We Lwowie w sali Teatru Wielkiego orkiestra od czasu do czasu przygrywała „Międzynarodówką”. W Białymstoku na zakończenie obrad delegat Lewczuk odczytał z mównicy poemat do Stalina¹¹¹. Obydwa Zgromadzenia wyłoniły delegacje, którym zlecono pojechać najpierw do Moskwy na piątą sesję nadzwyczajną Najwyższego Sowietu ZSSR, a potem do Kijowa i do Mińska (w stolicy obydwu re-

publik miały się odbyć trzecie nadzwyczajne sesje republikańskich Najwyższych Sowietów). W Moskwie Andrzej Wyszyński i Mikołaj Bułganin poparli petycję ludu pracującego Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi o włączenie do ZSSR. Obie delegacje spędziły 12 radosnych dni zwiedzając stolicę Kraju Rad. Później jedni pojechali do Mińska a drudzy do Kijowa, gdzie 14 i 15 listopada jednogłośnie przyjęto nowe ziemie w skład Białoruskiej i Ukraińskiej Republiki Rad ¹¹².

W międzyczasie fala powyborczych aresztowań zalala Ukrainę Zachodnią i Zachodnią Białoruś ¹¹³. Zaś powracającym delegatom też bywało niekiedy. „Delegat... po powrocie zrobił zebranie, mówił jak został przyjęty i że mu powiedziano, że nie ma więcej nic mówić a tylko potwierdzić jak mu kazali. Po jakimś czasie tego samego delegata sowieci aresztowali wraz z jego ojcem i wywieźli na Syberję” ¹¹⁴. Inny świadek podaje, że „po zgromadzeniu we Lwowie 2 delegatów Ukraińców z sąsiedniego powiatu kostopolskiego powróciło nieboszczykami. Pochowano ich z pompą, jednego jako ofiarę terroru miał zastrzelić oficer polski. Reszta kolegów delegatów zachowała grobowe milczenie i nie rodzinom zmarłych poza urzędowymi informacjami nie mogła powiedzieć. Ukraińcy nie wierzyli urzędowym metrykom śmierci i z uporem twierdzili po cichu, że owi nieszczęśliwi delegaci zostali zamordowani przez NKWD gdyż sprzeciwili się głosowaniu o przyłączenie Zachodniej Ukrainy do ZSSR i próbowali agitować wśród innych. Organizacja zebrania była b. rygorystyczna, delegaci z Wołynia nie mogli siedzieć razem, we wszystkich rządach co trzecie krzesło było zajęte przez NKWD. Porozumienie się z sąsiedztwa było w ten sposób niemożliwione” ¹¹⁵.

Najrozmaitsze pogłoski krążyły o tajemniczych wydarzeniach we Lwowie i w Białymstoku. „Jeden z poważnych Ukraińców opowiadał mi”, pisze Błażej Kardasiński z Trzcianca, „że wybrany delegat Mikołaj Melnik opowiadał swoim zaufanym że każdy wybrany delegat na Zgromadzenie Zachodniej Ukrainy przed wejściem na salę obrad i głosowania we Lwowie, miał zapłacone z kasy sowieckiej 5 tysięcy czerwienców dla każdego” ¹¹⁶. A Ludwika Dembowska taką ma do opowiedzenia historię o delegacji, która pojechała do Moskwy. „Na delegata do Najwyższej Rady w Moskwie wybrali sami robotnika Ukraińca, po którego

przyszli nocą i oświadczyli, że ma iść z nimi tak że jakiś czas nie wiedział czy może jest aresztowany i dotąd idzie. Po powrocie opowiadał, że tam i z powrotem jechał w zamkniętym wagonie, a w Moskwie kazali mu przemawiać do mikrofonu jak gorąco i serdecznie była przyjmowana sowiecka armia w Polsce, co oczywiście uczynił i za to dostał moc pieniędzy, tak że po powrocie powiedział, że nie wie co z nimi zrobić. Zamieszkał w domu pewnego lekarza, a z majątku hr. Urbańskiej brał wszystko jak swoje. Pomimo wszystko później został aresztowany i zasądzony na 5 lat¹¹⁷. Prawda i fikcja mieszają się w tych wspomnieniach, oddając wiernie surrealizm epoki.

W propagowanym miesięczniku ilustrowanym *USSR in Construction*, który wychodził w Moskwie w języku angielskim, numer 2-3 (1940) poświęcony jest w całości zdobyciom socjalizmu na Zachodniej Ukrainie i Zachodniej Białorusi. Numer otwiera ogromne zdjęcie poddańczo uśmiechniętego Jegomościa ściskającego dłoń Józefa Stalina. Podpis objaśnia, że to delegat nazwiskiem Germaniuk (sic) dziękuje Stalinowi za przyłączenie Zachodniej Białorusi do ZSSR. Tak oto tajemniczym zarządzeniem losu propaganda sowiecka odstania prawdę historyczną, utrwalając na zawsze moment, kiedy Germaniuk ze Stalinem gratulują sobie nawzajem kolejnego rozbioru Polski.



Wróćmy teraz do pytania, które postawiłem na końcu pierwszej części artykułu: jaki to wszystko miało sens? „Gdy minęło oszołomienie w odległości kilkuset metrów od miejsca kaźni psychicznej uświadamiał sobie dopiero wyborca co to było”¹¹⁸. Może i ma rację nauczyciel z miasta Zdziesięciół, że ludzie rozumieli co się wydarzyło, ale opinie świadków podsumowujące przeżycie zbiorowe, jakim były wybory, są podzielone. „Głosowanie odbywało się spokojnie w atmosferze ironii ze strony Polaków odnośnie formy i treści tych wyborów”, pisał później Władysław Broniewski w odpowiedzi na ankietę Biura Historycznego Armii Polskiej na Wschodzie, „przyczem panował dość duży bałagan”¹¹⁹. Podobnie bagatelizuje doświadczenie wyborów Szymon Kimmel, adwokat z Sambora: „Zdołałem zaobserwować, że począwszy od uświadomionego inteligenta, a

skończywszy na otumanionym robociarzu nikt nie przykładał uwagi i znaczenia do tych wyborów”¹²⁰. Ale te dwie opinie „uświadomionych inteligentów” wydają się w świetle materiałów historycznych mniej przekonujące niż trochę nieporadna gramatycznie refleksja urzędnika skarbowego z Zaleszczyk: „wśród ludności inteligentnej, ukraińskiej i polskiej widać pełne zażenowanie wzajemne. Każdy zdaje sobie z tego sprawę, że robi źle lecz zdaje sobie z tego sprawę jaką, przez uchylanie się od wyborów, ściągnąć może na siebie biedę. Dlatego każdy szedł jak na pogrzeb by rzucić grudkę ziemi na trumnę zmarłego przyjaciela”¹²¹. Bo chyba wypadnie nam się zgodzić z opinią dziennikarza moskiewskiej *Prawdy*, który w korespondencji ze Lwowa napisał 23 października, że „takich wyborów, to jeszcze ludzie tu nie widzieli”.

W moim przekonaniu były owe wybory pod paroma co najmniej względami bez precedensu. Przede wszystkim, w trakcie kampanii przedwyborczej i podczas głosowania ludność miejscowa doświadczyła po raz pierwszy, czym jest mobilizacja polityczna na skalę całego społeczeństwa. Była to więc pierwsza systematyczna transfuzja sowieckich obyczajów w życie codzienne mieszkańców ziem świeżo zdobytych przez Czerwoną Armię. Istotą tego przeżycia było doświadczenie przemocy i posłuszeństwa wymuszonego przemocą w obecności świadków, a co za tym idzie utraty godności. Podczas wyborów październikowych mieszkańcy Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi zostali postawieni przed obliczem nagiej siły: choć to, co mówiono do nich, nie miało sensu, musieli grzecznie słuchać; choć wymierzano im arbitralnie dotkliwe kary, nie mieli się gdzie poskarżyć na kapryśnych nadzorców. Była to lekcja praktyczna onieśmienia i kolaboracji, a więc doskonały trening zarówno dla podwładnych sowieckiego reżymu jak i jego wykonawców.

W ten sposób, jako że publiczne upokorzenie narusza więź społeczną między ofiarami i rozbija ich wspólnotę, rozpoczęto proces atomizacji społecznej. Bo choć wielu ludzi szło do urny z ironicznym uśmiechem na twarzy, albo wzruszając ramionami, albo nawet sprytnie odnotowując swój sprzeciw za przepierzeniem kabiny wyborczej, to jednak symbolika udziału w wyborach, a więc uległości, miała donioślejszą wagę niż te ukradkowe

protesty. Żadna ironia, o której informujemy się nawzajem w intymności życia prywatnego, nie jest władna tej szkody naprawić. Bo ani się człowiek nie może otrząsnąć kompletnie z uczucia wstydu, że jednak uległ przemocy (a więc i niepokoju, czy aby inni nie czują do nas pogardy), ani też nie może się pozbyć do końca podejrzeń w stosunku do innych ludzi, których wymuszonego posłuszeństwa był świadkiem. W tym dziwnym spektaklu wszyscy ukazujemy się sobie nawzajem w akcie zdrady i sprzeniewierzenia własnym poglądom. Czy będziemy wobec tego mogli liczyć na siebie w przyszłości i w imię jakich wartości? Tak więc bezsens wrzucania zalakowanych kopert czy podpisywania biuletynów wyborczych ujawnia swoistą logikę: to nie o wybory tu wcale chodziło, tylko o upokorzenie i im bardziej absurdalną czynność wykonaliśmy na rozkaz, tym większy sukces dla tych, którzy nas do tego zmusili.

Rozumiejący oczywiście, że wynikiem końcowym ceremonii wyborów nie miała być zgoda cesja suwerenności Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi na rzecz ZSSR. W tej sprawie rozstrzygał Stalin na spółkę z Hitlerem. Jedynym rzeczywistym efektem wielkiego wysiłku organizacyjnego okupanta była cząstkowa cesja suwerenności na rzecz sowieckiego państwa ze strony każdego z osobna obywatela tych ziem. Chodziło o to, żeby ludzi wywłaszczyć z ich autonomii, co człowiek może uczynić tylko sam w stosunku do samego siebie. I dlatego z tak obsesyjną dokładnością starano się dotrzeć indywidualnie do każdej osoby.

Jak dobrze wiemy, nie wszystkich udało się pognębić, nie od razu i nie do końca; to był tylko pierwszy krok, ale doniosły w skutkach. Poczynając od wyborów październikowych przeważająca większość mieszkańców Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi, która wrzuciła głos do urny, nie była już całkiem w porządku; w jakiś sposób stracili wtedy niewinność; od tej pory dali już swój wkład w nową rzeczywistość. Bowiem jedyna interpretacja, w świetle której bezsens wymuszonego uczestnictwa przestaje być zagadką, to taka że Sowieciom bynajmniej nie chodziło o to, żeby z miejscowej ludności zrobić swoich zwolenników albo klakierów, tylko żeby z niej zrobić *wspólników*.

PRZYPISY

Cytowane materiały archiwalne składają się przeważnie z odpowiedzi na ankietę rozpisaną przez Samodzielny Referat Historyczny Armii Polskiej na Wschodzie (tzw. Armii Andersa) wśród żołnierzy i rodzin wojskowych ewakuowanych z ZSRR w 1942 roku do Persji. Ankieta składająca się z siedmiu pytań, dotyczyła wyborów październikowych z 1939 roku i pierwszego okresu okupacji sowieckiej. Oprócz odpowiedzi na pytania respondenci podają również swoje nazwisko, wiek, miejsce zamieszkania przed wojną oraz zawód. Kwestionariusze oznakowane są zazwyczaj numerami. Dokumenty te znajdują się obecnie w Instytucie Hoovera (HI) w Kalifornii. W odnośnikach podaje nazwę kolekcji: Polish Government Collection (PGC); Anders Collection (AC) lub Poland, Ambasada USSR Collection; numer pudła (w odniesieniu do kolekcji PGC, w której kwestionariusze nie są tworzone według rosnących numerów) oraz numer przyporządkowany cytowanemu kwestionariuszowi (np. AC, 1515; albo PGC, Pudło 53, 2455). Jeśli kwestionariusz nie jest oznakowany numerem, podaje nazwisko respondenta (np. Poland, Ambasada USSR Collection, Jadwiga Majewska). W Ośrodku Studiów, kierowanym przez profesora Wiktora Sukiennickiego, z części tych kwestionariuszy zostały porobione w 1944 roku wyciągi. Opracowania te, spisane na maszynie, grupują wypowiedzi według powiatów. W Instytucie Hoovera zdeponowane są w Polish Government Collection. Cytując te wyciągi, podaje nazwę powiatu (która jest zarazem tytułem opracowania) i stronę. Niektóre powiaty opracowane były wstępnie w grupach i dopiero później opisane w osobnych opracowaniach. Można więc, łączy na to, spotkać dwa maszynopisy zawierające relacje z powiatu krzemienieckiego. ~~W niektórych opracowaniach grupuje kilka powiatów, odnośnik oparty jest gwiazdka.~~

¹ Patrz część pierwsza artykułu „Wybory”, Aneks nr 45.

² HI, PGC, pudło 103, 4327.

³ Szczuczyn, 23.

⁴ HI, PGC, pudło 96, 859; pudło 98, 885.

⁵ Porównaj np. HI, PGC, pudło 99, 4849; Równe *, 33; Dubno *, 30.

⁶ Łuck, 50.

⁷ Krzemieniec *, 67.

⁸ Postawy, 25.

⁹ Porównaj na przykład, Łomża, 49; Białostocki, 26; Ostrołęka, 9; Rostawy, 23; Miłodeczno, III, 8; Jaworów, 23; Stryj, 29; Drohobycz, 33; Gródek Jagiełłoński, 19; Kowel, 41; Dobromil, 15; Nowogródzki, 33; Kobryń, 30; Kosów Poleński, 24; Prażana, 22; Sambor, 28.

¹⁰ Szczuczyn, 22.

¹¹ Szczuczyn, 22; Kobryń, 30.

¹² HI, PGC, pudło 10, 11262.

¹³ HI, PGC, pudło 96, 9926.

¹⁴ HI, PGC, pudło 101, 2965.

¹⁵ HI, PGC, pudło 95, 2541; pudło 96, 7198.

¹⁶ „Kiedy chłopci zaczęli protestować przeciwko Kseni, punieważ była ona prawie niepiśmienna, wtedy jeden z sowieciarzy wyjaśnił, że w Sowietach nie trzeba mieć

specjalnego wykształcenia ani urodzenia, zresztą tam będą ludzie którzy będą za nich myśleć i pracować. Wtedy Kowalewski ze wsi Sokolowszczyzna oświadczył: to wy specjalnie wybieracie na kandydatów samych durni, którzy będą tylko figurować na liście. Naturalnie w parę dni potem Kowalewski został aresztowany" (Brašawski, 18).

¹⁷ HI, PGC, pudło 99, 3063.

¹⁸ HI, PGC, pudło 102, 7991.

¹⁹ Porównaj, na przykład HI, PGC, pudło 97, 615, 7174; Łomża 50, 51, 52; Białostocki, 25; Rudki, 17; Nowogródzki, 33, 34; Drohobycz, 31; Łaniniec, 30, 31; Sambor, 28; Łuck, 50; Stryj, 29.

²⁰ Piotr Kraśnicki, rolnik z powiatu łuckiego, tak to ujął: „Kandydaci na których głosowali to były więźniowie kturze siedzieli za kradzież i rabunek z czasów Polskich. Otrzymał gdy władze Sowieckie okupowały i wypuścili więźniów to oni powiedzieli że siedzieli w Polsce za partję komunistyczną i zaprzysięgli rzekomo żeby można było im przyjść do władzy" (HI, PGC, pudło 95, 3068).

²¹ HI, PGC, pudło 95, 10026.

²² HI, PGC, pudło 95, 10585.

²³ HI, PGC, pudło 104, 4491.

²⁴ HI, Połana. Ambasada USSR, pudło 47, Stefania Żurowska; pudło 51, Feliks Dziewicki; PGC, pudło 95, 707, 1204, 8695; pudło 96, 6425, 8951.

²⁵ Porównaj, na przykład, Łomża, 41; Lida, 23; Kobryń, 30; Prużana, 23; Krzemieniec *, 23; Łuck, 46; Równe *, 26; Horochów, 27.

²⁶ HI, PGC, pudło 113, 12461.

²⁷ HI, PGC, pudło 10, Stanisław Widomski.

²⁸ Równe *, 29.

²⁹ HI, PGC, pudło 10, 3427, 7178. Patrz, również, np., Dobromiń, 16; Kosów Poleski, 27; Dubno *, 26; Wilejka, 34.

³⁰ HI, PGC, pudło 95, 6689, 10585; Braślaw, 16.

³¹ *Prawa*, 23 X 1939.

³² HI, PGC, pudło 10, 10193.

³³ Ostrów, 17; Równe *, 28.

³⁴ Włodzimierz Wołyński, 26.

³⁵ Patrz, na przykład, Białystok, 45, 46; Sokolski, 36; Postawy, 27; Nieszwież, 50; Pińsk, 44; Kobryń, 32; Prużana, 25; Łubaczów, 26; Mościska, 23; Drohobycz, 37; Przemysł, 48; Jaworów, 25; Kowel, 45, 46.

³⁶ Ostrołęka, 9. Patrz też Krzemieniec, 71; Sambor, 33; Białostocki, 28; Ostrów 9.

³⁷ I tak wojskowy z Prużanej wspomina jak „do głosowania zwożono ludność samochodami, które jeździły z milicją i dziesiątkami, milicjanci wchodziłi do mieszkania i wypędzali wszystkich do samochodu", zaś we wsi Wojtówka, w braślawskim, „podczas wyborów krążyło 20 furmanek z milicjantami, na których przemocą przewożono niechętnych" (Prużana, 25; Braślawski, 28).

³⁸ Do jednego ze szpitali we Lwowie dowieziono urnę wyborczą jeszcze nocą. „Obudzili chorych i po wejściu na salę złożyli na każdym łóżku chorego kartkę, złożoną we dwoje. Po chwili kartki zebrali uważając głosowanie za skończone. Chorzy zachowali się hiernie nie biorąc kart do rąk" (HI, PGC, pudło 10, 7977). Również do synagogi na ulicy Żółkiewskiej we Lwowie dostarczono urnę, po czym „ustawili wszystkich modlących się w ogonek, naprędce sporządzili im listę wyborczą i w przeciągu blisko godziny przeprowadzili głosowanie blisko 200 osób" (HI, PGC, pudło 10, 9663). Patrz także Łomża 54-57; Białystok, 46, 49; Postawy, 27;

Dzisiaj, 24, 25; Lida, 25; Kosów Poleski, 27; HI, PGC, pułko 10, 3761; AC, 2677.

³⁹ Nieśwież, 50.

⁴⁰ HI, PGC, pułko 95, 2611.

⁴¹ HI, PGC, pułko 99, 9822; Ostrów, 18; Pińsk, 43; Kosów Poleski, 27; Równe *, 29.

⁴² Kołomyja, 43; HI, PGC, Pułko 10, 10396; Równe, 75.

⁴³ Wilejka, 25; HI, PGC, pułko 10, 3874. Patrz także, np. Sokołski, 27; HI, PGC, pułko 103, 2375.

⁴⁴ Białostocki, 28; HI, PGC, pułko 234, 11316; Łuck, 55.

⁴⁵ Łuck, 55; Szczuczyn, 27; Horochoń, 32; Łuniniec, 34. Patrz także HI, PGC, pułko 95, 2786.

⁴⁶ „Wybory”, zapisała Romana Zintel ze Lwowa, „odbywały się w pięknie przystrojonych pokojach, obok znajdowały się obficie zaopatrzone w produkty bufety, produkty których dawno na rynku już nie było, oraz pokoje dla dzieci, gdy matki głosowały, ażeby mogły się bawić, a całość tej komedii przygrywała muzyka specjalnie zaangażowanych orkiestr” (HI, PGC, pułko 10, 4743). Patrz także Równe, 61; Zdobunów, 76; Białystok, 51, 52; Ostrów, 20; Dzisiaj, 33; Kosów Poleski, 32; Sambor, 35; Dubno, 76; Nadwórna, 35; Lida, 27; Wilejka, 37; Łomża, 63.

⁴⁷ Sokołski, 40; Nowogródzki, 48.

⁴⁸ Śniatyń, 37.

⁴⁹ Patrz na przykład Łomża, 44; Białostocki, 24; Sokołski, 31; Łuniniec, 27; Nowogródzki, 32; Nieśwież, 42; Braśław, 16; Mościska, 19; Przemyśl, 41; Pińsk, 36; Kobryń, 27; Skalał, 26, 27; Łuck, 46; Włodzimierz Wołyński, 23.

⁵⁰ W osadzie Niechajewicze „za stołem siedziała komisja urzędująca w czapkach i z papierosami w zębach” (HI, PGC, pułko 102, 4611). Świadcówkę z innych okolic podają wiele bardziej kompromitujące charakterystyki członków komisji wyborczych. Dla przykładu: Wojciechowicz zajmował się pędzeniem samogontu, a Czaranek był przestępcą kryminalnym (HI, PGC, pułko 96, 10042); Jankieła Chowersa skazano na sześć miesięcy za fałszowanie wagi, a Tymoteusz Popko był złodziejem (HI, PGC, pułko 100, 10360); Parfionow zaś przemysłowcem (HI, PGC, pułko 96, 726). Patrz także Nowogródzki, 32; Prużana, 19; Bobrka, 18; Skalał, 28; Równe, 63; Krzemieniec *, 21.

⁵¹ Łomża, 45; Braśławski, 16; Lida, 21; Lesko, 15; Sanok, 14; Szczuczyn, 21; HI, PGC, pułko 98, 7353.

⁵² Wilejka, 36; Dzisiaj, 31.

⁵³ Łuck, 58; HI, PGC, pułko 102, 7102. Patrz także Przemyśl, 56; HI, PGC, pułko 101, 3149.

⁵⁴ Pińsk, 47.

⁵⁵ Krzemieniec *, 27.

⁵⁶ Skalał, 33.

⁵⁷ Białostocki, 30; Ostrów, 19; Wilejka, 36; Nowogródzki, 37; Pińsk, 47; Kobryń, 35; Łuniniec, 34; Kosów Poleski, 30; Sambor, 34; Lubaczów, 30; Mościska, 26; Rudki, 19; Krzemieniec *, 27; Łuck, 56, 57; Włodzimierz Wołyński, 28; Żydaczów, 19.

⁵⁸ Ostrów, 20; Dzisiaj, 32; Pińsk, 47, 49; Łomża, 58; Prużana, 56; Przemyśl, 53; Kosów Poleski, 28; Skalał, 35; Dobromil, 19.

⁵⁹ HI, PGC, pułko 95, 1204. Patrz także Łomża, 56-60; Białystok, 47; Śniatyń, 36; Kałusz, 39; Stryj, 32; Żydaczów, 19; Wilejka, 35, 36; Dzisiaj, 33; Pińsk, 47;

Kosów Poleski, 29; Sambor, 33; Mościska, 25; Bóbrka, 20; Kostopol, 73; Kowel, 50; Luck, 54; Sarny, 13.

⁶⁰ Na przykład Feliks Szpiński, rzeźbiarz kamieniarski z Kowła, daje następujący opis wydawania biuletynów wyborczych: „nadmieniam iż te druczki były numerowane następnie był numer listy i nómber porządkowy wyborcy, numer dzielnicy, wydawano druczek według listy wpisywano dany numer druczku...” (HI, PGC, pułko 95, 749).

⁷¹ Patrz na przykład Białystok, 48, 57, 58; Sokółski, 43; Wilejka, 42; Brastawski, 22; Nowogródzki, 37; Lida, 29; Szczuczyn, 32; Nieśwież, 54; Pińsk, 55; Łuniniec, 40, 41; Bóbrka, 25; Rudki, 21; Kowel, 53; Mościska, 27; Dobromił, 24,

⁶² Łuniniec, 35.

⁶³ Dolina, 43.

⁶⁴ Wilejka, 42; Osztynia, bez strony.

⁶⁵ Nieśwież, 49.

⁶⁶ Postawy, 29.

⁶⁷ HI, PGC, pułko 95, 8100; Pruzana, 26; Kosów Poleski, 27; Przemysł, 54; Gródek Jagiełłoński, 22; Krzemieniec *, 27.

⁶⁸ *Prawda* z 25 października 1939 podaje, że było 6109 punktów wyborczych na Zachodniej Białorusi. Biorąc pod uwagę proporcje ludności, na Zachodniej Ukrainie musiało ich być około 9000.

⁶⁹ Kostopol *, 17.

⁷⁰ HI, PGC, pułko 10, 2233.

⁷¹ HI, AC, 78.

⁷² Dzisna, 32.

⁷³ HI, PGC, pułko 96, 2810.

⁷⁴ Patrz na przykład Wilejka, 35; Mołodeczno, III, 14, 15; Dniełobycz, 37; Krzemieniec, 74; Kowel, 48; Lida, 26; Szczuczyn, 27. W miasteczku Użomy całą sprawę jeszcze radykalniej uproszczono. Już nie o żadne wybieranie tam chodziło, tylko o to czy się było za czy przeciw. Wyborcom wręczono czyste kartki papieru i na stołce w lokalu wyborczym postawiono dwie urny – osobną na głosy „tak” i na głosy „nie” (Lubaczów, 29).

⁷⁵ HI, PGC, pułko 95, 8160.

⁷⁶ Patrz na przykład HI, PGC, pułko 97, 3429; Łomża, 59; Białystok, 48, 49; Sokółski, 37; Luck, 54; Wilejka, 35; Mołodeczno, III, 13, 14; Pińsk, 47; Łuniniec, 35; Przemysł, 53. Trzech obłąpców w Pińsku, Grochołski, Kaliszczak i Pogdanowicz, wszedło od tyłu do kina kolejowego gdzie mieścił się punkt wyborczy Górgu nr 7. „Nie zauważeni przez nikogo podeszliśmy do obfryzniętej portjery zasłaniającej parawanę od reszty sali i prześlizgnęliśmy się popod nią. Wysłaliśmy, że nie zastaniemy tam nikogo. Omyliliśmy się. Za każdym parawanem (było ich 8, ustawione szczerbie jeden obok drugiego) siedział jeden lub dwóch cywili, ...oni podglądali przez szpary w parawanach co się dzieło za parawanem. mówiali to skrzące i niekiedy nawet fimiowali” (HI, PGC, pułko 103, 5927).

⁷⁷ Włodzimierz Wołyński, 27; Mołodeczno, III, 13; Dzisna, 32; Przemysł, 55; Pruzana, 26; Kosów Poleski, 28.

⁷⁸ Białostocki, 31; Horochów, 32; Mołodeczno, III, 14; HI, PGC, 8835; AC, 96.

⁷⁹ HI, PGC, pułko 10, 8705.

⁸⁰ Kalusz, 39.

⁸¹ Dobromił, 19; Przemysł, 46; Bóbrka, 21; Kobryń, 25; HI, PGC, pułko 98,

7819. Patrz także Lida, 28; Nieśwież, 45; Pińsk, 46; Luniniec, 34; Mościska, 25; Przemysł, 53; Skalat, 31, 32; Dubno, 74; Kolomyja, 41.

⁸² „Wieś Daniczów znana była powszechnie na terenie powiatu rówieńskiego jako zamieszkała przez wybitnie nacjonalistyczną ludność ukraińską. W dniu wyborów wywieszono w Daniczowie ukraińskie niebiesko-żółte chorągwie i ani jedna osoba nie poszła do urny wyborczej” (HI, PGC, pudło 100, 4364).

⁸³ Zdobunów, 81; Łomża, 65, 88; Ostrów, 21, 22; Luniniec, 37, 40; Drohobycz, 46; Skalat, 34; Przemysł, 59; Równe, 81; Krzemieniec, 71; Białostocki, 34; Gródek Jagielloński, 20; Nowogródzki, 36, 37; Lida, 28.

⁸⁴ HI, PGC, pudło 96, 9903; pudło 98, 7364; Stanisław Vincez, *Dialogi z Sowietami*, Londyn, Polska Fundacja Kulturalna, 1966, str. 124.

⁸⁵ W jednym z okręgów województwa stanisławowskiego „większość głosów na skutek propagandy nacjonalistów ukraińskich padła na nacjonalistę ukraińskiego Kaduka. Do tzw. Zgromadzenia Zachodniej Ukrainy został jednak wybrany kandydat władz sowieckich, Sokołowski. Po wyborach Kaduk został aresztowany, a drugi nacjonalista ukraiński – organizator propagandy nacjonalistycznej Oryszczuk uciekł do Niemiec” (HI, PGC, pudło 98, 7949). Zarówno Kaduk jak i Oryszczuk zasiadali w komisji wyborczej. Patrz też HI, AC, 93; PGC, pudło 104, 8579.

⁸⁶ Szczuczyn, 31; Postawy, 30.

⁸⁷ „Przed wyborami powtórnie już nie agitowano lecz grożono” (HI, PGC, pudło 101, 3001).

⁸⁸ Dubno *, 29, 30; Bóbrka, 25; Krzemieniec, 85. „Później wchodzi do specjalnej komórki”, pisze nauczyciel Henryk Mierkowski, „gdzie na stole leży ołówek i kartka z wydrukowanym nazwiskiem kandydata. «Uprzejmy» urzędnik Rosjanin daje mi ten ołówek, tłumacząc że mam podkreślić to nazwisko na znak, że głosuję na nie, inaczej głos mój będzie nieważny. Zapytałem czy mogą nie podkreślić. Pozwilił mi, tłumacząc jednak, że tak nie można, bo szkodzi się państwu sowieckiemu, itp. Okazało się, że po dwóch dniach przyszło do mnie zawiadomienie, że nie brałem udziału w głosowaniu, że muszę dnia tego a tego zgłosić się ponownie. Dowiedziałem się, że wszyscy którzy oddali kartki bez przekreślenia nazwiska kandydata musieli głosować powtórnie” (Kobryń, 49). Patrz też Oszmiana, bez strony.

⁸⁹ Pomyłka w dacie, 28 października 1939 roku to była sobota. A więc najpewniej powtórne wybory odbyły się w Tykocinie 26-go, czyli w dzień posiedzenia Tymcowskiego Zgromadzenia Narodowego we Lwowie.

⁹⁰ HI, Poład. Ambasada USSR, pudło 46, Bronisław Markowski. Błyskawiczną podmianną osoby kandydata odnotowuje jeszcze wyborca ze wsi Myszkł. Kandydat, niejaki Dudukala, został aresztowany 2 i października czyli w przeddzień wyborów, a następnego dnia na jego miejsce był już wysunięty J. Zubowicz (Postawy, 24).

⁹¹ Łomża 69; Białystok, 54; Postawy, 31; Wilejka, 39; Dzisna, 35; Pińsk, 53; Luniniec, 38; Kowel, 54.

⁹² Luck, 59. Patrz także Łomża, 69; Luniniec, 38; Przemysł, 60; Bóbrka, 24; Rudki, 18; Brasławski, 21.

⁹³ Michał Jaremczuk z Zielonej musiał, na przykład, głosować „za nieżyjących już od lat rodziców” (Nadworna, 37). Patrz także Ostrów, 21; Postawy, 32; Lida, 28; Szczuczyn, 29; Luck, 58; Łomża, 69, 70.

⁹⁴ Białostocki, 34; Oszmiana, bez strony.

⁹⁵ Patrz na przykład Kosów Poleski, 34; Dobromiń, 24; Białystok, 57; Brasław, 21.

⁹⁶ Patrz na przykład Łomża, 72; Białostocki, 34; Ostrow, 22; Lida, 29; Mościska, 27; Dobromil, 24; Przemysł, 64; Równe, 80; Sokolski, 43; Postawy, 31.

⁹⁷ HI, Poland, Ambasada USSR, pudło 47.

⁹⁸ Dobromil, 24.

⁹⁹ HI, PGC, pudło 10, 10003.

¹⁰⁰ HI, PGC, pudło 98, 3826.

¹⁰¹ Łomża, 72.

¹⁰² HI, PGC, pudło 101, 8835.

¹⁰³ W powiecie oszmiańskim, gdzie też komisja była w zimowie i postarała się, żeby ludzie przynajmniej mogli swobodnie głosować (jako że do wyborów wszyscy musieli pójść bo za nieobecność groziły represje). „po zakończeniu głosowania komisja wyborcza wraz z sowietką-komsomołką, która była przydzielona w charakterze agitatorki i instruktorki, udała się do prywatnego mieszkania przewodniczącego komisji wyborczej kowala Skurnowicza, we wsi Drogoszkaach gdzie mieli podliczyć głosy i załatwić formalności. Ponieważ ten kowal Skurnowicz był moim dobrym znajomym więc poszedłem i ja do jego mieszkania. Komisja urzędowała w drugim pokoju ja zaś zatrzymałem się w kuchni rozmawiając z gospodynią przysłuchiwałem się obradom komisji. Po podliczeniu głosów okazało się, że głosowało 92% mieszkańców danego obwodu. Następnie przystąpili do sprawdzania ważności głosów co dla mnie było najciekawsze, w tem słyszę «figa, figa», «przekreślony» znowuż jakiś rysunek komsomołka przyznawała, że do pająka podobny. Po sprawdzeniu 25-u głosów okazało się tylko 2 głosy ważne. Wtem komsomołka wpadła w szaloną złość, wszystkie głosy wysypała do-pieca i spaliła a odliczyła odpowiednią ilość głosów czystych do urny. Komisji wyborczej kazała podpisać niewypełnione blankiety protokołów komisji wyborczej i odjechała” (HI, AC, 93).

¹⁰⁴ *Prawda*, 23 X 1939.

¹⁰⁵ HI, PGC, pudło 104, 8579.

¹⁰⁶ Instytut Sikorskiego, Kolekcja A 9 III 2a, Teki 58.

¹⁰⁷ *Prawda*, 25 X 1939.

¹⁰⁸ *Czerwony Sztandar*, 3 XI 1939.

¹⁰⁹ Porównaj, *Czerwony Sztandar*, 3 i 17 XI 1939.

¹¹⁰ *Prawda*, 26 i 31 X 1939.

¹¹¹ *Prawda*, 27 i 30 X 1939.

¹¹² *Czerwony Sztandar*, 11 XI 1939; *Prawda*, 16 XI 1939.

¹¹³ Patrz na przykład Białystok, 48, 57, 58; Sokolski, 43; Wilejka, 42; Dzisna, 37, 38; Brasław, 22; Nowogródek, 37; Lida, 29; Szczuczyn, 32; Nieśwież, 54; Pińsk, 55; Luniniec, 40, 41; Kosów Poleski, 35; Mościska, 27; Dobromil, 24; Gródek Jagiełłoński, 24; Bóbrka, 25; Rudki, 21; Kowel, 53; Łuck, 54, 55, 61; Stryj, 39.

¹¹⁴ Dubno *, 30.

¹¹⁵ Równe *, 33. Patrz także Szczuczyn, 33.

¹¹⁶ HI, PGC, pudło 99, 2259.

¹¹⁷ HI, PGC., pudło 99, 4849.

¹¹⁸ Nowogródzki, 38.

¹¹⁹ HI, PGC, pudło 10, 7643.

¹²⁰ HI, PGC, pudło 99, 7101.

¹²¹ HI, PGC, pudło 97, 7456.

**AMERYKA ŁACIŃSKA:
POSTĘPY DEMOKRACJI
Rozmowa z Mario Vargas Llosa ***

Niedawno w San Francisco wyraził się pan z „ostrożnym” optymizmem o przyszłości demokracji w Ameryce Łacińskiej. Na jakich nowych faktach pan go oparł?

MARIO VARGAS LLOSA: Nigdy nie było tylu demokracji w Ameryce Łacińskiej co teraz. Tylu rządów wyłonionych w mniej lub bardziej demokratycznych wyborach. Dyktatury wojskowe upadły w Ekwadorze, Peru, Boliwii, Argentynie i Brazylii. W Ameryce Centralnej cywile rządzą dziś w Salwadorze, Hondurasie a także w Gwatemali, gdzie prezydent Cerezo w wyjątkowo trudnych warunkach stara się stopniowo wydierać teren zajmowany przez armię. Upadek Baby Doc w Haiti choć nie doprowadził do powstania demokratycznego rządu cywilnego, to jednak był wielkim postępem. Obecnie utrzymują się nadal cztery dyktatury: dwie prawicowe – Pinocheta w Chile oraz Stroessnera w Paragwaju – i dwie lewicowe na Kubie a także, przypadek szczególny, państwo sandinistowskie w Nikaragui.

* *L'Express*, 19-25 czerwiec 1987.

Hościowo ma pan rację, ale czy stopień zaawansowania demokratycznego tych krajów nie jest bardzo różny?

To prawda. Niemniej wiele oznak wskazuje, że chodzi o coś więcej niż tylko o proste przejście od reżymu wojskowego do cywilnego. Widać postęp w demokratyzacji instytucji i partii, w przemianach obyczajów politycznych. Tak jest na przykład w Wenezueli czy Dominikanie; rządy następują po sobie w wyniku wyborów, działa więc reguła demokratycznej rotacji, żaden ruch pozaparlamentarny nie kwestionuje systemu, ekstremizmy zostały wessane przez proces demokratyczny. Costa Rica może być przykładem urzeczywistnionej demokracji, wytrzymującym porównanie z krajami europejskimi. Boliwia niestety ciągle jest od tego bardzo daleko. Prawdziwą jednak szansą na przerwanie błędnego koła: dyktatura-demokracja-dyktatura, które tak bardzo naznaczyło naszą historię, jest fakt, że te pochodzące z wyborów rządy mają po raz pierwszy poparcie ludowe. Tym razem nie powstały one ani z woli – wrogich im często – elit krajowych, ani wskutek nacisku zewnętrznego, lecz z wyboru mas. I to jest moim zdaniem najważniejsze.

Rzeczywiście to bardzo ważne. Na czym opiera pan ten wniosek?

Na faktach, które nie mylą. Na tym na przykład, co stało się podczas niedawnej próby wojskowego zamachu stanu w Argentynie. Spontaniczne, masowe demonstracje ludności – wyrażającej zresztą raczej poparcie dla demokratycznego systemu niż dla rządu – zmusiły przywódców wszystkich partii do zgodnego oparcia się armii.

Na podobieństwo tego, co się stało w Hiszpanii w lutym 1981...

...i co miało bardzo ważny oddźwięk psychologiczny w Ameryce Łacińskiej. Przykład Hiszpanii, kraju bez demokratycznych tradycji, mającego za sobą czterdzieści lat dyktatury, odegrał ważną rolę. Podobny ruch ludowy dał o sobie znać w Ekwadorze i Peru, gdy tylko dostrzeżono wzmożoną aktywność w tamtej-

szych koszarach. Inny objaw tej ludowej woli: w Peru podczas ostatnich wyborów wstrzymało się od głosowania tylko 7% uprawnionych, mimo terroru rozpętanego przez „sendero luminoso”, za pójście do lokalu wyborczego grożono chłopom obcinaniem palców*.

Czym pan tłumaczy to ludowe poparcie dla demokracji?

Oczywiście nie chodzi tu o jakieś uświadomienie ideologiczne, które miałyby nastąpić w ciągu paru miesięcy czy lat. Nie. To jest skutek bezpośredniego doświadczania przemocy. Przemocy rozpętaną przez wszystkie strony: przez wojskowe dyktatury, rewolucje i kontrrewolucje, przez terroryzm i antyterrorystyczne represje. Jej ofiarą stały się warstwy ludowe i to właśnie skierowało je instynktownie i intuicyjnie ku jednemu systemowi rządzenia zdolnemu wyrwać je z tego piekielnego cyklu. U podstaw takiej ewolucji są tysiące zabitych, torturowanych i zaginionych, pustoszone pola i terroryzowane wioski.

A elity? Czy nie mają one żadnego udziału w tym ruchu na rzecz demokracji?

W Argentynie, Urugwaju i nawet w Brazylii raczej się one przyłączyły do demokracji, niż o nią walczyły. Faktem jest, że w Argentynie do upadku dyktatury wojskowej przyczynił się w sposób decydujący czynnik zewnętrzny: wojna o Falklandy. Nie zmienia to jednak faktu, że Zachód nie docenia wagi ludowej presji, strajków i biernego oporu.

W jakiej mierze ewolucja, którą pan zauważa, związana jest ze schyłkiem modelu kubańskiego?

Idea rewolucji jako rozwiązania dla wszystkich naszych problemów, idea zbawczej przemocy zdolnej wszystko zmienić, która zakorzeniła się w latach 60-ych, doprowadziła niemal wszędzie

* „Sendero luminoso” („światliasty szlak”) – nazwa peruwiańskiej guerilli komunistycznej (przyp. tłum.)

w Ameryce Łacińskiej do powstania ruchów partyzanckich. Miały one ten sam skutek: represję brutalną i przerażającą, ogromne cierpienia, ustanowienie – za wyjątkiem Nikaragui – dyktatur wojskowych, zniszczenie starych i solidnych demokracji, jak w Chile i Urugwaju, i tych bardziej delikatnych, jak w Peru i Boliwii. Marksistowska utopia nie ma już dziś ludowego poparcia. Nigdzie nie istnieje większość popierająca komunistów, nigdzie nie są oni w stanie wygrać wyborów. Ale utopia ta jest ciągle podtrzymywana przez intelektualne elity, szczególnie uniwersyteckie. Tak jest właśnie w Peru: „światlisty szlak” powstał na uniwersytecie w Ayacucho. Jego założycielami byli nauczyciele akademicy wywodzący się z klas średnich. Poparcie, jakie zdobył w niektórych społecznościach chłopskich, wiąże się z czynnikiem etnicznym, z rywalizacjami lokalnymi. A także z brutalnością represji wymierzonych przeciw tej guerilli, co stworzyło rodzaj solidarności przeciwko armii i policji. Działacze „sendero luminoso” – desperaci z lumpen proletariatu i społecznego marginesu – choć nieliczni, są jednak wystarczająco fanatyczni, aby wywoływać chaos.

I zniszczyć demokrację?

Niestety tak: zaroilo się od nich na południu kraju, a nawet w Limie. W Peru pojawiła się także inna, niezwykle mordercza grupa terrorystyczna, Tupac Amaru, niszcząca fabryki, drogi komunikacyjne, sieć energetyczną. Zmusza to władze do poświęcania całej energii na ochronę miast, punktów strategicznych i działaczy politycznych, gdy tymczasem w kraju tak biednym jak Peru wysiłek powinien być skierowany na rozwój. Nieustanne prowokacje przeszkadzają w konsolidowaniu demokracji, a takie wydarzenia jak niedawna masakra 300 zbuntowanych więźniów działają na nasze instytucje jak trucizna *.

Czy sytuacja ekonomiczna większości krajów Ameryki Łacińskiej nie jest także zagrożeniem dla demokracji?

* W połowie 1986 roku doszło w kilku więzieniach peruwiańskich do buntu „guerrilleros”, krwawo stłumionego przez wojsko i policję. (przyp. tłum)

Aby odnieść sukces, demokracja musi udowodnić, że nie tylko oznacza ona więcej wolności i poszanowania praw człowieka, ale również, że zdolna będzie zapewnić postęp materialny (w zakresie poziomu życia, oświaty, ochrony zdrowia) narodom bardzo ubogim, mającym ogromne problemy społeczne do rozwiązania. I akurat teraz, gdy kraje te wchodzi na demokratyczny szlak, spadają ceny surowców, które eksportują, jako jedyne swoje bogactwo, co powoduje, że ich zadłużenie staje się problemem nierozwiązywalnym. Proszę sobie wyobrazić, że aby wywiązać się z zobowiązań wobec Banku Światowego i Międzynarodowego Funduszu Walutowego, musiałyby one poświęcić od 40 do 60% swych eksportowych przychodów jedynie na pokrycie procentów od długów. Za każdym razem, gdy rząd Dominikany, Meksyku czy Brazylii próbował tak postępować, wywoływało to wzburzenie społeczeństwa i uliczne rozruchy.

Jakie pan widzi rozwiązanie?

Odmowa płacenia to wypowiedzenie wojny międzynarodowemu systemowi finansowemu, którą – co do tego nie ma wątpliwości – musimy przegrać. Powinniśmy raczej wzbudzić zaufanie, aby uzyskać rynki, kapitały i technologie, których potrzebujemy. Narosłe długi jak i zasady ich spłacania należy uznać, nawet jeżeli długi te zaciągnięte zostały w sposób nader podejrzany przez reżymy wojskowe i nawet jeżeli pożyczkodawcy niesolidnie zwabiali wierzycieli, dając łatwo pieniądze w okresie obfitości petrodolarów. Ze swej strony natomiast kraje zachodnie powinny rozumieć, że nie należy dusić państw, które starają się wprowadzić systemy bardziej ludzkie, żądając tego, co niemożliwe i narzucając coraz to nowe wyrzeczenia. Nie można traktować równie surowo Pinocheta i Alana Garcí, Stroessnera i Paz Estensoro *. Nie postępuje się tak samo wobec Fidela Castro i wobec Alfonsina **. Zachód powinien być solidarny

* Alan García, Victor Paz Estensoro – demokratycznie wybrani prezydenci Peru i Boliwii; Alfred Stroessner i Augusto Pinochet – generałowie, dyktatorzy Paragwaju i Chile. (przyp. tłum.)

** Raul Alfonsín – prezydent Argentyny wybrany w 1983 roku w pierwszych, po obaleniu dyktatury wojskowej, wyborach. (przyp. tłum.)

z krajami, które przejmują jego rozwiązania i wartości, napotykając często bardzo twardy opór. Boliwijski prezydent Estenssoro zaproponował formułę spłat elastycznych, która wydaje mi się rozsądna. Polegałaby ona na ustalaniu kwot spłaty zadłużenia jako funkcji cen naszych eksportowanych surowców.

Czy pozycja Ameryki Łacińskiej nie byłaby silniejsza, gdyby zdołała ona wypracować wspólne stanowisko w tej sprawie?

Teoretycznie tak. W rzeczywistości poza siłą nacjonalizmów mamy tak różne sytuacje ekonomiczne, że wspólne stanowisko jest niemożliwe. Karty, jakie trzyma w ręku Wenezuela ze swymi ogromnymi bogactwami, nie mają nic wspólnego z tymi, które ma Peru. Wszelkie negocjacje powinny więc uwzględniać dwa czynniki; możliwości każdego kraju i przetrwanie demokracji jako imperatyw. Za utrwalenie demokracji trzeba zapłacić pewną cenę. To jest sprawa zasadnicza.

Najnowsza historia jest świadkiem spustoszeń ekonomicznych spowodowanych przez wojskowe dyktatury, które jeszcze na dodatek narobiły większość tych ogromnych długów. Jedynym sposobem, aby wydobyć się z przepaści, w którą nas one pogrążyły, jest umożliwienie nam stopniowego posuwania się do przodu.

Dwa kraje, Brazylia i Argentyna, próbowały, bez powodzenia, zastosować politykę zaciskania pasa. Czy nie jest zniechęcające dla ludności tych krajów stwierdzenie bezsilności rządów demokratycznych wobec sytuacji gospodarczej?

Dotknął pan tutaj sprawy kluczowej. Otóż pomimo rozczarowania, jakie mogli odczuwać Argentyńczycy, ich reakcja na ostatnie poczynania wojskowych była przykładowa. Istniały powody do obaw o Argentynę, lecz po tym, co się stało, sądzę, że tam demokracja jest już skonsolidowana. Nie sądzę także, by mógł nastąpić ruch wstecz w Brazylii. Ma pan jednak rację, że niebezpieczeństwo ciągle trwa i jest bardzo ściśle związane z sytuacją gospodarczą.

Czy nie należałoby też osądzić postępowania waszych elit ekonomicznych? Nie wydaje się, by przywrócenie demokracji zachęciło je do repatriacji wywiezionych za granicę kapitałów...

Chciałbym jeszcze raz podkreślić, że prawdziwymi obrońcami sprawy demokracji nie są elity ekonomiczne czy intelektualne, lecz klasy upośledzone i to z powodów czysto pragmatycznych. Prawdą jest niestety, że latynoamerykańskie kapitały, ulokowane w Miami czy Szwajcarii, nigdy do swych krajów nie wróciły.

Skąd się bierze u pana zainteresowanie rozwojem w Peru tak zwanej gospodarki równoległej? Czy to jest pana zdaniem jeden ze sposobów na prof. lemy niedorozwoju gospodarczego? A może to jedyny sposób?

Tak jest. Wnikliwe studium zrobione przez ekonomistę Hernando de Soto wskazuje, że w Peru zachodzi prawdziwa rewolucja ubogich, która nie jest marksistowska, lecz liberalna. U źródła tej nieformalnej gospodarki tkwi po prostu funkcjonowanie naszego systemu prawnego. Jednym z najważniejszych źródeł wycisku jednostki w naszych krajach jest państwo, ten pasożytniczy potwór żywiący się energią ludności. Mówiono i powtarzano bez końca, że kapitalizm i gospodarka rynkowa skazane są na klęskę w krajach trzeciego świata w ogólności, a w Ameryce Łacińskiej szczególnie. Jest to kompletny fałsz. Prawdą jest natomiast, że u nas nigdy nie było takich warunków rynkowych, w których mogłaby istnieć swobodna konkurencja. Myśmy znali tylko reżymy merkantylistyczne, w których wszechpotężne państwo udziela swej klienteli przywileju wykonywania działalności przemysłowej czy handlowej, w ramach strzeżonego przez prawo monopolu. Strzeżonego tak szczerlnie, że uprawnienia produkcyjne skapywały po kropelce w ręce mniejszości, czego jedynym skutkiem była ogólna nieefektywność systemu i korupcja. Aby to udowodnić, peruwiański Instytut Demokracji i Wolności, kierowany przez de Soto, postanowił założyć, legalnie i bez płacenia łapówek, mały zakład tekstylny. Żeby załatwić wszystkie niezbędne formalności, konieczne stało się zatrudnienie czterech osób przez rok na pełnym etacie i poniesienie

kosztów równych trzydziestu dwóm płacom minimalnym. Oznacza to, że dla ogromnej większości ludzi legalne założenie własnej firmy jest niemożliwe...

W jaki sposób udało się rozwinąć za równoległą gospodarką?

Dzięki nadzwyczajnej pomysłowości klas upośledzonych. Co mieli robić ubodzy ciągnący ku miastom: Limie, Caracas, Bogocie, którym państwo nie mogło dać pracy i którzy natrafiali na ten prawniczy mur? Jedynym wyjściem było zorganizowanie się na marginesie prawa po to, by zdobyć środki i stworzyć miejsca pracy wyłącznie własnym wysiłkiem i własną przedsiębiorczością. I udało im się to bez ochrony ze strony sprawiedliwości i pojęcia, bez pomocy banków i pomimo różnego rodzaju szantażów. Dziś w Limie gospodarka równoległa kontroluje 95% transportu i 274 bazary na 331. W ciągu 20 lat w jej ramach wybudowano pięćdziesiąt sześć razy więcej mieszkań, niż zrobiło to państwo...

Które jednakże na to pozwoliło...

...i które nawet wykorzystywało ten system, bo okazał się on o wiele bardziej efektywny od jego własnego! Skoro trzeba siedmiu lat, aby dostać pozwolenie na budowę, to minister gospodarki mieszkaniowej był po prostu zmuszony do popierania innych sposobów postępowania. Tym bardziej, że te ludowe masy nie dążą wcale do jakiegokolwiek kolektywizmu czy społeczeństwa bez klas. Pragną mieć pracę, własne mieszkanie, własny sklep, własną firmę.

Czy to jest tylko zjawisko peruwiańskie?

Występuje ono też w Kolumbii, w Ekwadorze, gdzie odbyły się wielkie debaty na temat gospodarki równoległej. Jestem pewien, że wnioski raportu de Soto stosują się do wielu krajów Ameryki Łacińskiej, a także do innych krajów Trzeciego Świata.

Czy pańskim zdaniem polityka gospodarcza prowadzona przez „Chicago Boys” w Chile w latach 1974-1982 a także przez Mar-

*tineza de Hoz w Argentynie wywodziła się z ekonomii liberalnej? **

Wolność jest niepodzielna. Gospodarka liberalna nie może istnieć w warunkach wojskowej dyktatury. Wolność gospodarcza wymaga wolności politycznej. Nie można liberalizować jednych dziedzin, pozostawiając inne pod ścisłą kontrolą. Rynek dlatego działa w Peru, bo został on zorganizowany od dołu, a nie narzucony przez autokratę. Kiedy nabral on rozpędu? Wtedy, gdy wojskowa dyktatura Velasco znacjonalizowała połowę gospodarki, która wskutek tego całkowicie się załamała, wywołując monstrualne przejawy niesprawiedliwości, przeciwko którym ludność się zbuntowała szukając na własną rękę dróg wyjścia **. Ci co sądzą, że rozwiązaniem dla Ameryki Łacińskiej jest kolektywizacja i ekspansja gospodarki państwowej, popełniają fatalny błąd, nie rozumiejąc realiów niedorozwoju gospodarczego. To właśnie ubodzy chcą gospodarki rynkowej i oni ją tworzą.

Pan chce powiedzieć, że brak demokracji nie jest skutkiem, lecz przyczyną gospodarczego niedorozwoju?

Dokładnie to właśnie chcę powiedzieć. Nie pojmuję, dlaczego ta prawda nie jest lepiej rozumiana na Zachodzie.

Zmiana reżymów w Hondurasie i Haiti nie mogłaby nastąpić bez bezpośredniego, decydującego nacisku Stanów Zjednoczonych. Ich wsparcie liczyło się też bardzo w Salvadorze.

Oczywiście. I można mieć do nich żal o to tylko, że nie wierali tego nacisku wcześniej, konsekwentnie i zarówno w

* Nazwą „Chicago Boys” określano osoby mające wpływ na politykę gospodarczą Pinocheta, które kierowały się liberalnymi ideami Mittona Friedmanna, profesora w Chicago.

Martinez de Hoz – minister gospodarki w wojskowym rządzie Argentyny w latach 1975-1980. (przyp. tłum.)

** Juan Velasco Alvarado – szef lewicowej hunty wojskowej w latach 1968-1975. (przyp. tłum.)

Ameryce Południowej jak i Centralnej. Dziś Waszyngton dystansuje się od Pinocheta, czego należy sobie tylko pogratulować. Pozostaje Paragwaj. I Nikaragua. Gdyby Amerykanie nie popierali Somozy tak długo i wyrozumiale, nie byłoby dziś problemu sandinistów. Nie będąc co prawda drugą Kubą, reżym ten ewoluje w kierunku totalitarnym. Nowy plan pokojowy dla Ameryki Centralnej, proponowany przez prezydenta Costa Riki Oskara Ariasa, jest tam jedyną nadzieją na demokratyzację, nawet jeżeli to nadzieja słaba. Z tej racji zasługuje na poparcie Zachodu. Przy tym, kiedy mówię Zachód, mam na myśli głównie Europę. Nasze stosunki ze Stanami Zjednoczonymi były zawsze trudne, nawet gdy Stany działały we właściwym kierunku. Europa Zachodnia natomiast cieszy się głęboką sympatią i oczekuje się od niej konsekwentnego poparcia na rzecz demokracji w Ameryce Łacińskiej.

Uważa Pan, że jest ono niewystarczające?

Ja myślę, że po prostu go nie ma. I jest mi szczególnie przykro, gdy chodzi o Francję, która mogłaby mieć w Ameryce Łacińskiej liczący się wpływ. Jej historia, jej literatura mają tam wartość mitu i to mitu bardzo żywego.

Pan jest jednak bardzo krytycznie nastawiony wobec intelektualistów zachodnich, którzy — jak pan mówi — objawiają lekceważenie i sceptycyzm wobec młodych demokracji z Trzeciego Świata, gdy próbują one walczyć o wolność i pluralizm.

Mitologia, wedle której Trzeci Świat, a szczególnie Ameryka Łacińska, miałyby wybór tylko między rewolucją i dyktaturą, między Fidelem Castro i Pinochetem, jest bardzo głęboko zakorzeniona w intelektualnych środowiskach Zachodu. Jest ona tak potężna, że nawet w gazetach nielewicowych informacje, które ją potwierdzają, są wyraźnie eksponowane, te zaś co jej przeczą, przechodzą nie zauważone, nie interesują. Nie tak dawno miałem odczyt na Uniwersytecie w Sztokholmie. Zanim się tam pojawiłem amfiteatr został opanowany przez działaczy „sendero luminoso”, którzy rozdawali ulotki. W Szwecji jest ich trzystu.

Mają status uchodźców politycznych. Jakby Peru było Chile... Ci „guerilleros” są nadal traktowani jako uosobienie idealizmu i sprawiedliwości...

Jak kiedyś wyznawcy Fidela Castro...

To Revel napiętnował ten „moralny półparaliż” potępiający istnienie więźniów politycznych w Chile i nie dostrzegający ich w lochach Fidela Castro... W Ameryce Łacińskiej prawdziwą rewolucją byłaby rezygnacja z rewolucji, prawdziwym heroizmem zaś próba życia w prawie i wykorzenianie przemoocy jak robi to republika Dominikańska. No tak, ale to nie jest pociągające. W Nikaragui jest cała brygada ochotników ze wszystkich stron Europy dopomagająca w budowaniu sandinizmu. Dlaczego nie jadą oni do szkół dominikańskich pomagać w budowie demokracji? Trzeba przyznać, że nasi rodzimi intelektualiści istotnie przyczynili się do dewaluacji idei demokratycznej i do rozstawienia mitu apokalipsy jako jedyne go sposobu na nasze problemy. I większość z nich nie zdobyła się na bolesną rewizję stanowiska po Inwazji Czechosłowacji ani również w następstwie tego, co stało się wiadome o Gułagu. Ciągle jeszcze trwa u nas wielka wstrzemięźliwość w krytykowaniu ZSRR.

Stąd polemiki pomiędzy panem a Gabriel Garcia Marquezem i Günterem Grassem. Tego ostatniego uważa pan nawet za typowy przykład intelektualistów zachodnich, którzy wytworzywszy sobie egzotyczne wyobrażenie o Ameryce Łacińskiej, znaleźli w nim ujście dla swych marzeń, frustracji i straconych złudzeń.

Nie ma jednego systemu dla ubogich, a innego dla bogaczy. To jest niedopuszczalna dyskryminacja. Jeśli odrzuca się dyktaturę, trzeba odrzucić ją także w Trzecim Świecie. Jeżeli wolność jest tak ważna na Zachodzie, to powinna ona być równie ważna w krajach niedorozwiniętych. Trudno nie dziwić się widząc w Europie rządy i partie polityczne faworyzujące reżymy, które byłyby nie do przyjęcia w ich własnych krajach. Jeżeli Fidel Castro jest modelem, dlaczego nie miałby to być model dla Francji? Trzeba z całych sił zwalczać ten stan ducha, który po-

pycha ku fałszywemu romantyzmowi, czy też może ku prawdziwemu rasizmowi...

Jako student w Limie, był pan członkiem partii komunistycznej i zwolennikiem rewolucji kubańskiej. W jakich okolicznościach doszło do pańskiego zerwania z castryzmem?

Myślałem, podobnie jak wielu, że Kuba będzie tym, czego daremnie poszukiwaliśmy; pluralistyczną rewolucją, socjalizmem w wolności. Tak tego pragnęliśmy, że wierzyliśmy, dopóki nasze złudzenia się nie rozwiały. Kuba okazała się w rzeczywistości kopią modelu sowieckiego. A nawet jego najtwardszym wydaniem. Podczas Praskiej Wiosny byłem w Europie i wtedy dowiedziałem się o aresztowaniu na Kubie poety Padilla, który był moim przyjacielem. Szok jakiego wówczas doznałem, pozwolił mi odzyskać walność myślenia, swobodę sądów. Reżymowi Pinocheta można przeciwstawiać się znacznie bardziej skutecznie, jeżeli odrzuci się wszelką formę dyktatury w Ameryce Łacińskiej, a więc i model komunistyczny.

Czy pan nie sądzi, że jednym ze źródeł słabości demokracji latynoamerykańskich są wasze własne tradycje polityczne?

Ależ naturalnie! Mamy w naszej historii tradycję nietolerancji. Przed hiszpańską konkwistą nasze systemy już były religijnymi dyktaturami. Potem przyszła Hiszpania kontrreformacji i inkwizycji. Wszystkie nasze instytucje i obyczaje polityczne zostały skażone dogmatycznym, centralistycznym duchem, który, przeświadczony o posiadaniu jedynej prawdy, przywłaszczył sobie prawo do narzucania jej siłą. Nasi politycy ciągle mają skłonność do zachowywania się jak wodzowie. Jestem zawsze nieufny wobec charyzmatycznych przywódców wierzących, że mogą zmienić bieg spraw swoją wyłącznie wolą i swoim wyłącznie czynem...

Ma pan na myśli waszego prezydenta Alan Garcia?

Nie tylko jego. Nam uda się naprawdę dopiero wtedy, kiedy będziemy mieli przywódców... zwykłych, kiedy funkcjonowanie

instytucji będzie tak normalne i tak naturalne, że polityka stanie się niewidoczna.

*Prezydent Belaunde proponował Panu stanowisko Premiera. Dlaczego pan odmówił? **

Pisarz nie może zająć się polityką bez utraty własnej niezależności. To co by wtedy pisał, przypominałoby komunikaty oficjalnie redagowane w języku władzy. Pisarz, nawet jeżeli władzę popiera, powinien zachować swą wolność, swój zmysł krytyczny, powinien, jednym słowem, grać rolę przeciwwagi. A poza tym w imię czego miałby on rezygnować ze swego powołania? Poświęciłem dotąd wiele mego czasu, broniąc idei, w które wierzę. Czy będąc ministrem albo funkcjonariuszem służyłbym lepiej memu krajowi?

Tym bardziej — pan sam to powiedział — że talent literacki nie gwarantuje politycznej przenikliwości...

Talentowi literackiemu może nawet towarzyszyć całkowite zaślepienie polityczne. Przykładem Céline... Ja także mogę się mylić. Jestem tego w pełni świadom. Czuję nawet w sobie rozdarcie. Jako pisarz, jako czytelnik jestem przeciwnikiem umiarkowania. W literaturze kocham, uwielbiam przesadę, nawet apokalipsę. Jest to moja ekstremistyczna przygoda. To dobrze, że to co w człowieku najgorsze, to co musimy tłumić, by życie w ludzkiej społeczności było możliwe, znajduje swój wyraz w literaturze. Utopia, którą można usprawiedliwić w sztuce, jest zawsze zbrodnicza w polityce. Tu trzeba być skromnym. Stąd owo rozdarcie, kiedy broniąc umiaru, czuje się w sobie potrzebę przesady...

Przełożył Waldemar Kuczyński

* Fernando Belaunde — prezydent Peru w latach 1980-1985.

Jakub Andrzejewski

O POPRZEDNIM WCIELENIU RES PUBLIKI czyli – klerk i polityka w socjalizmie

W roku 1979 różne formy działalności zwanej opozycyjną okrzyęły już jako tako, a ich zasady współżycia z władzą epoki „późnego Eda” i w warunkach „manewru gospodarczego” zostały mniej więcej ustalone. „Jako tako okrzyęły” – to znaczy, że środowiska, które powstały w latach 1976-1977, mimo zdarzających się wewnętrznych scysji i rezerwy wielu grup inteligentkich, nie ulegały dezintegracji, a zasięg ich działalności raczej poszerzał się niż kurczył, choć do spektakularnych osiągnięć w tym zakresie wydawało się daleko, perspektywy rysowały się nader niejasno i horyzont czasowy ewentualnych zmian był mocno zamglony. Po próbie stłumienia rozszerzającego się ruchu opozycyjnego w jego pierwszej fazie (śmierć Pyjasa i fala aresztowań w maju 1977) władze podejmowały działania raczej nękające i utrudniające życie uczestnikom ruchu, niż mające za cel bezpośredni jego całkowitą likwidację (co, technicznie rzecz biorąc, było wówczas chyba jeszcze możliwe). Istniało więc co najmniej kilka znaczących ośrodków, które miały „odnogi” środowiskowe na terenie studenckim, a w mniejszym zakresie wśród robotników i na wsi. Pojawiły się, choć w dość wąskim jeszcze obiegu, pierwsze „podziemne” książki i broszury. Ale oczywiście szczególną rolę odgrywały czasopisma. Choć nie wszystkie były w stanie rygorystycznie utrzymywać zapowiadaną

częstotliwość ukazywania się, a osiągnęte nakłady – wraz z powtarzającymi się dość często „utrudnieniami” ze strony MO i SB – nie pozwalały na docieranie do szerokiego grona i wciąż liczba czytelników potencjalnych wielokrotnie przewyższała realny zasięg oddziaływania, stały się już one trwałym i ważkim elementem polskiego krajobrazu ideowego. *Zapis, Spotkania, Głos, Krytyka, Bratniak, Biuletyn Informacyjny, Droga, Opinia, Robotnik, Puls* – niezależnie od ich poziomu redakcyjnego i intelektualnego stanowiły nie tylko jeden z najistotniejszych przejawów „alternatywnej” polityki i kultury, ale tworzyły także paletę, która, pod względem ideologicznego zróżnicowania barw, mogłaby zadowolić niejednego wybrednego kolorystę. Kilka szczepów post-endeckich, parę odnóg lewicy (nie tylko „laickiej”) różne rozszady ogólnoniepodległościowe, pędy neochadeczek – zapewne, co najmniej niektórzy z „zapomnianych przodków” uznaliby ów ogród za nie dość plewiony i wymagający strzyżenia, zwłaszcza, iż przeważały w nim hybrydy, co ponieważ niektóre dość dziwnych kształtów i kolorów.

1.

Wiosną 1979 pojawił się w tym dość już licznym gronie kwartalnik *Res Publica*. Pismo istniało dwa lata, ostatni numer złożono do druku w maju 1981 r., czyli w innej już epoce niż ta, w której ujrzało po raz pierwszy światło dzienne. Osłem zgrabnych tomików liczy łącznie około 1200 stron maszynopisu, a więc złożyłby się z nich pokaźny, 60-arkuszowy tom. Nie licząc not o książkach i odpowiedzi na ankietę dotyczącą literatury emigracyjnej, opublikowano około 100 osobno tytułowanych tekstów: od obszernych esejów do jednostronicowych komentarzy. Znakomita większość wypowiedzi sygnowana jest tylko literowymi kryptonimami, a więc trudno z całą pewnością orzec, czy blisko 50 występujących w *Res Publice* nazwisk i kryptonimów odpowiada takiej liczbie autorów – być może niektórzy używali różnych litererek dla podpisanych przez siebie tekstów. Przyjmując wszakże, iż każdy kryptonim oznaczał rzeczywiście inną osobę, otrzymalibyśmy obraz dość licznego środowiska zaangażowanego w powstawanie pisma i z nim współpracującego. O charakterze kręgu jego oddziaływania i tożsamości politycznej częściowd

tylko mogą informować „ujawnione” nazwiska niektórych autorów – Stefan Kisielewski, Andrzej Micewski, Jan T. Gross, Jacek Woźniakowski, ks. Józef Tischner, Ryszard Przybylski, Barbara Toruńczyk, Jerzy Jedlicki, Jacek Kurczewski. Jeżeli dodać nazwiska uczestników wspomnianej ankiety (11 osób), można stwierdzić, iż pismo obracało się *grosso modo* w środowisku zbliżonym do krakowskiego *Tygodnika Powszechnego*, *Znaku i Więzi*. Z faktu jednak, iż poza (niezmordowanym) Kisielem, który obdarzył *Res Publicę* trzema tekstami i Barbarą Toruńczyk, która pod nazwiskiem – będąc już za granicą – ogłosiła tu dwa teksty, pozostali „ujawnieni” byli autorami nie więcej niż jednej wypowiedzi, sądzić można, iż nie należeli do trzonu współpracowników i redaktorów. Na podstawie częstotliwości publikowania można sądzić, iż zasadniczy zespół pisma składał się z grona osób ukrywających się za kryptonimami MK (9 sygnowanych tekstów), WK (9), PMK (6), DK (5), SP (4) i BT (3) *. Nie była *Res Publica* mozaiką autorów dobieranych mniej lub bardziej przypadkowo przez kryjącego się w cieniu redaktora, skoro 9 najczęściej piszących osób sygnowało około połowę zamieszczonych w piśmie tekstów, a zapewne i im przypisywać należy co najmniej niektóre z tekstów całkowicie anonimowych, w tym ważną dla oblicza pisma rubrykę „Widziane z Warszawy”.

Za wyjątkiem Jerzego Jedlickiego i Jacka Kurczewskiego pozostali autorzy, na ile udało mi się ustalić, umieszczali w *Res Publice* teksty oryginalne, pisane specjalnie dla tego pisma. Nie publikowało ono – w odróżnieniu między innymi od *Krytyki* – tłumaczeń, choć dużą wagę przywiązywało do prezentowania polskim czytelnikom obcego dorobku. Oszczędnie też przywoływano świadectwa typu autobiograficznego czy archiwalnego, wyjątek czyniąc dla Józefa Czapskiego, którego zapiski (fragmenty dziennika, fragment wspomnień) drukowano trzykrotnie.

* W *Kursie* (nr 25, 1986) ukazał się dokument zatytułowany: „Oświadczenie *Res Publici*”, w którym podany jest skład redakcji pisma w latach 1979-1981. Kierował pismem Marcin Król, współredagowali: Wiktor Dłuski, Damian Kalbarczyk, Wojciech Karpiński, Paweł Kłoczowski, Tomasz Lubieński, Paweł Śpiewak, Barbara Toruńczyk. Powyższe osoby, poza przebywającymi w Paryżu, Wojciechem Karpińskim i Barbarą Toruńczyk, redagują również obecną *Res Publicę* ukazującą się oficjalnie od czerwca 1987 r. (przyp. red.).

Treść pisma zorganizowana była dość rygorystycznie, choć w końcowych numerach zniknęła rubryka „Widziane z Warszawy”, zawierająca krótkie komentarze do bieżących (na ile jest to w kwartalniku możliwe) wydarzeń politycznych. Rubryka ta otwierała pismo (nr 1-4, 6) i jako anonimowa, wyrażała, sędzić można, poglądy redakcji. Następowal po niej dział artykułów (raz tylko opatrzony osobnym nadtytułem: „Sierpień 80”, nr 7) o treści zróżnicowanej, choć przeważały tematy polityczne. Część artykułów wydzielona była w osobny dział zatytułowany „Stanowiska”. Użycie liczby mnogiej wskazuje, iż chodziło tu o przedstawianie poglądów zróżnicowanych, niekoniecznie podzielanych przez redakcję. W tym właśnie dziale ukazały się (nr 7) polemiki z zasadniczym artykułem Kisielewskiego (a także jego odpowiedź) opatrzone – co było wyjątkowe – specjalnym komentarzem redakcyjnym. Nie była to wszakże rubryka „dla gości”, gdzie pomieszczano by artykuły uznawane przez redakcję za dyskusyjne czy polemiczne. W tym właśnie dziale znalazł się bowiem artykuł anonimowy, a więc chyba redakcyjny (nr 8); zamieszczono w nim też głos MK, czołowego publicysty pisma (nr 6). Większość wypowiedzi wypełniających „Stanowiska” dotyczyła międzynarodowych uwarunkowań polskiej sytuacji i stosunków „na osi” Moskwa-Warszawa-Bonn, ale znalazły się tu też dwa ważne dla *Res Publici* teksty odnoszące się do spraw wewnętrznych kraju (WA „Pat” w nr 4, BT „Nowe oblicza Warszawy” w nr 5). Po „Stanowiskach” następował przegląd prasy (różnie tytułowany: „Zygzakiem przez prasę” lub „Przeгляд Prasy”) Była to rubryka nie tylko redagowana przez jednego autora, w trzech numerach sygnowana przez tę samą osobę (SK w nr 2-4), ale z wyjątkiem „Zygzaków” poświęcana jednemu tematowi. Teksty przeglądów były jak na ten gatunek dziennikarski obszerne i (oczywiście) polemiczne: autorom bardziej chodziło o przedstawianie swoich poglądów niż referowanie tych, które były punktem wyjścia rozważań. Nie był to więc dział, jak to często bywa, sprawozdawczy i miejsce zdawkowych polemik, ale nosił charakter części działu artykułowego.

Dział następny nosił tytuł „Tematy”, a pomieszczano w nim zasadniczo teksty nieco krótsze, częściej dotyczące literatury lub jej obszarów graniczących z polityką. Tu właśnie publikowano

teksty ujęte wspólnym nadtytułem „Czytanie Miłosza” (nr 2, 4, 5) i inne, również poświęcone nobliście roku 1980. W „Tematach” przywoływano Aleksandra Wata, ogłoszono wspomnienie o Zygmuncie Hertzcu i *in memoriam* Andrieja Amalrika. Dział ten obejmował również omówienie książek, przy czym nie były to w zasadzie standardowe recenzje. Książki dawały pretekst do rozmyślań ogólniejszych i refleksja estetyczna była w nich na ogół zdominowana przez rozważania polityczne (czy ideologiczne). Nie brakło wszakże w „Tematach” problemów stricte politycznych (np. PWK „Od podboju do reform” w nr 7, WA „Wielkie nadzieje” w nr 8, JT „Zimna wojna czy chłodne współistnienie” w nr 1). Tu też znalaziono miejsce dla jedynych dokumentów ogłoszonych w *Res Publice* – listu Jerzego Stempowskiego do Jerzego Giedroycia (nr 8) oraz notatki z rozmów Sikorski-Beneš (nr 6). Był to więc dział trochę typu *silva rerum*.

Zamykały pismo „Noty o książkach” (nr 1-6, w ostatnich publikowano odpowiedzi na wspomnianą już ankietę). Składały się na nie krótkie, czasem parozdaniowe prezentacje książek zagranicznych z zakresu filozofii, socjologii, nauk politycznych, także historii. W jednym tylko numerze (3) zamieszczono dział „Korespondencja”, publikując w nim list Adama Wojciechowskiego polemiczny wobec artykułu Kisielewskiego (z numeru 1). Umieszczenie wypowiedzi Wojciechowskiego w tej rubryce było raczej zaznaczeniem dystansu redakcji wobec nadesłanego tekstu niż chęcią otwarcia stałego działu.

Pobieżnie przeglądając *Res Publicę*, dostrzec można następujące jej cechy:

- 1) oparcie się w pełni na tekstach oryginalnych;
- 2) przy wnikliwej obserwacji środowiska zawodowych historyków (np. SP „W pół drogi” w nr 1, US „Zjazd historyków” w nr 4, ZK „Historia najnowsza i historycy” w nr 6) brak wyraźniejszego zainteresowania dla tekstów *sensu stricto* historycznych, co było raczej wyjątkiem niż regułą w czasopiśmiennictwie opozycyjnym silnie przesiąkniętym tą tematyką;
- 3) szczególna uwaga zwrócona na informowanie o ważniejszych wydarzeniach intelektualnych – a raczej „intelektualno-politycznych” – za granicą („Noty o książkach”, niektóre przeglądły prasy);

4) wyraźne zainteresowanie problematyką międzynarodową, choć omawiano ją zasadniczo w aspekcie spraw polskich (czy może odwrotnie: sprawy polskie nader często traktowano w ich aspekcie zewnętrznym);

5) poczucie bliskości ze środowiskiem *Kultury* i paryskiego Instytutu Literackiego, któremu poświęcono między innymi dwa obszernie wywiady (nr 8), omówienie publicystyki (i osobowości) Juliusza Mieroszewskiego, trzykrotnie ogłaszano teksty blisko związane z *Kulturą* Józefa Czapskiego; także tytułem rubryki „Widziane z Warszawy” nawiązywano – zapewne świadomie – do cyklów publicystycznych miesięcznika z Maisons-Laffitte;

6) przy dość silnym nasyceniu tematyką kulturalną brak tekstów literackich przy obecności kilku „paraliterackich” (teksty Czapskiego, inedita Wata, Przybylski o Nadziejdie Mandelstam);

7) brak zainteresowania dła problematyki gospodarczej;

8) w warstwie językowej wstrzeźliwość z tendencją do elegancji, unikanie mniej lub bardziej drastycznych określeń („czerwoni”, „sowiety”) już wówczas spotykanych w opozycyjnym piśmiennictwie;

9) stawianie dość wysokich wymagań intelektualnych czytelnikowi, bez silenia się wszakże na hermetyczność wypowiedzi;

10) zaawansowana „miłoszologia” i ogólnie waga przypisywana twórczości pisarzy „źle obecnych”.

Założenia programowe *Res Publici* przedstawione zostały w krótkim, ale bynajmniej nie jednoznacznym tekście otwierającym pierwszy numer pisma. Nota ta podkreśla „oderwanie od wszelkich bezpośrednich zaangażowań i związków z istniejącymi ugrupowaniami” (w domyśle – opozycyjnymi).

W programowej wypowiedzi nie ma odwołania do któregoś z wielkich nurtów ideowych epoki, brak wszakże również – często rytualnego – uznania ich za „nieshuszne” lub niewystarczające do wyrażenia proponowanej opcji. A więc sytuowanie się „poza” lub „ponad”? Mogłaby na to wskazywać sugestia zamykająca owo wprowadzenie, w której redakcja stwierdza potrzebę istnienia „duchowego i demokratycznego parlamentu, w którym powinno znaleźć się miejsce dla wszystkich, niezależnie od obec-

nie dzielących ich różnic światopoglądowych, politycznych i organizacyjnych”. A więc publiczne forum, konspiracyjny Hyde Park? Kokieteria czy nierozecznanie własnych poglądów? Pragnienie przyciągnięcia każdego, kto uważa, iż ma coś do powiedzenia? Zagubienie się wydawców w morzu proponowanych na współczesnym rynku idei? Sądząc po spokojnej stanowczości tekstów, choćby tych, które złożyły się na pierwszy numer, po ich erudycji i poziomie intelektualnym, pismo przygotowywali bynajmniej nie nowicjusze w szrankach politycznej publicystyki, lecz osoby mające wyrobiony pogląd na świat idei i świat rzeczywistych sił politycznych. Warto więc zwrócić uwagę także na inne elementy programowej wypowiedzi. Twórcy *Res Publici* postulują „wyraźne odróżnienie porządku myśli (...) od porządku emocji” i „porządku grupowej solidarności”. Więcej: stwierdzają kategorycznie, że „myślenie o polityce” winno być – i w ich przypadku będzie – „zasadniczo różne od czynnego uprawiania polityki”. Czy pismo miałoby być więc przedłużeniem uniwersyteckich seminariów politologicznych, na których z jednakowym zaangażowaniem śledzi się mechanizmy polityczne starożytnych Aten, co współczesnej Rosji, formułuje typologie postaw i zachowań, opisuje skale politycznych i kulturalnych wartości, nie przykładając do nich własnej? Odczuwam jakieś pęknięcie w owym programowym wywodzie, pęknięcie, którego charakteru (i rozległości) nie potrafię nazwać ani opisać. W sukurs mogą iść niektóre sformułowania „republikańskich” publicystów. DK („Moralisci w świecie polityki”, nr 5) zarzuca Brzozowskiemu, iż „wyrzekal się myśli niezależnej, nieuwarunkowanej «życiowo», wyrzekal się niezależnego, niezaangażowanego sądu moralnego – odbierał tym samym intelektualistę prawo do słuszenia Prawdzie”. Krótko mówiąc – „stawał się zdrajcą wśród klerków”. Można by więc sądzić, że klerkizm – myśl sama, myśl jako cel myśli – była u podstaw koncepcji pisma, że uznawano za możliwe myślenie o polityce bez „robienia” polityki, że uważano, iż sądy dotyczące tej sfery działań ludzkich są możliwe bez uświadamiania sobie, iż ogłaszanie ich wpływa (i chce wpływać) na innych, na czyjeś poglądy, postawy, a więc i działania.

„Samo życie”, poddawanie się któremu zostało uznane w przypadku Brzozowskiego za odstępstwo, wymusiło na piśmie

odejście od własnych założeń. Oto bowiem po sierpniu 1980, w warunkach gwałtownego uobywatelnienia milczącej dotychczas większości, MK („Inna rewolucja”, nr 7) stwierdza, iż dotychczasowa aktywność poznawcza polskich środowisk intelektualnych „prowadziła do izolacji od świata spraw społecznych, do klerkizmu w myśleniu i do estetyzmu w uprawianiu sztuki”. Czyż naprawdę wiosną 1979 roku, przygotowując pierwszy numer pisma jego twórcy sądzili, że będą mogli zamknąć się w sferze myśli, że zdolają uciec od tego, aby słowa przez nich w druku utrwalane nie były polityką czynną? Czy sądzili, że oddzielając „myśl polityczną” od „grupowej solidarności” gwarantują sobie, że to, co robią, jest czyste, jest wyłącznie dążeniem do Prawdy (koniecznie z dużej litery) i odróżnia się od „polityki”, która jest działaniem z góry skażonym emocjami, czymś niegodnym intelektualisty, a czym zajmują się inni? Drażni to poczucie wyższości, to zapewnianie, iż żyje się w innej sferze, lepszej, bo „nieuwarunkowanej życiem”, ta sakralizacja myśli i lekceważenie działań. Czyż nie wystarcza chęć bycia po prostu dobrym pismem politycznym, ogłaszającym teksty ciekawe intelektualnie, utrzymującym dystans wobec ogólnie rozpowszechnionych stereotypów i fobii, zalecającym krytycyzm wobec własnego narodu, społeczeństwa, grupy co najmniej tak samo rozwinięty jak wobec innych, jak wobec przeciwników i wrogów? A takim przecież pismem była w istocie *Res Publica* od swego pierwszego numeru.

Doprawdy, dziwne to, jak w świetnym zespole, który stać było na wnikliwe i ostre analizy polskiej rzeczywistości, pojawiają się akcenty świadczące o tym, iż nie umiano (nie chciano?) spojrzeć w lustro. Klerkizm, odżegnywanie się od „uprawiania” polityki – czyż nie był to arystokratyczny gest stawiający poprzeczkę wymagania tak wysoko, iż skazujący pismo na samotność, dumną *splendid isolation*. I to gdzie? I to kiedy? W Polsce Ludowej *anno lenini* 62.

Ale, powie ktoś, czy arystokratyzm to naprawdę coś złego, czy nie ma rzeczy szkodliwszych? Są, z pewnością. Arystokratyzm jako sposób życia może być nawet wielce użyteczny. Choćby po to, aby wskazywać inne miary. Jako sposób myślenia jednak, a zwłaszcza myślenia o polityce, to ślepa uliczka arogancji,

to groźba, że spadnie się z wysokiego konia wprost w błoto codzienności, ochlapując siebie i innych.

W glossarium *Res Publici* jest jeszcze jedno – obok „klerka” i „czystej myśli” – słowo, którego *nad-używanie* wydaje mi się niepokojące: „Aut Europa aut nihil” pisze MK („Europa i my”, nr 1) i wyjaśnia, czym Europa jest, lub raczej jaka jest „europejska norma” w świecie wartości. Jestem też za tymi wartościami. Też czuję się Europejczykiem i chcę, by mnie za takiego uważali nie tylko Syngalezi i Jawajczycy, ale także Francuzi i Holendrzy. Ale... spójrzmy, my, Europejczycy, w lustro, rozdziawmy gębę – tam nie tylko zęby mądrości, ale i kły. „Europa jest naszą większą ojczyzną” – pisze *Res Publica*. Tak, jest. I należy do niej, ale należy do niej i w dobrym i w złym: szcycimy się naszym wspólnym Goethem i Beethovenem, ale odpowiadamy też wspólnie za Auschwitz i Kołymę, nasze ręce Gutenbergiem układały w kaszcie pierwsze czcionki Biblii, ale i nasze ręce Eichmannem podpisywały zmiany w rozkładzie jazdy niektórych pociągów towarowych. Boję się więc zbyt częstego i zbyt pospiesznego używania tego pięknego słowa – Europa, przypomina ją jako dżentelmena ubranego z dyskretną elegancją, poruszającego się z wdziękiem wśród dzieł sztuki i trawiącego czas nad oryginalnymi wydaniem Petrarci.

Wbrew programowemu klerkizmowi, wbrew euro-pańskości *Res Publica* trzyma się ziemi i jej walorem nie są (dla mnie) ani myślenie jako różne od „uprawiania”, ani wznoszenie okrzyków „Europa lub nic”, ale to, co ma do powiedzenia o Polsce *hic et nunc*. *Res Publica* proponuje politykę możliwości, politykę postępującą małymi kroczkami, politykę, która mierzy zamiary na siły – jednym słowem umiarkowaną (i miarkowaną). Wzorem, w pierwszym numerze pisma już przywołanym, jest Masaryk (DK „Szkoła czeskiej demokracji”) i jego realizm polityczny: „Nie o ład i jednomyślność chodzi, nie o rozwiązywanie konfliktów, ale o możliwość porozumienia wśród najrozmaitszych poglądów i łagodzenie konfliktów drogą dobrowolnych ustępstw”. „kult pracy dobrej i użytecznej, kult fachowości, a nie pragnienie wielkich czynów zawieszonych w politycznej pustce”. Polską sytuację cechuje – co jest dosyć oczywiste –

ubezważsownolnienie zarówno w polityce międzynarodowej, jak i w urzędowaniu spraw wewnętrznych. Nieuznawanie tej rzeczywistości prowadzić musi do działania w pustce, do próżnych czynów i kosztownych gestów.

Odrzuca *Res Publica* to wszystko, co, będąc przywołaniem przeszłości, staje się balastem dla polityki chwili obecnej. Czyni to wielokrotnie i bezwzględnie piórami swych publicystów (MK „Zastygły obraz przeszłości”, nr 2) lub uznanych przez siebie autorytetów (Andrzej Micewski „Tradycja historyczna a naśladownictwo”, nr 3). „Wątki przywoływania tradycji – pisze MK – mają charakter ogólny i nie służą celom intelektualnym, lekcji argumentów, racji politycznych, analizie sytuacji wyboru”. Ten sam autor przypomina po sierpniu 1980 r., że „przydatność merytoryczna tradycji polskiej myśli politycznej jest w obecnej sytuacji znikoma” (MK „Nowe pytania, stare odpowiedzi”, nr 8). Było zaiste o co się troszczyć, gdyż przez pisma opozycyjne, a następnie biuletyny „Solidarności” walała wielka fala bezrefleksyjnie i emocjonalnie przywoływanej historii; przeszłość stawała się nieraz po prostu instrumentem politycznym, a co z pewnością osiągnęli w tej grze godne uwagi rezultaty. Świadomość własnej tradycji, jej pielęgnowanie, poznawanie, zapewnianie „białych plam” – tak, wymachiwanie dawnymi sztandarami dla gromadzenia pod nimi zwolenników politycznych – nie. Można sądzić, że publicyści *Res Publici* obawiali się, że może wziąć górę „polityka ulicznej gawiedzi” (BT „Nowe oblicza Warszawy”, nr 5), że zwycięży „niepodległościowa pryncypialność” (tamże) – a więc działanie w politycznej pustce. Szczególnie niepokoiło *Res Publicę* odwoływanie się do tradycji obozu narodowego, w którego przesłaniu ideowym pojęcie „realizm” – tak drogą temu pismu – odgrywało istotną rolę. „Realizm nie jest ideą – w tym właśnie kontekście ostrzega Micewski – lecz metodą (...) Bez idei staje się realizm małym i przynosi słabość”. Nadużywanie pojęć o silnym ładunku emocjonalnym, takich na przykład jak „naród” (podstawowe pojęcie w repertuarze myśli endeckiej) „bez sprecyzowania systemu wartości, w jakim się go umiejscawia – pisze Micewski – niewiele mówi, a nawet może prowadzić do nieporozumień”. zaś operowanie bezkrytyczne dawnymi tekstami i słowami mistrzów, przenoszenie ich myśli w

inny, zupełnie inny kontekst, podejmowanie dawnych wątków „w żaden sposób nie związanych z praktycznymi problemami współczesnej opozycji” to po prostu „archaizacja myślenia o polityce” (BT „Dlaczego endecja?”, nr 2) i operowanie w polu pustym. A przecież w samej *Res Publice* znaleźć można próby ekshumowania pewnych kategorii politycznych, które z całą pewnością w świecie europejskiej normy zostały zaniechane, jeśli nie potępione: „Tylko rozumny «egoizm narodowy» umożliwia – pisze MS («Polska, Niemcy i inni», nr 2) spokojną i rzeczową analizę doświadczeń i wyciąganie zeń właściwych wniosków”, jest on „jedyną bodaj postawą mogącą przekonać świat o naszym prawie do istnienia”. Zaiste nie jest łatwo opisywać świat dzisiejszy – świat idei, świat myśli – bez sięgania do dawnych terminów, trudno zachować żelazną konsekwencję w odrzucaniu dawnych kategorii, a opatrywanie ich cudzym słowem nie przydaje im nowoczesności.

Fakt że, nawiązywanie do tradycji myśli narodowo-demokratycznej budziło w zespole *Res Publici* tak wiele obaw, nie oznaczał bynajmniej, iż nie dostrzegano istotnych mankamentów w środowiskach z przeciwnego biegunu ideowego. Ostrzeżenie wobec nich najdobitniej chyba wyraził DK w szkicu „Moralisci w świecie polityki” (nr 5). Stwierdza w nim kategorycznie, że porządek polityki nie da się wyobrazić poza państwem i „odwoływanie się do społeczeństwa jako jedyne podmiotu życia politycznego” może być uzasadniane tylko w wyjątkowych okolicznościach. „Przedmiotem polityki – przypomina MB (nr 6) w artykule o Mieroszewskim – są interesy państwa”, „polityka jest polityką państwową”. „Skończyła się epoka polityki ideologicznej” – dodaje MK („Duch kracjaty i duch wolności”, nr 7), a z nią także „uległ rozluźnieniu związek polityki i kultury” zaś trwanie w polskiej myśli przekonania o sile i rodzaju zależności „między sferą polityki a sferą kultury i duchowości” nie było niczym innym jak błędem i „prowinejonalną kazuistyką”. Polityka jest więc domeną państwa i nie da się poza nim uprawiać. Skoro tak, to trzeba starać się znaleźć miejsce dla niezależnej polityki w takim państwie, jakie jest: „Ojczyzna istnieje, państwo też istnieje, bez względu na to, jak opaczną i obrzydłą treścią napełnione zostanie przez kolejne ekipy totalnych dysponen-

tów! Historia pokazała, jak bardzo struktura państwowa jest droga Polakom” – pisał Kisielewski („Czy geopolityka straciła znaczenie?”, nr 1). Wobec zarysowujących się zmian w stosunkach radziecko-niemieckich „tylko pewien consensus społeczny wokół podstawowych interesów narodowych (a jednak! – JA) daje szansę jakiegoś przeciwdziałania” („Widziane z Warszawy”, nr 4). Możliwość ta byłaby więc raczej włączeniem się społeczeństwa do polityki poprzez szukanie interesów zbieżnych, a więc *eo ipso* państwowych niż okazją do wyrażania przez opinię swej postawy poza – czyli przeciw – państwu.

Możliwość znalezienia jakiegoś *modus vivendi*, o szerszym zakresie i bardziej trwałego niż to, które już w stosunku społeczeństwa z władzami zostało osiągnięte, znalazła się dość szybko w repertuarze propozycji eksponowanych na łamach *Res Publici*. Pisał o tym WA („Pat”, nr 4) stwierdzając, iż istnieje „perspektywa systemu hybrydycznego i otwartego (...) opartego na trwałym współistnieniu struktury oficjalnej i nieoficjalnej, na stałej lecz nie spetryfikowanej symbiozie dwóch rządzących się innymi prawami, lecz wzajem na siebie oddziaływujących odłamów społecznych”. W tym samym kierunku idące koncepcje rozwija Jerzy Jedlicki w ogłoszonej przez *Res Publicę* (nr 6) odpowiedzi na ankietę DiP, uznając za możliwy, a nawet „wymagający niewielkich tylko zmian w polskim prawie dziś formalnie obowiązującym” taki „ekiektyczny” – jak pisze – model, w którym nastąpiłoby „połączenie monopolu centralnej władzy politycznej i ekonomicznej, nie odpowiedzialnej przed wyborcami, z pluralizmem opinii publicznej i zrzeszeń środowiskowych”.

Sierpień 1980 i „epoka Solidarności” były dla pisma wielką próbą. Omawiając książkę Marcina Króla *Style politycznego myślenia* pisze PS („Polityka w cylindrze”, nr 7): „Polityka nie może być oddana w ręce tłumu. Jest bowiem najtrudniejszą i najniebezpieczniejszą ze sztuk”. „Inna rewolucja”, oceniał to, co wówczas się działo, MK w artykule wstępnym do nr 7, przy czym słowo „rewolucja” wypowiedziane tu było z obawą i troską o kruchość jej dotychczasowego modelu, o zagrożenia, które tak silnie były odczuwane, tym silniej, iż wedle MK społeczeństwo „podszyte” jest nie tylko wielką „nadzieją na ugodę, na kompromis”, ale i desperacją.

W ogłoszonym przez *Res Publikę* referacie („Dawny ustroj i rewolucja”, nr 7) Jacek Kurczewski pyta, „czy możliwa jest demokracja monopartyjna” i odpowiada podobnie jak Jedlicki czy autor „Pata”: „Teoretycznie nie powinno to być wykluczone w kraju, który w swych dziejach notuje rozkwit «monarchicznej republiki»”. Po kryzysie bydgoskim (marzec 1981) jeden z czołowych publicystów pisma pisze: „Idzie więc o to, by jasno powiedzieć na co „Solidarność” i inne związki bądź stowarzyszenia mogą mieć wpływ (...) oraz o wyznaczenie sfery podlegającej wyłącznie monopolistycznym decyzjom rządu czy Komitetu Centralnego” (SP „Bardzo długa droga”, nr 8). I dorzuca: „potrzebny jest nam polski wewnętrzny układ jałtański”. Inny publicysta pisma konkluduje: jedyną drogą, jaką ma przed sobą „Solidarność”, jest „trwale wpasowanie się w obecną strukturę ustrojową” (WA „Wielkie nadzieje”, nr 8).

Polityczna kalkulacja prowadzi więc *Res Publikę* na pozycje „środka”, ale nie w sensie miejsca zajmowanego na rynku idei, lecz w wirze walki politycznej, jaka rozgorzała w Polsce po lecie 1980 r. Jej sympatie po stronie ruchu społecznego są niewątpliwe, ale obawy są równie jednoznaczne. Wracają słowa z pierwszej noty programowej: odróżniamy porządek myśli od porządku emocji. Więcej: oddalajmy emocje od działania. „Wielka nadzieja”, „Wielka niewiadoma”, „Inna rewolucja”, „Świadczenie zagrożenia”, „Bardzo długa droga”, „Granice ostrożności” – oto kilka tytułów z dwóch ostatnich numerów pisma. Choć niekoniecznie teksty nimi opatrzone dotyczyły bezpośrednio polskich wydarzeń, ale w jakimś stopniu oddają – jak sądzę – klimat panujący w *Res Publice* tamych miesięcy. Zmieniać powoli, na zimno, w porozumieniu z drugą stroną, kalkulować pamiętając o ograniczeniach wynikających z układu sił na świecie, „ograniczać działania zaczepne” (nr 8). Aby *modus vivendi* w nowych wymiarach, zyskanych przez pojawienie się wielomilionowego ruchu, ułożyć i utrwalić, zmienić trzeba hierarchię „zajęć” i zainteresowań – „Zagadnieniem naczelnym (...) nie jest totalitaryzm i nie jest nim sprawa narodowa (...), lecz jest nim demokracja” (MK „Nowe pytania, stare odpowiedzi”, nr 8). Demokracja ta nie ma oznaczać wszakże bezładnej wolności – jest ona porządkiem, instytucją, a nie chaotycznym działaniem

się. Apeluje więc MK: „Nigdy (...) w ciągu ostatnich dwustu lat europeizacja polskiej myśli politycznej nie była sprawą tak ważną i pilną” (tamże). Europeizacja rozumiana jest tu – jak sądzę – jako wzór demokracji „uporządkowanej”, opartej na prawie, sieci organizacji i stowarzyszeń, na społeczeństwie obywatelskim, które są nie tylko gwarantami swobody wyrażania opinii, ale także – a może przede wszystkim – gwarantami jej trzeźwości, koncyliacyjności, instrumentami szukania i znajdowania kompromisu. W tym także owego „wielkiego kompromisu” między monopolistycznym (*Res Publica* unika używania pojęcia „totalitarny”) centrum politycznym a zróżnicowanymi i na ogół słabszymi od tego centrum ruchami społecznymi. Publicyści pisma kilkakrotnie podkreślali „plastyczność” struktur politycznych realnego socjalizmu, odrzucali – mniej lub bardziej zdecydowanie – dość szeroko rozpowszechnioną tezę o jego bezwzględnej niereformowalności, w czym dość bliscy byli wielu wypowiedziom pochodzącym ze środowisk opozycji o nastawieniu „lewicowym” czy „socjaldemokratycznym”.

Szukając dróg kompromisu w kraju, *Res Publica* jest także zdecydowaną zwolenniczką *détente*, która ma być jednym z warunków umożliwiających „wewnętrzną Jaltę”. Zerwanie *détente* oznaczałoby dla rządów państw radzieckiej strefy wpływów „pozbawienie całkowicie możliwości – nawet marginesowej – swobodnego manewru i szansy uniezależnienia się choćby odrobinę tylko” („Widziane z Warszawy”, nr 6). Biorąc pod uwagę wielokrotnie podkreślany przez pismo poważny stosunek do wykształconego po II wojnie układu sił, minimalizm ten nie może być traktowany jako defensywny czy wręcz kapitulanki. Przeciwnie – oznacza on dla *Res Publici* „aktywny realizm”, trzeźwy ale przecież jednak optymizm, wiarę w pojawienie się możliwości zmiany. Zachęca więc *Res Publica* do wypowiedziania się w sprawach nie tylko wewnątrznych, ale i o sytuacji międzynarodowej. Stara się analizować istniejący układ, szukać możliwości jego zmian i znajdować miejsce w tych ewentualnych zmianach dla świadomych politycznie środowisk. Nie przypadkiem więc jednym z podstawowych tekstów pierwszego numeru był obszerny artykuł Kisielewskiego „Czy geopolityka straciła znaczenie?”, jedyny zresztą tekst *Res Publici*, który wywołał

szerszą dyskusję na jej łamach (nr 3, 7). W rozważaniach o geopolityce wraca kilkakrotnie – czasem wypowiedziana półgłosem – teza o potrzebie i możliwości porozumienia się polskich niezależnych sił politycznych i społecznych z kierownictwem radzieckim: „Jestem zdania – pisza MS («Polska, Niemcy i inni», nr 2) – że istnienie naprawdę suwerennego państwa polskiego, cieszącego się pełnym zaufaniem społeczeństwa, stworzyłoby sytuację, która umożliwiłaby zagranicznej polityce radzieckiej odejście od schematu, który niezmiennie prowadził do doraźnych sukcesów, za które później trzeba było płacić pyrrusowymi zwycięstwami”. Mniej jest tu istotna ocena skuteczności polityki Kremla, której osiągnięć MS najwyraźniej nie docenia, bardziej zaś przekonanie o interesie, którym byłby dla Rosji niezależny polski partner. Nie odwołuje się MS do istniejącej tradycji, ale nietrudno ją znaleźć w dawnej, XIX-wiecznej, polskiej myśli politycznej, a także, znacznie później, w kalkulacjach politycznych Stanisława Mikołajczyka i tych działaczy „z Londynu” oraz z krajowego podziemia, którzy szukali sposobów „wmontowania” demokratycznej Polski w sojusznicze związki z ZSRR. Nie chodzi mi tu o rozstrząsanie słuszności lub nie takiego wariantu polityki polskiej, ani o analizowanie jej antecedencji – chcę tylko zwrócić uwagę na fakt, iż współbrzmi ona z tezą o potrzebie i możliwości skonstruowania w Polsce „modelu hybrydycznego”, że obie te tezy stanowią pewien dość trwałe, a w każdym razie zwarty blok. Że przynależą obie do tego, co PS uznał za charakterystyczną dla Marcina Króla ideę „stopienia się zasad europejskich z rozumnie pomyślaną ideą niepodległości” („Polityka w cylindrze”, nr 7). Podkreślenia warte jest tu owo „rozumnie”.

W swym patrzeniu na świat zewnętrzny *Res Publica* nie ulega „modnym” w niektórych środowiskach wyrzekaniom na „głupotę” zachodnich demokracji, na anarchizację w nich życia publicznego, na dominację płaskiej materialistycznej logiki, co razem miałyby prowadzić do ugodowości wobec ZSRR. MK („Duch krucjaty i duch wolności”, nr 6) raz jeszcze opowiada się za polityką porozumienia między supermocarstwami, zwracając uwagę, że okres zimnej wojny „nie przyniósł Zachodowi żadnych sukcesów terytorialnych”. Bardziej zaskakują, przy wyrażanych w piśmie zastrzeżeniach wobec „niepolitycznych”

form aktywności politycznej (np. „Moralści w świecie polityki”), przychylnie słowa MK dla tych właśnie nurtów, które przez wielu – między innymi przez Kisiela, z którym polemizuje – traktowane były jako „degeneracyjne”, „rozkładające”, „osłabiające” Zachód: „Istnieje bez wątpienia taki nowy kształt duchowości – pisze MK – na który składają się i pozostałości ruchu kontrkultury, i rozkwitające pasje demokracji lokalnej i samorządowości, i ożywienie religijności w rozmaitych jej postaciach, i zaciekawienie losem i wysiłkami wschodnio-europejskich opozycjonistów, i zjawiska z zakresu nowego teatru i nowej sztuki w ogóle (...) Treścią tego nowego kształtu duchowości jest dokonanie kroku naprzód w realizacji wolności jednostki (...) Jest to krok naprzód w rozpoczętym w antycznych czasach i kontynuowanym przez chrześcijaństwo i ideologie czasów nowożytnych rozwoju osoby”. Odsuwa się więc czołowy publicysta *Res Publici* od jednowymiarowej i krótkodystańskiej geopolityki i patrzenia na stosunki międzynarodowe w kontekście rozumianych interesów, co oczywiście nie w pełni jest zgodne z eksponowaną w piśmie koncepcją rozdzielenia polityki, kultury i moralności.

3.

Res Publica, powtórzmy, mimo zapowiedzi i ponawianych zapewnień, nie ograniczyła się do beznamiętnego rozstrząsania politycznych programów, uwarunkowań i możliwości. Zespół pisma opowiadał się za tym, co może być nazywane polityczną trzeźwością czy realizmem, odrzucał skrajności, ostrzegał przed emocjami, stereotypami, mitami, które nieuchronnie krępują zarówno myśl, jak i działanie. Ale z beznamiętnym „klerkizmem” nie miało to wiele wspólnego. Pismo uczestniczyło w życiu politycznym, co najlepiej uwidoczniło się po Sierpniu 1980 r., gdy zabierało głos w zupełnie podstawowych sprawach bieżących. Do całego pisma można odnieść uwagi PS („Polityka w cylindrze”) o autorze *Stylów politycznego myślenia*: „zajmuje się myśleniem politycznym, dokonuje opcji ideowych, buduje projekty” ale jednocześnie „obchodzi go sama gra, walka, działanie polityczne”, a więc „wkracza do polskiej polis”.

Tak też i *Res Publica* zajęła miejsce w polskiej polis i uważała – od początku istnienia – że zasięg owej polis nie może być wyznaczony przez granice „opozycji”, że winien objąć cały kraj i wszystkie siły polityczne i społeczne, które odgrywają, mogą odegrać, lub odegrać powinny swoje role. Pismo zdawało się też głosić pogląd, że rozszerzanie owego kręgu nie może być – przynajmniej w konkretnych, polskich warunkach – dokonywane przez łamanie istniejących struktur, ale przez budowanie minimalnych choćby przesłanek porozumienia. **Jakub Andrzejewski**

NAKLADEM

ANEKSU

Ernest Bryll

ADWENT

Wiersze z lat 1930-1986
Rysunki ANDRZEJA WAJDY

Str. 106

Cena: £4,00–\$10,00

Tomasz Lubieński

BOHATEROWIE NASZYCH CZASÓW
WYBÓR ESEJÓW

W TOMIE m.in.: Anty-Borowski; Bohater przemawia ostatni;
Sennik apokaliptyczny; *Miazga* po dziesięciu latach;
Po wielkiej nagrodzie [Miłosz]; Ku pokrzepieniu charakteru;
Polski garb i polskie skrzydła; Koniec świata szwoleżerów;
Pokusa emigracyjna.

Str. 110

Cena: £ 3,50–\$8,00

Jerzy Kropiwnicki

ZAPIS PROTESTU

Dziennik relacjonujący przebieg kilkudziesięciodniowej głódki w więzieniu w Barczewie i walkę w obronie praw więźniów politycznych wspólnie z przywódcami „Solidarności”: P. Bednarzem, W. Frasyniukiem, A. Słowikiem i działaczami KPN – L. Moczulskim, T. Stańskim, R. Szeremietiewem oraz z E. Bałuką.

Str. 224

Cena: £5,00–\$11,00

książki

Marek Tomaszewski

„W JEDNO CIAŁO I JEDNĄ DUSZĘ”

Daniel Beauvois, *Polacy na Ukrainie 1831-1863. Szlachta polska na Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie*, Instytut Literacki, Paryż 1987,
Przekład: Ewa i Krzysztof Rutkowscy.

Rzadko kiedy słynna maksyma „historia magistra vitae” znajduje tak konkretne uzasadnienie jak w przypadku książki Daniela Beauvois. Jej pierwotny tekst francuski, *Le Noble, le Serf et le Revizor, la noblesse polonaise entre le tsarisme et les masses ukrainiennes (1831-1863)*, Ed. des archives contemporaines doczekał się bardzo udanego przekładu, który zawdzięczamy Ewie i Krzysztofowi Rutkowskim. Dobrze się stało, że pozycja ta dotrzeć mogła szybko do polskiego czytelnika, bo przecież nie ulega wątpliwości, że on to właśnie jest jej wymarzoną adresatą.

Problematyka polskich kresów nie jest bynajmniej nowym zagadnieniem w dorobku naukowym Daniela Beauvois. Ten specjalista historii i kultury polskiej, profesor Uniwersytetu w Lille, opublikował studium poświęcone Uniwersytetowi Wileńskiemu w latach 1803-1832. Jest on również autorem licznych opracowań i artykułów z zakresu dziejów Europy Wschodniej XVIII-go i XIX-go wieku. Omawiana książka nawiązuje do znanych prac Stefana Kieniewicza jak również do dzieł tematycznie po-

krewnych takich jak *Klejnot i bartery społeczne* Jerzego Jedlickiego (Warszawa 1968), *Polacy na Uniwersytecie Kijowskim* Jana Tabisia (Kraków 1974), *Zarys dziejów Ukrainy* L. Podhoteckiego (Warszawa 1976), czy też *Historia Ukrainy* W. Serczyka (Wrocław 1979).

Bezsporną nowością w ujęciu tematu jest jednak w wypadku Daniela Beauvois połączenie ze sobą imponującej i bezcennej dokumentacji źródłowej rodem z archiwów kijowskich i leningradzkich z jednej strony, oraz serii świadectw zaczerpniętych z literatury pięknej i pamiętnikarskiej, z drugiej. Zapewnia to książce solidność wywodu historycznego połączonego z lekkością i nawet pewną intymnością przekazu. Opisywane wydarzenia dotyczą obszaru Ukrainy wcielonej do Cesarstwa Rosyjskiego w roku 1793 i 1795, to znaczy trzech guberni – kijowskiej, wołyńskiej i podolskiej – zwanych potocznie przez Rosjan „regionem południowo-zachodnim”.

Nie chcąc powielać wyczerpujących i trafnych spostrzeżeń Krzysztofa Pomiana zawartych we wstępie do książki, pozwolę sobie jedynie przedstawić kilka uwag o mechanizmach zniewalania opisanych przez Daniela Beauvois.

Pierwsza część rozważań koncentruje się wokół głównego sprawcy oraz właściwego podmiotu działań politycznych, ekonomicznych, socjologicznych, a także psychologicznych tamtej epoki, to znaczy carskiego aparatu władzy w szerokim pojęciu tego słowa. W wyniku konsekwentnej akcji prowadzonej na przestrzeni 30 lat ludność polska została zredukowana pięciokrotnie, zdegradowana politycznie i pozbawiona prawie całkowicie swej narodowej tożsamości. Posiadacze ziemscy przekształcili się w ogromnej większości w posłusznych lojalistów, natomiast średnia szlachta wtopiła się w lud ukraiński.

Jakie środki zostały użyte dla przeprowadzenia tak ambitnego przedsięwzięcia będącego prototypem przyszłych imperialnych podbojów nowożytniej Europy?

Odpowiedzi udzielone przez Daniela Beauvois na powyższe pytanie ukazują słabość mitologizujących interpretacji, od których nie potrafiła się uchronić polska historiografia. W świetle ujawnionych dokumentów, trzeba się wyrzec patetycznych mitów o duchu powstańczym oraz krew w żyłach mrozących opi-

sów wywózek Polaków na Sybir, którymi karmiona jest nasza doświadczona wielowiekowym cierpieniem wyobraźnia narodu. Nie oznacza to zresztą wcale, że nie było heroicznych postaw polskich na Ukrainie, ani że nie miały miejsca deportacje polskich patriotów. Sprawa polega raczej na ustaleniu prawdziwych proporcji w oparciu o rzetelne badania. To trudne zadanie stało się dopiero wykonalne dla francuskiego historyka, który, mimo trudności, zdołał przebadać sporą ilość dokumentów znajdujących się w Związku Radzieckim i nie dostępnych jak dotąd polskim badaczom.

Z dokumentów tych wylania się złożony obraz mechanizmów składających się na globalny plan władz carskich ubezwłasnowolnienia wielkiej, obcej narodowo grupy społecznej o zróżnicowanym kształcie klasowym. Planowi temu przyświeca doskonała znajomość materiału ludzkiego oraz specyfiki kultury, która poddana ma być „przeróbce”. Nie tyle chodzi bowiem tutaj o definitywne unicestwienie, ile raczej o „przeróbkę” właśnie, opartą na ciągłym przechwytywaniu mitów, obyczajowości, religii określonej grupy tak, aby wszystkie te elementy wtopić się mogły na trwałe w rosyjski imperializm. Przy czym fizyczna przemoc stosowana jest w bardzo znikomym wymiarze. Na czoło wysuwa się troska, z jaką carska maszyna podchodzi do zagadnień prawnych określających sferę obywatelskich swobód i ograniczeń. Charakterystyczna jest dbałość o pozory legalności wszelkich instytucji ustawodawczych i wykonawczych oraz staranne usuwanie tych luk prawnych, które przeszkadzają zabiegom asymilacyjnym. Uzurpacja dokonuje się w majestacie prawa i w myśl zasady, że „gdy prawo jest nam niewygodne, należy je zmienić”. Przykładem tej taktyki jest chociażby utrzymywanie przy życiu zgromadzeń szlacheckich, owych reliktywów „złotej wolności”, wspaniale, zdaniem autora, wpływających na procesy trawienne rosyjskiego organizmu. Takim prestiżowym organem są Komisje Rewizyjne, a potem sławna „Heroldia” rezerwująca sobie przywilej orzecznictwa w drażliwej kwestii tytułów szlacheckich.

Można by z powodzeniem mnożyć podobne przykłady. Okazuje się, że człowiek w swej słabości zadawała się stosunkowo łatwo spreparowaną symboliką prawno-narodową i to nawet

gdy ta ostatnia wyprana jest dokładnie z wszelkich istotnych treści. Tak oto polski właściciel ziemski nie zawaha się odwołać do rosyjskiej policji (a nawet wojska) dla załatwienia porachunków ze swym poddanym, z czego Rosjanie ochoczo korzystają, starając się, z dużym zresztą powodzeniem, wbić klin między ziemiaństwo polskie a chłopstwo ukraińskie. Ta sama niezlomna zasada „divide et impera” znajduje odzwiedczenie w Prawie o Inwentarzach, którego swoisty liberalizm i humanitaryzm na długo przed Reformą 1861 r. żywo kontrastuje z równoczesną likwidacją słowianofilskiego stowarzyszenia kultury ukraińskiej pod nazwą „Cyryla i Metodego”. Ta pozornie postępową akcją społeczną pod patronatem caratu dziwnie odbiega swym charakterem od rygorystycznych metod stosowanych wobec chłopstwa poddanego w innych guberniach rosyjskich, gdzie knut ekonomia pozostaje nadal regulatorem stosunków między Panem a poddanym. Jak hardzo jest to znana i sprawdzona technika, wystarczy przypomnieć chociażby humanitarną akcję Katarzyny II w obronie polskich dysydentów (innowierców), w wyniku której już w XVIII-tym wieku wojska rosyjskie zainstalowały się na dobre w Warszawie.

Rosyjski aparat władzy dysponuje całym arsenałem zarządzeń, które zmierzają do deklasacji i rozkładu społeczeństwa. Dobitym przykładem zredukowanie dużej części szlachty polskiej do kondycji „jednodorców”, tępienie tak zwanych „włóczęgów”, wcielanie do wojska elementów niepewnych ideologicznie, konfiska ta dóbr „buntowników” itp. Znamienne jest także uprzywilejowanie szkolnictwa politechnicznego, wolnego od fermentów wolnościowych, niechęć do zachodnioeuropejskich prądów myślowych i niebywała wprost zrzeczność w mnożeniu bratobójczych konfliktów wśród skłóconych ze sobą warstw społecznych i narodowości. Króluje nad tym wszystkim ethos donosu oraz sprawnie sterowana, przemieniona dialektyka satrapii i liberalizmu wpisana niejako w logikę systemu. Jej skutki przytłaczają niekiedy formy paradoksalne. Tak na przykład oszołomieni liberalizmem rosyjskiego prawa chłopci ukraińscy rozgłaszają między sobą, że car nie żąda już od nich pańszczyzny i danin, oskarżając jednocześnie władze lokalne, czyli polskich panów o to, że ukrywają we własnym interesie carski

ukaz. Gdy zaś młody Aleksander II koronowany jest na cara w 1857 roku, niektórzy Polacy wierzą w pełny rozkwit kultury polskiej. Czyż nie wystawia się polskich sztuk po polsku? Czyż nie wznawiają swej działalności szkoły parafialne? Naiwność lojalistów jest tak wielka, że decydują się oni wystosować prośbę do cara o przyłączenie zabranych przez Rosję guberni do... Królestwa Kongresowego. Miraż liberalizmu pryska dopiero na dobre, gdy wojsko rosyjskie otacza budynek, w którym odbywa się zgromadzenie kamienieckie, przeprowadzając liczne aresztowania wśród marszałków powiatu.

Armia zawsze jest zresztą gotowa do udzielenia niezbędnej pomocy tym instytucjom państwowym, które napotykać na chwilowe trudności. W tym celu, zgodnie z dobrym rosyjskim obyczajem, zaprowadza się od czasu do czasu w guberniach stan wojenny, podejmuje się szczególne środki mające na względzie „zachowanie porządku”. Generał – gubernator zwraca się wtedy uroczyście do szlacheckich przywódców z prośbą o pomoc. Chodzi tu nie tylko o wykonywanie rozkazów, ale także o skuteczną współpracę w tępieniu tych współziomków, którzy ulegają zbyt wielkiej egzaltacji.

Te i inne niemniej perfidne posunięcia sprzyjają naturalnie osłabieniu więzów narodowych, a władza podtrzymuje ten stan rzeczy, premiując lenistwo intelektualne i próżność duchową. Owa negatywna selekcja przynosi rezultaty. Korupcja staje się powoli czynnikiem równowagi między sztywnością ukazów a realiami życia codziennego. Towarzyszy temu ze strony władz iście bizantyjskie przywiązanie do formalnych zapewnień o wierności poddanych, poddanych, którzy sami nabierają coraz mocniejszego przekonania, że „umiarkowanie” jest jedyną mądrą postawą.

Najbardziej zadziwiająca wydaje się jednak cierpliwość, systematyczność i niezwykle wprost zdolność administracji do „łapania drugiego oddechu”. To właśnie owa stopniowość działań rozłożonych na dziesiątki lat i na całe pokolenia świadczy o dalekowszroczności rosyjskiego imperializmu, który stara się zawsze połknąć tylko tyle, ile zdoła potem strawić. Umiejętność ta nakarze Komitetowi Guberni Zachodnich zrezygnować w 1840 roku z nadawania Rosjanom ziem skonfiskowanych rodzinom polskich powstańców. W sporządzonym na ten temat do-

kumencie zaleca się odczekać jeszcze 50 lat, „ponieważ należy przede wszystkim spoić z Rosją gubernie odzyskane, a później dopiero posuwać się dalej” (sic). Bez wątpienia, jest to najwyższa szkoła inteligentnego podboju.

Dochodzimy tu do drugiego, niemniej ważnego zagadnienia. Jest nim próba określenia tej społeczności, która jawi się nie jako podmiot, ale jako przedmiot imperialnych rozgrywek i procesów asymilacyjnych. Chodzi naturalnie o ogół szlachty polskiej zamieszkującej ziemię ukraińską. Wewnątrz tej grupy wyróżnić można szlachtę podupałą, szlachtę ziemiańską oraz elitę zasiadającą w urzędach cesarstwa, czyli „szlachtę wyborową”. Szczegółowa monografia o profilu socjologicznym, która wyłania się z kart tej książki wskazuje, że każda z wyżej wymienionych warstw traktowana jest inaczej przez władze Cesarstwa. Na samym dnie obywatelskiego bytowania znajduje się naturalnie biedota szlachecka bez ziemi, której odbiera się po kolei wszystko: tytuły szlacheckie, wolność osobistą, szkoły, religię (340 000 osób zdeklasowanych w ciągu 30 lat). W następnej kolejności maszyna biurokratyczna rozprawia się z 70 tysiącami szlachty ziemiańskiej wykorzystując zręcznie narodowe przywary „balagulów”, archaiczność struktur rodowych i obywatelskich, jak również coraz niższy poziom edukacji potęgowany powołnym rozkładem środowiska. Liczne tło (90% legitymowanej szlachty) stanowią ubodzy ziemianie pracujący na roli. J.I. Kraszewski opisał życie tej grupy w powieści pod tytułem *Dwa światy*. Na samym zaś szczycie piramidy społecznej zasiadają wiccy obszarnicy (ok. 10% legitymowanej szlachty), w stosunku do których stosowana jest najczęściej taryfa ulgowa. Wykładnikiem ich konserwatywnej postawy politycznej jest *Tygodnik Petersburski*, pismo lansujące wojujący obskurantyzm, natomiast ich piewcą i kronikarzem jest Henryk Rzewuski, autor *Pamiętek Soplicy*, jowialny sobiepan i zakuty sarmata. W warstwie tej odnaleźć można także „organiczników” i „realistów” balansujących między ugodą a kolaboracją. Stanowią oni trzon „szlachty wyborowej”, która z perspektywy czasu jawi się niestety głównie jako przekaźnik poleceń rządu rosyjskiego.

Mimo negatywnej oceny polskich grup społecznych, obraz ich byłby niepełny, gdybyśmy chcieli pominąć tych wszystkich, któ-

rzy swą postawą ratują honor znękaney ojczyzny; wymieńmy więc gwoli sprawiedliwości nazwiska takie jak Szymon Konarski, członek Towarzystwa Demokratycznego i inspirator spisku studentów Kijowskich w 1838 r., Roman Sanguszko, uczestnik Powstania Listopadowego zesłany na Sybir za odmowę prośby o ułaskawienie, Edmund Różycki, syn generała z wojny 1831, twórca Komitetu Ruchu w 1862 r.

Bohaterstwo tych ludzi, najczęściej osamotnionych, nie może usprawiedliwiać inercji całego środowiska, mocno oddalonego od reformatorskiej działalności rodaków na Litwie i Białorusi. Środowisko to nie jest już w stanie utrzymać tradycyjnych więzów szlacheckich z okresu Rzeczypospolitej. Depolonizacja, ukraiinizacja i sprawosławienie szlachty jest także w dużej mierze rezultatem braku solidarności ziemian z biedotą szlachecką, na której najdotkliwiej mści się carat w drobne popowstaniowej.

Jakie wnioski wyciągnąć z tego wnikliwego studium? Francuski krytyk, Jean M. Goulemont, stwierdził, na łamach *Quinzaine Littéraire*, że poprzez zręcznie dokonaną rekonstrukcję przeszłości, książka Daniela Beauvois zwrócona jest ku teraźniejszości. Sądzę, że praca ta może rzeczywiście skłonić nas, Polaków, do zastanowienia się nad tym, kim byliśmy, kim jesteśmy, a także (i to jest równie ważne) kim być możemy. Należy żywić nadzieję, że książka ta, napisana przez Francuza, uwolni nas choć trochę od wyobrażeń idylicznych i nieuzasadnionych fobii. I to nawet jeżeli boleśnie zabrzmia dla niektórych słowa o polskim imperializmie wypartym przez imperializm rosyjski czy też o niechlubnej roli antyinsurrekcyjnej części Episkopatu Polski. Pożytecznym byłoby także uświadomić sobie, że carat nie dążył do wyniszczenia biologicznego polskiego narodu, ale, że przeciwnie, postawił sobie cel o wiele wznioślejszy. Cel ten najlepiej zdefiniował sam car Mikołaj I, zalecając swym urzędnikom, aby starali się oni zjednoczyć byłe polskie prowincje z pozostałymi obszarami Cesarstwa „w jedno ciało i jedną duszę”.

Marek Tomaszewski

Józef Krępy

CZY ŁAD POGRUDNIOWY JEST STABILNY?

Mirosława Marody, *Warunki trwania i zmiany ładu społecznego w relacji do stanu świadomości społecznej*,
Uniwersytet Warszawski, Warszawa 1986

Czy porządek społeczny, ustanowiony w grudniu 1981 roku, jest trwały? Nie wiadomo, jak będzie w przyszłości, ale spojrzenie na minione sześć lat pokazuje, że władza dość skutecznie kontroluje sytuację polityczną kraju. Zapewne, kontrola ta nie jest wszechobejmująca, ale rozciąga się na strategicznie najważniejsze obszary, a przede wszystkim władzy udaje się nie dopuszczać do rzeczy dla niej najgroźniejszej – do masowych i zorganizowanych protestów. Gdybyśmy o przyczyny takiego stanu rzeczy zapytali ludzi w Polsce: usłyszelibyśmy dwa rodzaje odpowiedzi. Pierwsza brzmiałaby tak:

„Władze dysponują instrumentami przemocy i są gotowe ich użyć, gdy tylko uznają to za potrzebne. Gdyby nawet władzom miało zabraknąć zdecydowania lub możliwości – na co się zresztą nie zanoszą – to istnieją gwarancje zewnętrzne przewidziane w Układzie Warszawskim. Społeczeństwo jest niezadowolone, ale musi ustąpić przed siłą”.

Dруга odpowiedź natomiast wskazywałaby na postępy procesu porozumienia narodowego.

„System pogrudniowy trwa – usłyszelibyśmy – bo jest przez społeczeństwo akceptowany. Oczywiście, ludzie cierpią z powodu kryzysu, narzekają na trudności i denerwują różnymi niedociągnięciami. To wszystko prawda, ale społeczeństwo aprobuje zarówno generalne założenia ustrojowe, jak i kierunek polityczny obecnej ekipy”.

To, jaką odpowiedź usłyszymy, zależy od poglądów rozmówcy, a nie od faktów, na których oparł on swoją opinię. Te same fakty mogą przecież przemawiać za jedną i za drugą opinią. „Po co mówimy o przemocy? – powie zwolennik poglądu o wiarygodności władzy. – Represje są już niepotrzebne, proszę bardzo, właśnie zwolniliśmy więźniów politycznych. Nie stanowią oni zagrożenia, bo społeczeństwo jest nieufne wobec wszelkich ekstremizmów”. Zwolennik poglądu o roli przemocy fakt ten zinterpretuje inaczej. „Mogli sobie pozwolić na zwolnienie więźniów – powie – bo udało im się zastraszyć społeczeństwo. Oni wiedzą, że naród wie, że oni są zdecydowani na wszystko. Oczywiście, na ulicach nie stoją czołgi, ale mogą się tam w każdej chwili znaleźć i świadomość tego w zupełności wystarcza dla zapewnienia spokoju”.

W obu odpowiedziach jest jakaś część prawdy, choć nie rozkłada się ona w równych proporcjach. Oczywiście jest, że bez gotowości do użycia przemocy oraz zewnętrznych gwarancji panujący system nie mógłby się utrzymać. Z drugiej strony jednak nie można zaprzeczyć, że duch kontestacji, konspiracji i protestu w ciągu kilku lat od wprowadzenia stanu wojennego przygasł i społeczeństwo, jeśli nawet nie pogodziło się z systemem pogrudniowym, to do niego jakoś przynajmniej przywykło.

Może więc zamiast wybierać między dwiema odpowiedziami, z których każda zawiera część prawdy, warto znaleźć taką perspektywę, w której obie części dają się złożyć w całość. Można w tym celu pójść za następującym tokiem myślenia: w każdym społeczeństwie istnieje pewna szeroko rozumiana grupa rządząca, mająca poczucie własnej odrębności oraz własne interesy i przywileje. Grupa ta ponosi zbiorową odpowiedzialność za kształt porządku społecznego, który powstał pod jej rządami, przy czym chodzi tu o odpowiedzialność w sensie historycznym, a nie tylko moralnym. Stosunki między tą grupą a resztą społeczeństwa – a więc między rządzonymi a rządzącymi – są mie-

szaniną konfliktu i współpracy. Nie jest tak, jak twierdził Marks w swym opisie kapitalizmu, że konflikt między klasami ma charakter antagonistyczny i można go usunąć tylko przez usunięcie jednej z klas. Nie jest również tak, jak twierdził Lenin w swoim opisie socjalizmu, że interesy ludzkości reprezentuje proletariatu, a interesy proletariatu – partia marksistowska, a więc w socjalizmie konfliktów nie będzie. Grupa rządząca tak konstruuje ład społeczny, aby mogła w nim w możliwie najpełniejszy sposób realizować swoje interesy, ale jednocześnie ład ten musi zapewniać w jakimś zakresie zaspokojenie potrzeb i interesów rządzących. W przeciwnym przypadku mamy do czynienia po prostu z okupacją. Nie jest to przypadek Polski, w której rozgrywa się *wewnętrzny konflikt społeczny*. Konflikt ten ma swą genezę międzynarodową – mianowicie skutki drugiej wojny światowej, ma też pewne międzynarodowe konsekwencje, ale nie można zrozumieć tego, co dzieje się i działa w Polsce patrząc wyłącznie z perspektywy międzynarodowej.

Jeśli przyjmiemy zarysowany powyżej punkt widzenia, możemy postawić pytanie o obszary konfliktu społecznego w Polsce oraz o takie obszary, w których dążenia władzy i dążenia społeczeństwa zbiegają się, tworząc pewne podstawy społecznego poparcia dla władzy. Unikamy w ten sposób jednostronności, ku którym popycha często fakt zaangażowania w konflikcie, a którym skutkiem jest błąd w ocenie sytuacji. O błąd taki – dokładnie mówiąc, niedocenienie zakresu tej zbieżności – szczególnie łatwo wówczas, gdy poparcie dla władzy nie jest przez zainteresowanych wyraźnie wypowiedane i ma raczej charakter biernego przyzwolenia niż aktywnej mobilizacji. Z taką właśnie sytuacją mamy do czynienia w Polsce. Ze względu na to, że zainteresowani milczą, posłuchajmy ich głosu pośrednio – poprzez ankiety socjologów.

W wydanej przez Uniwersytet Warszawski książce *Warunki trwania i zmiany ładu społecznego w relacji do stanu świadomości społecznej* Mirosława Marody, na podstawie wyników badań świadomości społecznej z lat 1981-1984, poszukuje odpowiedzi na pytanie: czy stabilność pogrudniowego ładu politycznego daje się wyjaśnić wysokim stopniem wiarygodności władzy i systemu instytucjonalnego? Jak się okazuje, wiedza uzyskana w

sposób naukowy nie różni się w tej kwestii od wiedzy, jaką przeciętny mieszkaniec Polski uzyskuje dzięki codziennej obserwacji i zdrowemu rozsądkowi. Dane z badań pokazują, że poziom zaufania do władzy i jej instytucji jest niski, ale krytyczne nastawienia dotyczą sfery symbolicznej, a nie praktycznych działań mogących zmienić czy przekształcić system. Mówiąc krótko, w Polsce połowy lat osiemdziesiątych daje się zaobserwować wysoka skłonność do niekonstruktywnego narzekania.

Przyjrzyjmy się więc, na co narzekają uczestnicy cytowanych przez autorkę badań:

— po pierwsze, materialny poziom życia: „66% robotników oceniło, że ich płace są niesprawiedliwe (...) między rokiem 1981 a 1983 proporcja osób niezadowolonych z wynagrodzenia wzrosła z 25% do 60% (...); w 1983 roku 80% społeczeństwa ogółem deklarowało dochody niższe od postulowanego niezbędnego minimum”. Cytaty te dotyczą wyników trzech różnych badań świadomości społecznej, a więc mówią nam o powszechnych, ale subiektywnych opiniach i przekonaniach. Oceny te jednak – jak czytamy – mają swój odpowiednik w bardziej obiektywnych danych, zgodnie z którymi 53% gospodarstw rodzinnych pogorszyło swą sytuację materialną w 1984 roku, zaś sfera ubóstwa dla tego samego roku szacowana jest przez niektórych ekonomistów na 20 do 30% ludności.

— po drugie, coś, co możemy określić jako „samopoczucie polityczne”, choć nie sprowadza się ono tylko do wymiaru politycznego: „Powszechne jest wśród badanych przekonanie o braku wpływu na to, co się dzieje w zakładach pracy w skali całego kraju” – pisze autorka. „Średnia ocen możliwości tego wpływu, przy zastosowaniu szkolnej skali ocen, w przypadku zakładu oscylowała wokół niedostatecznego, zaś w przypadku całości życia społecznego – poniżej niedostatecznego. Opinię, że oficjalne organizacje młodzieżowe reprezentują ich interesy, odrzucało 61% pracowników umysłowych i 73% studentów”.

Fragmety te wystarczą chyba do zarysowania obrazu kondycji społeczeństwa polskiego w połowie lat osiemdziesiątych. Da się ona opisać prosto – niemożność zaspokojenia potrzeb życiowych na poziomie, który można by było uznać za w miarę przyzwoity oraz silne poczucie wyobcowania z istniejącego sy-

stemu politycznego. Ludzie są sfrustrowani jako konsumenci – a jest to przecież ich dość istotna rola – oraz źle się czują jako pracownicy i jako obywatele własnego kraju. Obraz ten trzeba uzupełnić o jeden ważny element – w powszechnej opinii większą część winy za taki stan rzeczy ponosi władza.

Jeżeli powyższy obraz jest prawdziwy – a fakt, że jest on zgodny zarówno z wynikami liczących sondaży, jak i ze zdrowym rozsądkiem i codzienną obserwacją, przemawia za jego wiarygodnością – wówczas wyjaśnienie trwałości ładu pogrudniowego w kategoriach jego akceptacji przez społeczeństwo jest w sposób oczywisty bezzasadne. Czy oznacza to, że mamy przyjąć wyjaśnienie w kategoriach przemocy? Autorka omawianej książki idzie w innym kierunku – poszukuje obszarów zgodności i współpracy między władzą a społeczeństwem. Przede wszystkim zwraca uwagę na fakt, że odrzucanie systemu ma charakter symboliczny, natomiast w rzeczywistych indywidualnych i zbiorowych działaniach ludzie z tym systemem na co dzień współpracują i w nim uczestniczą. Jest to fakt banalny w swej oczywistości, ale świadczy on o pewnej zmianie w stosunku do poprzednich epok. Wydaje się mianowicie, że władza w jakimś stopniu pogodziła się z tym, że społeczeństwo jej nie lubi. Władzy nie przeszkadza to tak długo, jak długo nie wynikają z tego żadne konsekwencje. Ludność stojąc w kolejkach obraża rząd, ha, podaje w wątpliwość podstawy ustroju i godzi w sojusze, rzecznik rządu na cotygodniowych konferencjach prasowych obraża ludność i podaje w wątpliwość jej kwalifikacje moralne, wszystko to razem wygląda tak, jakby w czasie zawieszenia broni żołnierze wrogich armii zlorzeczyli sobie wzajemnie, wychylając się nieco z okopów. Czy jest to zawieszenie broni przed kolejnym starciem, czy też przed podpisaniem traktatu pokojowego? Żeby na to odpowiedzieć, trzeba się zastanowić, jakie są jego warunki. Przede wszystkim trzeba zwrócić uwagę na okoliczności początkowe – zawieszenie broni nastąpiło po rozstrzygającej bitwie i serii potyczek w pościgu za nieprzyjacielem. W wyniku tych wydarzeń jedna ze stron nie jest zdolna do walki w polu, zachowała jednak zdolność do działań partyzanckich. Jak się zdaje, istotnym elementem porozumienia o zawieszeniu broni jest zobowiązanie zwycięskiego przeciwnika, że nie będzie

podejmował działań wojennych, żądając w zamian powstrzymania się od działań partyzanckich oraz zaniechania prac nad odbudowaniem zdolności do powszechnej mobilizacji. Innymi słowy, celem zawieszenia broni jest zawieszenie broni i w tym właśnie miejscu dążenia władzy i społeczeństwa się zbiegają. „Trwający obecnie konsensus między władzą a społeczeństwem – pisze cytowana autorka, z pewną przesadą mówiąc tu o konsensusie – zawarty został w imię spokoju społecznego i bezpieczeństwa socjalnego”. O bezpieczeństwie socjalnym powiemy później, teraz przytoczmy pewne dane na temat spokoju: „W jednym z badań stosowany był test niedokończonych zdań – powie autorka. – Przy zdaniu: «Dla nas najważniejsze jest...» na 71 osób, które dokończyły to zdanie, 17 wpisało «pokój i spokój», 13 – «spokój i praca» i 4 – «zгода w kraju»”. Test niedokończonych zdań polega na tym, że respondenci sami wpisują zakończenie do podanych im fragmentów zdań, zgodnie z odruchami umysłu raczej niż z przemyśleniami na dany temat. Dane powyższe pokazują, że u blisko połowy respondentów – w badaniu tym byli to robotnicy – utrwaliło się skojarzenie „najważniejsza rzecz to spokój w kraju”. Można oczywiście twierdzić, że jest to wynik podania umysłów propagandowej młócce, ale argument ten niewiele zmienia – propaganda może wiele, ale nic by w tej sprawie nie pomogła, gdyby w społeczeństwie nie było pewnej podatności na ten rodzaj oddziaływania. Można podać liczne dowody na to w postaci poglądów, do których czterdziestoletnia praca aparatu propagandowego ludności Polski nie przekonała. Podatność ta ma pewne emocjonalne podstawy, a mianowicie wysoki poziom poczucia zagrożenia. Zacytujmy znowu niektóre wyniki: „85% badanych zgadza się z następującym cytatem z przemówienia W. Jaruzelskiego: «Obchodzimy nasze czterdziestolecie w napiętej, niebezpiecznej sytuacji międzynarodowej», choć tylko 12% zgadza się ze stwierdzeniem «przemówienia W. Jaruzelskiego są zgodne z tym, co myślę». Z innych badań wynika, że społeczeństwo polskie negatywnie ocenia wszystkie formy protestu, które pociągają za sobą naruszenie porządku publicznego”.

W badaniach socjologicznych przeprowadzonych w latach siedemdziesiątych i wcześniej, taka kwestia jak „spokój w kraju” w zasadzie się nie pojawiała. Zyskała ona na znaczeniu w rzul-

tacie wzrostu poczucia zagrożenia, narastającego w roku 1981. Jak się wydaje, najbardziej psychologicznie dolegliwy był stan oczekiwania na to, co się zdarzy. Kiedy to się wreszcie zdarzyło, wielu ludzi odczuło swego rodzaju ulgę – było już przynajmniej wiadomo, czego się obawiać. Obecnie władza potrafi odwoływać się do tych przeżyć, wzbudzając czasami nawet od nowa poczucie zagrożenia i niepewności. Władza uzyskuje w ten sposób swego rodzaju poparcie – ale ma ono charakter szczególny: nie mamy do czynienia z mobilizacją aktywnego poparcia dla władzy, ale z demobilizacją protestu przeciw władzy. Zabieg jest dość przewrotny, ale skuteczny – władza jakby broni społeczeństwo przed nim samym twierdząc, że zapewnia obywatelom spokój i bezpieczeństwo. Zapomniałoby dodać jednak, że nie kto inny, ale ona sama obywatelom owo niebezpieczeństwo i niepokój w razie czego sponurkuje. Gwoli sprawiedliwości dodać jeszcze należy, że w podtekście tej argumentacji zawsze niemal zawarta jest aluzja do zagrożenia – okreśłmy to – geopolitycznego.

Drugim obszarem zbieżności dążeń władzy i społeczeństwa jest kwestia bezpieczeństwa socjalnego. Mirosława Marody pisze, że zyskało ono na znaczeniu w okresie poprzedzającym wprowadzenie stanu wojennego ze względu na narastające poczucie bezradności:

„Długi trening życia organizowanego przez władzę sprawił nie tylko to, że odpowiedzialnością za kształt własnego funkcjonowania w sferze życia społecznego obarcza się władze, lecz również to, że wytracona została umiejętność aktywnego kształtowania swej działalności na płaszczyźnie życia społecznego”.

W konsekwencji „model państwa opiekuńczego jest wyraźnie preferowany przez członków naszego społeczeństwa. W badaniach Ośrodka Badań Opinii Publicznej opowiedziało się za nim 62% badanych, podczas gdy za modelem państwa, w którym każdy odpowiada za swą indywidualną pomyślność – tylko 29%”. Poza wieloletnim treningiem w takim układzie stosunków społecznych, w którym państwo zapewnia różne dobra jako rodzaj świadczeń społecznych – typowym tego przykładem są mieszkania, ale warto zwrócić też uwagę na fakt, że w dużym stopniu płace oddzielają się w świadomości pracowników od

wkładu pracy i są traktowane jako rodzaj świadczenia społecznego – poza tym treningiem więc istotny wpływ na pobudzenie oczekiwań wobec państwa opiekuńczego miała postawa bezradności wobec działań podejmowanych w sferze publicznej. Porównanie wyników badań z lat 1980 i 1981 pokazuje dwa równoległe procesy – z jednej strony krystalizowała się grupa o wyrazistych postawach krytycznych wobec systemu politycznego, z drugiej – rosła liczba osób, dla których rzeczywistość społeczna stawała się niezrozumiała. Z nowszych badań empirycznych – pisze autorka – wynika, że bezradność ta utrzymuje się nadal i prowadzi do pojawienia się przekonania, że lepszy byłby jakiś porządek, niż jego brak. Porządek ten, jak mówiliśmy, zapewnia realnie istniejąca władza, natomiast państwo opiekuńcze, gwarantujące bezpieczeństwo socjalne i organizujące życie swych obywateli tak, aby zwolnić ich z konieczności podejmowania wielu trudnych decyzji, to przecież właśnie państwo socjalistyczne. W świadomości respondentów podstawowe zalety krajów socjalistycznych to brak bezrobocia, dostęp do oświaty, bezpłatne leczenie i równość społeczna, zaś podstawowe wady kapitalizmu to bezrobocie, nierówności społeczne i wysoki poziom przestępczości. Innymi słowy – socjalizm nie wymaga ciężkiej pracy, starań i inicjatywy, a z tego, co daje, czasem trudno się utrzymać, ale za to daje na pewno i w zasadzie niezależnie od wkładu pracy, i to właśnie wielu ludziom odpowiada bardziej niż sytuacja konkurencji o wyższe stawki.

Autorka omawianej publikacji twierdzi, że podstawą niepisanego porozumienia między władzą a społeczeństwem w połowie lat osiemdziesiątych jest właśnie zbieżność dążeń w obu wymienionych kwestiach. Władza jest skłonna zapewnić spokój w kraju oraz minimalny poziom zabezpieczenia społecznego, demobilizując w ten sposób skłonność społeczeństwa do protestu i realizując swego rodzaju „nową umowę społeczną” połowy lat osiemdziesiątych. Jeśli jednak tak by miało w istocie być, to warto się zastanowić nad konsekwencjami tego stanu rzeczy. Na jedną z nich wskazuje autorka: otóż poza obszarem uzgodnień pozostały wszystkie inne, ważne dla społeczeństwa polskiego, dążenia i aspiracje. Obejmują one zarówno potrzeby materialne, jak i dążenia związane z „psychicznym dobrobytem” jednost-

kowego i zbiorowego życia. Realizację niektórych z nich władza odsuwa w nieokreśloną przyszłość, inne – odrzuca całkowicie. Sprawia to – pisze Marody – „iż sytuacja, w jakiej znalazło się społeczeństwo polskie, odbierana jest przez ludzi jako tymczasowa”. Drugą konsekwencją takiego kształtu porozumienia społecznego jest jego ograniczony zasięg społeczny. Potrzeby, będące przedmiotem porozumienia, mają charakter ochronny, a najbardziej zainteresowane w ich zaspokojeniu są grupy społeczne pod różnymi względami słabe. Po pierwsze – słabe ekonomicznie, mające relatywnie niskie dochody i skazane w związku z tym na szukanie osłony socjalnej, której może dostarczyć tylko państwo. Po drugie – grupy słabe w sensie społecznym, to jest pozbawione poczucia wewnętrznej więzi i solidarności oraz niezdolne do podejmowania autonomicznych, zbiorowych działań. Emocjonalną podstawą potrzeb będących przedmiotem nowej umowy społecznej jest poczucie zagrożenia i niepewności, które jest znacznie silniejsze w środowiskach niezintegrowanych, wszędzie tam, gdzie panuje atomizacja i osamotnienie. Na tym właśnie polega różnica w stosunku do poprzedniej umowy społecznej, którą podpisano latem 1980 roku. Wówczas partnerami władzy były grupy pod obydwoma wymienionymi względami silne. Wolne związki zawodowe wywalczyli wielkoprzemysłowi robotnicy Wybrzeża i Śląska, którzy – na tle innych – byli stosunkowo dobrze sytuowani i dobrze wykształceni, a więc – najbardziej niezależni i samodzielni. To, że wykazali najwyższą zdolność do podejmowania autonomicznych działań zbiorowych, wynika z samych zdarzeń. Tymczasem teraz w układzie z władzą uczestniczą grupy społeczne o zupełnie przeciwnych charakterystykach. Nie tylko więc istotne potrzeby i dążenia są poza zakresem kompromisu, ale też ważna część społeczeństwa jest poza układem, w którym kompromis został zawarty.

Jak mówiliśmy, celem układu jest zapewnienie specyficznego rodzaju społecznego poparcia dla władzy, a mianowicie demobilizacja protestu. Okazało się teraz, że tych grup społecznych, które uczestniczą w porozumieniu, demobilizować w zasadzie nie trzeba, bowiem ich zdolność do zbiorowych i autonomicznych działań jest niska. Ci natomiast, którzy – być może – mog-

liby się sami zmobilizować do działania, przez ustalenia układu zdemobilizowani nie są.

Wracamy więc do początkowego pytania – co sprawia, że pogrudniowy ład utrzymuje się? Powiedzieliśmy, że każda z dwóch możliwych odpowiedzi skrajnych – czy to wskazująca na porozumienie, czy to na represje – zawiera jakąś część prawdy, ale że części te nie są jednakowe. Rozważania powyższe nie pozostawiają – jak się zdaje – wątpliwości, w której z odpowiedzi zawarta jest większa część prawdy. Po pierwsze, swoiste porozumienie ma za swą podstawę poczucie zagrożenia ludności, między innymi – zagrożenia niepokojami społecznymi, a więc – protestem społecznym i represjami, które protest ten by wywołał. Jest to więc porozumienie o treści „umawiamy się, że cię na razie nie uderzę”. Stwierdzenie, że nie więcej jest w nim zgody niż przemocy, nie jest chyba oceną zbyt surową. Po drugie, nie jest chyba też bezpodstawne przypuszczenie, że pasywność tych grup społecznych, które są potencjalnie aktywne i przez to istniejącym kontraktem są mniej zainteresowane, wynika z ich przekonania, że szanse realizacji ich dążeń w konfrontacji z władzą są niewielkie. Inaczej mówiąc, władza wytworzyła przekonanie, że jest silniejsza. Zarówno władza, jak i poszczególne kategorie społeczeństwa, potencjalni uczestnicy porozumienia z władzą zgadzają się z tą opinią. Ale znowu powiedzieć możemy, że układ oparty na takiej zgodzie przynajmniej w równym stopniu opiera się na przemocy.

Pozostaje jeszcze ostatnie z postawionych w tych rozważaniach pytań: czy opisane zawieszenie broni prowadzi do trwałego pokoju, czy jest to cisza przed kolejną burzą? Jest to pytanie futurologiczne, rozsądnie byłoby więc na nie nie odpowiadać. Oczekiwania społeczeństwa polskiego są w tej kwestii rozbieżne – z jednej strony utrzymuje się niejasne przekonanie o tymczasowości obecnego stanu, z drugiej – brak jakichkolwiek oznak optymizmu co do możliwości przezwyciężenia kryzysu i wyjścia z sytuacji politycznej, w jakiej się znajdujemy. Pesymista powiedziałby, że rozwiązania tymczasowe są zwykle najbardziej trwale, optymista – że historia nie zna naprawdę trwałych rozwiązań.

Józef Krępy

LIST DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze,

Jestem przeciwnikiem „kombatanckich” wspomnień i ciągnących się w nieskończoność korespondencyjnych polemik na temat tego, czy lasek był brzozywy, a brzeg strumyka prawy, czy też brzeg był lewy, zaś lasek sosnowy. Jeśli piszę ten list w nadziei, że zechce go Pan opublikować, to dlatego, że sprawa sama w sobie zapewne blaha, jest dla mnie ważna.

Pisze Jacek Kuroń, iż 17 października 1956 przyjechałem wraz z Krzysztofem Wolickim do ZD ZMP na uniwersytecie. „Przyjechali do nas rano, ewidentnie od Staszewskiego...” (Aneks, nr 43, s. 40).

Otóż nigdy do nikogo z żadną misją, poleceniem czy choćby informacją od Staszewskiego nie przyjeżdżałem. Z wyjątkiem przekazywania tego, co Jerzy Morawski powiedział dziennikarzom o tym, jak będzie głosował delegat PRL w Radzie Bezpieczeństwa w sprawie drugiej interwencji na Węgrzech, Zarządowi ZMP ani też komu innemu niczego nie przekazywałem. A druga interwencja miała – jak wiadomo – miejsce w listopadzie, a nie w październiku.

Będąc młodą lekarką – przepaszam: będąc rewizjonistą, pisałem w owym czasie zapewne wiele głupstw i najpewniej w wielu sprawach postępowałem niesłusznie. Robiłem to jednak wyłącznie na własny rachunek i z niczyjego niż moje własne poduszczania.

Roman Zimand

Lexington, 11 maja 1987.

P.S. Wątpię, bym nawet 17 października 1956 r. robił cokolwiek r a n o, ale o to nie będę kruszył kopii.

**SPRAWOZDANIE FUNDUSZU POMOCY
NIEZALEŻNEJ LITERATURZE I NAUCE
POLSKIEJ
za lata 1982-1986**

1. W marcu 1982 roku utworzony został Fundusz Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej: Czesław Miłosz (prezes), Wojciech Karpiński (koordynator), Mirosław Chojecki (sekretarz). W skład Komitetu Wykonawczego weszli ponadto: Jerzy Giedroyc, Gustaw Herling-Grudziński, Konstanty Jeleński, Krzysztof Pomian i Olga Scherer. Członkami Funduszu zostali: Stanisław Barańczak, Józef Czapski, Maria Danilewicz-Zielińska, Feliks Gross, Zygmunt Kaltenbach, Leszek Kołakowski, Sławomir Mrożek, Wiktor Weintraub.
2. W sytuacji, jaka zaistniała po wprowadzeniu stanu wojennego, członkowie założyciele Funduszu uznali, że jego naczelnym zadaniem powinno być uzyskanie pieniędzy pozwalających pomóc wydawnictwom emigracyjnym w zwiększeniu liczby ogłaszanych książek. Z pomocy tej zrezygnował od razu Instytut Literacki w przekonaniu, że korzystanie z niej nie daje się pogodzić z udziałem dyrektora Instytutu w pracach Komitetu Wykonawczego Funduszu.
3. Wniosek Funduszu przedstawiony Fundacji Forda został przez nią przyjęty. Dzięki otrzymanej od niej subwencji Fundusz mógł współfinansować w ciągu minionych pięciu lat 35 tytułów. Ze zrozumiałych powodów nie wszystkie mogą być ujawnione. Oto wykaz tych, których to zastrzeżenie nie dotyczy:

- Stanisław Barańczak – „Poeta pamięta”
 Władysław Bartoszewski – „Dni walczącej stolicy”
 Ewa Bieńkowska – „Dane odebrane”
 Włodzimierz Brus – „Reforma gospodarcza w państwach Ekropy
 Wschodniej”
 Cornelius Castoriadis – „W obliczu wojny”
 Jan Erdman – „Droga do ostrej bramy”
 Henryk Grynberg – „Szkie”
 Jan Krzysztof Kelus – „Poezje prawie zebrane”
 Jan Kott – „Kamienny potok”
 Marian Kukiel – „Dzieje Polski porozbiorowej”
 Joanna Kulmowa – „Kłamstwo gołębic”
 Barbara Łopieńska i Ewa Szymańska – „Stare numery”
 Bronisław Maj – „Zagłada Świętego Miasta”
 Adam Michnik – „Szanse polskiej demokracji”
 George Orwell – „Eseje wybrane”
 Jan Polkowski – „Wiersze (1977-1984)”
 Władysław Pobóg-Malinowski – „Najnowsza historia polityczna
 Polski”
 Krzysztof Pomian – „Wymiary polskiego konfliktu”
 Jerzy Surdykowski – „Notatki gdańskie”
 Małgorzata Szejnert i Tomasz Zalewski – „Szczecin...”
 Aleksander Wat – „Pisma wybrane”
 Witold Wirpsza – „Utwory wybrane”
 Adam Zagajewski – „Solidarność i samotność”
 Raport – „5 lat po sierpniu”
 Raport Międzynarodowej Organizacji Pracy

4. W latach 1983-1986 Fundusz otrzymał również subwencje z innych Fundacji. Zostały one przeznaczone na udzielanie pomocy niezależnym instytucjom kultury, oświaty i nauki w kraju oraz na przyznawanie stypendiów indywidualnych na krótkoterminowe pobyty na Zachodzie. Łącznie przyznano 127 miesięcznych stypendiów, z tego 34 w roku 1983, 37 – w roku 1984, 8 – w roku 1985, 48 – w roku 1986. Wśród stypendystów 29% stanowili pracownicy naukowci, 19% – plastycy, 18% – literaci, 18% – dziennikarze i publicyści, 9% – niezależni wydawcy, 7% – filmowcy i aktorzy.

5. Nakładem Funduszu ukazało się 7 numerów Informatora *Co czytać*, reklamującego książki wydane przez polskie oficyny na Zachodzie.
6. Sprawozdanie finansowe Funduszu na okres od 1982 do grudnia 1986 przedstawia się jak następuje:

WPLYWY

Ford Foundation	206 000,00 \$
Wpływ z aukcji dzieł sztuki plastyków niemieckich, ze względów administracyjnych przekazany w 1983 r.	
Fondation pour Une Entraide Intellectuelle Européenne	66 195,43
National Endowment for Democracy	30 000,00
Polcul Foundation	20 000,00
Institutionen Fritt Ord	16 363,64
Wpłaty indywidualne	15 487,26
Ethnic and Public Policy Center	5 000,00
Wpływy z operacji bankowych	3 036,78
Wpływy z biuletynu <i>Co czytać</i>	392,29
	<hr/>
Razem:	362 475,40 \$

WYDATKI

Dofinansowanie publikacji książek	127 915,67 \$
Przekazane niezależnym instytucjom kultury, oświaty i nauki w kraju	78 460,00
Stypendia indywidualne	65 439,68
Stypendia sekretarza przyznane przez Ford Foundation	58 000,00
Publikacja informatora <i>Co czytać</i>	12 704,65
Koszta administracyjne	8 024,51
	<hr/>
Razem:	350 544,51 \$

Różnica: 11 930,89 \$ – znajduje się na koncie Funduszu w banku Credit Industriel et Commercial nr konta 30066-00854-062101644-42

7. Zważywszy przewidywane zmniejszenie się wpływów oraz ukształtowanie się w ostatnich latach struktur niezależnej oświaty, kultury i nauki w kraju, Komitet Wykonawczy Funduszu na ostatnim posiedzeniu postanowił skupić się wyłącznie na dofinansowywaniu książek publikowanych przez polskie wydawnictwa na Zachodzie. W związku

z tym Fundusz nie będzie odtąd przekazywał żadnych pieniędzy do kraju. Fundusz postawi nadto kwoty przeznaczone na krótkoterminowe stypendia do dyspozycji Fondation pour une Entraide Intellectuelle Européenne, rezerwując sobie prawo zgłaszania kandydatów do tych stypendiów w ramach przekazywanych tej fundacji sum.

8. Dnia 27 marca 1987 Komitet Wykonawczy przyjął rezygnację z członkostwa Funduszu Sławonira Mrożka oraz dymisję Mirosława Chojeckiego z funkcji sekretarza. Komitet Wykonawczy wyraził podziękowanie Mirosławowi Chojeckiemu za dotychczasową pracę na stanowisku sekretarza i powołał na nie Wojciecha Sikorę. W związku z tym ulega zmianie adres Funduszu:

Fonds d'aide aux Lettres Polonaises Indépendantes
c/o Wojciech Sikora
5, rue Dorian
75012 PARIS

Komitet Wykonawczy
Fundusz Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej

Paryż, 27 marca 1987

WYDAWNICTWO ANEKS składa niniejszym podziękowanie Funduszowi Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej za udzielenie subwencji na wydanie kilku książek.

noty o autorach

JAKUB ANDRZEJEWSKI – pseudonim. Autor mieszka w Polsce.

STANISŁAW BARAŃCZAK – ur. w 1946 r. Od 1981 r. profesor na Harvard University w Stanach Zjednoczonych. Członek redakcji *Zeszytów Literackich*. Najnowsze publikacje: *Uciekinier z utopii. O poezji Zbigniewa Herberta* (1984), *Poeta pamięta. Antologia poezji świadectwa i sprzeciwu 1944-1984* (wybór i wstęp. 1984), *Atlantyda i inne wiersze z lat 1981-1985* (1986).

FRANCIŚZEK M. DRAUS – ur. w 1953 r. W latach 1982-84 wykładał na uniwersytecie we Freiburgu (RFN). Od 1986 r. prowadzi seminarium w Instytucie Raymonda Arona w Paryżu. Autor wielu artykułów z dziedziny filozofii politycznej. Dokonał wyboru i opatrzył wstępem zbiór artykułów Raymonda Arona pt. *History, Truth, Liberty*, Chicago 1985.

RUBEM CESAR FERNANDES – studia na wydziale filozofii Uniwersytetu Warszawskiego. Doktorat na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku poświęcony polskiej szkole historii i filozofii. Kieruje Instytutem Studiów nad Religią i wykłada na uniwersytecie w Rio de Janeiro. Autor wielu prac poświęconych formom ludowej religijności w Brazylii.

JOACHIM FEST – współredaktor *Frankfurter Allgemeine Zeitung*. Autor książek: *Das Gesicht der Dritten Reiches, Profile einer totalitären Herrschaft* (1963), *Hitler* (1973), *Aufgehobene Vergangenheit: Portraits und Betrachtungen* (1981).

JAN T. GROSS – ur. w 1947 r. Profesor socjologii na Uniwersytecie Emory w Stanach Zjednoczonych. Autor książek: *Polish Society Under German Occupation* (1977), *W czterdziestym nas matko na Sybir zesłał...* (wraz z Ireną Grudzińską-Gross, 1984); książka *Revolution from Abroad. Sovietization of Western Ukraine and Western Bielorusia. 1939-1941* ukaże się wkrótce nakładem Princeton University Press oraz po polsku nakładem Wydawnictwa Aneks. Część pierwszą eseju „Wybory” zamieściliśmy w poprzednim numerze.

JÜRGEN HABERMAS – filozof, profesor na uniwersytecie we Frankfurcie (RFN). Opublikował m.in. *Strukturwandel der Öffentlichkeit* (1962), *Theorie und Praxis* (1963), *Erkenntnis und Interesse* (1969), *Legitimationsprobleme im Spätkapitalismus* (1973), *Theorie des kommunikativen Handelns* (1981), *Der Philosophische Diskurs der Moderne* (1985).

KONSTANTY A. JELEŃSKI – ur. w 1922 r. w Warszawie. Zmarł w 1987 r. w Paryżu. Ważniejsze publikacje: *La Route de l'Onobre Polacco* (1958), *Anthologie de la poésie polonaise* (1963, 1981), *Hans Bellmer* (1966), *Leonor Fini* (1968), *Witold Gombrowicz: Theater* (z François Bondy, 1976), *Jean Leberstein* (1980), *Stanisław Lepri* (1981), *Zbięgi okoliczności* (1982). Przetłumaczył na francuski trzy sztuki Gombrowicza oraz *Trans-Atlantyk* (wraz z Geneviève Serreau), tom wierszy Karola Wojtyły (wraz z Pierre Emmanuel) oraz tom wierszy Czesława Miłosza.

JÓZEF KREPY – pseudonim autora mieszkającego w Polsce.

CHRISTIAN MEIER – profesor historii na uniwersytecie w Monachium. Przewodniczący Stowarzyszenia Historyków Niemieckich.

ERNST NOLTE – historyk, profesor na uniwersytecie w Berlinie. M.in. autor książek: *Der Faschismus in seiner Epoche. Die Action française, der italienische Faschismus, der Nationalsozialismus* (1963), *Die Krise des liberalen Systems und die faschistischen Bewegungen* (1968), *Deutschland und der Kalte Krieg* (1974), *Marxismus und industrielle revolution* (1983).

ALEKSANDER SMOLAR – ur. w 1940 r. Redaktor *Aneksu*.

MICHAEL STÜRMEER – profesor historii na uniwersytecie w Erlangen. Przez szereg lat doradca kancelarii Kohla. Publicysta polityczny współpracujący z *Frankfurter Allgemeine Zeitung*. Opublikował m.in.: *Dissonanz der Fernschritte* (1986), *Das röhelose Reich: Deutschland 1866-1914* (1982), *Bismarck* (1987).

MAREK TOMASZEWSKI – ur. w 1947 r. Ukończył Uniwersytet Jagielloński. Wykłada literaturę polską na uniwersytecie w Lille we Francji.

MARIO VARGAS LLOSA – ur. w 1936 r. Pisarz peruwiański. Spośród jego licznych książek po polsku ukazały się m.in. powieści: *Zielony dom*, *Miasto i psy*, *Pantaleon i wizytantki*.

HELMUT WAGNER – ur. w 1929 r. Studiował filozofię, historię i nauki polityczne na uniwersytetach w Berlinie, Tybindze, Stuttgartu i Warszawie. Od 1970 r. jest profesorem na Wolnym Uniwersytecie w Berlinie Zachodnim. Autor prac z zakresu teorii polityki, problematyki europejskiej integracji, międzynarodowego regionalizmu oraz historii polskiej myśli politycznej. Opublikował m.in.: *Die territoriale Gliederung Deutschlands in Länder seit der Reichsgründung* (1971), *Die Kehre Jean Jacques Rousseau* (1978), *Die Doppelgesellschaft* (1981), *Sage of Communist Rule: The Withering Away of Party Dictatorship* (1987).

UZUPELNIENIE

W poprzednim numerze *Aneksu* w notach o autorach opuściliśmy przez pomyłkę informację o Macieju TRZCINSKIM.

Jest to pseudonim autora mieszkającego w Polsce.

Cena **600**zł